

S 122

[8]77

~~512~~ 511

S. 122 [7]

Wojna światowa

Wojna światowa rozpoczęła się 1 sierpnia 1914 roku, kiedy to Niemcy zaatakowali Polskę. W wyniku wojny zginęło około 100 milionów ludzi. Wojna ta przetrwała aż do 11 listopada 1918 roku, kiedy to Niemcy przegrali. Wojna światowa przetrwała aż do 11 listopada 1918 roku, kiedy to Niemcy przegrali. Wojna światowa przetrwała aż do 11 listopada 1918 roku, kiedy to Niemcy przegrali.



**BIBLIOTEKA PODRÓŻY**  
**I MALOWNICZO-HISTORYCZNYCH OPISÓW**  
**RÓŻNYCH KRAJÓW,**

WYDAWANA  
PRZEZ  
Adama Zawadzkiego.

---

Ś r y a s m a.

---

**PODRÓŻE HUMORYSTYCZNE.**

**AMSTERDAM.— PARYŻ.**

---

**WENECYA.**

PRZEZ  
Arsén'a Houssaye.

*Lemmerichsky*  
**W I L N O.**

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

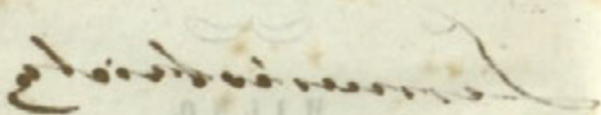
1860.

*Ed. f. . .*

<http://rcin.org.pl>

Drukować pozwolono z waruukiem złożenia w Komitecie  
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exem-  
plarzy. Wilno, d. 4 Września 1859 roku.

*Cenzor, Radzca Stanu i Kawaler A. MUCHA.*



**PODRÓŻE HUMORYSTYCZNE.**

---

**AMSTERDAM.**

---

**PARYŻ.**

---

**WENECYA.**

PRZEZ

**Arsen'a Houssaye.**

przekład

Jerzego Laskarysa.

PODROZE HUMORYSTYCZNE

A. M. S. T. W. I. D. A. W.

P. A. M. X. N.

W. E. N. E. G. Y. A.

1844

Wydawnictwo Książkowe

Warszawa

Wydawnictwo Książkowe





## **PODRÓŻ HUMORYSTYCZNA.**

---

### **I.**

#### **Julijanna i dwóch Kanonijerów.**

---

**N**IE dla siebie podróżuję, ale dla ciebie, pani; unoszę myśl twoją; jestem lokomotywą tylko.— Wszystko co widzę nie wydawałoby mi się ciekawym, gdybym ci tego nie miał opowiadać. Powiedziano dawno, że poeta jest zwierciadłem posuwanem po za drogą; jeżeli ja teraz posuwam zwierciadło, wiesz dobrze, iż to czynię dla ciebie.

Gdzie jestem? dokąd i zkad dążę?— Oto i rozpoczęcie na wzór wystąpienia bohatera tragedji. Jeżeli się nie mylę, jadę do Amszter-

damu, a pamiętam, że przybywam z Bruyeres, bo tam me serce zostało. Wyjechać bez ciebie, stracić na ośm dni ten profil grecki, który mi uprzytomniał Fidjasza, te kręjące się włosy malowane z takim upodobaniem przez Tycjana, te prześliczne oczy wyrzniete żywcem z wieczornego, jesiennego nieba, stracić ciebie, ciebie, którą szukałem jeszcze przed poznaniem! o to okropnie!

Przyrzekłem ci pani być naiwnym podróżnym, chcę dotrzymać słowa. Głupowatość jest coraz rzadszym przymiotem; dawniej ludzie byli głupi, dziś są tylko niedorzeczni. Nie mówię tu o dowcipnych. Jestem człowiekiem dowcipnym, co, jak pani wiadomo, stanowi mą główną wadę; kochaj mię wszakże takim jak jestem, bo któż nie ma swych ułomności?

Dzisiaj więc o ile można chcę być głupim. Dobrze zaczynam: wszystko mię dziwi; przed chwilą przejeżdżając przez Cambrai i widząc Fenelona kapelusznika, Fenelona cukiernika, Fenelona aptekarza, zapytałem mojego sąsiada czy to są potomkowie sławnego arcy-biskupa. Poznałem dobrze z zakłopotanej miny sąsiada, że powiedział głupstwo. Cieszę się pani za ciebie.

Lecz oto zamiast opowiadania, zaczynam rozmawiać. Nie ma i najgorszej książki bez przed-

mowy. Wiesz pani jak lubię wszelkie wstępy: wstęp w życiu, w miłości powiedziałbym nawet, gdybym nie mówił już po wstępie.

Dalej w drogę! Nie wspomnę ci nie o tym pięknym krajobrazie przytykającym do Szampanji, Pikardji i Ile-de-France. Będąc w Bruyères, zdaje się nam, żeśmy w księztwie Badeńskim: spiczaste góry, skały mchem obrosłe, pokłady srebrzystego piasku, dębowe lasy, stawy otoczone zielenią, nie brak niczego obrazowi;—tylko, że tu koloryt łagodniejszy, bardziej w rodzaju Lorrain'a niż Salwatora. Nie długom się przypatrywał temu smutnemu i wesołemu zarazem krajobrazowi; ujechawszy trzy mile, byłem w pośrodku Pikardji, skinieniem ręki żegnając wspinające wieżyce Laonskiej katedry, które ty pani codzień oglądasz.

Nie wspominam ci nie o towarzyszach mojej podróży, gdyż, siedząc dumnie na imperjale, jak ludzie znakomici i ludzie bez grosza, nie mam nigdy sąsiadek. Na pierwszej stacji, gdy przemieniano konie, odmieniłem towarzyszków drogi. Co mi tam! mówiłem do siebie. Jednak rad byłem nieco. Czemużbym z tej samej przyczyny, z której zmieniałem punkt zapatrywania się na rzeczy w naturze, nie miał zamienić i punktu zapatrywania się w ludzkości?

Tak, byliśmy w pośrodku Pikardji; rozłożyste jabłonie zwieszały wspaniale swe gałęzie uginające się pod ciężarem owoców żółtych, zielonych, lub czerwonych. Widoki stawały się coraz bardziej jednostajne; rozległe pola świeżo wyrobione pod zasiew, łąny konieczyny i lucerny, gdzieniegdzie garstki owsa na zagonach; w dali na widnokręgu obracający się młyn wietrzny, dworek, na który spadają stada gołębi i wieś ukryta w ogrodowych drzewach.

Na wjeździe do La Fère zatrzymaliśmy się spotkawszy artylerzystę wlekącego obnażoną szablę. Miał on minę pijanego, a dzieci krzychały za nim: ostrożnie, nie upadnij! Podszedł prosto do naszych koni. Przechodzący żołnierze otoczyli konie i artylerzystę. »Co ci to jest artylerzysto?»

Spojrzawszy na szablę: »Patrzenie,» odrzekł donośnym głosem.

Szabla była skrwawiona. »Więc cóż to znaczy?— Co?— zabiłem Teodora!»

Wymówił te słowa spokojnie, ale z wyraźnym smutkiem.

Spoglądaliśmy nań wszyscy w milczeniu. »Teodora! rzekł jeden z żołnierzy, wszakże on był towarzyszem twojego łoża?— Tak.— Dla czego więc go zabiłeś?— Dla drugiego towarzysza, na-

zywającego się Julijanną. Otoż to, rzekł pocztylion, zawsze te kobiety; i czy warto. Tak! do licha! warto— wrzasnął artylerzysta grożąc szablą; tak, dla tej kobiety warto było! Można mię rozstrzelać, lecz nie można zmusić, abym zmienił przekonanie.

Natłok ludu coraz się powiększał. »Trzeba go pojmać,» odezwał się ktoś piskliwym głosem.

Żołnierz posłyszał te słowa. »Pojmać! powtórzył podnosząc głowę, pojmać mię! alboż mam minę uciekającego? sam idę do kapitana, aby mu wszystko powiedzieć; on ma serce, nie będę potrzebował dowodzić przed nim, żem się bił szlachetnie. Nie jestem zabójcą; rozstrzelają mię, to i dobrze, ale Teodor nie pójdzie już więcej do niej.»

Roztrącił łuszczykę, wziął po bratersku pod rękę jednego z żołnierzy i oddalił się, idąc drogą wiodącą do koszarow.

Byłem aż do łez wzruszony, nie z powodu śmierci zabitego już żołnierza, lecz z powodu tego, który miał być zabitym,

Jakaż jest to Julijanna, będąca dwa razy zabójcą? Jestże młodą i piękną, gdy dwóch ludzi młodych, pięknych, silnych i odważnych zgodziło się rąbać o jej wdzięki? Co cię zadziwi pani, to, że w istocie, mając lat dwadzieścia,

jest *Ona* młodą i piękną. Jeden oficer, w hotelu, dał nam jej następujący portret: »Prawdziwa Magdalena, jawnogrzesznica w całym swym blasku; a będąc nawet córką szatana, nie byłaby piękniejszą.»

Jednak w tej chwili: najpiękniejsza, najczulsza, najbardziej poświęcająca się i godna uwielbienia kobieta w Paryżu, nie znalazłaby dwóch kochanków zdolnych do poświęcenia dla niej życia z podobnem mężstwem. Oto i Aforyzm: Są jeszcze kochankowie, lecz nie tacy jak za o-wych dni— w życiu i śmierci!

Zapomniałem się pani, gdyż mogę ci powiedzieć:— w życiu i śmierci!



## II.

**La Tour.—Pawel Potter.— Van Ostade.**

**C**óż ci powiem o Saint-Quentin? Jest to rodzinne miejsce malarza La Tour, który, zdaje się, że na to urodził się, aby zrobić portrety trzech w różnym rodzaju ślicznych kobiet: pani Pompadour, pani Barry i królowy Marji Antua-

nety. Jeden tylko La Tour w swoich pastelach nadał im ich właściwy uśmiech, pełen dowcipu i wdzięku. W czasie jego urodzenia w Saint-Quentin, nie było ani fabryk, ani kopalni węgla kamiennego. Czarny dym przemysłu nie pokrywał okolicy pogrzebowym całunem. Jednak jest to strona bogata,— bogata bez nieba i słońca! Lazarony posiadają prawdziwsze i poetyczniejsze bogactwo: słońce, powietrze i swobodę.

Od Saint-Quentin do Câtelet droga wysadzona, nie wiem dla czego, dzikimi wiśniami. Dzięki jesiennej porze, poczerwieniałe już liście nadają wiele wyrazu, temu nieco zimnemu pejzażowi. Nie żałuję wcale jabłoni. Zresztą, gdy wszystkie domy wiejskie w północnej stronie budowane z cegły, krajobraz zielonawy nawet, w jesieni przybiera silniejszy koloryt i większą rozmaitość.

Cambrai jest miastem białym, wymalowanym od piwnicy do strychu. Przepędziłem w niém noc na marzeniu i na spaniu,— nie mówię na spaniu i marzeniu, gdyż to nie jedno i to samo.

W bliskości Valenciennes, nieraz przypomniałem sobie Pawła Pottera, któregośmy roboty wspólnie oglądali. Od wschodu słońca krowy rozproszyły się na łąkach; jedne zadziwione nieco naszym przejazdem, podnosiły głowy z pomiędzy

łozy, drugie leniwsze i żarłoczniejsze, leżąc przy wodzie, jadły niedbale wszystkie ździebła trawy, do których mogły dosięgnąć. Szczególnie podobało mi się stado czarnych z białymi plamami jałowic. Nowoczesna cywilizacya usunęła pasterza, co jest nieszczęściem, nie dla krów, ale dla krajobrazu. Pasterz Pawła Pottera sprawiał bardzo dobry efekt, czy to grając na fletni pomiędzy krzakami, jak bóg Pan, czy opiewając pieśń *Matgorzaty* lub *Johanny*.

W Valenciennes trzeba się pożegnać z temi pocziwemi pikardyjskimi końmi, które mię nauczyły cierpliwości; mam powitać skrzydła płomienia i pary. Oto drzewa skaczą i tańczą mazura. Co za lekkość! co za wir! istny *bal Opery* przystrojony w zielone liście. Pierwsza staeya. Młodzieniec wykwintnie ubrany, przechadza się paląc cygaro: jest to syn księcia de Ligne. Na wpół pijany włóczęga prosi go bez ceremonji o pozwolenie zapalenia swej fajki jego cygarem;— zwyczaj przyjęty w dobrem towarzystwie. Młodzieniec udziela grzecznie ognia włóczędze. Nic naturalniejszego. Jednak cóżby na to przed stu laty powiedział sławny książę de Ligne, on co będąc zawsze dowcipnym człekiem, był wielkim panem, i będąc wielkim panem, był dowcipnym człekiem; gdyż wiecznie



będą wiecy panowie i włóczęgi— wiecznie, i przy każdej formie rządu.

Zebyśmy nie jechali tak prędko, miałbym dość czasu do widzenia w Tubizie wnętrza godnego pędzla Van Ostad'a. Wyobraź sobie kowala w czapce na bakier, pysznie oświeconego ogniem z kuźni. Przed drzwiami,— gdyż to można było widzieć przez okno,— stała kobieta trzymająca jedno dziecko za rękę a drugiemu podająca wodę do picia. Na przodzie domu obramionego wierzbami, zwieszały się duże winogrona przypalone zapewne od słońca. Był to bardzo ładny, świeży, jasny i wesoły obrazek, Van Ostade autentyczny: brakowało tylko podpisu.

### III.

#### B r u x e l l a .

**P**RZEKONYWAM się o jednej bardzo przykrej prawdzie: to jest, że zawsze będą podróźni, lecz nie będzie opisów podróży, przynajmniej w krajach, gdzie kwitnie dziennikarstwo; nie mówię tu o *podróżach gdzie się podoba*, bo te w każdym

czasie z przyjemnością dają się pisać; dla odbycia ich dość będzie wiele dowcipu i wyobraźni; lecz mówmy o podróżach po ziemi, a nie w marzeniu. Jakże wojować z rozmaitemi nowinami ogłaszanemi co godzina przez organa opinii publicznej, jak je dawniej nazywano? W każdym miejscu są wypadki obchodzące świat cały; ale czyż będę miał cierpliwość kopijować dzienniki? Pióro mi z ręki wypada. Trzebaby podróżować po, nie wiem już jakim, oceanie spokojnym, gdzie dziecy ludzie wolni są od błędnego przywiązania do organów opinii publicznej. Lecz nie ma już ani dzikich ludzi, ani dziewiczych lasów, rodzaj ludzki wszędzie postawił swą brzydką stopę.

Nie ci przeto nie powiem o prawach, polityce i wypadkach krajowych: dobre to było za czasów Regnard'a; dziś już wszystko powiedziano: dla tej właśnie przyczyny tylu uczciwych ludzi trawi życie na pisaniu dzienników; powtarzają tylko to, co było powiedzianem wczoraj i tak ciągle przez wszystkie dni roku.

Nie mając mówić o *zwyczajach publicznych*, chciałbym bardzo powiedzieć ci coś o *zwyczajach prywatnych*, lecz nie nadto trudniejszego; gdyż mknąc przez kraj tutejszy z prędkością pa-

ry nie mogą odkryć tego, co starożytni nazywali duszą domostwa; zresztą nie otwierają tu drzwi na sciąż, żyjąc w ukryciu i w cichości; i zaledwie podnoszą nieco firanki, jeżeli przypadkiem pokaże się słońce. (Ale mówiąc o słońcu, czy widzisz je tam zawsze? straciliśmy się z niém z oka zupełnie. Piron powiadał niegdyś o Panu Bogu: »Widziemy się z sobą, lecz nie rozmawiamy;» chciałbym bardzo to samo powtórzyć o słońcu).

Poeta Gérard de Nerval i księgarz des Essarts, redagują tu wstępne sprawozdanie gazeciarskie o ostendzkich ostrygach. Jest to bardzo ważna kwestya polityczna i zupełnie na dobie. Pojmujesz, że ja jej zgoła nie rozumiem. Wszakże podczas, gdy oni pisali, zjadłem trzy tuziny ostryg ostendzkich i to było całe moje współpracownictwo.

Gérard przyjechał wczoraj w czasie strasznej ulewy. Lecz będąc do wszystkiego przyzwyczajonym, jako prawdziwy podróżny na około świata, był w humorystyczném usposobieniu, a nie w złym humorze i miał na ustach swój śliczny uśmiech; wspaniale zarzucony swój płaszcz wschodni, który w Bruxelli zawracał wszystkim głowy, lecz nie w przeciwną stronę.

Jest tu bardzo dowcipny sposób pisania dzienników, znajdujących się w wielkiej ilości. W Paryżu uzbrajają się w nożyce i wycinają dla jednego dziennika to co jest ciekawego w drugim. Takim sposobem jedna rzecz odczytuje się przez cały tydzień; to bardzo dobrze; lecz tu, w Bruxelli, w ojczyźnie *podrabiania*, ten przemysł daleko wyżej został posunięty. Sześć dzienników takiego samego formatu porozumiało się pomiędzy sobą po bratersku. Cały układ pierwszego, służy pięciu drugim. Nic więcej nie pozostaje, jak tylko zmienić tytuł. Abonenci przeto nie narzekają na niezgodność swoich czasopismów. Zaprawdę jesteśmy w krainie pokoju i ciszy. Des Essarts jest głównym redaktorem jednego z tych dzienników,— wysokie i trudne stanowisko:— musi czuwać nad tem, aby się nie pomyłono z tytułem. Zresztą w tym czasie des Essarts jest skończonym literatem, piszącym równie źle w Bruxelli, jak my piszemy w Paryżu.

Gerard oddał mi list zaadresowany do mnie z podpisem Hetzela: *„Ponieważ jesteś zdala od Paryża, możesz o nim pisać. Skłoń Gérard'a do pisania, (dla djabła w Paryżu), a Gérard niech zachęca ciebie. Nie zrobimy tego wcale, ani ja, ani on.*

Do widzenia. Jedziemy do Antwerpji. Bądź moim przyjacielem, jak byłeś wczoraj, jak ja będę twoim jutro.



## IV.

### Naprzeciwno Berg-op-Zoom.

**U**BIECAŁEM napisać do ciebie mój kochany Lafajecie, a za ledwie teraz, oddalając się raz jeszcze od twej osoby, szczęśliwy poeta zaginiony gdzieś w górach Owernji, temperuję me pióro dla ciebie. Powróciłem do tej poczciwej Flandrji tak gościnnej dla artystów, z powodu swoich muzeów, łąk i bifsztyków, aby znów przypatrzeć się zblizka arcy-dzielom holenderskich mistrzów.— Przytęm dobrze jest co pół roku opuszczać Paryż; jedyny to sposób możności sądzenia o tém co się dzieje w Paryżu i sądzenia o sobie samym: mój sąd, niewątpisz pewnie, nie nader był korzystny.

Uprzedzam cię że będę mówił na los szczęścia o wszystkim co tylko zwróci na się mój wzrok i moją uwagę.

Nader błędnem jest mniemanie że przyjdziemy z czasem do wielkiej jednostajności w obyczajach.— Cywilizacja, w miarę tego, jak jeden punkt oświeca, wszystkie inne zostawuje w ciemni, nawet te przez które przeszła; ona obchodzi świat do koła, ale nigdy go nie otacza. Zawsze będzie gdzie podróżować. Prawda że wszędzie coraz bardziej będą się spotykać te same uczucia ludzkości; będą wszędzie ludzie niezmordowani w zapobieganiu skutkom, aby nie być zmuszonymi do odmiany przyczyn, ludzie, którzyby bardzo chętnie namnożyli ubogich, nie dla czego więcej, jak tylko dla możności trudnienia się swą filantropiją.

Krajem, który przez długi czas zachowa swój charakter jest Holandya. W rzeczy samej jakim sposobem Holendry mogliby żyć na pełnym morzu tak samo jak my żyjemy na stałym lądzie? Możnaż podobnie marzyć wśród mgły północnej jak się marzy w Neapolu pod jasnym słońcem? Drogi żelazne przenosząc w różne strony świata tego samego człowieka i ten sam umysł, nie przeniosą słońca.

Jadąc z Bruxelli do Antwerpji czujemy już bliskość Holandji. Grunt jest już bagnistą łąką, zdającą się pływać na wodzie. Mieliśmy wczoraj po burzy takie niebo jak we Francji. Słoń-

ce gdzie niegdzie okazywało się po troszę, w części, w połowie, w trzech częściach i całkiem. Słońce tu zupełnie jak Antwerpijanki; można je widzieć tylko za firankami albo pod wuałem.

Antwerpijanki bynajmniej nie są ze swego kraju; po większej części istne Hiszpanki, brunetki, zwinne, wyłoczone promieniami południa.—Nie widać raju w ich oczach.

Do Antwerpji przybyliśmy pod wieczór i mieliśmy tam niespodziany widok: mijając port, byliśmy olśnieni od słońca, które zachodziło, kryjąc się w złocistym, purpurowym i ognistym łożu, i rzucało na Skaldę najwspanialszy połysk. Nie widziałem nigdy uroczystsze go widoku; Van der Velde zbladłby z radości. Nie mogę ci odmalować całego obrazu, ani tego nieba z najświetniejszych barw,—ani okrętów, wesoło zapełnionych śpiewającemi majtkami,—ani tych białych domów w forcie, w których z każdego okna wyglądały kobiety upojone słońcem!

Zjadłszy obiad jak Flamandczycey, albo raczej jak poeci, poszliśmy do *Musico* przypatrywać się tańcom Antwerpijanek.—Niestety! Czy uwierzysz? że one, które przed kilkoma jeszcze laty, tańcowały własne, oryginalne tańce, wczoraj tańcowały polkę.

Antwerpija wszakże zachowała nieco swą po-

wierzchność ponurą i wesołą zarazem, katolicką i światową. Mieszkańce jej z równą gorliwością pracują na zbawienie duszy jak i oddają się djabłu. Niemaż tu ludzi obojętnych. Ma się rozumieć żeśmy pracowali na zbawienie duszy.

Zgadza się zupełnie z Gérardem, tylko że gdy on jest *podróżnym doświadczonym*, a ja jestem *niedbałym*, nie jednakowo idziemy; on zawsze boi się zapóźnić, ja, jak wiesz, lękam się przybyć zawczasie; to tylko jedno różni nasze zdania.— Przybędziemy oba (1).

W tej chwili, naprzeciw Bath'u, nieco przed Berg-op-Zoom,— piszemy dla Hetzel'a.— Od czasu do czasu, spoglądamy przez okno; za cały widok mamy Skaldę; na niej, stąpające po wodzie końcami skrzydeł *mewy*, na brzegach grona drzew, wietrzne młyny, łąki nakrapiane białymi i czarnymi krowami; w dali spiczaste dzwonicy:— Gdzieś niedzie spozstrzegamy rybackie łodzie; oto, tylko co popłynęła jedna łódź, której się zwyczajom przypatrzyłem: mężczyzna pali fajkę, kobieta myje bieliznę, dziecko kręci mały młynek;— nie wspominam już o miłym zapachu kapusty ze słoniną, który w przelocie zachwyłem. To mi przypomniało malarza Jana Griffiego lubiącego namię-

---

(1) Mój biedny towarzysz podróży przybył pierwszy.



tnie morze. Zarobiwszy nieco pieniędzy, a znajdując że mu źle mieszkać na łądzie, kupił okręt, mówiąc że na nim chce żyć i umierać. Zadzierzawił morze na lat trzy. Gdy jego żonę i dzieci znudził wreszcie ten rodzaj życia, wysadził ich na ziemię, a sam wrócił do swego podróżnego domu.

Niech Bóg czuwa nad moim i nad twoim domem, stary mój przyjacielu!

---

## V.

### Dla czego druk wynaleziony.

---

**D**AWNIEJ podróżowano trochę i dla stracenia z oczu swoich przyjaciół; wsiadając do powozu odrywano się razem od swych myśli, przyzwyczajęń, od swego codziennego żywota. Przez ciąg podróży nie słyszano nic ani o swojej rodzinie, ani o przyjaciółach, ani o swym losie lub o samych sobie; dobre to były czasy, gdyż podróż stawała się zupełnie nowem życiem.— Dzisiaj ciągniemy za sobą cały swój żywot; para ściga cię wszędzie, mówiąc co się dzieje u ciebie, nie tyl-

ko w kraju, ale nawet w kole twoich znajomych. Sądziłeś żeś się uwolnił od wczorajszych nudów, lecz oto dziennik, to umysłowe piekło, pędzi za tobą, dogania cię wszędzie i wyprzedza. Każę sobie w Dordreck dać jeść, podają mi *Constitutionnela*, w którym muszę czytać moje własne artykuły. Siadam na statek parowy, mający mię przewieźć z Arvez do Rotterdamu, znajduję na nim *Revue de Paris i l'Artiste*.

*Przegląd Paryski i Artysta!* Jak się macie przyjaciele?!— Oto tu i tam spotykam moje nazwisko! Co! po dwutygodniowej mojej nieobecności, nie zapomniano jeszcze o mnie! Lecz spostrzegam ze smutkiem, że tu i tam moje nazwisko jest powodem wojny. Cóżem zawinił? napisałem zły romans, jak się zdaje, tak przynajmniej dowodzi *Przegląd Paryski*, pragnący mówić prawdę nawet swoim redaktorom; lecz oto w *Artyście* znajdują się nieroztropni przyjaciele, którzy są innego zdania, jakby było o co wzniecać wojnę! *Przegląd Paryski* ma słuszność, książka zła, uznajcie sprawiedliwość wyroku *Przeglądu*. Dotąd nie jeszcze; lecz wtem *Przegląd*, wiedząc o mojej nieobecności, oświadcza, że wina spada na nieobecnych. Krytyk zwyczajny twierdzi, że jako główny redaktor *Artysty*, muszę być autorem wszystkich zamieszczanych w nim złych ar-

tykułów, nawet i wtedy gdy się znajduję w Rotterdamie. Główny redaktor! Czyż nie publiczność jest głównym redaktorem każdego dziennika? Wiecie równie dobrze jak ja, że główny redaktor przypomina nieco arcybiskupa paryskiego, który się pytał u Piron'a czy czytał on jego list pasterski. Moznaby często odpowiedzieć słowami Pirona na to zapytanie głównego redaktora: Czy czytałeś mój dziennik?— *Nie, a Wasza Pasterska Mość czy czytała?*

Myślałem że wojna skończona, lecz znowu pomiędzy *Przeglądem Paryskim i Artystą* powstają jeszcze żywsze utarczki; nowe imiona przyłączają się do dysputy, niby to mię broniąc, zaczepiają trzech czy czterech moich przyjaciół.

Zaprawdę czas już aby poważniejsze dzienniki dały przykład godności literackiej.

Dziś gdy myśl jest panią świata, nawet w stronach gdzie nie istnieje swoboda pisania, myśliciele są królami świata: szlachetna monarsza władza, której państwa nie mają granic, jedna, jedyna władza, która zostanie uznana przez bogatą przyszłość, jakiej zbliżania się nikt nie śmie zaprzeczyć. Przypuściwszy królowanie myśli, niemożnaż nazwać dzienników jej ministrami? dzienników rozpostrzeniających wszędzie jej dobrodziejstwa, i w ehacie wiejskiej gdzie ludzie żyją na-

dzieją i w stepach gdzie wyrabiają ziemię, i w karczynie gdzie się pocieszają; wszędzie gdzie są kuźnie lub budy przekupniów, pałace lub folwarki? Nigdy, w żadnym czasie, tak świetna zorza nie ukazywała się nad światem; są jeszcze cienie,— jest ranna mgła, są ostatnie nocne wyziewy, lecz czyż nie widzicie już pierwszych promieni słońca? Bayle, Voltaire, Diderat nie uprawiali bezpłodnego pola; nie jeden już kłos złoty wypłynął po śladach ich stóp. Szczyśliwa chwila dla pisarzy, którzy czują w dłoni dobre do posiania ziarno. Dziennik jest podróżującym po świecie ptakiem: rzucajcie mu na końce skrzydeł myśl waszą, aby myśl wasza zakwitła gdzieś w najbar dziej nieznajomych stepach.

Ciekawą byłoby rzeczą śledzić postęp jakiegoś paradoxu, uczucia, lub myśli uniesionej przypadkiem przez pewny dziennik, podający ją tysiącom abonentów i czytelników. Czémże jest trybuna izby deputowanych w porównaniu z trybuną czasopismu? Dziennik jest życiem całej Francji; dziennik, który się w porę nie ukaże, stanowi jakby zaćmienie słońca. Prawda, że często czasopisma choć się ukazują, nie mówią, przedrukowują to, co przedrukowały wczoraj; wyższe umysły nie w nich nie znajdują, lecz i ludzie rozumni nawet czytają dzienniki; nie są

one dla nich barometrem wskazującym codzienny stopień ludzkiego głupstwa? Za pomocą dziennika oni dotykają narodowego puls.

Od niejakiego szczególnież czasu, dzienniki, dają baczny dostrzegaczom smutne wyobrażenie o naszej godności politycznej, literackiej, religijnej i filozoficznej. Czyż Gutenberg pozwoliłby na to, aby bezwstydnym zarzuty kłamstwa i grubijańskie zniewagi, drukowały się codzien u narodu najbardziej cywilizowanego na ziemi?

Czas aby autorowie pomyśleli o tém, że na nich patrzy świat cały; że o nich i o kraju sądzą podług tych smutnych kłótni. Stawszy się wodzami w piśmienniczej republice, potęgą swego pióra, niech się mają na baczności, aby nie poniżyć tej szlachetnej i godnej potęgi, dzieła własnego talentu. Podobni są bardzo do kłótniowych studentów, którzy łajac się wybijają okna w szkole. Jeżeli piśmiennictwo chce zapobiedz swemu zupełnemu upadkowi, jeżeli chce zachować swą władzę bez granic, powinno zbliżka czuwać nad swemi utworami, powinno wystrzegać się drobnych gniewów, będąc strażnikiem szlachetnych uczuć. Gdy doszło do takiej siły, gdy cały świat słucha go jak starożytnej wyroczni, niechże zachowuje majestatyczność potęgi. Dziś

gdy już w nie nie wierzymy, chyba tylko w jeden druk, starajcie się aby nie stracić tej ostatniej wiary. Duchowni często przegrywali swą sprawę,— nie mówię boską,— dla tego że nieraz ubliżali godności ołtarza; nie przegracież podobnie i wy waszej? Wiedźcie że świat do was należy; bądźcie wielkimi, szlachetnymi, dumnymi z samych siebie; zróbcie z myśli ludzkiej wyznanie, a nie bożka zysku. Dajcie przykład cnót, które już znikają. Zamiast posiadania służących, posiadajcie serca ludzkie i obywatelskie; to i bogaciej i znakomiciej. Czyż Diderot, który był prawdziwym dziennikarzem, myślał kiedy o zgromadzeniu bogactwa u drzwi *Encyklopedji*?

Tak, dziś bardziej niż kiedy pióro jest wszechwładnem. Autor zajmuje wysokie stanowisko, czy to chcąc przemówić do serca uczuciem, czy starając się ująć sobie umysł siłą idei lub świetnością paradoxu. To co dziś pisze, jutro będzie czytał cały Paryż, po jutrze Francya, za ośm dni Europa, za miesiąc świat cały: takim sposobem ma on przyświecać w nocy. Uczyni z dzikiego człowieka, człowieka cywilizowanego, z człowieka cywilizowanego poetę, z serca dobry uczynek, z duszy bohaterstwo. Ma w ręku wszystkie klucze skarbów umysłowych.

Od niejakiego czasu na sztuki piękne zarobkowanie zaczyna rzucać swój cień niepokojący. Przed piętnastu laty artyści doświadczały szczęśliwych dni braterstwa, mająż teraz ze swej pracowni zrobić kram? Czyż malowanie cenione na miarę płotna ma zagarnąć wszystkie nasze gmachy? Pędzel ulegnież całemu upadkowi pióra? Święty ogniu młodości gdzie jesteś?

### Do Krytyka\*\*\*

Panie, wyobrażam sobie, że jesteś człowiekiem rozumnym, jednak przez trzy miesiące, od pierwszych pięknych dni tej pory roku, przepędzałeś czas na czytaniu złych książek i na pisaniu o nich doskonałych artykułów. Raczyłeś mi dawać rady, mogeż z kolei dać panu małe ostrzeżenie? Wierz mi pan i porzuć złe książki; będąc tak młodym nie ucz się oburzać: życie dobre; a pod słońcem są rzeczy piękne, lepsze od książek, nawet najpiękniejszych. Czyż bicie serca nigdy cię tego nie nauczyło? Nie znasz-że historyi tej kobiety, która mówiła przed popiersiem Dekarta: *O nieuku!* Nie obrażaj się, pania,—nie chcę tu robić porównania. Jeżeli urodziłeś się z złością krytyka w sercu, po co kazać burzyć się tej złości przy czytaniu stronic przez nas drukowanych? Zadawalniaj się rozważaniem stronic zawsze pię-

knyh, zawsze młodych i potężnych, które Bóg raczy codziennie wpisywać do księgi wszechświata. Nie wątpię że takim sposobem zmieniając czytanie, dojdiesz wkrótce do zmiany punktu zapatrywania się na rzeczy; uznasz stopniowo że życie ujemnego krytyka jest chybionem życiem. Wierz mi, strzeż się przyzwyczajaić upatrywać we wszystkim tylko złej strony. Że piękna kobieta ma jeden włos biały, mówisz iż jest starą; podziwiał kobietę a nie patrz na jej włos biały. Onegdaj, gdyś pisał swą krytykę, łagodne jesienne słońce rozweselało naturę: jak milebyś dzień przepędził, przechadzając się z otwartem sercem i swobodnym umysłem po jakim rozkosznym lasku u stóp rodzajnej winnicy, gdzie zbierano winne grona wszędzie dokąd dosięgał promień z nieba! Czy to niepohamowana namiętność do pisania pchnie cię do tego smutnego rzemiosła? kiedy tak, to zamiast dowodzenia innym że się oszukali, czemu się sam nie omylisz? Powiadasz, że nie mają wyobraźni, stylu, talentu, pan który masz zdrowy rozum, czemu nie napiszesz romansu, komedji albo poematu? Pośpieszę wykazać wszystkie piękności pańskiego utworu, gdyż ja, dzięki Bogu, widzę tylko piękną stronę w rzeczach tego świata. Nie sądź, że będę miał złą chęć zastosowania do ciebie mego znanego aforyzmu:



«Poeci są pomszczeni na krytykach, skoro krytycy zostają poetami.»

## VI.

### - Przystąpienie do rzeczy.

**H**OLANDYA nie jest już zupełnie rzeczpospolitą powstałą przypadkiem, o której mówi Hugo Grotius: «*Respublica casu facta, quam metus Hispanorum continet;*» lecz zawsze jest krajem, gdzie cztery elementa nie nie warte. Można jeszcze dla niej zachować jej starożytny herb: szatan złota z koroną z tytoniu, siedzący na tronie z seru.

Obiecałem ci pisać o Holandji, dotąd piszę o wszystkim tylko nie o niej. Przedsiębiorąc dłuższą podróż, szczególnie przy odjeździe, czujemy się w usposobieniu opowiadania swych wrażeń i przygod. Przybywam do Holandji i boję się czy będę miał cierpliwość znów wziąć się do pióra. Mówić o Holandji nie dotknąwszy się jeszcze do niej, jest rzeczą bardzo naturalną, lecz wszedłszy raz śmiałą stopą na jej zielone łąki nie ma czasu do pisania! Opowiadania podróży, zdaje mi

się, bywają pisane przez ludzi, siedzących w domu przed kominem, bo prawdziwi podróżnicy nie piszą.

Jesteśmy zawsze na parostatku idącym z Antwerpji do Rotterdamu. Nie ma oprócz nas innych francuzkich pasażerów w naszym pływającym domu. Koło nas rozmawiają po flamandzku, czy też po holendersku, gdyż obu tych języków nie rozumiem. Pałają batawskie cygara, piją wina reńskie i zajadają Berg-op-Zoom'skie bifszteki. Sniadaliśmy z apetytem bohaterów Lesaža. Gdy w tym kraju nie pije nikt ani kropli wody, choć jej jest tyle, mieliśmy do wyboru kawę i wino reńskie; wybraliśmy i jedno i drugie: piiliśmy wino reńskie zamiast zwyczajnego, a kawę jako wino czerwone Bordeaux.

Jeden z pasażerów zwraca na siebie moją uwagę,— prawda że to jest— pasażerka; lecz nie lękajcie się, dziewczynka nie mająca więcej roku. Zdaje się mi, że znalazłem w niej moją córkę; dziwi się ona widząc mię piszącego; matka jej ma nieco wyrazu dziewię Rubensa; płakała bardzo wsiadając na statek powyżej Oud Vosmaar'u. Powiedzą nam dla czego: to cały romans! Oto blisko nas ubiera i rozbiera swe dziecię. Co za prześlizne te drobnutki nożki! ale Edmei daleko piękniejsze gdy je bierze do ręki!

Holendrzy są wielkimi pejzażystami; dla roz-  
weselenia zimnego i smutnego kolorytu swoich  
okolic malują domy i ubierają włościan czerwono.  
Ich młyny wietrzne stojące w wodzie, ubiegają  
się o pierwszeństwo w ozdobach z dzwonicami; nie  
nad nie ma wymuklejszego, zgrabniejszego  
i bardziej nadpowietrznego. Widząc je tak ulatują-  
ce w obłoki po nad jeziorami, przypominamy so-  
bie owe *panny* z piersią ze złotej łuski, unoszą-  
ce się lekko nad strumieniem.

Oglądałem przed chwilą Willemstadt; jest to  
mała, śliczna miejscina, a zalotna jak miasta  
chińskie. Połyska malowanemi domami. Nigdy  
lepiej nie urozmaicono odcieni kolorów, zdaje się  
że to wioska z dekoracji w operze. Są tam trzy  
czy cztery kościoły, w których panują lecz nie  
rządzą różni bogowie bardzo czezeni. Naj-  
mniejsza wieś w Holandji dzieli się na wiele  
wyznań. W Holandji wprzód nim postawią pierw-  
szy dom we wsi, zaczynają budować dwa kościo-  
ły obrócone do siebie tyłem.

Na pierwszy rzut oka zdaje się nam, że Dor-  
dreck jest miastem z wietrznych młynów. Ciekaw-  
y to widok tych secin młynów upstrzonych,  
wymukłych kształtów, podobnych do jaskółek  
lub do koników polnych będących w ciągłym przed-

kim ruchu. Młyny te nie miały mąki, piłują drzewo, biją masło i przeprowadzają wody odwiecznego holenderskiego kanału. Mają koła jak młyny wodne, lecz zamiast obracania się z biegiem wody, przyspieszają go. Po większej części umieszczone są wesoło, na szczycie domów równie jak one same pstrych, a postawionych w środku ślicznych chińskich ogródków: tak że z wielką trudnością przychodziło nam brać je na serjo.

Witam cię Rotterdamie, kolebko Erazma, mogiło Baylego! Nie jest że rzeczą ciekawą zauważać tu, iż miasto na świecie najmniej dowcipne, patrzyło na wzrost tego, który został przezwanym słońcem dowcipu i na skon tego, co pierwszy we Francji zwiastował ukazanie się światła? obaj ci znakomici ludzie umarli wygnańcami, jeden z Rotterdamu drugi w Rotterdamie, lecz czy można wygnać gienjusz, gienjusz, którego ojczyzna jest wszędzie?

Dom Erazma w tej chwili jest knajpą, w której jak we wszystkich knajpach holenderskich, robią więcej dymu niż hałasu. Znajduje się on w Breede Kerkstraat i ma na sobie małą statwę Erazma z tym napisem:

Haec est parva domus, magnus qua natus Erasmus.

Erazm ma swą statwę.

Na piedestału jakożkolwiek przetłomaczyłem te wiersze holenderskie:

»Wielka gwiazda, pochodnia języków, wzór obyczajów, promienne dziwo, nie zadawalnia się zaszczytem posiadania mauzoleum,— tylko jedno święte sklepienie niebios godnie osłania Erazma.»

Kto myśli o posągu Bayla? Czyż we Francji nie ma dość marmuru dla uczczenia wszystkich narodowych gienjuszów? lecz we Francji nie uznano jeszcze boskiego prawa myśli. Moljer ma statnę z warunkiem nalewania wody Owerniakom pod cieniem obrzydliwego muru. We Francji— w 1845 roku odmówiono miejsca dla posągu Woltera, pod pozorem że tylko królowie mają przywilej zajmowania miejsc publicznych. Ja pierwszy w *Artyście* nadmieniałem o postawieniu statuy dla Woltera; architekci i rzeźbiarze z zapalem ofiarowali swój talent, literaci dali marmur,— miasto Paryż odmówiło miejsca.

Statua Erazma jest z brązu. Dam wam wyobrażenie ochędóstwa holenderskiego: w 1622 r. złożono radę dla postanowienia czy potrzeba wyszorować statnę; kraj ten nie był przyzwyczajony do statuów. Postanowiono wyszorować; i wkrótce była gładka i błyszcząca. Kilku ludzi rozsądnych,—ochędźnych, ale artystów,—oświadczyło, że takim sposobem uszkodzą się wszystkie

delikatne rysy. Odtąd nie szorowano więcej, lecz poczciwi mieszczanie Rotterdamscy nie podziwiali już więcej statuy.

Rotterdam jak Nuremberg jest ojczyzną lalek: a i kobiety ludu bardzo do nich podobne; takie same kibicie, taka sama rumianość policzków, także wdzięk biustu. Przed wydaniem sądu o *dziełach sztuki* jakiego kraju, trzeba wprzód po nim podróżować.

Jest zawsze wiele księgarzy w Rotterdamie, lecz nie ma całkiem pismienictwa. Wszystkie książki francuzkie, — drukowane w Belgii, — wspaniale wystawione w oknach księgarzy rotterdamskich, pomimo traktatu zawartego pomiędzy Francją i Holandją przeciw przedrukowi. O! pewnie gdyby Holendrzy naruszyli traktat o lnie lub tytoniu, ministrowie francuzcy powstałoby przeciw takiemu nadużyciu, lecz o naruszeniu traktatu co do własności literackiej, o zrujnowaniu księgarń i zubożeniu autorów, któż o to będzie się niepokoił?

Czarodziejski widok przedstawia Rotterdam z tysiącami swoich okrętów, z wodnymi ulicami, z młynami wietrznymi, wieczystemi drzewami, i całym ludem majtków i przekupek sprzedających ostrygi. Malowniczość panuje na każdym rogu ulicy, co chwila zadziwione oko zastanawia widok domów ślicznej architektury, zawsze świeżo

wymalowanych i otoczonych czarnymi sztachetami. Gdziekolwiek w oknie spostrzegamy kobiety spoglądające z kolei to na swą igłę, to na ciekawe lustro przedstawiające jej nieustannie zmienny obraz ulicy.

Rzadko podróżują po Holandji. Patrzano na nas ze zdziwieniem, najprzód żeśmy byli cudzoziemcami, powtóre, że nie mamy zwyczaju golenia brody, co tam jest nader dziwną rzeczą.

Pod wieczór wyszliśmy za miasto, aby odechnąć swobodnie wonnem powietrzem łąk. Znaleźliśmy tam znowu te piękne, ciemnej maści krowy, którym tak dobrze na tych gruntach; jedne przy nadchodzącej nocy melancholicznie klękały przed swym zielonym stołem, drugie przechadzały się po łące przerzniętej strumieniem. Kilka swawolnych koz skakało wesoło; kilka czułych na zimno baranów tuliło się do siebie. W dali już się malowała na horyzoncie gęsta mgła podobna do gór ze śniegu. Krajobraz ten rozległy, nieco zimny, urozmaicony tylko czerwoniawymi obłokami na zachodzie, przerznięty młynami, wieżyczkami i wiejskimi domy, smutnie a poetycznie nas usposobił. Nie mieliśmy nic sobie do powiedzenia, cała nasz umysł zajęty był wdziękami tej zupełnie nowej dla nas natury, pełnej tęsknego uro-

ku. Temu cudownemu obrazowi brakowało tylko twej zachwycającej postaci.

Wrażenie nasze zostało przerwane przybyciem jakich pięćdziesięciu włościanek nadchodzących z różnych stron dla zgromadzenia się na *meldplaets*. Jedne śpiewały, drugie nawoływały krowy. Wszystkie niosły w ręku wielkie blaszanne wiadra. Powoli krowy zgromadziły się w kupę, a włościanki uklękłszy wzięły je za wymiona. Wpółród ich rozmowy, wykrzykników i śpiewów, odróżnialiśmy metaliczny dźwięk od spływającego do wiader mleka. Słońce rzucało bladawę połyski na ten obraz, który nawet przed Teokritem zachwycał marzycieli swą sielską poezją. Była to owa dobra matka natura niepoputa jeszcze przez żelazną kolej, fabryki i krajobrazy dekoracyjne opery. Dziś trzeba zrobić kawał drogi, chcąc spotkać taką naturę.

## VII.

**Jako w Holandji nie piją wody.**

**M**ÓWIĄC bez przesady zjedliśmy całego woła podczas trzy-tygodniowego pobytu w Holandji.



Prawda, że w Holandji jedzą tylko wołowe mięso w różny sposób przyrządzone; dla rozmaitości wszakże podają i cielęcinę — lecz nie jest-że ona wołowiną w zarodku?? Pierwszych dni dziwiliśmy się bardzo nie widząc na stole wody, lecz za to w wielkiej obfitości francuzkie i niemieckie wina; szczególnie reńskie, Mozelskie i Bordeaux odznaczały się ujmującym kształtem swoich butelek. Nielubiący wina gąsili pragnienie, nie płynem z przejrzystego źródła, ale czarną kawą. Użyliśmy i my tego sposobu, który się nam wszakże nie udał.

»Zdaje się, rzekł do mnie dnia pewnego Gierard, że w tym kraju moknącym w wodzie, nigdy jej nie piją.

— Poproś o nią — odrzekłem.

Gierard nie chciał wystąpić z początku z podobną prośbą, aby go nie wzięto za dzikiego człowieka. Naradzaliśmy się i w końcu po długim sporze, postanowiłem odważnie prosić o wodę, narażając się nawet na rozśmieszenie poważnych, codziennych gości tabldotu.

»Chłopcze, przynieś mi wody.»

Służący spojrział na mnie ze zdziwieniem.

»Wody! — nie ma tu.

— To idź i poszukaj!»

Cały stół zaczął śmiać się, a Gérard był u-

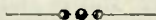
szczęśliwiony, że sam nie wyrwał się z tą prezbą. Przyznaję się żem zaczął żałować, iż się pośpieszyłem. Garson nie śmiał zaśmiać się, chociaż było widać z miny, iż miał do tego ochotę. Stał przede mną nie umiejąc odpowiedzieć. Uzbroidłem się w nową odwagę.

»Chłopcze, rozkazuję ci przynieść wody.»

Biedaczysko nie wiedział pod jakiego świętego udać się opiekę; gospodarz wystąpił do mnie z przepyszną przemową po holendersku, której wcale nie zrozumiałem, co do reszty rozśmieszyło siedzących za stołem. Gerard próbował przetłómaczyć słowa gospodarza, gdyż zna bardzo dobrze języki północne. Lecz nadaremnie przemawiał gospodarz, postanowiłem bądź co bądź dostać wody. W końcu poczciwosz uderzywszy się w czoło, kazał służącemu otworzyć jakąś szafę w głębi sali. Chłopiec usłuchał i wkrótce wrócił do nas, trzymając w ręku dwie małe szklanki w kształcie kieliszków, które podał nam dość niechętnie. W rzeczy samej były to dwie szklanki z wodą, z kilką jej kroplami, ale nie z wodą źródlaną; ale zaledwie skosztowaliśmy jej trochę, poprosiliśmy znowu o wino reńskie. Sąsiad nasz powiedział nam wtedy, że woda do picia jest najrzadszą rzeczą w Holandji, kiedy deszcz nie pada. Otoż przypadkiem od

dwóch tygodni deszcz nie padał. W rzeczy samej morze przechadzające się po całej Holandji wysusze wodę nawet w samym Renie. Nie ma tam ani jednego strumienia płynącego ze źródła.

Holendrzy, którzy brodzą po wodzie, muszą czekać deszczu, aby móc wypić szklankę wody, co dostatecznie tłómaczy ich stałe zamiłowanie podróżowania. Napisano wielkie tomy dla dojścia przyczyny ich ciągłych wędrówek, a ta jest prawdziwą: gdy Holendrzy mają pragnienie jada— pić.



## VIII.

### Piękna Helena z Harlemu.

**W**idzcie Harlem wesoło położony na równinie opasanej girlandą z ogrodów, pomimowolnie przypominamy sobie jakąś ładną czarnoksiężką bajeczkę. Nie chcieliśmy przebyć Holandji nie zachwyciwszy się widokiem harlemskich tulipanów, nie posłyszawszy trochę tych cudownych organów, najpiękniejszych w całym chrześcijańskim świecie, jak twierdzą Holendrzy. Prawda, że

to samo mówią Szwajcary o organach we Fri-  
burgu.

Przybyliśmy do Harlemu, gdy świeciło owo tak  
*łagodne przy schyłku jesieni* słońce, napawają-  
ce duszę tęsknotą i wesołością zarazem. Po-  
szliśmy prosto do katedry, gdzie z pół godziny  
szukaliśmy zwyczajnych drzwi w hodowych.—  
Powiedziano nam, że za dwadzieścia cztery złote,  
organista da nam samym słyszeć wszystkie wspa-  
niałości tych organów mających pięć tysięcy  
rur. Cieszyliśmy się mogąc sobie zrobić w ta-  
ki sposób to niezwykle przedstawienie; mieliśmy  
nadzieję, że nie nas nie rozerwie w tej ogro-  
mnej pustej świątyni, gdzie harmonija miała  
dla nas przywdziać swe tysiączne fantastyczne  
formy, swe tysiączne mgliste widziadła niedo-  
tykające ziemi, a jednak aż do nas zstępujące.

Organista podał nam program biorąc nas za-  
pewne za Anglików. Program muzyczny dla  
poetów!

Zamknawszy drzwi za sobą, przechadzaliśmy  
się poważnie, podziwiając w cichości grobowce,  
będące jedynymi ozdobami tego Kościoła. Je-  
den z tych nagrobków, umieszczony pod orga-  
nami, jest prześliczną rzeźbą z białego mar-  
muru, o której możnaby pomyśleć, iż wyszła  
z pod dłota Coysevox. Zresztą utwor to pogań-

ski, przypominający ołtarze Westy. Zaledwie organista rozpoczął wstępne *adagio*, otworzyły się drzwi kościelne i ujrzeliśmy wchodzących dwoje dziewcząt,— za niemi dwóch młodzieńców— a potem dwie starsze niewiasty. Istna processja. Mniej niż w pięć minut ze sto osób zwabionych muzyką rozsypało się po Kościele; mężczyźni w kapeluszach i z cygarami w rękę, kobiety szepejące i śmiejące się. Być może, że pobożność istnieje w Harleemie, lecz tylko nie w kościele. Zapłaciliśmy koszta spaceru i rozrywki za krajowców beczynnych i próżniaków.

Jednak organista robił swoje, zachwycił nas nie wiem już— jakim śpiewem wojennym; słyszeliśmy z kolei trąby, bębny i działa. Poznaliśmy potem Mozarta, Beetowena i Webera. Poznaliśmy także *Ranz des vaches*, po czém nastąpiła sielanka przy odgłosie burzy. Burza ta jest arcy-dziełem organów i organisty harlemskiego, oddających cudownie łagodny chłodek pól, powrót stada, naiwną wesołość włościan, i wieczorną modlitwę. Przed chwilą niebo było spokojne, ptastwo rozkosznie przeskakiwało z gałązki na gałąź, strumień cicho płynął w swém mehem usłanem łożu, lekki powiew wiatru poruszał wonne gałęzie lipy, a tajemnicze głosy odzywały się śpiewnie w głębokim lesie. Na-

głe chmury pokrywają niebo, niespokojne ptactwo kryje się pod drzewa, pełna trwogi cisza nastąpiła po poetycznym szmerze natury, a kwitnące lipy, ani się poruszają. Cicho! ogromny łoskot rozległ się w powietrzu; jest to pierwszy wybuch burzy, oto błyskawica przerzyna chmurę, oto wiatr zaszumił w lesie, oto i grzmot potoczył się wspaniale pod sklepieniem niebios, Byłem prawdziwie wzruszony: muzyka przeniosła mię w pośród prawdziwej burzy.

»Taka pora, rzekłem do Gerarda, — przeszkodzi nam obejrzeć ogrody.»

Wszelakoż talent organisty nie mógł mię zupełnie pociągnąć w krainy złudzeń. Spostrzegłem przed chwilą młodą panienkę czy młodą mężatkę, która śliczną bladością swej twarzy i wątłą postacią przypominała mi najczystsze utwory Ossyana, jakie kiedykolwiek czytałem.

»Spójrz-no, rzekłem do mojego towarzysza, czy to to harlemski tulipan?»

— Pomyśl tylko, odrzekł Gerard, że nie mamy czasu do zakochania się.»

W tej chwili posłyszałem wymówione imię tej pięknej istoty.

»Pomyśl o tem, że się nazywa Heleną, jest to piękne imię!»

— A! prawda, piękne imię przez pamięć na

tę, co je nosiła. W rzeczy samej mówił dalej mój przyjaciel żartobliwym tonem, miłe wspomnienie, gdyż Helena miała pięciu mężów: Tezeusza, Menelausa, Parysa, Deifobusa, Achillesa; została powieszoną na wyspie Rodos przez służące Polixa; przytem w sławnych wojnach, których ona była przyczyną, zginęło do stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

— Tak, lecz to było w Grecji; w Holandji Helena nie wyda, nigdy swej ojczyzny na miecz i na ogień.”

Słyszac wymówione swe imie, śliczna Helena z Harlemu spojrziała na nas ukontentowanym i zadziwionym wzrokiem. Łatwo pojąć, że pozostałem w niemem podziwieniu jej wdzięków: przybyłem do Holandji dla obejrzenia obrazów i zatrzymałem przed obecnym bez żadnej ubocznej myśli; oto i wszystko.

Wyszliśmy z kościoła dla zwiedzenia ogrodów. Jakiś ulicznik zaprowadził nas w najpiękniejszą stronę za miastem. *Cicerone* ten chciał nas także zbliżyć z pewnym sławnym amatorem kwiatów, który przyjąwszy bardzo uprzejmie gości, nie chciał za nie otworzyć drzwi od swego ogrodu, pod pozorem, że jesienną porą w Harlemie nie ma ani jednego sadu. Udaliśmy się do drzwi sąsiednich; tam, z powodu, że sam ama-

tor był w cieplarni mogliśmy wejść do ogrodu. Widząc cudzoziemców stąpających po świętej ziemi tulipanów w porze nawet, kiedy ich nie było, ten drugi amator kwiatów podszedł ku nam z nieco kwaśną miną i bez wątpienia wyprosiłby za drzwi, równie jak jego sąsiad, gdyby nie przechodząca prędko przez szpaler panienska, która mu dała znak ręką, aby nam dozwolił spacerować.

Była to piękna Helena widziana w Kościele.

Powitała nas prześlicznym uśmiechem, a mówiąc po francuzku, podjęła się oprowadzać po ogrodzie, albo raczej po piaszczystem polu poprzedzielanem ostrokołami i płotami z gałęzi w pośród którego znajdowaliśmy się wówczas. Rozpoczęła bardzo czułą elegiją nad brakiem tulipanów; a gdyby jej kochanek znajdował się w Bawji lub Kantonie nie żałowałaby go z większym smutkiem. Coraz bardziej zachwycony panienską: »Doprawdy, rzekłem do kolegi, ta Helena godna najpiękniejszych ideałów marzących poetów; patrz co za profil! co za łagodny błękit oczu! co za świeżość ust! ta kobieta musi żyć kwiatami i rosą; daj jej skrzydła, a do nieba uleci.

--- Marzysz, odpowiedział Gerard, bojący się zawsze, abyśmy nie opóźnili się, na pociąg popo-



łudniowy o 2giej odchodzący; byłaby ona tak świeżą, żyjąc kwiatami i rosą? ta piękność jest przedstawicielką wielu rozbifów i bifsztteków.”

Mając wuja lubiącego rzadkie kwiaty, prosiłem właściciela ogrodu, aby mi ustąpił kilka niezwykłych cebulek. Wybrał pięć, za które kazał mi zapłacić czterdzieści złotych. Zauważyłem, że summa za gruba, lecz gdy piękna Helena sama zachwaliła świetność przyszłych kwiatów, nie mogłem nie wziąć cebulek. Z takim zapałem wykazywała rzadkości swego ogrodu, że zaczął ją znajdować mniej piękną; w końcu tylko kupieckie uniosłem o niej wspomnienie; obaczycie dla czego.

Mając już wychodzić, spostrzegłem wijącą się roślinę południowej Ameryki, a zwieszającą obficie swe gałązki z muru panującego nad ogrodem. Dotychczas nie widziałem w Harlemie ani jednego kwiatu; teraz spostrzegłem na murze grono jaskrawo-czerwone wydające cudny połysk.

»Prześliczny kwiat! zawołałem z podziwieniem.

— Tak, rzekła piękna Helena, kwiat rzadki; od sześciu lat, jak mój ojciec przywiózł tę roślinę z Ameryki, oto pierwszy kwiat, który się ukazał na niej. Nie uwierzysz pan, jak mi się on podoba; prawie od miesiąca przychodzę go co rano oglądać; patrz jaki jasny kolor! z jakim

wdziękiem się kołysze! przypomina mi brata, który musi nań codziennie patrzeć... Chcesz go pan?"

Mówiąc to, lekko, jak rusałka, podbiegła do muru, nachyliła gałąź i ujęła grono swą białą rączką.

»Chcesz?" powtórzyła raz jeszcze.

Miała minę, jakby ofiarowała kwiat z prawdziwą przyjemnością, tak, iż sądziłem, że powinienem przyjąć to, co jej wzrok radowało i było ozdobą ogrodu.

»Dziesięć złotych" dodała poważnie, a wymówiwszy te słowa, albo raczej tę liczbę, zerwała kwiat i wręczyła mi go, zostawując swą rękę w moich rękach, a swój uśmiech w mych oczach.

»Kocham cię za dziesięć złotych"— rzekłem do niej najczulej.

Nie mogłem nic innego zrobić jak zapłacić. Oczewiście, iż piękna Helena lubiła bardzo kwiaty— chcę mówić, złotówki.



## IX.

## T u l i p a n y.

**G**IEŁDA paryzka nie przedstawia takiego szalu, jaki widzieliśmy na giełdzie w Amsterdamie. Całe serce miasta bije tam z gwałtownością. Straszny to obraz.

Holandya jest prawdziwą ojczyzną banku. Harlem miał także swą Giełdę: taxowano tulipany jak kapitały publiczne. Kupowano je i sprzedawano «nie wiedząc nawet z kąd wziąć ich tyle, powiada pewien holenderski historyk; nawet przed porą kwitnięcia tulipanów przedawano ich więcej niżby mogło kwitnąć we wszystkich ogrodach Holandji; i nigdy więcej targów nie odbywało się o *Semper Augustus*, jak gdy niepodobna go było dostać za żadną cenę. W końcu gra ta stała się taką namiętnością, że aż się rząd zaczął niepokoić i zakazał ją.» Przeszły dla Harlemu te dobre czasy. Może wiecie, że w upłynionym stóleciu, gdy istniały tylko dwa *Semper Augustusy* jeden w Rotterdamie, drugi w Harlemie, pewien spekulant ofiarował za Harlemski cztery tysiące sześćset złotych hol., nową karetę i parę siwych koni z chomątami; spekulant miał już try-

umfować i zrobić majątek, gdy wtem jemu podobny przedsiębiorca dał za tego samego *Semper Augustus'a* dom wiejski z przynależnościami.

Opowiadano mi, że jeden Anglik lubiący surowe cebule, przechodząc pewnego ranku koło sklepu tulipanów, ukąsił na dobre *semper Augustus'a*. «Kosztuje to dziesięć tysięcy złotych» rzekł do Anglika kupiec. Zapewne od czasu tego śniadania surowe cebule wyciskają łzy tym którzy je jedzą.

Harlem nie tylko szczyci się wynalezieniem tulipanów: spostrzegamy na wielkim placu posąg Wawrzyńca Kosterera przez Van Heerstal'a. W jednym ręku trzyma on wyraźny stępel litery *A*, w drugim korektę, co ma znaczyć, że Wawrzyniec Koster jest wynalazcą druku. W ratuszu, w srebrnej szkatułce pokazują pierwszą przez niego wydrukowaną książkę: *Speculum humanae salvationis* (Zwierciadło ludzkiego zbawienia). Upewnniają że data tej księgi sławnej jest z 1440 r.

Widząc ostatnią książkę i nadpis, jak odmówić Wawrzyńcowi Koster zasługi wynalezienia druku? Holendrzy do tego stopnia nie wątpią o tem, że w 1820 roku obchodzili publicznymi uroczystościami rocznicę owego wynalazku. Niemcy utrzymują, że Wawrzyniec Koster wpadł był tylko na myśl przyciskania do papieru drewnianych

wypukłych liter napojonych atramentem; lecz Holendrzy zbijając ich na tym punkcie, dowodzą że Gutenberg wziął myśl złożenia metalowych liter od jednego ze sług Wawrzyńca Kosterera, który je skradłszy od niego uciekł. Jedno tylko jest rzeczą pewną że druk wynaleziony. Sądzę że jeżeliby kto robił cierpliwie poszukiwania o początku drukarstwa, znalazłby je u Chinczyków, którzy na siła lat przed Wawrzyńcem Kosterem, drukowali księgi, (choć prawda że całemi tablicami), a Holendrzy zawsze wiele podróżowali.

Lecz czyż trzeba wychwalać głośno wynalazek druku? Jesteśmyż więcej poetami od Hebrajczyków, Greków i Rzymian? Zamiast złotego medalu wyrzniętego przez wielkiego mistrza dla uczczenia mocarzy rozumu, mamy drobną monetę świat obiegającą. Dziennik mający pięćdziesiąt tysięcy abonentów jestże tak głośnym jak jeden śpiew Dawida lub Salomona? jak wiersz Homera lub Wirgiljusza? Druk wprowadził umysł ludzki do wieży Babel. Zaczynamy już nie rozumieć się wzajem, a niedaleki jest czas w którym będziemy nierozumieć się zupełnie. Szczęściem że książki napisane przez ludzi,— nie mówię o poetach,— niszcza się przez ludzi, dla dania od czasu do czasu wolnego oddechu umysłowi, któryby się udusił pod ciężarem własnych

bogactw. Rzymianie palili książki żydowskie i chrześcijańskie; żydzi palili księgi chrześcijan i pogan; chrześcijanie palili księgi żydowskie i pogańskie. Hiszpanie spalili pięć tysięcy Alkoranów; Anglicy wszystkie pomniki religji katolickiej,—nie tylko rękopisma ale i klasztory; w końcu Kromwel chętną dłonią podłożył ogień pod bibliotekę Oxfordzką.

Jeżeliby miasto Harlem pojmowało swą prawdziwą sławę, postawiłoby raczej pomniki dla pięciu czy sześciu malarzy urodzonych w jego murach i podziwianych od całego świata. Ruyzdael nie ma posagu!

---

## X.

### Raj utracony.

---

**N**IE MA w Holandji poetów, ale poezya kwitnie tam jak i gdzieindziej; chcę mówić o poezji serca i natury. Postuchajcie tylko tej historji o raju Breughel'a de Velours, którąś my sobie opowiadali w Muzeum w Hadze.

Odbwszy podróż po Niemczech i Włoszech,

Breughel młody jeszcze, ale już sławny i bogaty, wjechał do Antwerpji w karecie ciągnionej czterema końmi, za pojazdem wielkiego księcia który go uprzejmie przyjął w Bruxelli. Wielkie było zadziwienie Antwerpijanów, nieprzyzwyczajonych wówczas przez Rubensów, Tenjersów i Van-Dykków do widzenia malarza w książęcym powozie. Rubens ofiarował mu swą przyjaźń choć go znajdował trochę dziwacznym: Breughel raził Antwerpskiego malarza zupełnie kobiecą wykwintnością swojego ubrania. Niemniej wszakże stali się szczerymi przyjaciółmi. Wszystkie znakomite domy miasta otworzyły się dla niego, cała arystokratyczna młodzież szukała jego towarzystwa. Założył wielką pracownię która była jakby akademią i muzeum. Wiele ówocześni malarze rozprawiali tam i malowali, pomiędzy innymi, Rubens, Van Baelen, Korneliusz Schut, Rottenhamer.

Po kilku miłosnych i kawalerskich przygodach Breughel ożenił się, zakochawszy się namiętnie w pięknej Magdalenie Van Alstoot, którą spotkał na balu u arcy-księcia.

Magdalena była sierotą czy wdową; miała, podług Korneliusza Schut, który opiewał jej wdzięki w pełnych zapachu rymach, niejaki podobieństwo z Magdaleną z Pisma Świętego. Oto jej

portret w kilku wierszach, taki jak go wymalował Rubens. Ciemne jej włosy rozsypane w długich puklach przybierały na słońcu gorący połysk; jej oczy barwinkowego błękitu ocienione były ślicznymi czarnymi rzęsami, kształty jej postaci były najregularniejsze, najzgodniejsze. Hoża, urodziwa i mężna, była zaiste córką swej rodzinnej ziemi; lecz z powodu ciemnych rzęsów, miała łagodnie namiętne wejrzenie Włoszki. Jednem słowem, zdawało się iż stworzona dla pędzla Rubensa. Lecz co szczególnie oczarowało Breughel'a, to urok jakiejś mglistej rozkoszy, który Magdalena roztaczała naokoło siebie. Malarz zaczął ją uwielbiać jako kochankę i jako madonnę wzrokiem ducha i wzrokiem serca. Chętnie wyszła za niego zamąż, dumna z posiadania męża będącego wielkim malarzem i wielkim panem, mając nadzieję jeżdżenia z nim po świecie i tworząc sobie w myśli ideał życia w jedwabiach i złocie, wśród uczt i pieśni. Lecz zaledwie odbył się obrządek tego związku małżeńskiego, Breughel zmienił nagle sposób życia; ujęty słodyczą i spokojem miłości małżeńskiej, chciał wypocząć w domowym zaciszu.

Pani Breughel nieznająca świata, z innego punktu zapatrywała się na życie, znajdując że zawsze jest aż nadto czasu do siedzenia w domu.



Mówiła że piękne kwiaty rozwijają się tylko na słońcu, że nie na to ją Bóg stworzył aby widział niktą w małżeńskie celi, że istotnem słońcem kobiet jest żyrandol balowej sali. Nadewszystko lubiła tańce. Trzeba ją było widzieć jak, nie mając w sobie nic powietrznego, puszczała się w tańce z lekkością sarny, porwana muzyką i rozkoszą. Breughel nietańczący już uważał tańce nader filozoficznie, znajdując iż one nie prowadzą do niczego dobrego dla małżonków. Breughel był zazdrosnym. Nie będąc bynajmniej wzruszoną jego zazdrością, Magdalena gniewała się tylko za nią; chęć do zalotności, która z początku była kaprysem, stała się wkrótce prawdziwą namiętnością. Prosiła, błagała na wszystko swego męża aby ją zawoził na bale do Antwerpji. Breughel zaś zawiózł na wieś, mówiąc jej nieustannie o ziemskim raju, zamieszkałym jedynie przez Adama i Ewę. Magdalena znużona tą przedłużającą się samotnością, odpowiadała ze ślicznymi minkami, iż Ewa nie bardzo bawiła się w raju i że pośpieszyła wyjść z niego, posunawszy ciekawość aż do usłuchania mowy węża.

W owym to czasie Breughel rozpoczął ten wspaniały malowany poemat, raj ziemski, tę wielką stronicę napisaną z taką cierpliwością na tak małej przestrzeni, to biblijne wspomnienie oświe-

cone boskim promieniem. Breughel malujący ten obraz pod okiem swej żony, strzegł się pokazania węża w raju. Całe przyrodzenie tam żyje, unosi się w powietrzu, śpiewa na gałęziach, usypia na trawie, kąpie się w wodzie. Wszystko tam jest: brzęcząca pszczoła, niedbały łabędź, pyszny lew spoczywający, wszystko, oprócz węża. Breughel pierwszy z malarzy przedstawił raj bez zakazanego owocu; widzieliście ten raj prześliczny, którego każdy liść do was się uśmiecha, którego każdy szmer was zachwyca, którego blask was unosi. Jakże miły cię u stóp tych drzew! jakże ta woda przejęta wonią kwiatów! jakże ten widnokrąg rozwesela duszę swą mgłą powietrzną! Na każdym kroku oddychamy spokojem i miłością, pogodą i szczęściem, ciszą i weselem, na każdym kroku zatrzymuje was rozkoszne widzenie. Kwiaty strząsają z siebie pyłek wonny; najpiękniejsze owoce są tam jakby dla zaspokojenia pragnień ciała i duszy; są tam wszystkie owoce, wszystkie, oprócz gorzkiego jabłka.

Breughel nie pokazał więc węża w raju ziemskim; ukazał tam bóstwo; było to mniej dowcipnie i mniej poetycznie, lecz bardziej prawowiernie, mówiąc w duchu małżeństwa. Nadaremnie robił arcy-dzieło, nadaremnie tworzył na tym nieśmiertelnem płótnie niewidzialną osobę, miłość, która

mu dawała natchnienie w jego wiejskich przechadzkach z Magdaleną; nie mógł jej przekonać o rozkoszy życia samotnego, nie przestawała mówić, że bardzo nudno we wszystkich rajach ziemskich, nawet w raju Breughel'a.

«Nierozsądna! wołał malarz, nie widzisz-że promieniejącego rozradowania na czystym czole Ewy, przechadzającej się wśród gęszczy gajów w towarzystwie Boga i Adama? Gdy się przechadzamy razem pośród tej wsi kwiecistej; słuchając szczebiotania kosa, oddychając wonią fijałków, pod tym uśmiechającym się do nas letniem niebem, nie jesteś-że tak jak Ewa z Bogiem i z Adamem?

—Niestety! mówiła pani Breughel, wszystko tam było jak najlepiej, gdy nikogo nie było więcej prócz Adama!»

Łatwo pojąć, że dowodzenia żony nie zmniejszały zazdrości Breughel'a, lecz owszem czyniły ją gwałtowniejszą. Zerwał ze światem, chociaż tam znalazł dla siebie gotowy grosz sławy, to jest, pochwały bez liku.

Dziwiono się sprawiedliwie nad tem odosobnieniem się, z trudnością pojmowano dla czego ten malarz tak wykwinny i światowy stał się nagle, jakby za pośrednictwem metamorfozy Owidijusza, dzikim mizantropem. Wartoż było że-

nić się z piękną Magdaleną Von Alstoot. Znajdowano go śmiesznym, że miał żonę tylko dla siebie samego: »Niech nam pokaże swą żonę, a tem lepiej jeżeli skryje obrazy!»

Nie zważając wcale na próżne światowe gawędy, Breughel pracował dalej poważnie nad swym utworem; jeżeli opuszczał czasem pędzel, to chyba dla uczenia się historyi naturalnej na brzegu lasu lub stawu. Jako godny widz dramatu przyrodzenia, z przyjemnością przypatrywał się najmniejszym scenom: nie było tam aktora, któryby go nie wzruszał lub nie bawił.

Podczas swych poetycznych przechadzek ściagał różne motyle, lecz najczęściej, gdy Magdalena była tuż przy nim, zapominał dla niej o reszcie rzeczy stworzonych. Płocha kobieta, nie umiała mu być wdzięczną za tę cześć miłą; zamknął jej bowiem świat w chwili, gdy dwodziestolotnia wyobraźnia upaja i oślepia swym szumem i blaskiem; w tej porze omamienia, w której wszystkie cierpiące serca szukają zapomnienia w wirze zabaw, w której wszystkie twarze kładną na się maskę uśmiechu: otwierała ona w myśli te drzwi złote świat przed nią ukrywające, a co gorzej, skrywające je przed światem.

W końcu samego Breughela, znudziło to zbyt

mażeńskie odosobnienie się; za powrotem do Antwerpji urządził weneckie bale, które zawróciły wszystkie głowy poważnego flamandzkiego miasta. Pewnego wieczora, wiedząc, że u jednego z jego przyjaciół, z młodych magnatów, jest bal karnawałowy, nie mógł się powstrzymać, aby na nim na chwilę nie ukazać się; a włożył ubiór francuzkiego rycerza z czasów krzyżowych wojen. Pani Breughel przez służącą została o tem uwiadomiona i tysiące najdziwaczniejszych projektów powstało w jej głowie: chciała się przebrać, pójść na bal, tańcować, doprowadzić do rozpaczki biednego Breughel'a, mszcząc się takim sposobem za jego zazdrość i za jego skrytość. Lecz jak-że się przebrać? Miała przepyszny strój neapolitanki, lecz odkąd przestała bywać na balach, kostium ten stał się bardziej własnością jej przyjaciółek niż jej samej. Pewna młoda wdowa, sąsiadka, miała go na ten bal włożyć; a że nie było czasu do stracenia, wysłała trzech służących, aby znaleźli dla niej odpowiedni strój; kupezyk żyd, nie dawno przybyły do Antwerpji, na żądanie jednego ze sług, przyniósł jej śliczny ubiór Odaliski.

Przybywszy na bal, nadaremnie olśnionym wzrokiem szukała Breughel'a; blask światła i szum rozmowy i muzyki, zawrócił jej

do reszty głowę, tak, że wkrótce zapomniała po co przyszła. Zaraz po wejściu była wybierana przez najlepszych tancerzy, a pomimo maski, na pierwszy rzut oka odgadywano jej piękność. Tańcując odzyskała całe odurzające upojenie swych lat młodzieńczych; kiedy niekiedy wszakże myśl o Breughel'u paraliżowała jej nogi i mroziła serce; lecz wnet jeszcze żwawiej puszczała się w taniec, jak ci nierozważni grzesznicy zapominający o głosie trąby ostatecznego sądu.

Breughel przeciwnie, nie znalazł na balu nic więcej oprócz szumu i wybuchów swawoli. Po raz pierwszy uznał, że te złocone świecidełka okrywają wiele serc schorzałych. Cieszył się, że od czasu swego ożenienia poszedł dobrą drogą, drogą nauki; drogą szczęścia. Litował się nad wszystkimi tymi biednymi warjatami, którzy się śmieli bez wesołości, kochali się nie kochając; uciekł jak najprędzej do Magdaleny usypiającej snem aniołów. Przybywa do domu, nie spostrzeżga podziwienia służących i idzie prosto do pokoju żony. Pokój ten jest także poematem godnym jego obrazów. Nigdy wielka księżna włoska nie widziała tyle bogactw naokoło siebie, wszystkie skarby Wschodu były tam porozrzucane hojną dłońią. Porcelany japońskie, indyjskie jedwabie, perskie kobierce, drogie kamienie

z Golkondy tworzyły raj ziemski tej drugiej ciekawej Ewy. Wszedłszy chciał z nią pomówić, przyznać się, że był na balu, z którego powracał bardziej niż kiedy zawiedzionym we względzie szukanych tam przyjemności; że był tysiąc razy szczęśliwszym, mając za towarzyszkę życia taką kobietę, jak Magdalena, posiadającą w sobie wszystkie rozkosze tego świata. Widząc, że żony nie było w łóżku, zawołał służącą, która mu po prostu powiedziała, iż pani Breughel poszła na bal po niego samego. Odkrycie to było strasznym ciosem zadany w serce. I on też stracił głowę; pochodziwszy kilka minut po pokoju, wybiegł nagle dla odszukania Magdaleny. Jego zazdrość jeszcze bardziej się rozplomieniła; powrócił na bal nie mogąc ukryć swej niespokojności. Pożerał wzrokiem każde grono kobiet; przebiegał wszystkie sale, a tak był pomieszany od zazdrości, iż nie widział ani słyszał; gdyby się nie powściągał, na każdym kroku zrywałby maski; w końcu po nadaremnych poszukiwaniach wzrok jego został uderzony widokiem włoskiego stroju, który jego żona niejednokrotnie miała na sobie. O! okrutnica! pomyślał w duchu. Tańcuje z całą swobodą i zapałem kobiety nie wierzącej ani w Boga, ani w swojego męża! W tej chwili młody

panicz tańczący naprzeciw damy w kostiumie włoskim ujął ją za rękę i pocałował skrycie; nie zagniewała się bynajmniej, lecz owszem zdawało się, iż się doń uśmiechnęła; tańcowała dalej jeszcze z większym wdziękiem i swobodą, a można było pomyśleć, iż dany pocałunek obdarzył ją całym urokiem rozkoszy. Nieprzytomny Breughel rzucił się do niej, chwycił za sztylet, który miała za paskiem i pchnął ją w pierś z obłąkaniem. Wydała krzyk przeraźliwy, który się rozległ po całej sali; w mgnieniu oka przerwała się wesołość, ucichła muzyka, ustały tańce, a wszyscy obecni zbiegli się około nieszczęśliwej ofiary zazdrości.

Upadła nawpół-żywa w objęcia swojego tancerza. Breughel blady i zlodowaciały ze zgrozy spoglądał to na sztylet, to na tę, której cios zadał. Całe piekło miał w sercu, a nie wiele trzeba było, aby sam siebie pchnął sztyletem. Być może, że dokonałby tej drugiej zemsty, gdyby nie zdjęto maski z ofiary. »Wielki Boże!» zawołał, poznawszy, że to nie była jego żona.

Ujrzał się nagle otoczonym młodzieżą zdejmującą maski i żądającą od niego usprawiedliwienia się z tak niedorzecznej zbrodni. Malarz zdjął maskę także.— »Breughel de Velours!» zawołano zewsząd. Tak, Breughel de Velours,



powtórzył rzucając zakrwawioną broń. Zwarjowałeś czy co? zapytał go jeden z przyjaciół. »Tak, zwarjowałem, jeżeli chcesz.»

W rozpaczę biegał po sali.

Rozeszła się pogłoska, iż rana nie była niebezpieczną, gdyż ostrze puginału ześliznęło się po atlasie. »Co ci zrobiła pani Van Artwelt?— Nie domyślacie się więc, że sądziłem, iż to jest moja żona?»

Rzucił się do nóg pani Van Artwelt; chciał mówić, lecz słowa skonały mu na ustach. Zresztą, cóż miał do powiedzenia? Wyniesiono damę uwiadamiając, że się znalazł doktor. Breughel podjęty przez przyjaciół chciał umrzeć. »Gdzie jest moja żona? zapytał srogo. Była tam przed chwilą, odpowiedziano mu. Dzięki Bogu! zawołał; jeśli raz jeszcze cios zadam, będę wiedział komu i w jakie miejsce.»

Mówiąc to wyrwał się z rąk przyjaciół i pobiegł do domu, sądząc, że tam znajdzie żonę; lecz Magdalena nie wróciła, resztę więc nocy przepędził w ponurej rozpacz. »Niestety! szeptał załamując ręce, gdybym ją znalazł za powrotem do domu oboje byśmy nie żyli; uniknąłbym takim sposobem śmieszności; zostawiłbym niesplamione imię! Cóż mi teraz pozostaje? Umrzeć! już za późno; świat nie przebaczy za wybuchu zazdrości tak długo trwającą.»

Żyć! życie zwicnięte. Żyć samemu lub żyć bez miłości!...”

Przeszedł do pracowni, jakby dla wypowiedzenia nieszczęścia przed swemi ślicznemi arcydziełami.

Rano przyszedł do niego brat żony uprzedzając go, że już ona nie powróci pod dach małżeński, że ma mu wytoczyć proces, pragnąc rozwodu za pchnięcie sztyletu, którego omal co nie stała się ofiarą. Breughel nie odrzekł na to ani słowa; uśmiechnął się tylko z goryczą i westchnął boleśnie. Ostrzeżenie takowe zdało się wszakże na coś, walka mająca się rozpocząć odebrała malarzowi wszelką myśl samobójstwa. Tego samego jeszcze dnia udał się do mieszkania pani Van Artwelt. Spotykał ją nieraz w świecie; była to młoda wdowa, podobna nieco do Magdaleny Alstoot, może mniej świeża, lecz delikatniejsza, mniej piękna lecz miłszego wyrazu twarzy. Mąż jej stary prokurator, posiwiał w pyłe papierów, miał tyle rozsądku, iż umarł na drugi rok po ślubie i zostawił jej cały majątek. Choć smutnego z natury usposobienia, pani Van Artwelt, jak widać, wesoło żyła w swym wdowim stanie. Mieszkała w jednym z najpiękniejszych domów Antwerpji naprzeciw Skaldy. »Nie zechce mię widzieć, myślał Breughel, lecz niech przynaj-

mniej wie, żem przychodził.” Z wielkim jego zadziwieniem, pani kazała mu powiedzieć, aby przyszedł do jej pokoju. Zjawił się tam nieco zmieszany, sam nie wiedząc jak będzie wyglądał. Pani Van Artwelt leżała w łóżku pod aksamitnym baldakinem. Przy firankach ciemnego koloru bladość jej twarzy bardziej się uwydatniała; przed łóżkiem siedziały dwie młode panie, a jakiś mężczyzna wsparty na krawędzi rzeźbionego kominka, trzymał w ręku kapelusz z wielkiem strósiem piórem. Breughel de Velours nisko się ukłonił. »Pani, przychodzę ci wynurzyć mój żal; nie wiem doprawdy jakim sposobem mam pozyskać jej przebaczenie za ten szalony postępek. Jeżeliby go potrzeba było okupić krwią moją....— O! bynajmniej panie Breughel, nie żądam krwi twojej; lecz radzą mi wytoczyć tobie proces dla jasnego udowodnienia, iż to pchnięcie sztyletu nie dla mnie było przeznaczone; gdyż są ludzie złośliwi, mogący zmyślić romans pomiędzy nami. Tak więc, rzekł smutnie malarz, jestem tedy prześladowany przez dwie śliczne kobiety, przez jedną za uczynek, przez drugą za zamiar. Czy uwierzysz pani, że Magdalena uciekła do swej rodziny z silnem postanowieniem wytoczenia mi processu o separację?— Miałeś śliczną myśl, rzecz więc bardzo

naturalna, iż ona przynosi ci swój owoc. Doprawdy panie Breughel słusznie robi, uciekając od ciebie; żadna kobieta nie przebaczyłaby ci tego.— A może, rzekła jedną z młodych pań siedzących przy łożku.— Może, jak powiadasz, przerwała pani Van Artwelt ze smutnym uśmiechem, nie każdy bowiem na zawołanie otrzymuje pchnięcie sztyletu z ukochanej ręki.— Mój Boże! rzekł malarz, w Hiszpanji i we Włoszech uważają to za rzecz bardzo naturalną.”

Rozmowa wzięła bardzo przyjemny obrót, lecz nie mogę jej dosłownie oddać; powiem tylko, iż pani Van Artwelt była tak dobrą, że Breughel otrzymał pozwolenie przyjść do niej nazajutrz. Tym razem znalazł ją samą. »Znam całą twoją historję, rzekła do niego młoda wdowa, lecz sam mi opowiedz dla czego tak daleko zaszedłeś.— Zrozumie mię pani od razu, widzę to w jej pięknych oczach. Znałem świat, widziałem go ze wszystkich stron jego; bawił mię z początku póki byłem ciekawy, lecz zaczął mię nudzić, gdy pokochałem Magdalenę. Uznałem, że moją prawdziwą widownią była natura, przemawiająca do mnie głosem ptaków, strumieni i kwiatów. Chciałem jak wielu innych, stworzyć tu sobie na ziemi drugi raj za pomocą sztuki i miłości. Niestety! cóż się sta-

ło? Moja Ewa nie chciała mego rajy; kochałem rozkosze samotnego życia, ona kochała światowe zabawy; lubiłem ciszę, ona lubiła gwar. Rozumiesz pani, że się mi moje dzieło nie udało. Raj był piekłem; zamiast czystej i młodszej miłości, miałem w sercu ogniste węże zazdrości. Niewdzięczna! kochałem ją z takim świętym uniesieniem! Stałem pod jej stopy wszystkie przydrożne róże, wszystkie wieńce mojej palety, wszystkie skarby duszy mojej. Niestety! odwracała się od tego, aby rzucić żałośnie wejrzania w stronę tego świata, od którego starałem się ją oderwać. Niedorzeczna! straciła darmo wiele chwil upojenia, wiele zachwycających spacerów, wiele marzeń przez Boga zesłanych! Miałem nadzieję posiadania szczęścia we dwóch, jestem przymuszony szukać go samotnie. Lecz czy szczęście dla mnie stworzone?— A czy stworzone dla kogokolwiek bądź tu na ziemi? rzekła z uśmiechem pani Van Artwelt. I ja także marzyłam o szczęściu; a jednak wiesz, że przepędzam życie w męczącej mię bezczynności. Czyliż szczęście zależy na tem, aby patrzeć na ludzi znudzonych, aby mówić dla pokrycia swej myśli, śmiać się kiedy się chce płakać? Moje życie bardzo proste, wzbudzające litość we mnie samej. Znałeś pana prokuratora Van Artwelt?

Nie chcę źle mówić o umarłych. Biedny człowiek! był on bez wątpienia jednym z tych, którzy zadają kłamstwo przysłowiu. Niech go Bóg ma w swej opiece i da mu wiekuisty spokój. Ożenił się ze mną, gdym miała zaledwie lat siedmnaście; rzecz łatwa do pojęcia: był bogatym, a moja rodzina zubożała. Sądzisz może, że mię kochał? Lecz czyż ludzie kochają w pięćdziesiątym ósmym roku życia? Pojął mię za żonę z próżności: chciał otoczyć swe białe włosy różanym wieńcem. Jeżeli miał kocz, to nie dla mnie, ale dla tych, którzy mię widzieli w nim jeżdżącą; jeżeli mię prowadził do towarzystwa, to dla tego, aby na każdym kroku słyszeć: »Pani Artwelt jest śliczną kobietą!» Oto w jaki sposób zabawia się przeznaczenie sprowadzając nas z prawdziwej drogi. Czy uwierzysz... Ale mogę ci to powiedzieć?... Miałem dobre serce; o nic więcej nie prosiłam Boga na ziemi, jak o trochę miłości, nieco ukrycia i nieco ciszy. Miasto próżnych otaczających mię uciech, marzyłam o przechadzkach po łące, gdziebym mogła rozwijać się swobodnie, jako kwiat polny."

Breughel upadł na kolana przy łożu i ujął białą rękę pani Artwelt zwieszoną niedbale na atlasowem przykryciu. »Niestety! szepnął, rzucając namiętne wejrzenie na piękną wdowę, dla

czegoż spotkaliśmy się zapóźno?— Dla czego! dla czego! jest to słowo, które nieraz było w mych ustach,” odrzekła młoda wdowa spuszczać oczy.

Inny świat otworzył się dla malarza. Upojony nadzieją, ukontentowaniem i miłością, ucałował czule rękę pani Van Artwelt. »Dziękuję niebu za dziwną przygodę, która mię do nóg twych przywiodła.»

Młoda wdowa uśmiechnęła się, usuwając rękę. »W rzeczy samej, rzekła, to pchnięcie sztyletu nie wiele ci zaszkodziło, bo sama nie wiem dla czego okazuję w tym względzie tyle łaskowości.»

Tak więc, gdy pani Breughel wytaczała proces o separacyę, pani Van Artwelt została kochanką malarza. Ujęła ją ta ognista zazdrość, nadająca zawsze miłości tyle poezyi; szczególnie zaś pociągnęła wdowę myśl pozycia pod cichem, spokojnem niebem napróżno stworzonem przez Breughela dla jego żony. Wielkie to było zgorszenie w poczciwej Antwerpji, sławnej ze swych patryjarehalnych obyczajów. Jednak wielka liczba pobłażliwych sędziów, wzruszonych cichem szczęściem, kryjącem się w cieniu lasów, przebaczało im z całego serca. Po co bowiem wojować ze szczęściem?

Nadszedł proces. Mąż nie stawiał się dla obrony i byłby skazanym, gdyby w stanowczej chwili Magdalena Olstoot nie poprosiła o odroczenie. Nauka dana na balu nie posłużyła jej na nic, lecz niewierność malarza otworzyła oczy. Dowiedziała się prędko, co się działo w jej dawniejszym domu. Codzieni usłudźni przyjaciele, aby ją więcej rozdrażnić opowiadali, że malarz ze swą kochanką przechadzają się na wsi, jak piętnastoletni kochankowie. Jeden widział ich w czólnie zbierających rzeczne trzciny; drugi spotkał ich na ścieżce przypatrujących się obłokowi; ów rozmawiał z nimi w kościele, dokąd spokojnie uczęszczają, jakby nie mieli na sobie żadnej winy; tamten, wchodząc do pracowni, spostrzegł skryty pocałunek.... Zazdrość, która dotąd w Magdalenie Alstoot wzbudzała tylko uśmiech litości, zagnieździła się na dobre w jej sercu: z zazdrością i miłością powróciła. Pojęła wreszcie - cały urok domowego pożycia; żałowała rozkosznych chwil, z których słodyczy nie skorzystała.

Rachowała na obecność Breughela przy procesie. »Przyjdzie, mówiła pełna nadziei; przyzna się do winy, a ja w chwili wydania wyroku, rzucę się w jego objęcia.»



Lecz, jak już wiadomo, malarz nie stanął przed trybunałem. Zrozpaczona i gotowa na wszystko Magdalena pobiegła prosto do jego mieszkania; znalazła tam tylko służących; Breughel i pani Van Artwelt nie myśląc o wyroku, od rana przechadzali się po polu... Postanowiła czekać; usiadła w fotelu i we łzach pozostała tak przez dwie godziny. Nie będąc uprzedzonym, Breughel powrócił wieczorem ze swą kochanką. Spostrzegł kobietę w cieniu; podszedł do niej z zadziwieniem i niespokojnością: »To ja!» rzekła Magdalena powstając.

Na ten głos tak długo kochany, który mu trafił prosto do serca, malarz się zachwiał. »Tak, to ja!» powtórzyła Magdalena rzucając się w objęcia męża.

Breughel spojrział na pani Van Artwelt, która jako kobieta rozumna, od razu pojęła, co ma zrobić. »Żegnam cię! Żegnam! rzekła; sen to był tylko, sen, który minął; żegnam!»

Tegoż samego jeszcze wieczora wyjechała do Londynu, przeczuwając, że nie będzie dość miała siły pozostać blisko tego, który już przestał być jej kochankiem.

Pożycie małżeńskie zakwitło nanowo pomiędzy Breughel'ami; Magdalena w następującym

roku wydała na świat piękną Annę Breughel, która wyszła za mąż za Dawida Teñjersa.

## XI.

### O b r a z y.

**L**RAE wie dzie świat i obrazy drogą sławy i niewiadomości. Losy i podróże obrazu mistrza utworzyłyby eztero-tomową powieść. Wystaw sobie mą radość w Antwerpji: znalazłem tam Madonnę szkoły włoskiej, może Andrea del Sarto, otoczonej kwiata mi przez Daniela Seghers'a. Jest to arcy-dzieło, wyrazu pełnego słodyczy i spokoju. Tak, ta niewiasta nosiła Boga w swych wnętrzościach, nie domyślając się wcale, że będzie matką wszystkich wielkich odmian na ziemi. Zdrowaś Marya, łaskiś pełna! Pan z Tobą; błogosławionaś pomiędzy wszystkiemi niewiastami!

Nic nie ma rzadszego w Holandji nad obrazy holenderskie, oprócz w muzeach i zbiorach amatorskich. Większa część mieszczan holenderskich, wiesz w salonach brzydkie francuz-

kie sztychy z obrazów mistrzów szkoły Cesarstwa, karykatury angielskie, portrety rodzinne lub dagierotypy. Niektórzy tylko, chcąc przez tradycję wspierać narodowe malarstwo, kupują parę wątpliwych pejzażów, kilka niemożliwych widoków morskich, jakiegoś nowoczesnego Pawła Pothera lub Backuysen'a.

Chcąc studjować w Holandji starożytne holenderskie malarstwo, starałem się także studjować i nowoczesne. Wybrałem w tym celu do podróży czas wystawy w Amsterdamie. W sam dzień otwarcia byłem już w salonach Akademji. Sądziłem z początku, że jestem na wystawie paryskiej, nie tylko dla tego, iż wielu artystów francuskich przysłało na wystawę Amsterdamską znajome obrazy, lecz, że niektórzy malarze holendersey naśladowają ślepo naszą nowoczesną szkołę, co jest wielkim błędem. Otoż, gdy nasi artyści jadą do Amszterdamu badać starych mistrzów świetnej epoki, malarze holendersey wysilają się w odnaniu wszystkich okazałych wad, naszych rozmaitych rodzajów malarstwa. Czy pojmujesz, że w Holandji znajdują się naśladowce Biard'ów i Jacquand'ów, w Holandji, ojezyźnie Brauwer'a i Metzu?

Na obecnej amsterdamskiej wystawie nie było ani jednego religijnego obrazu, poprostu dla

tej przyczyny, iż w Holandji, gdzie takowych przedmiotów nie lubią, wyprzedaż ich jest niepodobną. I niech-że jeszcze teraz dowodzą, że za szczęśliwych czasów Rafaela wiara tworzyła arcy-dzieła religijnego malarstwa; to nie wiara, ale sztuka będąca sama wyznaniem; a jeżeli nie zawsze sztuka, to pieniądze. Jeżeli w tym czasie we Francji malarstwo religijne przemaga na wystawach, to dla tego, że religija poszła w górę i zmusza rząd do płacenia kosztów, obrzędów i sztuki.

Bardzo sumiennie na wystawie zrobiłem trzysta czy czterysta notat o holenderskich artystach, gdyż pomimo złego kierunku całej szkoły, wielu malarzy przypomina, że się rodziło na dobrym gruncie. Wyjeżdżając zostawiłem moje notaty w Londyńskim hotelu. Chciałem się o nie dopomnieć, lecz wrażenie już się zacierało; nawet mając notaty mógłbym się być pomylić; wołałem ich nie mieć niż narazić siebie na powiedzenie niedorzeczności, tembardziej, że i bez notat tyle już o tem wszystkim mówiono (1).

---

(1) Zauważyłem pomiędzy małemi obrazami stojącemi na sztalugach *Erazma Ucznia*. Jest to lekkie studium przypominające z blizka arcy-dzieła Meissonnier. Twarz Erazma z natury zamysłona; to czoło istotnie te same, świat ogarniające, też usta pogardliwe właśnie takie, co wydały sąd nieśmiertelny o naszym głupstwie.

Na tej wystawie malarze zagraniczni robili wielką krzywdę krajowym. Jeden malarz wenecki, który zachował podania dawniejszej szkoły, przysłał dwa studia kobiet mogące być nazwanemi, jeżeli się nie mylę, *Wspomnienie i Nadzieja*. Gierard stał długo przed temi dwiema postaciami, zajmującemi tyle miejsca w życiu: wspomnienie! jest to wszystko, co było miłem; nadzieja! ubóstwione kłamstwo wiecznie znikające! Artysta przedstawił Wspomnienie w postaci młodego dziewczęcia, nieco obnażonego, marzącego o minionej miłości. Namiętność nadaje jej marzeniom jakiś nieznany urok. Malarz lepiej ubrał Nadzieję; jest to naiwna postać, zdająca się oczekiwać. Mniej ponętna od sąsiedniej figury, lecz daleko piękniejsza. Gierard nie wiedział ktorej dać złote jabłko poety. Rzeczywiście, żyjemy pomiędzy temi dwiema postaciami, nigdy się do nich nie zbliżając. Któżby chciał oddać wspomnienie za nadzieję, lub nadzieję za wspomnienie?

Krytyka w Hadze bardzo uprzejmie przyjmuje zagranicznych artystów; byłoby przeto nie w miejscu pokazać się zbyt srogim dla artystów w Hadze; uznaję iż jest tam nie jeden nowoczesny pejzażysta, zasługujący na pochwałę i na zachętę. Zebym tego samego ranku nie oglądał tamecznego

muzeum, być może, byłbym więcej pobbżajającym.

Nie mogę wybaczyć przewodzcóm szkoły, za złą drogę na którą wprowadzają młodzież. Niech ci, co ze swego stanowiska są powołani do przewodniczenia młodym artystóm radzą im, uczyć się nie z nimi ani z nich samych, lecz w pracowniach Rembrandt'a i Ruysdael'a.

## XII.

### Jak się zostaje poetą.

**L**EJDA została przezwaną północnemi Atenami dla sławy swego uniwersytetu. Mogłaby ze sprawiedliwą dumą przytoczyć imiona, Justusa Lipsa, Hugona Grociusa, Dekarta Skaligiera, Boerhaave'a, Vander Does'a. Ten luby łaciński poeta szesnastego wieku jest jednym z moich najmilszych wspomnień z podróży. Zupełnie przypadkiem kupiłem jego *Pocałunki* u jakiegoś stu-letniego księgarza w Lejdzie; było to bardzo starożytne wydanie, stoczone przez robaków, wydające doskonały zapach dawnych czasów. Nad

rankiem dojeżdżając do Harlemu z wielką przyjemnością przezierałem te poczye. Gdy to wspomnienie o poccie holenderskim jest dla mnie jakby echem miłośnem, pozwól mi w kilku słowach opowiedzieć ci jego historję. Bez wątpienia, że nie znajdziesz w niej tyle uroku, jaki znalazłem o pół mili od pocziwego Harlemu, którego dachy zaczynały się powoli oświecać niepewnemi promieniami wschodu słońca w Holandji.

Jan Vander Does, albo Janus Duza, pan feudalny Nortwich'u w Holandji, urodził się w tej posiadłości około 1545 roku. Uczył się w Lin, w Brabancji, w Louvain, w końcu w Paryżu. W Lin i w Louvain poświęcał się ścisłym naukom, w Paryżu uczył się łacińskiej poezji i miłości.

Pobyt jego w tem mieście odznaczył się mnóstwem przygod, które historyk jego niechętnie powtarza; jedna tylko zasługująca na pamięć znajduje się tu w całej swej prostocie.

Vander Does mieszkał blisko kościoła świętej Genowefy w ślicznym pokoiku na najwyższym piętrze pewnego starego pałacu; było to prawdziwe schronienie poety. Widok z okien był bardzo urozmaicony: szare dachy w pół-kole, czerwone okopcone kominy, kilka drzew, niezliczone wieżycy, Sekwana gdzieniegdzie błyszcząca na słoń-

cu, wreszcie wieś na widnokręgu. Dogodne to było miejsce do marzenia dla Vander Does'a; okna wychodziły na cztery główne strony, miał więc przed oczyma nieskończone widowisko.

Lecz widok, na który najczęściej lubił spoglądać, był po prostu okropnym, małym okienkiem, ciemnym, bez żadnych ozdób, bez wazonów z kwiatami, przez które słońce nigdy nie wchodziło, lecz w którym o pewnej godzinie rano i wieczorem ukazywało się śpiewając śliczne dziewczę. Było one ubogie i dumne, łagodne i szlachetne.

«Jak masz na imię? zapytał ją pewnego ranku Vander Does.

— Na co ci wiedzieć me imię?

— Na to że chcę je umieścić w moich wierszach.»

Dziewcze nie zrozumiało, lecz odrzekło, że ma imię Rozyna.

Od tego dnia Vander Does każdego ranku pisał *Pocałunki* echa *Pocałunków* Jana Drugiego. «O perłowe czoło, hebanowe włosy, różane usta, któżby się mógł powstrzymać od dotknięcia was drżącemi wargami?» *Pierwszy Pocałunek*, jest to wezwanie gienijusza Jana Drugiego, istotnego śpiewaka Pocałunku; drugi jest pochwałą tego ślicznego poety; po tej podwójnej przedmowie poetycznej następuje *Pragnienie Pocałunku*, *Apoteo-*



za pocałunków, *Przewodnicy miłości, Ukąszenie, Żyć i umierać w pocałunkach*, i jeszcze kilka innych. Co się zawsze wydaje rzeczą dziwną, a zdarza się często, to że Vander Does natchniony przez Rozynę, opisuje dane sobie i oddane jej pocałunki, chociaż się nigdy nie dotknęli do siebie ani końcem palca: opiewają nadzieję, upajają się skrycie wspomnieniami.

Będąc poetą w rymach chciał nim zostać w czynie; wystrzegał się bardzo posyłać do Rozyny swe łacińskie wiersze: straciłby darmo swą łacinę. Uczynił tak jakby uczynił pierwszy lepszy i uczynił dobrze. Poszedł do Rozyny: przeskaکیwał po cztery stopnie wschodów ciemnych i krętych starego nadwątlonego domu i zastukał na górze do małych pięknych drzwi.

«Rozyno, to ja, ja co cię Kocham od trzech tygodni; otwórz mi drzwi na miłość boską.»

Rozyna otworzyła, mówiąc do siebie, że nie trzeba było otwierać.

«Rozyno Kocham cię z całej siły, z całego serca.»

Był to początek prawdziwie natchnionego kochanka. Rozyna poczerwieniała i spuściła oczy w milczeniu. «Tak, Rozyno, Kocham cię; nie widzisz-że, jak jestem nieprzytomny i wzruszony?»

Wziął ją za rękę: «Czyż nie prawda że serce

me bije gwałtownie? Cóż mi odpowiesz na tyle miłości?»

Rozyna była dziewczęciem pełnem dobrej wiary i dobrego serca; zwiesiła powoli głowę na ramie Vander Does'a.

«Czy uwierzysz mi, gdy ci powiem że jestem wielkim panem; że chcę cię zawieźć do Holandji i oddać ci połowę moich posiadłości?»

—Do Holandji! to bardzo daleko! rzekła Rozyna.

Co miało znaczyć: żebyśmy się kochali nieco bliżej.

«Zresztą, dodała, czyż można być zakochanym w Holandji, wśród mgły i deszczu? Przenoszę Paryż z mojem ubóstwem: promień słońca jest okruszyną szczęścia spadającego z nieba; wierz mi, tam trzeba się kochać, gdzie się znajdujemy.»

Vander Does nie spodziewał się spotkać tak poetycznego serca.

«Przytem, ciągnęła dalej Rozyna, mam, oto w tym domu, starą matkę i młodą siostrzyczkę których jestem całą nadzieją: wojna nas zubożyła, nie nam wszystkim nie pozostało, oprócz tej igły znającej się nieco na owej robocie bogiń.»

Podniosła w rękę haft prawie ukończony, któ-

rego Vander Does podziwiał niesłychaną delikatność.

«Rozyno, rzekł do niej, wszędzie cię będę kochał.»

Biedne dziewczę stało się tak ufajacem, że wkrótce samo poszło na schadzkę; lekką stopą dostało się do schronienia Vander Does'a. Opiął on tę stopę, którą zarówno słyszał w swem sercu jak na wschodach. Kochali się całą śliczną porę roku wśród zieloności i z młodzieńczą swobodą była to miłość w odkrytym polu, mająca schronienie pod niebem.

Jednak Vander Does został przywołanym do Holandji przez rodzinę, przez swoich przyjaciół, przez samego nawet króla, chcącego dać urząd panu na Nortwich. Trzeba było jechać, pojechał. Pewnego wieczora wszedł do Rozyny ze smutkiem, który napróżno starał się ukryć.

«Bądź zdrowa Rozyno, powrócę jutro.

—Pocóż więc to pożegnanie przejmujące chłodem me serce?» rzekła z cicha do siebie.

On się odwrócił z westchnieniem.

«Ach! jakże smutnie brać ostatni pocałunek! myślał drżąc cały. Wreszcie po raz ostatni dotknął drżącymi ustami drżące usta Rozyny i w tej samej chwili uczuła ona dwie łzy spadające na jej rękę.

«Gdy Vander Does opiewał pocałunki Rozyny,  
Opiewał pocałunki, które słyszał jeszcze;  
A skoro został kochankiem swej pięknej sąsiadki,  
Ukrywał pocałunki jako skarb święty.

Nadzieja mówi wszystko: jest to swawolna jaskółka,  
Jest to brzęcząca pszczoła przy zbieraniu miodu.  
Wspomnienie milczy; jest to niema róża  
Upajającą wonią serce i wzbudzająca w niem wiarę w niebo.

Vander Does jednego poranku wyjechał do swej ojczyzny,  
«Bądź zdrowa Rozyno, bądź zdrowa! ja jutro powrócę»,  
Ucałował ją dwakroć; wzruszona Rozyna  
Czuła dwa razy łzy spadające na rękę.

Jutro, niestety! płacz biedna sąsiadko!  
Czekała napróżno, pragnąc się oszukać.  
Niepowrócił nigdy. «O! wołała Rozyna,  
Na mych ustach przynajmniej mam jego najśłodczy po-  
całunek!»

Tego pocałunku nie opisał poeta,  
Lecz pozostał on na zawsze wrytym w jego sercu,  
Nadzieja wszystko wypowiada, szczebiotliwa jaskółka!  
Wspomnienie skrywa się w głębi zachwyconego serca.

Opuszczenie boleśnie dotknęło Rozynę; złamała  
swą igłę, wylała wszystkie łzy serdeczne. Co  
godzina we dnie, a niekiedy i w nocy spoglądała  
przez okno, lecz już on był tak daleko! wre-  
szcie szukała pociechy w pracy, w miłości bo-  
żej, w mateczyném sercu, i, mamże powiedzieć?  
w drugiej miłości.

Vander Does, wyjeżdżając nagle, zostawił w swoim pokoju, z piętnem miłości, młodości i poezji, *Pocałunki* Jana Drugiego (1). Młody student prawa, świeżo przybyły z Owernji, poeta i marzyciel jak Vander Does, zamieszkał w tem samem miejscu z sercem gotowem do zakochania się. Młodzieniec ten, który się później wslawił, nazywał się Jan Bonnefons. Rozyna od czasu jak kochała się i płakała była bardziej pociągającą i piękniejszą. Obaczył ją i pokochał.

Pokochał przezierając *Pocałunki* Jana Drugiego; pojmujesz że z kolci chciał także, będąc natchnionym przez Rozynę i przez poetę, wywdychać swe drobne poemaciki tak lekkie i tak ogniste. Zapytał się Rozyny jak się nazywa; i słusznie ją ochrzcił dwóma greckimi wyrazami: *Pancharis* (cała z wdzięku); jego pierwszy *pocałunek* jest *Amor Poeta*, drugi *Portret*, w którym z lubością zastanawia się nad wszystkimi wdziękami Rozyny, «łuk hebanowy otaczający jej oczy, bródka tak ślicznie małym dołkiem przedzielona, ta szyjka bielsza od najczystszej marmuru,—wszystkie te wdzięki wyryte w mem sercu; za ich to pośrednictwem Pancharis obciążyla mię złotemi okowami miłości. O kochani stróże mojego wię-

(1) Exemplantz ten znajduje się dziś u Alberyka Drugiego, jego prawnuka.

zienia! o słodkie okowy! o błogosławione więzy!»  
 W czwartym *pocałunku* mówi o igle Rozyny:  
 «Powiedz mi okrutna igło, co dopełniła ręka mo-  
 jej kochanki, ta ręka bielsza od ligustru; jakie  
 są występki tych szczupłych paluszków, gdy cię  
 zmuszają abyś ich tak często kłuła?» Ręka Rozy-  
 ny nie była nazbyt delikatną, lecz Bonnefons pa-  
 trzał na nią z daleka, przez pryzmat poezji.

Bonnefons pewnego wieczora poszedł do kochan-  
 ki Vander Does'a; był potem i raz drugi; w koń-  
 cu ona z kolei przyszła do niego.

—«O! dzięki Bogu! przyszłaś do mnie.— Zna-  
 łem już drogę» odrzekła Rozyna z westchnieniem.

Na tem się kończy opowiadanie autora przypi-  
 sów. Nie masz więc nic dziwnego że Vander  
 Does i Jan Bonnefons śpiewali w tym samym to-  
 nie; są to dwa echa tegoż samego poety, dwa  
 płomienie wzniecone tem samem wejrzeniem.

Vander Does nie tylko był poetą i kochankiem,  
 lecz był mężnym. Gdy Książę Orański zrobił  
 go gubernatorem Lejdy, wytrzymał, w 1574 roku  
 śmiałe oblężenie przez Hiszpanów, mających na  
 czele komandora Requesens. Przytaczam cały u-  
 stęp z autora przypisów: «Co było szczególnej-  
 szego w tem oblężeniu, to że w skutek przywi-  
 leju właściwego tylko ulubieńcowi Muz, Does  
 przejąwszy listy generała hiszpańskiego przesyła-

ne do twierdzy dla zachęcenia mieszczan aby się poddali, odpowiedział na nie, podpisując pod każdym łacińskie wiersze (1). Zmęczony tak wesołym i chlubnym oporem, Requesens zdjął oblężenie i oddalając się od Lejdy zostawił Vander Does'owi wcale nienaruszony podwójny laurowy wieniec, kióremi Muzy i Bóg wojny tak sprawiedliwie okryli jego zwyciężkie czoło.»

Po wojnie z Hiszpaniją Vander Does znów stał się poetą i uczonym. Osypały się z drzewa wiosenne kwiaty, a lipcowe słońce miało przyśpieszyć dojrzewanie owoców. Miał zbyt ognisty umysł ażeby czuć się zadowolonym rządzeniem tylko podczas pokoju; założył uniwersytet, który prędko stał się nader świetnym pod jego przewodnictwem. Napisał wiele uczonych dzieł o poetach i historykach łacińskich; ułożył elegijnemi wierszami poemat, lub coś podobnego, pod tytułem *Dzieje Holandji*. Lecz czem dalej zaszedł, tem więcej oddalił się od prawdziwej poezji, poezji miłości, opiewającej wśród świeżego poranku radoście ust i serca, rozkosze i niepokoje duszy.

(1) W poezjach Danjela Heinsiusa znajdują się dwa wstępy; jeden grecki, drugi łaciński, o gołębiach, których obrońca Lejdy używał w czasie oblężenia dla oszukania nieprzyjaciela.

W końcu tak mało pozostało w nim poezji, że mając się żenić z młodą i hożą Holenderką, nie znalazł nic lepszego do zrobienia, chcąc się jej przypodobać, jak zastosować do niej *Pocałunki dla Rozyny*. Ma się rozumieć, że zmienił imię. Na miejsce Rozyny była Ida. Na szczęście był to ten sam kolor włosów, podobnie białe zęby i takiż błękit oczu.

Na złość temu niezręcznemu wstępowi, doznał w małżeństwie tyle szczęścia ile go w niem się znajduje. Obdarzyła go żona czterema synami, godnemi swego ojca, którzy także zostali poetami i uczonymi. Najmłodszy Jan, zmarły w dwódziestym szóstym roku życia, zostawił łacińskie poezyc, »okryte laurami z góry Pindus,» jak się wyraził autor dopisków.

Vander Does umarł wkrótce po śmierci tego syna, którego nazywała Benjaminem Muz; umarł nader prozaicznie z morowej zarazy, w pięćdziesiątym dziewiątym roku swojego życia. Zamiast mowy pogrzebowej napisano na jego portrecie: *Jan Vunder Doës, Tibullus i Varro Holenderski, wojownik podczas wojny, poeta i uczony w czasie pokoju*.

Pzetłómaczyłem kilka *pocałunków* Vander Does'a, lecz są to tylko *pocałunki* prozą.



## POCAŁUNEK XVIII.

## Pragnienie. (Żądanie).

Błyszcząca porankiem rosa, jednostajny powiew wietrzyka, mniej się podobają szczebiotliwym konikom polnym podczas lipcowych upałów; spoczynek w cieniu przy cichym szmerze wody daleko mniej zachwyca zmęczonego wędrowca niż mię zachwycają swem lubem drzeniem twe hojne i skąpe zarazem usta. Lecz zkąd to pochodzi że w pośród zachwytu me nienasycone serce pożąda jeszcze? Co jest jeszcze po za szczęściem? O! pożądanie jest orłem wznoszącym się po nad ludzkie sfery; pożądanie prześciga nas o całą odległość ziemi od nieba.

## POCAŁUNEK XIX.

## Ukąszenie.

Rozyno. rozkoszo méj duszy, wonniejsza i słodsza od miodu! kochajmy się całe życie; życie jest walką, niech-że nasze życie będzie walką pocałunków; lecz twój ząb występny rozdarł mi wargę! te usta, które cię nazywały swym gołąbkim słodko gruchającym, swą piegzą szczebioczącą, skarbem i chlubą miłości; tę wargę która tyle razy nazywała cię swą rozkoszą, swym nektarem, brylantem, ambrozją; która się wywyższyła nad sławne kochanki Katullusa i Jana Drugiego. I otóż to nagroda za tyle miłośnych trenów! ukąszenie! O! luba okrutnico! moja druga warga, za zdróci ukąszonej.

## POCAŁUNEK XX.

## Bożek miłości sprzyja śmiałym.

Z siedmiu pocałunków przyrzeczonych mi przez Rozynę, jeden tylko zdołałem od niej dostać, jeden schwycony w przełocie; a był tak wonny, że Jupiter go spożył sądząc, iż to była jego ambrozija. Od tego dnia stała się okrutną, odpowiada niewiedzieć jak na me najczulsze uwielbienia! Miłości! miłości! jak mam od niej dostać sześć pozostałych pocałunków? Kupido zaczął śmiać się i żartować. Co! Vander Does stał się nieśmiałym i bojaźliwym? Wiedź, nierozsądny, że odwaga i śmiałość są memi najjaskrawszemi pochodniami. Bądź śmiałym i bez trwogi; jeżeli się Rozyna użala, zamknij jej usta pocałunkiem: nie ma kobiety któraby nie zamilkła na taki dowód.

Widać z tego że Vander Does należał do rzędu tych pół-poetów, zakochanych tylko końcem ust, którzy jak różowy obłok przeszli pod burzliwem niebem czternastego stolecia. Nicco wdzięcznego szczebiotu, wspomnienie starożytności z lekka odmłodzone, marzenie miłośne bardziej niż sama miłość, oto prawie cały zasób tych pół-poetów, będących echem jeden drugiego i śpiewających na wzór gilów i sikorek. Vander Does jak błędny ogień poezji blyszczał chwilę obok Sannazara. Skaligier obdarza go laurem Apollina; lecz przyszło zapomnienie, które zasypało swym niszczącym prochem i poetę i jego dzieła. Zapomnienie zawsze ma słuszość.

## XIII.

## K n a j p y.

**W** NIEKTÓRYCH knajpach blisko portu znajdujemy jeszcze ten sam wyraz szczerzej wesołości, której zachwycał Franz Hals'a i jego szkołę. Dzisiaj już wszakże obrazy są tylko szkicami, nie widzimy w nich tego szczerzego zapału lepszych czasów, żywsze kolory poblady; zawsze to ten dym kłębiący się w górę, piwo lepiące się na stoły, rozpusta śmiejąca się dokoła stołu, a niekiedy i pod stołem; lecz napiała rozpusta, którą malował Brauwer rozpiniała się z taką wesołością i zaniedbaniem jakich już nie ma.

Paliliśmy fajki w trzech czy czterech tych knajpach. Uczta zaczyna się o ósmej wieczorem, a kończy się przed północą. Muzykanci siedzący na podwyższeniu zagłuszają cię najpiskliwszą na świecie muzyką. Majtkowie czterech narodów zbiegają się do knajp, jak do jakiegoś Eldorado. Będąc na morzu, gadają o *musico* w Amsterdampie z prawdziwym zapałem; kopalnie Gol-kondy i Peru, piękności seraju i dziwy Andaluzji są dla nich niczem w porównaniu z uciechami holenderskich szynków. W szynkowni

holenderskiej, znajdują się w jednym miejscu pod ręką zgromadzone dziewczęta wszystkich krajów. Lecz co najwięcej wzbudza bicie serca majtka, to Fryzjanka ze swym malowniczym ubiorem głowy, jej szeroka koronka pokrywająca czoło, jej złota lub srebrna blaszka pół-okrągła, rozechodząca się na skroniach w formie dwóch wijących się wężyków, obwieszonych szerokimi koleczykami. W takim stroju głowy Fryzjanka jest prześliczną ze swym naiwnym i łagodnym wejrzeniem, ze swemi rumianemi i świeżemi policzkami, z temi ustami tak niewinnie uśmiechniętymi, nawet po rozmowie z majtkami całego świata.

Jedna z tych knajp, najstarsza ze wszystkich, zachowała cały malowniczy wyraz knajp, malowanych przez Brauwera. Wszedłszy znaleźliśmy ze dwódziestu holenderskich, angielskich i amerykańskich majtków, którzy się tam przyszli bawić i tymczasem nie mając nic lepszego do robienia, popijali jałowcówkę. Siedzieli wszyscy poważnie w jednej linii pomiędzy kontuarem i muzykantami. Sami muzykańci tworzyli dobrego stylu obraz; byli starzy i zaokrąglonej tuszy. Więcej niż lat pięćdziesiąt, jak nam opowiadano, co wieczor w tej knajpie grywali te same sztuki. Bega nigdy nie oddał żywszych

weselszych i bardziej rozweselających twarzy. Trzeba było widzieć z jakim zaokrągleniem ręki dawali pierwsze pociągnięcie smyczka i z jak równym zapałem grali aż do ostatniej nuty; trzeba ich także było widzieć przywołujących szynkarę i podających kufle dla zaczerpnięcia w piwie coraz więcej wzrastającego zapachu. Tylko wędrujący muzycanci mogą dać wyobrażenie o ich wspaniałych ruchach.

Za kontuarem, gospodyni knajpy, z głową ubraną starannie i zbytkownie bogatymi koronami panowała wspaniale w pośród garnków, fajek, karafek i butelek win rzadkich. Jak tylko kto wchodził, nalewała trunki i posyłała mu przez służącą tacę obciążoną kufkami, kieliszkami i zielonemi orzechami. Wszedłszy do knajpy trzeba się trzymać jej zwyczajów: można nie pić, lecz nie można nie przyjąć napoju.

Żeby przeto w niczem nie uchybić przyjętym w sali zwyczajom usiedliśmy w jednym rzędzie z majtkami, pytając siebie, jaką mogli oni znajdować przyjemność w tej symetrycznej pozycji.

Wreszcie drzwi się otwarły i ujrzelśmy gromno młodych piękności, od piętnastu do czterdziestu pięciu lat, wychodzących parami, które na znak dany przez dyrektora orkiestry, po trzech

czy czterech prawdziwie poważnych processjach, rozpoczęły z wielką energiją węgierską polkę z całą jej namiętnością i całym szaleństwem. Majtkowie milezący i spokojni dotąd, nagle się rozweselili, jedni dawali brawo, drudzy powstali z zapałem, lecz żaden z nich nie odważył się puścić w ten zwinny taniec. Z braku tańcerzy amszterdamskie odaliski tańcowały dalej same z sobą; z jakim-że to pełnem gracji zaniedbaniem wywijały w młynku, swemi czepkami, jak różnorodnie były ubrane, jedne jak Fryzjanki, drugie jak Flamandki, te jak włościanki saardamskie, inne jak modystki z ulicy Vivienne, słowem obraz był pełen zajmującej różnaitości, żywego kolorytu i odurzającego pociągu.

Jedna saardamska wieśniaczka podeszła do angielskiego majtka, aby z nim stuknąć w szklankę.

„Czy nie prawda, rzekłem do mojego kolegi, że to jest śliczniutka twarzyczka z ulicy Notre-Dame-des-Lorettes?”

Odwróciła się do nas i przemówiła dobrą francuzczyzną, francuzczyzną z kulis Opery,— Fryzjanka wzięła ją pod rękę.

„A Fryzjanka, rzekłem z powątpiewaniem, z jakiego jest kraju?”

— Z Bordeaux, odpowiedziała saardamska wieśniaczka; lecz za to ta Francuzka, którą tam

widzicie jest z Brok, o dwie mile ztąd. Wyobrażamy sobie, że jesteśmy na balu Opery, i zachwyca nas ta metamorfoza; ale czyż to nie okropnie nie móżd tu znaleźć, ani jednego tańcerza!”

W tej chwili rozległ się radosny okrzyk: nadszedł tancerz. Miałem nadzieję ujrzeć na wpół-pijanego majtka, który się gotował do puszczenia się w rozpasany taniec, ale był to tylko podróŜujący kupeczyk wina Szampańskiego, co nam ofiarował swoje usługi na parowym statku.

O stary charakterze Holendrów, gdzie cię znaleźć czystym, wolnym od wszelkiej mieszaniny europejskiej?

## XIV.

### Ferma Holenderska.

**J**ESTEM tedy na wsi w odosobnionej fermie, której zwyczajnie opiszę tobie. Dom jest murowany z cegieł, a pokryty słomą; nie ma ani muru, ani płotu dla obrony od zwierząt lub złych ludzi. Otoczona małym kanałem, po którym pysznie pły-

wa kilka stad kaczek; kanał ten ma mniej więcej kształt węża trzymającego ogon w gębie. Zielony, gęsty owocowy ogród ocienia budynek. Byłem usilnie polecony dzierzawcy przez jednego właściciela ziemi, mieszkającego przy gościńcu, który mię zaprosił na obiad do swego wiejskiego domku. Byłem tedy dobrze przyjętym w fermie przez niską, naiwną i pulchniutką jejmość ciągnącą przy spodnicy dwoje dzieci, która mię zaraz częstowała kawą. Wtem wszedł fermer, uskarżając się, że owsy nie dojrzewały. Nie miał nadziei przystąpić do żniwa przed dwoma tygodniami: a było to pod koniec września.

»Dla czegoż więc siejesz owies? rzekłem do niego; ciesz się swojemi pięknemi łąkami. Dobry wół czyż nie wart tysiąca garści zboża?

— Prawda panie; lecz żebyś wiedział, jak ta wieczna łąka nudzi w końcu. Gdy niema nazbyt wody, z prawdziwą przyjemnością wyrabiamy ziemię nawet wątpiac o zbiorach. W przeszłym roku posiałem żyto, zebrałem tylko słomę, lecz byłem uszczęśliwiony z widoku runi.»

Tak rozmawiając, zaprowadził mię fermer na łąkę, gdzie było rozsypanych więcej stu krów; zaczął mi wykladać kurs agronomji z powodu rogatego bydła, gdy w tem zjawił się rzeźnik



przechadzający się po łące. Wtém deszcz zaczął padać, powróciłem więc sam do fermy, gdzie gospodyni domu podała mi drugą filiżankę kawy, lecz tym razem, z chlebem i z masłem.

Gdym siedział za stołem przed jasno palącym się chrustem, fermerka, dowiedziawszy się, iż rzeźnik jest na łące, pośpieszyła do niego, aby nie dopuścić męża do taniej sprzedaży.

Małe pół-okrągłe okienko dozwalało mi widzieć wszystko, co się działo na dziedzińcu. Ferma jest republiką w której wszyscy—ludzie i zwierzęta—żyją we wspólnictwie. Słońce rozdarło chmurę; okolica przed chwilą tak ponura, ożywiła się jakby cudownym sposobem. Kury zakwoktały wrzaskliwie, króliki podeszły do drzwiczek swoich klatek i zdawało się, że skupiwszy się prowadziły rozmowę. Paw' podchodzi do odryny na czele wojska czarnych indyczek głęboko upokorzonych, których krzyk przypomina mi bełkot butelki przy wylewaniu płynu. Paw' nadyma się i roztacza ogon na słońcu.— O! jakby kobieta szczyciła się z posiadania podobnego wachlerza, a malarz jakby był uszczęśliwionym, mając tak bogatą paletę!— Wtém wiatr wywrócił drabinę, zerwały się gołębie, słońce się skryło i króliki znikły w głębi swych klatek. Wszystko zmieniło się w obrazie, znów posmu-

tniał i pociemniał: muszę patrzeć na kałużę, drabinę, opuszczone śmietnisko i na zabłocone koła jakichś kar. Oto kot skacze na brzeg mojego okna, i sadowi się w kącie. Zdrajca ma słodsza i uprzejmiejszą minę od dworaka. Kot nie jest dworakiem, jest to szlachetne zwierze ufające swoim pazurom, zupełnie pogardzające ludźmi, liżące bez przywiązania rękę, która go karmi, a szarpiące odważnie tę, która go zaczepia. Lecz oto wszystkie kury poruszyły się przed folwarcznemi drzwiami w około ślicznego koguta skaczącego pomiędzy niemi, ciągnącego skrzydła po ziemi i używającego swobody miłosnej, jak pasza w swoim haremie. Kogut piękny, lecz kury szpetne; kogut myśli o dziubaniu kur, lecz kury myślą tylko o dziubaniu na śmietniku. Stado świń gnanych przez chłopaka, przebiega w galop środkiem kwokeczącego wojska, które tak mała rzecz wcale nie odstrasza. Ta *szlachta*, jak mówi murzyńskie przysłowie, wpada do kałuży w głębi dziedzińca, gdzie z lubością kapie swe nosy, śmiejąc się z tych, którzy ją ztamtąd wypędzają. Znów się słońce ukazuje; kot najrozkoszniej marzy, kogut zmienił swój kolor; jego czarne pióra przybrały zielonkawe i błękitne odzienia; pióra białe w skrzydłach mają połysk srebra; żółte na szyi świecą, jak

frenzle złote. Ogon jego jest najśliczniejszą w świecie kitą. Siedmnaste stulecie, było szczególnie, stóleciem kogutów. Memu obrazowi brak zieloności, żadne sąsiednie drzewo nie wznosi swojego czoła po nad stodółą; nachylając się do koia, spostrzegam wszakże gałązkę kasztanowego drzewa, którą wiatr przy dzielniejszym podmuchu zniża aż do chorągiewki na dachu. Kogut biały nadchodzi do kurzego seraju; sultan nadyma się pogardliwie i z szemraniem ezuwa nad bezpieczeństwem swojego honoru. Oddalony ryk wołu śpiew jego zagłusza. Drugi obraz: służąca idzie, niosąc w jedném ręku dojnicę z mlekiem, w drugim drewniany stołek; pasterz nadchodzący z obory, której drzwi zaledwie widzę, ciągnie ją do wózka zawiązując na nim płachtę, za płaszcz mu służącą. Gawędzą i robią do siebie najśmieszniejsze miny.

Zmieniłem perspektywę zbliżając się do progu drzwi, nie widzę już ani chorągiewki, ani gałązki kasztanowej, spostrzegam zawsze niebo; od czasu do czasu mgła wydaje dżdżyste krople. Wzrok mój sięga w jeden kąt peizażu, którego widnokrąg stanowi aleja z jabłoni. Piękna brunatna krowa je trawę przy drodze. Niech się rozjaśni i, wszystko się ożywia. Nic się mi tak nie podoba jak krawędź starego muru, którego

szare kamienie są gdzieniegdzie porośnięte krzakami kwitnącej pokrzywy. Dziki bez turecki wspina się tam po malinowym krzaku, zagrożonym przez zęby brunatnej krowy. Lecz oto przerywa mi służąca idąca do studni mającej cębrowinę z zielonkawych kamieni. Pasterz jeszcze ją ściga. Ona zawiesza wiadro, on ją chwytając i udaje, że chce wrzucić do studni; ma do tego powód, gdyż ona ze swojej strony, udaje, że się boi: tuli się do chłopca i wszystko idzie jak najlepiej; lecz oto ukazuje się fermerka, służąca odpycha konkurenta i spuszcza wiadro. Czterech kośców z kosami na plecach, którzy zdejmowali potraw, przechodzi koło drzwi podziwiając krowę. Piękny kogut wychodzi z dziedzińca prowadząc za sobą tłuszcę zgłodniałych i zakochanych kur. Dzieciak ciągnie psa angielskiego, który go wywraca na śmietniku. Nic lżejszego i wysmuklejszego, jak ten piękny pies; nic nie ma rumianniejszego i weselszego od tego dzieciaka. Ileż to skoków! susów! i swawoli! Pasterz zaślepiony w zapale powraca do swoich miłostek; uchyla się nad służącą przypatrującą się swemu portretowi w studni. Lecz daje się słyszeć głos fermerki, dziewczyna powstaje i odczepia wiadro. Zniecierpliwiona fermerka pyta się pasterza, co on tam robi?—

Nie wiem, odpowiada. Niebo się wypogadza. Pasterz, który rano nie kładł płaszcza, zapewne bojąc się deszczu, wkłada go w czasie pogody. Służąca powracając do domu odwraca głowę; lecz nie mogę widzieć pożegnane go wejrzenia rzuconego na pasterza. Wzrok musi być mdlejący, mglisty, zmieszany, gdyż nieborak bardzo wzruszony.

Zawsze trochę deszcz pada; paw' siedzący na dachu obory robi sobie parasol z ogona. Jeszcze rewolucya pomiędzy kurami; lecz już nie o ziarno zboża; damy te zazdroszczą brunetce używającej wszystkich w świecie kokieteryj dla znużenia piękno-piórego koguta. Mruży hebanowe oko, roztwiera miłośnicie swe nakropione skrzydła, dopuszcza się nawet występnych przymileń. Kury się naradzają i kwokeją wszystkie razem, jakby zrobiły kobiety, jeżeliby się kiedykolwiek mogły porozumieć. Promień słońca wyziera z chmury i oświeca krople deszczu, jak sznurki pereł.

Dość już tego patrzenia przez drzwi i przez okno; zajrzmy do wnętrza domu: tu mię od razu zastanawia kruk kuchenny tak błyszczący, iż sędzę, że jest srebrny. Posadzka lskniąca choć posypana piaskiem; stąpa się po niej z uszanowaniem; belki na suficie malowane i lakierowane;

dębowe meble cyratą obite. Spostrzegam długi stół zastawiony kufkami i kubkami cynowymi, bufet niezgrabnie rzeźbiony, gdzie wystawiają naczynia fajansowe z ozdobami i malowidłami, półmisek pokryty doskonale podrumienionymi bulkami, wózek i czółenka dziecinne, łóżko w głębi ciemnej alkowy; osłonięte kwiecistymi firankami. Czuć w tym domu zapach wody, ognia, chleba piezonego w piecu opalanym torfem, co cię ujmuje za serce i zachęca do patrijarchalnego życia.

Wchodzi fermjerka i pyta mię czy nie chcę kawy. »Mamy wiele kłopotu, rzekła do mnie, oto wozy nasze zabłocone.» Wyszedłem za nią na pole. »Wasze wozy, odpowiedziałem, patrząc do koła, nie widzę ani koni, ani powozów.»

W tej chwili, gdyśmy podchodzili do brzegu rzeki Je, spostrzegłem dwie łodzie sianem nalożowane stojące w sitowiu.

Są wszakże w tym kraju, tak jak w inszych roboche wozy, lecz tu nie mają one dyszlów; konie idą swobodnie ciągnąc wóz nie dźwigając go wcale. Woźnica bosemi nogami kieruje jakimś rodzajem zakrzywionego steru.

Jadłem obiad w domu wiejskim; podano nam wołowy pekeflejsz w konfiturach, cietrzewia, czaj-

ki i siewki, różne ryby, moguńską szynkę, pasztet z Chartres, Fontainebleau'wskie winogrona, kawę, herbatę, wina reńskie, portugalskie, i szampańskie. Gdym narzekał na zbytek w jedzeniu, gospodarz odrzekł zwycięzko: »Dla nas to Europejczycy zbierają zboże i winogrona.»

-----

## XV.

### Iljada i Odyseja.

**Z**MĘCZYŁA nas nieco kolej żelazna; z Antwerpji do Rotterdamu powróciliśmy morzem. Po bardzo holenderskim obiedzie wsiedliśmy bez ładu wszyscy razem, mężczyźni, kobiety, kapucyni, artyści i poeci do kulawego omnibusa, który jakby na jednej nodze przywiózł nas do okrętu. Znaleźliśmy tam śliczne towarzystwo. Kajuta arystokratycznych podróżnych, kajuta plebejusów, kuchnia, wschody, wszystko od dołu do góry było zamieszkałe. Nie bez trudu rozpychając wszystkich zdołałem dostać się do pierwszej kajuty. Wszyscy gadali zarazem; nadzwyczajnie obracałem głowę, wszędzie oddychałem słowami. W głębi

wszakże na kanapie siedziało czterech milczących pasażerów; zatrzymałem się nieco przy nich, a nie wiedząc co począć, zacząłem przypatrywać się ruszającemu się koło mnie obrazowi. Czterej milczący pasażerowie byli to Anglicy duszą i ciałem, jedzący rostbif i bruxelską kapustę; a że Anglicy nie zwykli nigdy niecierpliwie się zbyt, przeto i ci stanowczo zamknęli oczy skoro statek ruszył w drogę. Obok nich było pięciu dość dobrze ugrupowanych kapucynów, powracających do klasztoru z miną ludzi niezbyt pośpiechem zajętych. Rozmawiali z sobą, ale nader ostrożnie, jakby bojąc się zwrócenia uwagi źle usposobionego sąsiedztwa; w sąsiedztwie mieli trzy kobiety gadające z całej siły, nie słuchające ani kapucynów ani samych siebie; były to trzy zajadłe plotkarki, dość młode i wystrojone, które jechały na święta do Ostendy. W kącie napół zasłonięty czepekami jednej z tych pań i rogatym kapeluszem kapucyna, ujrzałem z pewnem ukontentowaniem śliczną dwódziestoletnią dziewczynę, ubraną jak Paryżanka a mającą wesolą twarzyczkę modystki. Byłem zadziwiony, widząc ją samą jedną w pośrodku cudzoziemców, którzy jak się zdało, nie bardzo ją zajmowali. Chciałem już do niej podejść, jakby mając coś do powiedzenia, lecz w téj właśnie chwili ujrzałem idącego



do mnie, mojego sąsiada przy tabledocie, belgijskiego senatora, który mi miał w Antwerpji otworzyć potrójnie zamknięte drzwi do galerji obrazów szkoły francuzkiej. Zapytałem go jakim sposobem myśli przepędzić tę nie miłą noc.

«Nie troszczę się o to, odrzekł, kapitan mną się opiekuje. Za pół godziny nie spełna będę miał najlepsze miejsce; jeżeli chcesz to i ciebie zaproteguję.»

Głośnie wybuchy śmiechu przerwały nam mowę. Kilku Bruxelskich podróżujących kupeczyków, dość podobnych do podróżujących komisantów Paryzkich, bawiło się, żartując sobie z biednych kapucynów. Jedni przed drugimi wysadzali się z kalamburami i najniedorzeczniejszymi konceptami. «W samej rzeczy, rzekłem odciągając senatora na stronę, atmosfera wielkiej kajuty jest bardzo niebezpieczną». Mała kajuta była przepelniona nie mniej wesołymi i równie swobodnymi posażerami. Jedni grali w pytkę, drudzy rozmawiali o polityce; tu i ówdzie leniwszi zasypiali wyciągając niedbale nogi i ręce na sąsiadach i sąsiadkach jakby na własnych łózkach. «Chodźmy dalej» rzekł do mnie senator. Weszliśmy na wschody aby odetchnąć nieco; pod nogami znaleźliśmy węglarza i jakiegoś włóczęgę śpiących na tych miękkich poduszkach: jeden z nich krzyknął

gdyśmy przechodzili. «Nie zwracaj na to uwagi, mówił senator, nastąpiłem mu tylko na nogę». Na pokładzie znaleźliśmy innych węglarzy leżących pod gołym niebem i wnioskujących o dniu jutrzejszym, o księżycu, deszczu i pogodzie. Wiatr stawał się coraz chłodniejszym, zesłiliśmy więc wkrótce na dół mniej następując na owych ludzi wyciągniętych na wschodach; gdyśmy schodzili, znowu krzyknął włóczęga, ale tym razem nastąpiłem mu tylko na rękę. Senator pocieszył go sentencją. Przy wejściu do sypialni, gdzieśmy się chcieli przekonać czy nie zostało czasem kilka wolnych łóżek, kapitan dał nam znak abyśmy szli za nim i przyprowadził prosto do kuchni.

«Dobrze mówiłem, ciągnął senator z tryumfującą miną, dobrze mówiłem że możemy liczyć na łaskawe względy kapitana. Pani szynkarko dajże nam trzy szklanki poncezu, oprócz czwartej, którą sama wypijesz z nami.

— Sądziłem, rzekł kapitan z uśmiechem, że senator belgijski nie zda się na nie.

— Tak — w senacie, ale gdzieindziej to co innego».

Gospoia w momencie zapaliła poncez i podała go z flamandzką dobroduszością i wesołym pośpiechem, który mię oczarował. Była to niska, hoża i uprzejma wdówka, niezbyt oplakująca nie-

obecnych. Kapitan, ma się rozumieć, zajmował w jej pojęciach pierwsze miejsce; miał nawet względem niej swoje kawalerskie i miłosne przywileje; chwycił w objęcia, całował w przelocie, prawił trzpiotowe żarciki lub śpiewał jej miłosne zwrotki: wszystko to tylko w granicach staktu, to jest nie przechodząc granic swojego Państwa. Nie zwracając na to uwagi wypiliśmy wielką wazę pończu, po czem kapitan wskazał nam naszą sypialnię, łóżko, pantofle i inne akcesorja. Naszą sypialnią była kuchnia; łóżkiem stół kuchenny.

Na wojnie jak na wojnie, na morzu jak na morzu, dodał kapitan; sen wszędzie smaczny; niechże was Bóg błogosławi i ukołysze!

— Czy sądzisz że będę mógł spać na tem? rzekłem do senatora.

— Co ja, to zasnę, odrzekł stanowczo; nie chcesz więc mieć mię za towarzysza łoża?

— Z całego serea; na ochocie mi nie brak.

Wyciągnąłem się na wzmiankowanej pościeli.

— «Czy chcesz od brzegu czy od ściany?»

— To mi prawie wszystko jedno. Jednak jestem za stroną od ściany.

— O! żebyśmy mieli choć poduszkę!

— Jakież z ciebie Serdanapal! Czyż to nie masz dwóch rąk i włosów? Zresztą gdy sen morzy, nie

zważa się na uic; a trochę więcej lub mniej pierza nie nie znaczy.

— To pańskie, mniej lub więcej, jest arcy-doskonałe; lecz zdaje mi się że zajmujesz za wiele miejsca. Pomyśl o tem że jestem na brzegu, i spać mogę; lecz mniejsza o to, wszystkie łóżka równe.— Dobrej nocy.

— Dobrej nocy.

— Powiedz mi szynkareczko! czy przez całą noc nie zaśniesz?»

Szynkarka zarumieniła się.

— «Zdarza mi się często kłaść się spać, ale tej nocy zasnę tylko jednem okiem, gdyż, mam-że wam powiedzieć? Spicie w mojem łóżku.

— Czy słyszysz panie senatorze? Zdaje się że jesteśmy w jej łóżku.

— Rzecz ważna; ale już śpię. Dobrej nocy.

Dobrej nocy».

Po tych słowach przez dwadzieścia sekund było cicho. Nie mogąc się przyzwyczaić do rozkoszy swojego łóżka, zawiązałem znowu rozmowę z szynkarką.

— Czy się ci spać nie chce?

— Nie mam czasu spać! odrzekła ukazując na pieczyki; tej nocy wszyscy upijają się, nawet ka-

pucyni, którzy prosili o pięć kufli piwa i pięć szklanek ciepłego wina. I właśnie piękne rzeczy o nich mówią!

W tej chwili znów przyszedł kapitan prowadząc za sobą dwóch mieszczan flamandzkich, doskonale przypominających burmistrzów Van Ostad'a. Poraz pierwszy w życiu mieli ujrzeć morze. Kapitan mi powiedział, że ci poczciwi ludzie przyszli odetchnąć nieco do kuchni, lecz że mogą spać spokojnie jakby ich nie było, gdyż weale nie są gadatliwi. Po czem, kapitan wyszedł znowu; mieszczanie popatrzeni na siebie przez trzy minuty z rembrantowską powagą; następnie uznali za rzecz stosowną usiąść, naostatek wymowniejszy poprosił szynkarkę o domino.

«Gdzież oni grać będą?» rzekłem sam do siebie.

Od chwili, z łaski kaprysu mej nogi, z jednej strony stołu została przestrzeń nie większa jak na dwie dłonie, prawda że na dłonie flamandzkie; otóż dwaj źle wychowani mieszczanie, opanowali to wolne miejsce i rozpoczęli grę.

— «Mieście się na baczności, rzekła do nich karczmarka; noga tego podróżnego może także nabrać ochoty do gry.

— W samej rzeczy, szepnęłem, śmiejąc się skry-

cie, gdybym chciał, moja noga także by do gry należała.

Jednak pierwsza partja była skończona, a gracze nie wyrzekli ani jednego słowa. Tak szczerze podziwiałem tę ciszę, ja com *słyszał* grających w domino w Paryżu, że postanowiłem uszanować spokojną przyjemność dobrych mieszczan z Berg op-Zoom; zdaje mi się, że się nawet przysunął nieco do senatora, który spał w najlepsze. Lecz niekiedy marzymy z roztrzepaniem: i oto nagle, bez myśli, wyciągam nogę na obiecaną ziemi graczy, a ze dwanaście kostek upada na ziemię; było to uderzenie stanowcze, gra została przerwana. Można tem było zaczerwienić z gniewu graczy francuzkich, a włoskich doprowadzić aż do posinienia ze złości: a wiecież co ci powiedzieli mi na to? Nic, ani jednego słówka narzekania. Podjęli najspokojniej domina i z bohaterskiem poświęceniem się rozpoczęli na nowo partję, tylko wymowniejszy z pomiędzy dwóch odsunął trochę mą nogę, lecz z największą ostrożnością. Tym razem, rzekłem do siebie z wdzięcznością, przysięgam że nie przejdę granic. Zamknąłem oczy i niedbale dałem się unieść pierwszej fali marzeń. Zresztą mówiło mi marzenie, — ci Holendrzy są bardzo rozumni: nigdy nic nie mówią, a robią swoje; nie prowa-

dzą parowój rozmowy, lecz prowadzą żelazną koleją; jadą prosto, bez zboczeń i zygzaków. Byłem w tem właśnie miejscu uwag, lecz zapomniawszy o przysiedze, jak wszyscy którzy ją dają, skurczyłem nogę i oto jeszcze raz zmieszane domina rozsypały się po kuchni. Powiadam najszczerzej, że nie z większym smutkiem wywróciłbym mą chińską porcelanę. Co robić? Wstać i tłumaczyć się. Lecz tak dobrze udawać śpiącego! Gracze jak i uprzednio milczeli z poświęceniem!

Udając wszakże śpiącego, zasnąłem na dobre; lecz nigdy nie miałem snu równie niespokojnego. Zaledwie zasnawszy, zacząłem śnić, że jestem otoczony i pokryty tabliczkami domina: grano u mego wezgłowia, grano na poduszce, w nogach, od ściany; nigdy podwójne sześć nie wydawały mi się tak ciężkimi i trudnemi do położenia; miałem szczególnie na brzuchu grę, która groziła przyduszeniem, nie śmiałem oddychać. Żeby sen trwał jeszcze dwie minuty dłużej, umarłbym niezawodnie, *umarł na obcej ziemi!* Patrz, co za bohaterski dramat! umrzeć raczej, niż zakłócić partję domino!

Na szczęście ocknąłem się i po raz trzeci przewróciłem niewinne kostki pocziwych mie-

szezan z Berg-op-Zoom. Wymówniejszy przemówił wreszcie:

— «Ej do licha! powtórzył zbierając kostki.

— Co tam, co tam, szepnął drugi; hałasujesz dla bagateli. Rozbudzisz jeszcze tych panów».

Zachwycony tą uległością flamandzką przed ciosami losu i mojej nogi, skoczyłem z łóżka, prosząc graczy aby rozszerzyli pole swej zabawy. Szynkarka nie przestała grzać wina i romu, a cała kuchnia była napełniona upajającym zapachem który mię zaczynał odurzać. Wyszedłem na pokład dla odetchnięcia. Na wschodach oprócz włóczęgi i węglarza, znalazłem jeszcze inne rozmaicie leżące postacie, śpiące jak zabite. Bez wielkiego hałasu dostałem się na pokład, gdzie o mało co nie został olśniony od blasku księżyca. Niebo było pogodne, statek płynął z wolna. Gdzie niegdzie przesuwaly się czarne cienie, od czasu do czasu dawał się słyszeć odległy ryk stada wołów stojących w zagrodzie pod odkrytym niebem.

Gdym przechadzał się po pokładzie, zadziwił mię nagle widok płaczącej na ławce kobiety. Pochyliła głowę na balaski pokładu, i przypatrując się spokojnej wodzie kanału, łkała boleśnie. Zbliżywszy do niej poznałem śliczne dwódziesto-letnie



dziewcze, którem mniej więcej był wziął za modystkę z ulicy Vivienne.

Usiadłem przy niej i bez ceremonji biorąc za rękę, rzekłem:

— »I cóż to, jesteś piękną, podróżujesz; nie ma czego płakać.«

Nie mi nie odpowiedziawszy, łkała w najlepsze.

— »Gdybyś była Flamandzką, darowałbym ci chętnie, że mi nie odpowiadasz, ale jesteś Francuzką i, co więcej, Paryżanką...

— Kto panu powiedział? zawołała piękna dziewczyna.

— Twoja śliczna twarzączka. Ej! co tam, możesz przede mną wynurzyć swe troski— troski serdeczne, jak się domyślam; mam ucho dość francuzkie dla wysłuchania ciebie.

— Niestety! »rzekła z westchnieniem.

Nigdy żadna oszukana, zawiedziona, opuszczona kobieta nie wypowie słowa *Niestety!* z większą boleścią».

— »Początek twojej historji nie musi być bardzo wesoły,— mówiłem dalej,— lecz tem lepiej będzie go słuchał.

— Czyż to pan wyobrażasz sobie, że powiem mu dla czego płaczę? nie źle o sobie trzymasz.

— Czemuż nie?

— Nie, nigdy! przerwała z niejakiem wymuszeniem; jest to tajemnica pomiędzy Bogiem, nim— i mną!

— Mnie się zdaje że w tej sprawie Bóg nie ma udziału.

— Bóg, panie, jest wszędzie.

— Na lądzie i na falach. Ale on,— gdzie się znajduje?

— On? Ach! jakże jedziemy powoli!

— Rozumiem. Znajdziesz go w Antwerpii.

— Cóż to? kto pan jesteś? lecz dziwna rzecz, że rozmawiam z panem, gdy mi samej jednej tak byłoby dobrze.

— Smutek jest złym, szczególnie tutaj, gdzie rzeka głęboka.

— Nie boj się pan; moja boleść tak daleko nie sięga. Lecz czy nie znajdujesz pan, iż wiatr strasznie chłodny? powrócę do kajuty.

— Jeżeli pragniesz przytułku odpowiedniejszego dla siebie, zamieszczę cię w osobnej komnacie, albo raczej zostanmy tu; księżyc tak pięknie świeci!

To mówiąc włożyłem mój płaszcz na jej drżące ramiona.

— «Czy pan jedziesz do Paryża? zapytała mnie kryjąc się wdzięcznie w fałdach płaszcza.

— Podróżuję, odrzekłem; nie wiem dokąd jadę. Nie mam tak jak ty, serca na drodze któreby na mnie czekało.

— Mój Boże! mogę panu opowiedzieć tę smutną historję; pomyślisz, iż będę czytała jakąś stronicę romansu.

— A przecież będzie to stronica twojego serca.

— Bardzo dobrze powiadasz; stronica którąbym chciała wygrać na zawsze».

I tak zaczęła:

«Było to przeszłego roku na balu Opery»...

Moja bohaterka była w tem miejscu opowiadania, gdy przytłumiony i groźny szmer dał się słyszeć przez wschody; wkrótce rozróżniliśmy w zamieszaniu głosy wołające: *Do wody! Do wody!*

«O mój Boże! rzekła drżąc cała, zapaliły się zapewne habity kapucynów.»

Zszedłem na dół. Cały okręt krzyczał: jakiś żartowniś zrobił projekt wrzucenia kapucynów do wody; pijani węglarze wzięli to na serjo; znaleźli się obrońcy biednych zakonników; spór był bardzo ożywiony i nader malowniczy. Na-

daremnie krzyczał kapitan z całej siły, że kapucyni byli takimi samymi ludźmi jak węglarze; posądzono go o stronność i nie chciano usłuchać. Widząc grożące niebezpieczeństwo, udałem się miłosiernie do senatora, aby przyszedł w pomoc prawu narodów. Znalazłem go śpiącego snem błogosławionych, lecz co mię zadziwiło, to zupełna spokojność moich dwóch mieszczan z Berg-op-Zoom, którzy ani na chwilę nie przestali grać w domino.

„Czy nie słyszycie, że się tam zabijają?”

—A! rzekł jeden, to dla tego robią tyle hałasu?

—Daj im pokój, rzekł drugi, kładąc spokojnie swą kostkę.”

Powróciłem na pole bitwy: kapucyni ustąpili już nieco z placu, lecz węglarze i węglarki, połączeni w jedno, staczali z nimi straszną ułarczkę; kto nogą, kto kułakiem, tak, że zaledwie biedaczyska odważyli się bronić, będąc zupełnie wiernymi owym świętym słowom: *Nie czyni drugiemu....* Zdołałem jednak przebić się przez tłum cały i rzuciłem się odważnie na plac boju, zachęcając ich do bitwy, a trzymając w odległości węglarkę wywijającą wszystkimi swemi złośliwymi członkami. Kapucyni zdobyli się nakoniec na odwagę, rozwinęli całą

się, i w krótkim czasie odparli zwycięsko swych czarnych przeciwników. Straciwszy w tej bitwie tylko chustkę od szyi, powracałem do ślicznej pasażerki, która miała czekać na mnie na pokładzie. Lecz znalazłem tam tylko senatora, który jako człowiek rozumny, oddalił się jak najwięcej od pola bitwy. »Przybywamy do Antwerpji, rzekł do mnie; czy nie widzisz już tam dzwoniczek oświecających się stopniowo przed świtem?

— Widzę; lecz dla czego masz ten płaszcz w ręku?

— Przybycie moje na pokład spłoszyło jakąś kobietę; chciałem wstrzymać uciekającą i ten płaszcz został mi w ręku.— Nie zupełnie podobna do pani Putyfarowej.»

Zszedłem znowu dla znalezienia zbiegłej. Wlaźła w kąt w wielkiej kajucie, aby swobodnie móż płakać. Kobieta płacząca z miłości jest zbyt piękną w moich oczach, abym ją kiedykolwiek chciał pocieszać.

## XVI.

## B r e d n i e.

**W** Antwerpji trzeba wsiąść do wagonu. W wagonie nie mam kiedy marzyć. Myśl w nim gorętsza niż gdzieindziej; rzuca się jak płomień, pochłania przestrzeń, oślepia mię, lecz nie daje cichych rozkoszy marzenia, marzenia beczynnego i lubego, rozwijającego się w tysiącznych poetycznych zwrotach, które błądzi, zatrzymuje się i znowu powraca. Podróżując koleją żelazną, nie ujrzycie nigdy tych rojów widzeń unoszących was zdala od ziemi w swych powiewnych szatach. Sądono, że para będzie wojowała z czasem, że go prześcignie, zatrzyma w biegu, i da ludziom chwilę wytechnienia,— lecz czas leci tysiąc razy prędzej od lokomotywy; nie ma ani jednego wędrownego ptaka, ani jednej burzliwej chmury, ani jednej myśli ludzkiej, którejby nie wyprzedził.

Czas! czas! jakże go schwycić lub zatrzymać? Przypominam sobie pewną wiosnę miłośnie przepędzoną w górach pomiędzy lasem, młynem i strumieniem.— *Wtenczas miałem czas!* Siadałem

Na brzegu wody i widziałem, że żyję, biegałem po lesie i czułem, że żyję. Dzisiaj, gdy otwieram podwoje tej jasnej przeszłości, jaśniejszej młodością, widzę jak me życie mija zwolna, jakby jedna z obcych mi muz. Minione czasy, szczęśliwe czasy! w nich to żyjemy, w nich, zawsze w nich. Jak podróżny z ciekawością dążący naprzód, lecz nie ciekawy widoków, które ma przed okiem, wspinamy się na górę ze ślepym zapałem, w pośród trudów i cierpień podróży, odwracamy się i z zachwytem spoglądamy na piękne doliny na zawsze przez nas zostawione za sobą. Niestety! przechodząc, nie zadaliśmy sobie pracy przypatrzenia się im. Zaledwieśmy widzieli przydrożne drzewa okryte kwiatem, gęste krzewy otaczające ścieżki, kilka odkrytych miejsc na łąkach, kilka pozłocistych obłoków na widnokręgu. Teraz gdyśmy wyszli z ogrodu Armidy— czyż Armida nie jest młodością?— znajdujemy w nim tysiąc i jeden dotąd nieznanych skarbów: ocienione zacisza, pełne woni, w których marzy poeta; lasy zlekka kołysane wiatrem w których trzeba przechodzić przez tajemnicę życia i serca; tryskające strumienia, żywe źródła rozkosznej miłości, w których tak byłoby miło zanurzyć swe spragnione usta, zwłaszcza dziś, gdy się już nam ukazały blade nagrobne kwiaty.

Dla czego romansopisarze tak zeszpecili góry w swych nieustannych obrazach! Przynajmniej nie opisali mojej, która tam jeszcze stoi dumna i poetyczna, obciążona rodzajnymi winogronami! Poznajemy się zawsze, ja ją pozdrawiam, ona do mnie przemawia, jak za dobrych czasów. Opowiada mi wszystko, co było rozkoszą mych lat młodzieńczych. Tam to muza w wolnych chwilach śpiewała we mnie swe cudne pieśni; lecz uciekałem ztamtąd sądząc, że poeta na to stworzony, aby pisał wiersze, jak gdyby w sereu znajdował się słownik rymów! Czyż mi się nie zdarzyło to samo, co podróżnemu, który odwróciwszy się widzi wszystkie piękności jakiejś okolicy, gdy już do drugiej wchodzi. Widziałem poezją tylko zdala od niej; gdym pisał wiersze byłem-że jeszcze poetą?

Leez wspomnienie jest życiem całym; zdaje się, że z przydrożnych kwiatów zbieramy tylko miód wspomnienia.



## XVII.

**Filozofija podróży.**

Przebyłem dwa razy Rembranta krainę,  
Krainę majtków, pogrążoną w wodzie—  
Gdzie Ocean dumny bije się o tamy,  
I gdzie Ren rozlany nie jest już potokiem.

Łąka gęsto porośla, widnokrąg szeroki;  
Stwórca tutaj jak wszędzie sypnął hojną dłonią....  
— Jednostajność ta w doli męczy nas nareszcie;  
Lecz zawsze ta kraina ujmuje i nęci.

Czyliż to dzieło boże podziwiam w przelocie?  
Dla czego mię zachwyca krajobraz ponury  
Gdzie tylko ryczą woły leżące wśród wody?

O! bo widzę nanowo bogatą przyrodę,  
Gdzie Berghem, Ruysdael cały świat stworzyli;  
A na każdym tu miejscu spotykam obrazy.

Znajduję znowu trzodę, co tam trawę żuje  
Na łące Pawła Potter, ocienionej młynem;  
— Jasnowłosa wieśniaczka idąca len zrywać,  
Do strumienia Berghem'a przybliża się boso.

Tam w lesie Ruysdala przy świetle promiennem,  
Widać potok prześliczny! Zachodzące słońce

Uśmiecha się do knajpy, gdzie pełne kielichy,  
— Do tej knajpy Brauwer'a rumianej od trunku.

Gerarda widzę Dow'a w nadpowietrznem oknie,  
Tam dalej Jordaensa— rumiane dziewczęta!  
Pozdrówmy i Rembranta pięknego w łachmanach!

Tak, Holandyo, znam ciebie z twojem srebrnem czołem;  
W Luwrze jest twoja łąka i twoje stworzenia;  
Lecz widząc te dwie rzeczy, nie widzę natury?

---

Malarz wielki jest bóstwem co ma ogień święty;  
Pod jego mozną dłonią oddycha przyroda:  
Nie słyszycież jak u niego oddychają lasy?  
Nie czujecież tej świeżej woni jego łąki?

Jak na brzegu kanała pod czerwonym niebem  
Ta krówka wypasiona zwiedza państwo swoje!  
Jak w tem wnętrzu Van Ostade czuje się natchnionym!  
Obraz się ten wesoły ożywia i mówi.

Naiwny, cichy kraju czarujesz mą duszę,  
Tak, twe dzieci stworzyli tobie drugie życie,  
Ukwieca ich wspomnienie drogę, którą jedziem.

Tak, w skutek ich arcy-dzieł, co są chlubą zbiorów,  
Poezya nuci piosukę wśród twych łąk przestrzeni,  
Na wzór słońca, co naszym uśmiecha się zbożom.

**P A R Y Ź.**  
**PODRÓŻ W OKNIE.**

---

**I.**

**Jakim sposobem powzięłem myśl tej podróży.**

---

**Z**WIEDZIEM krańce widzialnego i niewidzialnego świata— objechałem Wenus z Milo, całą starożytną sztukę; uwielbiałem postacie Prudona, całą sztukę nowożytną.— Przebiegałem promieniste sfery Platona— czyli świat dawny;— wstąpiłem aż na Kalwaryę z Chrystusem— świat to nowy; mieszkałem we wszystkich idealnych republikach; byłem wszędzie, wszędzie i jeszcze dalej; siebie nawet obejrzałem do koła, co się nie zdarza żadnemu podróżnikowi. Lubiąc podróże, nie wie-

działem już gdzie jechać; aż w tem jednego poranku, gdy słońce, jak zazwyczaj, wstało raniej ode mnie, przyszła mi chętka otworzenia okna, dla zamknięcia okienicy. Słońce mające kochliwe usta, tuż zblizka koło mnie pocałowało śliczną twarzą, uśmiechając się uśmiechem nad uśmiechy w moim pokoju po nad stołem, na którym pisałem,— gdyż dzisiaj nie piszę; lecz— opowiadam.

Słońce jest niebezpiecznym rywalem, kiedy mamy kochankę malowaną pastelami.

— Słońce, przyjacielu, rzekłem do niego szukając perskiego pantofla, jeżeli temu nie zaradzę, nie przestaniesz nigdy całować, idź spać.

Było to nieco familijarnie: więc słońce odpowiedziało mi takim samym tonem, że nie ustąpi ani jednego pocałunku, że karmiło się różami, i że będzie jadło na śniadanie moją postelową twarzą, dopóty, dopóki się jeszcze coś w niej znajdzie do zjedzenia.

W gniewnej zazdrości rzuciłem mu w twarz okienice.

Jednak stałem i nie wiedziałem co zrobić z me- mi nogami i z moim czasem. Samotność pochylona nad kominkiem, radziła mi iść do niej, lub przywołać ją do mojego łóżka. Nie trzeba nadużywać niczego nawet samotności. Tego rana

straszyła mię swą czarną szatą wyszywaną iza-  
mi; żałowałem żem słońce, mego przyjaciela,  
wyrzucił przez okno; otworzyłem śmiało okieni-  
cę dla przekonania się, czy jeszcze był czas go  
odwołać. Było zapóźno; zapekało ono sobie  
twarz— nie wiem już jakim obłokiem paryzkim,—  
tym poczeiwym obłokiem, który przez większą  
połowę roku służy nam za parasol. ] Wszakże nie  
kazało długo czekać na siebie, i bez gniewu rzu-  
ciło się w moje objęcia.

Nie byłoby od rzeczy powiedzieć ci kochany  
czytelniku kto jestem,— gdyż jeżeli jestem do-  
brym towarzyszem drogi, będziesz ze mną po-  
dróżował od trzech, do czterech godzin.— Otoż,  
kto jestem?— Nie wiem wcale. Poznaj sam sie-  
bie, powiada mądrość narodów; głębokiego zna-  
czenia słowa. Gdyż w istocie, znamy swojego  
konia, swoją kochankę, swego psa i przyjaciela,  
są mężowie znający nawet własne żony; lecz  
kto z nas kiedykolwiek zadał sobie pracę wej-  
ścia w samego siebie z nicją Arjadny, aby się  
tam niezabłąkać?

Ulissesa poznał pies jego Argus. Ale Ulisses  
nie poznawał sam siebie. Dóm ten sam, mniej  
więcej tylko nadwerężony niepogodą, lecz wiele  
się razy zmienili jego mieszkańce! ileż nowych mi-  
łości nastąpiło po pierwszej, ile marzeń po pierw-

szém marzeniu, ile łez po pierwszym wybuchu śmiechu!

Przypatrujemy się jak inni żyją; lecz nie mamy czasu przypatrzenia się własnemu życiu. A wszakże, gdy musimy robić tyle złych znajomości, czemuż nie zaznajomić się z sobą? Możeby było lepiej żyć z sobą, niż z innymi ludźmi.

Co do mnie jestem jeszcze na pierwszej stronie mojej książki, nie znam zupełnie *pierwszego tomu*— mojego serca,— *ani drugiego*, mojego umysłu.

Nie darmo podszedłem do okna, słońce, mój zwyczajny współ-pracownik, świeci się na mojem czole i osypuje je tysiącami kwiatami marzenia. Oskubię je nad pierwszym i nad drugim tomem.

Nie miejcie nigdy żadnych innych książek tylko te,— serce i umysł,— światy— widzialny i niewidzialny.

Zawsze będę więcej ufał filozofji badającej życie w powszechnej księdze tego pięknego, otoczonego błękitną i purpurową jasnością świata, niż filozofji badającej żywot w powszechnej bibliotece.

Świat jest księgą przez Boga napisaną, a objaśnianą przez ludzi. Podróżować jest to czytać

tę piękną księgę, w której pozostaną zawsze prześlepione karty.

Są podróżnicy nie zważający na objaśnienia— filozofowie i poeci; są także czytający tylko same objaśnienia— uczeni i ludzie ciekawi, którzy się z uszanowaniem zatrzymują przed pieśnią Homera, płaskorzeźbą Fidjasza — i starożytnym freskiem Zeuxisa. Tacy autorowie objaśnień godni uwagi. Sam Bóg musi się uśmiechać do tych, którzy tak głęboko wytlómaczyli pismo święte:— wydanie to natury z dopiskami Homera i rycinami Zeuxisa lub Fidjasza!

Otoż jestem w drodze. O! gdybym jeszcze miał towarzysza!

Panie Kupidyńie wielki zwolenniku przygód, coś tak często przychodził marzyć na moim balkonie, czyż cię nigdy nie ujrzę inaczéj, jak tylko na malowidle? Czyż i mnie skażesz na dziewicę Helikonu?

Czy zapomniałeś o naszych pięknych wybrykach? Nie gubiliśmy się w niebiosach jak Ixion. Dziś, coś uczynił z twojami strzałami maczanemi w pucharze, z którego Wenus namiętność popijała?

Czyż dla posiadania pieniędzy tyś je roztopił? Twój kołczan nie jest-że już niczém więcéj jak tylko workiem policzonych dukatów! Cós uczynił z gronem roztrzepanych nimf, zwywających świat do swawolnych roskoszy?

Czyś umarł w objęciach méj kochanki na podwójném wzgórzu, gdzie się śnieg rumieni? Jeżeli nie dasz odpo-

wiedzi sercu memu, które cię wzywa, na naczelnym marmurze napiszę: *Tu spoczywa.*

Tu spoczywa ma młodzieńcza miłość, nie płaczcie! Grób jój, na którym już się nie jedno rozbiło serce, jest miękkim łóżem, wysłaném gołęmbim puchem.— Narodziła się z uśmiechu, umarła od pocałunku!

Lecz miłość jest jak wiosna: uśmiecha się wśród szronu, śniegu i gradu, noc napawa wonią i kwitnie przy grobach. Miłość umarła, niech żyje miłość! Kto wie, patrząc przez okno.....

## II.

### Co przez okno widzimy.

**A** NAJPRZÓD niech pozdrowię moje okno, jak Alcion pozdrawiał okręt mający go zanieść do nieznanых wybrzeży.

Okno! Na to jedno słowo ileż to znikłych marzeń powraca, aby znów unosić się koło mnie! Okno! Cała młodzież paryska jest w niem,— młodzież namiętna, umysłowa, poetycka, bezczynna, marząca o miłości i o sławie. Kto z nas nie rozpierał się na łokciach pomiędzy kominami



i rynami na brzegach dachu, jak śpiewające ptaszki, które ma w świat ulecieć? O! jak-że się wtenczas w naszych oczach wszystkie kobiety wydawały pięknymi! Co za urocze kibicie! jak drżące usta! jakie uśmiechy ze śniegu i purpury! Były to coś więcej niż kobiety, były to urojenia idealne! Z jakim wdziękiem, mijając, rzucały na nas urok młodości! Szczęśliwy, szczęśliwy, kto w dwudziestym roku życia wsparł się na oknie w towarzystwie swojego cygara i swoich marzeń.

Jeżeli się szczęście gdziekolwiek znajduje to pewnie w oknie. Powiedział to Bernardin de Saint-Pierre, sadząc te sławne truskawki, które dlań były światem przez cały ranek.

Gdy nie mam co robić— a i tobie czytelniku zdarza się to czasem— otwieram okno i podróżuję. Podróż w oknie! otworzyć okno, nie jest-że to świat sobie otworzyć? Mam tę wielką korzyść przed inszymi podróżnikami, iż nigdy nie wiem dokąd jadę. Czasem zstępuję na ulicę, ulicę, którą tak lubiła pani Stael, aby dążyć w ślad za pewnym pojazdem, którego herby noszę w mem sereu; niekiedy ulatuję w prześliczne strony, gdzieś tyle zbudował pałaców; czasem się unoszę w obłoki dla obaczenia, jak aniołowie robią gnia-

zda; albo — lecz nie wczorajszą, ani jutrzejszą podróż chcę wam opowiedzieć — podróż dzisiejszą.

Zbliżająca się wiosna rzuca nam gdzieniegdzie przez obłoki swoje pierwiosnki. Paryż rozweselony promieniem młodości; w oknach więcej słońca, na ustach kobiet więcej uśmiechów.

Ta, która tam idzie sobie od niechcienia, jakże jest piękną; doprawdy, możnaby ją wziąć za portret zrobiony przez Murillo. Jakie ogniste oczy! jak czarne włosy! jaka pleć lskniąca! Jest to paryska Hiszpanka; z jej swobodnych ruchów, znać od razu jej krainę. Gdy powiadam, że jest paryską Hiszpanką, muszę dodać, iż należy do trzynastego cyrkułu. Ma ona prawo żyć wolnym powietrzem, a ubrana jak się podobało Panu Bogu i jej kochankowi. Szezęśliwe dziewczę, jak dobrze znosi swe ubóstwo! Nie posiada parasolika, ani kapelusza dla zakrycia się od słońca, lecz jest-że mniej piękną? Na wzór kwiatów długo-trwałych kocha słońce; słońce, po miłości — jest jej życiem.

Oto zatrzymuje się przed kwieciarką, której głos chrapliwy prześladuje przechodniów. Bukiet bzu jest dla niej całym romansem. Ileż to razy za bukiet bzu widziała w swem życiu nowy rozdział. Są studenci nie oświadczający się w inny sposób; oddawszy bukiet wypowiedzieli wszyst-

ko. Przypina się on do gorsetu, wieczorem rzuca się w kąć pokoiku, po trzech tygodniach podnosi się przypadkiem, lecz zwiędły, jak miłość, która go napawała wonią; raz jeszcze odetchnięto jego wonią, smutny uśmiech przebiegł po ustach; rodzą się wspomnienia, ociera się łza z oka i bukiet zawiesza się przy kotarach, jak zwiędła różeczka Palmowej-niedzieli.

Otoż, zatrzymała się przed kwieciarką, podobnie, jak się zatrzymywała przed inszemi kramami. »Gdybym miała pieniądze!» Oto wykrzyknik wyrrywający się jej po tysiąc razy na dzień przed każdą pokusą zbytku lub przyjemności. Biedne dziewczę z trzynastego obwodu nie ma nigdy ani jednego dukata w gotówce. Wyjmuje z kieszeni dwa soldy, połykając wzrokiem, najpiękniejszy bukiet bzu będący w koszyku.

W tej chwili wzrok jej zostaje odwrócony w inną stronę żalonym głosem ubogiej kobiety, siedzącej na sąsiednim słupku w bramie z dzieckiem przy piersiach bez mleka. Na widok bladej twarzy, poranej cierpieniem i nędzą, piękne dziewczę, tak hoże i wesołe smutnieje nagle. Ta kobieta, jeszcze tak młoda nie jest-że jej siostrą w niedoli? krok tylko jeden przedziela te dwa losy. »A gdybym jej oddała moje dwa su!» tak przynajmniej zgaduję jej myśl z wy-

razu twarzy. Z wielkiem mojem zadziwieniem odwraca się do koszyka z kwiatami. Widząc ją wybierającą bez i płaczącą kwieciarce, nie przewidywałem jej nieporównanego miłosierdzia: powąchała gałązkę i podszedłszy smutnie do biednej matki siedzącej na słupku, rzekła: »Masz, pani!» i poleciała, jak ptaszek lekka i szczęśliwa, że ubrała nędzę w uśmiech wiosenny.

Nieszczęśliwa pojęła; odetchnęła zapachem bzu, ocierając łzy: »Niech cię Bóg długo prowadzi» — rzekła dając wzrokiem za dziewczęciem.

Lecz oto na przeciw mojego okna otwiera się drugie okno; widzę wewnątrz z przedmieścia Saint-Germain: tam to już od dwóch lat pan i pani de\*\*\* napawają się długo-promiennym miodowym miesiącem. Jaka to wrodzona wykwićność! jak znać od razu dobre towarzystwo! Patrzenie: młody wice-hrabia nachyla się w oknie paląc cygaro; młoda wice-hrabina opiera się na ramieniu męża czytając dziennik. Dziennik i cygaro oto dzisiejsze życie; dawniej rozmawiano, dziś czytają. Zeby to jeszcze dzisiejszy dziennik był tak dowcipnym, jak miłe dawniejsze pogadanki! Towarzystwo francuzkie upada, dzięki czasopismom i cygarom; znikły już piękne zwyczaje, śliczne wysłowienia się i ładne manjery. Cygaro zabiło wykwićne obejście się, dziennik zabił roz-

mowę. Jakże robić madrigały z cygarem w ustach? jakże się odzywać do ludzi, którzy przeczytali dziennik? Wszystko, co można dziś powiedzieć już wczoraj było wydrukowane.

Wolę mój wzrok i moją myśl skierować wyżej o trzy piętra. Wolę to okienko malownicze na poddaszu które się zdaje spoglądać w niebo; tam się znajduje szczęście, jeżeli mam wierzyć tym trzem wazonom z białemi i czerwonemi krzakami kwiatów, wyniesionemi na słońce przychylną dłonią. Przez długi czas nie wiedziałem kto mieszkał tak wysoko. Widziałem codziennie młodzieńca stojącego w oknie, jak statua całemi godzinami. Gdyby choć raz wziął do rąk pióro lub ołówkę wniosłbym z tego że jest poetą; lecz on na to za rozumny: jest on najdoskonalszym hultajem, nie tracącym ani godziny w życiu w niedorzecznych walkach tego świata. Od dziesięciu lat obiecuje sobie wybrać stanowisko, lecz nie chce tak prędko nic postanowić: przestawać na małym, żyć swobodnie, zupełnie niezależnie—oto jego filozofija. Lubi kwiaty, polewa je z przyjemnością, wacha z zapalem, nawet kiedy nie mają już zapachu. Lubi ptaszki, i rzuca im na dach okruszyny ze swojego stołu. Ptastwo dziubie nawet aż na jego rękę. Lecz kocha on nie tylko ptaszki i kwiaty: spostrzegam u niego w rogu przy

kominku jasnowłosą dziewczynkę śpiewającą arję z opery komicznej. Powstaje ona, aby się przypatrzeć łapczywym ptaszkom. Podchodzi cicho, i wsuwa swą śliczną twarzyczkę, pod rękę filozofa: jest to dobrowolnie poddać się miłośnym więzom; dość filozofowi zniżyć głowę dla pocałowania najpiękniejszych w świecie włosów. Spostrzegam tu, że zamiast pióra do pisania podróży, potrzeba by mi było pędzla.

Co słyszę? ostre dźwięki fortepianu, z kąd te krzyki wychodzą? Niestety! wyrzekłem fortepianu, lecz jest ich ze dwadzieścia koło mnie. Są one wszędzie, nawet i u mnie; ależ zawsze trzymam klucz w kieszeni.

Jakiś powóz zatrzymuje się przed Petit-Saint-Thomas. A! otóż stępuje śliczna nóżka! bez wątpienia jest to nożka dobrze urodzona; w samej rzeczy, poznaję konie księcia\*\*\*. Księżna wchodzi niedbale do magazynu zbytków paryzkich. Zapalę tymczasem cygaro nim ona wybierze gałganki. Zaledwie zapaliłem cygaro, a ona już wsiada do pojazdu. Teraz księżno, podnieś sztory, abym się ci mógł lepiej przypatrzeć. Z ciekawością córki Ewy rozwija kupioną suknię: upuszcza ją; zdaje się iż słyszę serdeczne śmiechy, odwala się w pojeździe w wybuchu wesołości. Doprawdy jest z czego śmiać się; w ma-

terji z pod Petit-Saint-Thomas, znalazła bukiet, który zalotny komisant sekretnie w nią wsunął. Konie parskają; powóz leci, bądź zdrowa mości księżno!

Czy tylko nie Lamartina widzę tam marzącego o losach narodów? Niestety! nikt przechodząc nie spostrzega człowieka, który narobił tyle hałasu: nie zajmuje na ulicy więcej miejsca jak mieszczanin wystrojony w niedzielę. Więcej znaczą wdzięki niż gienjusz,— nie tylko na ulicy; ale i wszędzie prawie. Spojrzeć tylko, jak wszyscy się odwracają dla przypatrzenia się tej młodej damie, będącej uosobioną pięknnością; sam Lamartine nawet odwrócił się. O! pani, gdybyś ty wiedziała kto to się tak odwrócił!

Lecz dokąd-że ona idzie o tej porze!— To do mnie nie należy. Co za wschodnia niedbałość, a jednak jaki krok niespokojny! Lubię te błękitne oczy, przypominające mi najczystsze utwory kołońskich mistrzów. Lecz oto powraca. Cóż takiego mogła zapomnieć? Dla czego tak podnosi oczy ku dwóm oknom w których powiewają koronkowe franki? Niestety! niestety! ta kobieta idzie od swojego męża, a dąży do kochanka.

Aż nadto dobrze zgadłem. Młodzieniec z szarą wąsami i kędzierzawym włosiem, nachyla się sentymentalnie w jednem z okien i zaczyna

rozmawiać oczami z moją pięknnością, która spuszcza głowę zarumieniona i chwieje się w upojeniu. Czyż nie nadarzy się jaka przeszkoda na korzyść męzowskiego honoru? Czy ta kobieta tak piękna i tak przewrotna nie zapadnie czasem w ziemię w oczach kochanka skarana przez niebo? O! niebo się do tego nie miesza. Powabna grzesznica przestąpiła próg bramy; ucieka jak cień i wbiega na wschody. Jej kochanek odchodzi od okna rzucając przechodniom zwycięzki uśmiech; niegodziwiec! ma minę, jakby mówił do nas wszystkich, przedstawiających społeczność: «Ruszajcie sobie z Bogiem».

Nie widzę nic więcej oprócz koronki kołysanej wiatrem. Dama nie ukazuje głowy w oknie; lecz zupełnie straciłem ją z oka: długi czas będę widział jeszcze bladość, namiętny smutek, nieporównany wdzięk tej twarzy, arcydzieła nieba i piekła.

Gdy ją spotkam w towarzystwie, gdyż znam ją bardzo dobrze, czyż wspomnę o dniu w którym Lamartine podziwiał jej wdzięki?



## III.

## Powieść, którą trzeba opowiedzieć kobietom.

## I.

Czyż waszej duszy nie przytrafia się czasem opuszczać rano swego mieszkania dla pobiegania po świecie swawolnie, niedbale i z ciekawością, nie wiedząc azali za powrotem znajdzie drzwi otwarte? Moja dusza lubi przygody, wylatuje często nie mówiąc dokąd dąży, a to dla tej prostej przyczyny że sama nie wie; zostawuje klucz we drzwiach, nie bojąc się okradzenia. Jednak zdarza się czasem mojej duszy, że za powrotem znajduje zajęte moje serce, co ją wszakże bynajmniej nie gniewa.

Wezoraj wylatywałem przez okno, zostawując w zadumaniu gróma, który mi przynosił rachunek do zapłacenia. Moja dusza lot swój rozwijając nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Wierzyciel posłał mię do djabła, lecz sam go uprzedził.

Udałem się do Tiuljerów, latając jak ptaszek z gałązki na gałązkę— z kobiety na kobietę,— to raz zatrzymując się na nawpół przykrytém ra-

mieniu, to znowu na puklu włosów. O! piękna to była podróż!

Nazbierawszy tu i ówdzie miodu miłości, jakby się wyraził poeta, przyczepiłem się na długo do bukietu z barwinku, który trzymała w ręku kobieta subtelnie piękna. Na końcu ręki, do bukietu, gdy mogłem tak się dobrze gdzieindziej umieścić! powiecie mi z zadziwioną miną.— Na to odpowiem że bukiet z barwinku nie zawsze był w ręku damy. Przy końcu Tiuljerów odwróciła się mówiąc: «Co za dzieciństwo! On tak daleko». Chciała powrócić, lecz po chwilowem wahaniu się, postanowiła iść naprzód. Po kwadransie różnych zakrętów, stanęła przed drzwiczkami małego parku w bliskości pól Elizejskich. Zadzwoiła; wysoki lokaj przyszedł otworzyć i zapytał co rozkaże.

«Idź sobie» odrzekła,— i udała się najciemniejszą aleją. Potem zaczęła mówić o swoim sercu do swojego serca: Dziwna rzecz doprawdy, że samo wspomnienie tak mię może upajać gorzką rozkoszą. Jakto! wicznież będę żyła w przeszłości? Jakto! nie zrzucęz tych okowów ze zwiędłych kwiatów? nie będęz miała odwagi dumy i kokieterji? Cóż to! wszyscy mi oni będą dowodzili żeś najpiękniejsza i najbardziej kochana.

ja będę wierzyła tylko w miłość która nie  
tyje!

Poznałem, że to była pani margrabina de Monte.

Cała wykwintna młodzież naszyel czasów wi  
działa lub zgadywała piękną margrabinę de Mon-  
te. Załuję tych którzy jej nie widzieli. Nie-  
wiedziano nigdy czy była wdową czy rozłączoną  
z ciałem margrabiego de Monte. Co do mnie,  
nie zdarzyło mi się słyszeć nigdzie o tem nazwi-  
sku, jak tylko w herbarzu. Margrabina przyje-  
chała do Paryża około 1846 roku po kilkoletniej  
podróży po Włoszech. Żyła na wielką skalę.  
Najęła pałac na przedmieściu Saint-Honoré; o-  
bryzgała cały Paryż światło-błękitnym koczykiem  
ozdobionym pysznemi herbami. Pomimo rozgłosu  
o zbytkach, nie zdołała dostać się do arystokra-  
tycznego towarzystwa. Ze złości, margrabina na  
łamane szyi rzuciła się w towarzystwo kobiet  
*emancypowanych*. Zbyt wiele czasu zajęłoby o-  
powiadanie wszystkich szczególności tego nowego  
świata. Pani de Monte— nie była jedną z ostatnich;  
w porę kładła swą śliczną nóżkę na tafle od ko-  
minka; dawała polityczne wieczory do których  
przypuszczały się kobiety nie inaczej ubrane jak  
amazonkach; paliła cygaro idąc piechoto i sie-  
dząc na koniu; co więcej, założyła jedną czy  
dwie nowe religije. Słowem stała się we wszyst-

kiem najdoskonalszą kobietą wyzwoloną. Co szczególnie uwydatniało wszystkie jej dziwactwa, to jej dowcip i twarzyćka. Dowcipną była strasznie, piękną jak anioł i jak djabełek.

Jednak służący przerwał marzenia pani Margrabiny.

«Dano do stołu», rzekł, podchodząc do ganku.  
— Nie chcę jeść, — odrzekła.

Co jej wszakże nie przeszkodziło pójść prosto do stołu. Położyła barwinek i zaczęła jeść jak podróżująca Angielka, lub jak światowa kobieta obiadująca w domu.

«Czy pani margrabina dziś wieczorem przyjmuje gości? — Oto pan de Brunel.

— Wprowadź go do małego salonu i otwórz mu okno na park wychodzące. — Niech poczeka z pół godziny, rzekła sama do siebie margrabina; referendarz tymczasowo pełniący obowiązek, przyzwyczajony do czekania».

Po chwili dodała:

«Kto to jeszcze zadzwonił, Germainie?

— To pan Teobald du Boys.

— A! tak, pan du Boys, rzekła z cicha. — Niech się uda do małego salonu, Germain'ie. Będzie bawił referendarza. Będą wspólnie narzekać na moją surowość. Lecz jeszcze słyszę dzwonek.

— To pan Juljan de Rosoy.

— Juljan de Rosoy; powiedz niech tu wejdzie. Poeta nigdy źle nie wygląda u stołu».

Wszedł Juljan de Rosoy.

— Dobry wieczór panu, siadaj proszę, a obrywając to winne grono opowiadaj mi o czem mówią w świecie ludzi rozumnych.

— Mów raczej pani, ludzi ubogich na duchu.

— Ale cóż mówią wreszcie?

— To co się dziś drukuje.

— Cóż się dziś drukuje?

— Co się drukowało wczoraj.

— Przejdźmy tedy do małego salonu, jest tam ktoś, zdaje mi się, który już od dawna jest wydrukowanym.»

Mały salon margrabinej był arcy-dziełem zbytku i sztuki. Mahomet by go wybrał na jeden ze swoich rajów. Był w nim kominek z białego marmuru podtrzymywany przez dwie prześliczne karjatydy rzeźbione przez jakiegoś nowego Coustou; nigdy widok kształtniejszych głów nie zachwycał wzroku. Na kominie zegar srebrny rznięty, doskonałej roboty, przypominał na pierwszy rzut oka najcudowniejsze fantazje florenckiego złotnika. Dwa bukiety rozwijały się w dwóch naczyniach z tego samego kruszcu i w takimże stylu. Zwierciadło było otoczone arabeskami z pereł uwydatniającymi się na ramach

z ciemno-niebieskiego axamitu. W zwierciadle Diaz wymalował amorki i kwiaty. Cały budoar był wybity niebieskim axamitem z różnemi srebrnemi ozdobami. Meble mogły się nazywać cackami. Dywan perski głaskał stopy margrabinej. Korónkowe franki powiewające w oknach, mogłyby służyć do ubrania dwudziestu wielkich dam. Naprzeciw kanapy obitej błękitnym axamitem, dawał się widzieć portret bladego młodzieńca, który nie miał wcale zadziwionej miny, że tak dobrze był umieszczonym. Mówiono do siebie z eicha iż to był kochanek magrabiny. Ona nigdy o nim nie mówiła. Pod tym portretem, na wyłacanej konsoli stał wielki japoński wazon; w nim wysychały od dawna zwiędłe bukiety. Okno z tego buduaru, jak już nadmienilem, wychodziły na mały park pałacowy.

Gdy margrabina weszła z Juljanem de Rosoy, panowie Brunel i du Boys stojąc w tém oknie przypatrywali się sobie.

Nie chcę powtarzać wszystkiego co się powiedziało tego wieczora w owym cudownym saloniku. Znacie cztery osoby: światowa kobieta żyjąca dawniejszą miłością, referendarz w tymczasowym obowiązku, elegant z bulwaru de Gaud spodziewający się urzędu pod-prefekta, literat,

to jest literat szlachcic, który żyje z dnia na dzień miłością i dowcipem.

Ma się rozumieć że panowie de Brunel, du Boys i Juljan de Rosoy starają się podobać pani margrabinej, która, bez wątpienia nie bierze im tego za złe, dla tej prostej przyczyny, że się nie obawia aby ich mogła kochać.

## II.

Dusza moja zawsze była w bukiecie z barwinku; podziwiałem, słuchałem, oddychałem swobodnie i zdało mi się że w raju. Nagle referendarz zakłócił me szczęście niedorzeczną prośbą.

•Pani margrabino, rzekł z ukłonem, masz w ręku najpiękniejsze barwinki jakie mi się zdarzyło kiedykolwiek widzieć».

A Teobald zaczął wychwalać bukiet, a poeta układać madrigał.

•Mój Boże! rzekła margrabina, jeżeli ci się tak podobają— są jeszcze inne w parku.

—Lecz te kwitły w twem ślicznem ręku, dodał poeta. O! żeby tylko trzeba było dla zaszczytu na nie, napisać poemat epiczny...

—Co mówisz? Przestraszasz mię!

—Gdyby dość było wyścigu konnego, rzekł dandy.

—Gdyby dość było przepłynąć przez Bosfor, dorzucił referendarz.

—A panowie nie myślicie o tem, przerwała żartobliwie margrabina, że bukiet dawnoby zwiądnął zanim byście dokonali tych prac herkulesowych. Radzę wam lepiej wszystkim trzem szturmować dowcipem. Kto będzie dowcipnym za czterech otrzyma zwycięstwo.

—Przy pani, rzekł referendarz, nigdy nie będziemy mieli dowcipu.

—Wiecie że się nudzę, ciągnęła dalej margrabina;— opowiedcież mi jaką piękną bajkę na wzór sultanki Szecherezady.

—Nie jestem romansopisarzem, wyrzekł z dumą pan de Brunel.

—Nie masz się od czego bronić, mówiła margrabina.— Jeżeli nie chcesz czegoś opowiedzieć, będziesz wyłączonym z liczby współubiegających się o mój bukiet z barwinków.

—Chcę należeć do współubiegających się; lecz cóż mogę pani opowiedzieć?

—Jeżeli nie masz wyobraźni, masz nieco pamięci. Opowiedz mi jaką piękną historję w której sam brałeś udział.

—To co innego, rzekł *lew* nadymając się; mam w mem sercu wiele podobnych historyj.

—I ja także nie jestem w kłopotcie, dodał referendarz.

—A więc słucham was panowie.



—Zaczynam przeto bez dalszych wstępów».

Referendarz opowiadał ciężko pospolitą miłosną powieść, której sam był bohaterem. Margrabina słuchała wszakże z zajęciem właściwem ciekawości kobiecej. Nie powtórzę wam bynajmniej tej historyi, ani drugiej opowiadanej z różnemi minami przez pana du Boys, sądzącego że już ma bukiet w ręku.

«A pan, rzekła margrabina zwracając się do poety z wyraźniejszem współczuciem, co masz mi do opowiedzenia? słucham go.

—Nie pani, wybąknął Juljan de Rosoy z najbardziej stanowczem postanowieniem zachowania milczenia. Cóż ci mogę opowiedzieć? Dusza moja nie jest pospolitą księgą, którą wszyscy mogą dowolnie otwierać i przerzucać karty. Jest ona tajemnym poematem, jaki śpiewam sam sobie w smutku i samotności. Niekiedy wylewam ją miłość w hymnach, strofach i sonetach; lecz na prawdę proza opowiadana nie godna tłómaczyć tego co ta miłość wypisała».

To mówiąc, Juljan de Rosoy z miną natchnioną położył rękę na sercu.

«Komedjant! pomyśliła margrabina. Ale zawsze, dodała głośno, winienes mi pan historję; gniewa mię pańska tajemniczość, musisz wszakże z kolei głos zabrać».

Poeta spojrział na portret; i nagle myśl mu błysnęła.

«Jest to natchnienie nawiedzające mię z góry, rzekł szukając czegoś w pamięci. Nie moją to opowiem historję dla zajęcia jej serca, lecz muszę jej opowiedzieć jej własną: bukiet z barwinku do mnie należy».

### III.

«Cztery czy pięć lat temu, na balach karnawałowych, piękna margrabina de Chantour spotkała w towarzystwie hrabiego Gierarda de Cerny, nie chwalebę się abym dobrze pamiętał nazwiska; ujrzeni się, pokochali i nie mówiąc o tem zrozumieli się dobrze. Margrabina była najpiękniejszą z kobiet; tylko jeden Korredżjo godzien byłby ją malować, tyle posiadała niezwykłych wdzięków i istną świeżość jutrzeńki. Od trzech lat była żoną *sportmanna*, który dla niej nie mógł zapomnieć swoich znajomości z opery. Jest jeszcze w Paryżu wielu ludzi, przenoszących nad własne żony, kobiety należące do wszystkich; jest to odwieczne dziwactwo. Z początku margrabina kochała męża z całym zapalem dwudziestoletniej duszy. W końcu zmęczyła ją miłość bez wzajemności. Hrabia de Cerny ukazał się jej bardzo w porę; pod każdym względem zasługiwał na

wzbudzenie silnego uczucia: był szlachcicem od stóp do głowy. Pomimo więzów obowiązku, margrabina dała się ująć jego wykwintnemu obejściu się i sztuce nadzwyczajnej rozmawiania o niczem. Spotykali się często na zimowych balach w 1846 roku. Zaczęli od rozmowy wzrokiem, skończyli na porozumieniu się całą potęgą głosu namiętności. Po raz pierwszy w życiu margrabina była szczęśliwą, lub przynajmniej z prawdziwą przyjemnością należała do tej komedji ludzkiej, w której każdy z nas odegrywa swą smutną rolę. Trwożyła ją rodzająca się namiętność pełna wichrów i burz. Mniejsza o to, mówiła do siebie, jeżeli mię wichry obali? nie chcę żyć, jak żyłam, spokojnie i prozaicznie. Potrzebuję hałasu i ruchu; gromów pożąda me serce. I serce jej miało się z czego cieszyć.

»Szczęście nie da się wypowiedzieć, powiada przysłowie; opuszczam więc białe stronicie romansu margrabinej. Szczęście jej, jakby za błogosławieństwem niebios, trwało sześć tygodni. Sześć tygodni szczęścia! O! margrabino, szatan ci je z czasem policzy.

»Jednak pewnego dnia nie widziała hrabiego. Kto go zprowadził z tak pięknej drogi? Cóż to!

wybiła godzina, a on nie przyszedł! czy stracił głowę lub serce? Kto sam w życiu oczekiwał ten tylko pojmie niepokoj margrabiny. Czekwała pięć minut, godzinę, dzień, wiek—nie przyszedł. Czekwała nazajutrz; ze dwadzieścia razy nachylała się w oknie, ze dwadzieścia razy dzwoniła na służącą dla zapytania, czy kto nie dzwonił. Na trzeci dzień, po bezsennych nocach, gdy zadrzemała przed kominkiem, ścigając błędne widmo hrabiego, ujrzała przebudziwszy się—portret swego kochanka—śliczny portret, jak ten, który tu pani widzi. Przy portrecie był list. Oto, mniej więcej, co pisał hrabia:

•Żegnam cię pani. Kochałem cię z całej duszy, kocham jeszcze, lecz tylko we wspomnieniu. Cóż chcesz! miłość jest podróżnym, nieustannie dążącym po nowe odkrycia. Ten portret został wymalowany przez Ary Scheffer'a przed trzema tygodniami, gdy na samą myśl o tobie cała ma dusza była w oku i w ustach. To *ja*, gdym cię kochał. To *ja* już nie żyjący. Umieramy po tysiąc razy, aby się odradzać na własnych ruinach. Zachowaj mój portret jeżeli chcesz, jest to twój kochanek; co do mnie, jestem już dla ciebie obcą osobą.

•Hrabia de Cerny."

„Trudno uwierzyć. Po sześciu tygodniach hrabia de Cerny dał się porwać jakiejś aktorce. Wypłakawszy wszystkie łzy, margrabina pocieszyła się tą myślą, że jej przebudzenie nastąpiło w chwili miłego marzenia. Tysiąc razy lepiej, mówiła do siebie, skończyć tak w samym zachwycie miłości, niż doczekać się upadku onej. Wszystkie kobiety powinnyby rozumować z tak silną logiką. Pewien perski poeta powiedział; serce jest krzakiem kwitnącym na wiosnę, zrywajcie z niego kwiaty, lecz strzeżcie się za nadto węń zagłębić; pod kwiatami są ciernie i głogi. Margrabina więc dała pokój zbiegowi. Przynajmniej, powiadała sobie, jeżeli powróci, powróci z miłością, gdyż me łzy i narzekania nie obrażą go; będzie pamiętał tylko moje uśmiechy. Nie powrócił wszakże. Margrabina ze czcią religijną przechowywała wonne kwiaty wspomnienia. W jej buduarze, naprzeciw kanapy, na której często siadywała, było weneckie lustro z lepszych czasów, w jakowem po sto razy na dzień przypatrywała się swym wdziękom; odwróciła więc lustro dla zawieszania z przeciwnej strony portretu hrabiego. Nie jest-że to największy dowód miłości, jaki dać może piękna kobieta? Nie znam drugiej zdolnej do takiej ofiary.”—  
Oto moja powieść.

## IV.

Kończąc te słowa poeta nachylił się ku margrabinej.

»Czy wszystko?» wybąknęła ocierając łzę. »Jakim sposobem dowiedziałeś się o tem?»

— Poeta, pani, ma dar czytania w sercach jak kobieta w oczach swojego kochanka.

— Skończyłeś już pan swoją historję? rzekł referendarz zostający w tymczasowym obowiązku.

— Nareszcie! dodał elegant z bulwaru Gand, jak człowiek, który już miał zasnąć.

— Nic mi więc nie pozostaje, jak oddać bukiet z barwinków, wyrzekła margrabina z westchnieniem.

— I wiem komu go oddasz, dorzucił poeta.

— Proszę nie uprzedzać— rzekł referendarz.

— Gdybym miała cztery bukiety i cztery serca— być może...,

— Jest nas tylko trzech, przerwał referendarz.

— Cicho! zawołał poeta, i tak już pan nadużyłeś słowa.

— Mam tylko jeden bukiet i jedno serce, powtórzyła margrabina, i oboje do niego należą.

Mówiąc to, powstała i umieściła bukiet w ślicznym japońskim wazonie, dotykającym do ram portretu.

„Ależ, rzekł Teobald, on się z nami nie współ-  
ubiegał.

— I owszem, zapomniałam was o tem uprze-  
dzić, rzekła z cicha margrabina.

— Lecz nic nie powiedział.

— Właśnie dla tej przyczyny bukiet sprawie-  
dliwie mu się należy. Przyznajcie, że ma nad  
wami tę wyższość, iż nic nie powiedział.

— Nikt z większym dowcipem i z większą zło-  
śliwością nie przyjmuje gości, rzekł referendarz,  
biorąc za kapelusz. Żegnam panią margrabinę,  
trzeba się spieszyć zostawić ją sam na sam  
z tym portretem.

— Zaczekaj na mnie panie Brunel, dodał Teo-  
bald, zapinając rękawiczkę. Nie chcę wojować  
dłużej z człowiekiem niemym.”

Poeta miał także wyjść nie robiąc żadnych  
uwag, lecz margrabina wzięła go za rękę:

„Poczekaj, rzekła z braterskim uśmiechem; je-  
steś człowiekiem rozsądnym, zrozumiałeś, że się  
nie trafia do serca kobiety, mówiąc jej o sobie,  
lecz tylko o niej samej. Tamci dzięki Bogu nie  
przyjdą już więcej, lecz na pana czekam.”

Poeta ucałował białą rączkę, skłonił się i  
wyszedł.

Zostawszy samotną piękna margrabina uklę-  
kła przed portretem:

„O! ty coś nie powiedział nie jesteś-że tysiąc razy wymowniejszym? Lepiej mówisz od samego poety, bo miłość wymowniejsza od poezji. Dla ciebie bukiet z barwinku, dla ciebie, który mi każdego rana i co wieczor opowiadasz cudowny poemat miłości czarujący me życie!”

Zstąpiwszy tak do serca dla znalezienia upojen dawnych czasów, margrabina zadzwoniła i kazała służącej rozbierać siebie.

Ja, zawsze tam byłem. Dusza moja pływała zawsze w bukietach z barwinku. Nie myślałem wyjść wcale— ani się oglądać w drugą stronę,— ale— zastukano do moich drzwi.

„Nie otwieraj!” rzekłem ze złością.

Lecz otworzono drzwi. Była to pani\*\*\*: dusza moja powróciła do mnie— chciałem powiedzieć do domu.

Kto to taki ta pani\*\*\*? Jedna z tych pięknych swawoli, które nas nawiedzają w samej młodości, potrząsając brzęczołkami, wybuchami śmiechu i swojemi łzami.

„Ach! pani dla czego tak nie w porę przychodzisz? Jak mnie widzisz żywego, nie jestem w domu, zatrzymałem się na Polach-Elizejskich u pięknej margrabiny de Monte, która się spać kładnie.”





## IV.

**Ze młodość jest pozycją życia.**

**Ze ci, którzy byli młodymi w dwudziestym roku,  
są nimi wiecznie.**

---

**J**EST podróż odbywająca się codziennie nawet bez myśli o niej; podróż do krainy zaginionej; do raju zamkniętego, do oazy zawsze gościnnej dla podróżnika; jest to podróż do młodości, kiedy już ona przemija. Tam to tylko można poznać siebie samego, gdyż tam tylko widzimy siebie idących drogą życia. Człowieka dzisiejszego nie poznaję zgoła; lecz badam do głębi serca człowieka wczorajszego, tego, który nie jest już mojem *ja*.

Sądzę, że ciągle w oknie, gdy tymczasem nigdy tam nie jestem. Jak tylko postawię przy niem nogę, wnet ruszam Bóg wie gdzie. Duch mój bierze na kiel i wdaje się w tysiączne niebezpieczeństwa. Okno jest najczęściej dla mnie tylko strzemieniem. Jego dotknięciem jest mglisty, upajający urok idealnej krainy, którą młodość uciekająca popycha ku mnie każdego rana. O! młodość! młodość! to miłość i

pieśń życia, rumiana jutrznia i uśmiechająca się wiosna, czas cudnych marzeń i niewinnych dziwactw, to ideał, którego wiecznie szukamy, i który spostrzegamy wówczas, gdyśmy go już stracili.

Tego ranka silny zapach werweny był dla mnie dotknięciem strzemięcia. Dość mi było chwili do ulecenia w zaginioną krainę. Poznaję cię mój piękny kraju! Oto ustronie, gdzie lubiłem marzyć z widziadłami młodzieńczego wieku. Oto wodospad, który mi śpiewał hymny nieskończoności. Oto naga skała i wyschła wierzba, które wiedziały o wszystkich radościach mojego serca....

Lecz cóż to ujrzałem? Któż to taki, to śliczne dziewczę w wieńcu z róż białych?

Około niej wszystko spustoszone; słyhać jak wyje wiatr południowy, i jak potok płacze. Co znaczy ta lira milcząca, zasłonięta skałą i wierzba. Ona dąży za swem marzeniem o smutkach przeszłości.

### P o e t a.

Kto jesteś? ty co płaczesz w głębi duszy! ty, co śpiewasz tylko tęskne pieśni! ty, co wierzysz tylko w raj utracony! co nosisz na czole ostatni wieniec lat wiosennych.

## Młodość.

Kto ja jestem! niestety! jestem twą młodością. Nie poznajesz-że mię po biciu twojego serca? Jestem twą młodością, uciekam od ciebie i uciekam od samej siebie, albo raczej przychodzę tu, gdzieśmy się tak kochali.

## P o e t a.

O młodości moja! kocham cię zawsze i nie uciekam od ciebie. Źle czynisz, że się tak skazujesz na wygnanie. Czyż chcesz mi wmówić, że mam siwe włosy? Porzuć tę smutną minę, i żyjmy razem wesoło jak kochankowie w Wenecji. Nie mamy już lat dwudziestu, lecz słońce jeszcze dla nas wschodzi. Czyż się lękasz moja przyjaciółko burzliwej pory roku?

## Młodość.

*Nie pójdziemy już więcej do lasu!*

## P o e t a.

Spiwasz starą piosnkę: *Nie pójdziemy już więcej do lasu, laury pościnane!* Lecz po bzie następują kwietniowe róże, po różach kwietniowych róże wszystkich pór roku.

## Młodość.

Młodość jest tylko piękną w swym wieńcu z róż białych.

## P o e t a.

Pociesz się moja piękno-smutna! Zrobię ci wieńiec z bławatków, kłosów i polnego maku; zawieszę wiśnie na twych ślicznych uszkach; pierś twą ozdobię bukietem z poziemek.

## M ł o d o ś ć.

Z dojrzałymi owocami i wiek dojrzały.

## P o e t a.

Dla niektórych— tak; dla wielu— nie. Ci, co żyją umysłem i sercem w towarzystwie szlachetnych uczuć, posiadają jeszcze młodość po przejściu młodości; ci, i sto lat mając, zbierają jeszcze, jak Tycyan, Fontenelle i marszałek Richelieu otawę, pomimo pierwszych szronów. Homer umierając w swym wieńcu z białych włosów, wspierał się z upodobaniem na młodości.

## M ł o d o ś ć.

Kto ci to powiedział?

## P o e t a.

Antipater Koryntjanin, który napisał taki nagrobek: »Tu leży Homer.— Co mówisz? Nie wiesz gdzie jest, tu czy tam, w ziemi lub w morzu. Homer jest tu i tam, jest w powietrza ruchu. I dla tego to przechodniu! oddychasz poezją w powiewie wiatru. Pozwól mi więc napisać: Tu

leży Homer, zmarły w kwiecie wieku, bo zmarł poetą.”

### M ł o d o ś ć.

Poetą, czyli warjatem.

### P o e t a.

Szczytna to warjacya. Nie jest warjatem ten, kto nim jest, w taki sposób. Każdy nie przynoszący na świat swojego ziarnka obłąkania, jest istotą wydziedziczoną przez Boga: nie będzie ani poetą, ani artystą, ani zdobywcą, ani zakochanym— ani— młodym. Ten kupiec nierogaczny przechodzący tam przez bród i rachujący na palcach, ile mu każda sztuka przyniesie pieniędzy, przyszedł na świat z pełnemi rękami ziaren mądrości. Dla tego też nie miał nigdy lat dwudziestu: stworzony do pilnowania trzody, a i sam tylko jest prosiakiem Epikura, kiedy w karczynie bawi, i kiedy śpiewa serenady służącej w sąsiedztwie. Wierz mi młodości, życie moje, Bóg cię nie dla wszystkich stworzył.

### M ł o d o ś ć.

Bez wątpienia, Bóg mię dla ciebie stworzył panie poeto! gdyż na twój wiek, znajduję cię bardzo młodym.

## P o e t a.

Twój przycinek nie uczyni mię starym i nie przeszkodzi mi, powiedzić tobie, że jesteś poetką życia, i że się tym tylko oddajesz, którzy umieją podnieść się aż do ciebie. Są tacy co wyobrażają sobie, iż cię znają, bo udając się do drugich, a przechodząc koło nich roztaczasz swój urok, i że niegdyś wzdychali do ciebie, gdy muzyka przebudziła na wpół ich duszę pewnego wieczoru, w którym kochanka łzy wylewała przy głośnych wybuchach ich śmiechu. Lecz nie znali przeto twych boskich siostrzyc o młodości moja! nie nosili tak tanim kosztem tych lilij i tych róż, owego żniwa i winobrania młodości. Pociesz się więc; zawsze żyć będziemy temi samemi dziecinnstwami, będziemy razem ścinać złote kłosa, wkładać na skronie wieńce z winogronowych liści i jagod. Kto wie, może i nasza otawa wytrzyma niszczące szrony? Gdy już będę nosił wieniec z białych włosów, gdy mieszkanie mej duszy rozpadnie się w ruinę, gość święty uleci do nieba promieniając się po raz ostatni. Skończyłem.

A gdym to wyrzekł, ów obraz mojej młodości, który pogrążony w tęsknocie, dawał mi się widzieć u stop moich, rzucił się w me objęcia i zemdłał w rozkosznym uścisku. Czułem, że

po kilkudniowym smutku i zwątpieniu powróciła ona do mnie swawolniejsza i promienistsza niż kiedykolwiek.



## V.

**Historja pięknej dziewczyny, której nie znam.**

**Warjacje w tymże stylu.**



*Na przeciw mnie, w oknie otoczonem i upstrzonym powojem, widzę od kilku dni ukazującą się poetycznie smutną twarzyczkę, urzeczywistniającą dla mnie widmo Ofelji. Jest to panna Helena.*

W kilku słowach opowiem wam jej historję. Pójdę prosto do celu nie błakając się po niezajomych ścieżkach marzenia.

Najpiękniejszą właściwością gienjusz Szekspira, był dar tworzenia typów, jak Homer i Moljer. Co szczególnie zadziwia w Szekspirze, to nieskończona rozmaitość. Wznosi się aż do nieba, aby ztamtąd wydostać najczystsze postaci; nigdy subtelniejsza dłoń nie przedstawiała ludziom czystszych obrazów: jest to młodość

w całej świeżości porannej jutrzni. Lecz oto ten sam człowiek, który się tak wysoko wznosił, z równym zapalem zstępuje przez oplakane kręte podziemie, aż na dno piekła dla znalezienia inszych postaci mających zaćmić jego obrazy! Niezmordowany w tworzeniu: najprzód jest to portret, wkrótce cały obraz rodziny; następnie cała ludzkość ze swemi najwybitniejszymi sprzecznościami; to więcej niż obraz, to życie same w całej swej sile, z wszystkimi działwami i wszystkimi namiętnościami.

Szekspir ma jedną monarszą wyższość nad wszystkimi nowoczesnymi i starożytnymi gienjuszami, wyjąwszy Homera, a tą jest, że pokoleńiom myślącym raz się wydaje wzniosłym, drugi raz barbarzyńskim. W rzeczy samej, napadają na niego, bronią, krzyżują, uznają za bóstwo, hałasują około jego nazwiska; tak bywa z gienjuszem, którego śmiałość zadziwia, oburza i zachwyca. Dozwalają przejść niespostrzeżenie spokojnemu gienjuszowi i zapominają o dążącym bez podskoków na wzór rzeki z nieznanym dolin; dziwią się, szamocą, namyślają się długo przed gienjuszem hałaśliwym, co rzuca się jak potok dziewiętych lasów. Szekspira także spotkały dni zapomnienia i dni apoteozy: wczoraj nieokrzesany, jutro wzniosły, wiecznie



będzie młodym i pięknym, wiecznie światłem i cieniem.

Któż nie zapamięta tych rozkosznych utworów, co zstąpiły z czoła Szekspira. Czyż Ofelja niedozwalająca księżycowi patrzeć na swe wdzięki nie jest podług ludzkich pojęć godną i niewinną siostrą biblijnej Racheli?

Ofelja jest także siostrą Dezdemony; są to właśnie kwiaty poezji wylęgte w tej samej wyobraźni, kwiaty miłości oskubane zbyt szorstkimi dłońmi Hamleta i Otello. Widzieliście Ofelję, chcącą zawiesić na gałęzi swój wieniec z traw: zazdrośna gałąź łamie się; Ofelja i jej kwieciste trofea wpadają do ciemnego strumienia; odzienie jej wydyma się i utrzymuje ją przez chwilę na powierzchni wody, jak *boginię wodną*, gdy ona tymczasem śpiewa ustęp ze starej ballady."

*Zdaje mi się, że ją widzę w tem oknie— zmartwychwstałą, ją, Ofelję, gdyż Helena śpiewa i w rozlagnieniu upuszcza róże z dłoni. Zkąd ten smutek i to strudzone czoło? Helena spogląda na niebo okiem więźnia lub wygnańca.*

Gdy Bóg stworzył sto tysięcy światów krążących w stu tysiącach przestrzeni nieskończono-

nych, wsparł się na zaczerwienionym obłoku dla przypatrzenia się własnemu dziełu; a że przeczuł wszystkie nieszczęścia, wszystkie przewrotności, zbrodnie i smutki mające trafić te światy, łza potoczyła się mu z oka.

Lecz wkrótce, myśląc, że na tych bezludnych dotąd światach ujrzy matki trzymające przy piersiach swą dziatwę, uśmiech miłości błysnął w jego oczach i przemknął po ustach.

Otoż jeżeli można wierzyć pewnemu starożytnemu poecie, który po hebrajsku pisał hymny, ta łza najdroższa, co chwilę błyszczała na obliczu Boga, tęczą uśmiechu, spłynęła do pięknej krainy, gdzie żyć mają wszystkie szlachetne serca tęsknące do nieskończoności i pragnące być wedle ducha bożego, który jest samą miłością. Kraina ta, jest to świat idealny.

To do tego idealnego świata, do którego wzdychała Mignon, do tego niemożliwego świata, który jest jedynym możliwym światem dla wszystkich dusz wybranych, dla wszystkich serc starzanych burzą, dla wszystkich umysłów mających ogniste skrzydła, do tego świata wzdycha także i ta biedna Helena.

*Lecz oto odwraca się dla ukrycia łez,— a jednocześnie promień wesoleści oświeca jej oczy*

*roztwiera usta; oczy— dwa bławatki, usta— rumiany owoc. Płacze i uśmiecha się, bo wspomina!*

Gdy zaglądamy w swe przeszłe życie, jakiś obłoczek, cień jakiś, zasłona żałobna przesuwa się zwolna przed okiem duszy; radość i smutek toczą walkę w sercu; oddychamy i wzdychamy zarazem. Wszakże obłok roztwiera się i rozprasza, krajobrazy duszy oświecają się wesoło, ponure kolory zacierają się promienną poezją wspomnienia: spostrzegamy nagle powstające z mogiły dawno zmarłe miłości; wystrojone kochanki swawoląc tańczą u nóg naszych, płaczą na sercu lub zasypiają w objęciach. A gdy roztargniona myśl unosi się zwolna po nad cmentarz duszy, gdy wzrok eieleśny pociąga za sobą wzrok ducha, wspomnienie znów zasypia, grób zamyka się zgubnym głazem niepamięci; wszystko się mąci, wszystko zaciera. Przez chwilę wszakże dają się jeszcze widzieć żałobne zasłony, cienie i obłoki.

*Czyż to Helena kochała, gdy ją tak wzrusza wspomnienie?*

Miłość ma swe dziwne i wzniosłe przywidzenia: dowolnie zmienia przyrodzony bieg naszego życia i każe nam nieustannie błąkać się po burzliwém morzu tego świata. Jest to monarcha

z nieograniczoną władzą, panujący i rządzący bez przeszkody wedle swej fantazji. Obala silnych, podnosi najślabszych. Miłość posiada wszystkie złote klucze od duszy naszej, którą otwiera lub zamyka przypadkiem przez roztargnienie. Dla ożywienia żywych głazów dość jednego rzutu oka, tego czułego rzutu oka Julji na Romea; dość jednego słowa, tego słowa tak dobrze wymawianego przez Franceskę di Rimini i Manon Lescaut; dość jednego ukazania się, jakie spotkało wszystkich poetów: ukazania się rankiem w oknie, wieczorem na ścieżce pomiędzy krzewami, w nocy, w wirze walca. Serce tak mało wymaga dla rozpoczęcia romansu życia! Dzięki temu wejrzeniu, temu słowu miłosnemu, temu czarodziejskiemu obrazowi, co się im ukazuje jak przypomnienie nieba, ożywiają się posągi, zaślona spada z ich oczu, a z ich rąk kajdany; obaczą wspańiałości nieba i dziwy ziemi, wyciągną dłonie by uścisnąć życie. Obaczywszy dojrzałe winne grono oskubią je swemi uczonemi usty; a przynajmniej nie umrą, bez zbierania kwiatów na dolinie i owoców na pagórku.

*Helena zanadto kochała, oto jej całe nieszczęście! — I szczęście całe! bo jak mówiła Żofja Arnould: — Ach! były to dobre czasy, byłam tak nieszczęśliwą!*

*Ten którego kochała Helena nie kochał Heleny.*

Czy przypominacie sobie ów aforizm poety szesnastego wieku?

Kto dąży za miłością, ta od niego stroni,  
A kto od niej ucieka, ona za tym goni.

Jest to odwieczna historja serc bicia: starzy spiewacy greccy opowiedzieli ją wiatrom, wiatry falom, fale nadbrzeżnym piaskom, gdzie ją pewnego wieczora podjął Moskus.— Pan kochał swą sąsiadkę Echo; Echo wzdychało z powodu młodego egipana, umierającego dla hamadryady; lecz hamadryada żyła tylko dla fauna, który skrępowany winną latoroślą pewnej bachantki nie słuchał jej żalów; co kazało wyrzec poecie:

Nikt tak kochać nie może jak się mu podoba,  
Przy rozkosznym płomieniu co mu w piersi gore  
Zwykł każdy nienawidzieć miłość, co go ściga  
Jako jest w nienawiści u kochanej przez się.

Ty, co czujesz namiętny ogień serca twego,  
By uniknąć na zawsze tak wielkiego złego,  
Kochaj zawsze tę miłość, która kocha ciebie,  
Nie kochaj tej, od której nie jesteś kochanym.

Ten wieczny rozdział serc kochających jest okrutną igraszką losu. A kto wie? może to sama miłość w grę taką grała. To gorące pragnienie

do czary pełnej dla innego, jest piekłem, lecz i miłością zarazem!

Kochać osobę, która cię nie kocha, jest to miłością; kochać kochającą—jest rajem. Raj ten wszakże otwiera się niekiedy, gdyż zdarza się tu i ówdzie iż dwa serca w jeden takt biją. Gdy jedno zaczyna kochać a drugie ma już zaprzestać, jest święta chwila, w której, w miłośnem objęciu przebywamy nieskończoność.

Są ludzie kochający tylko dla tego aby być kochanymi. Wchodzą na złotą drabinę, lecz gdy innych tam przyciągną zstępują z niej sami.

*Dziś już Helena nie kocha Jerzego; kocha jego przyjaciela Leona.— Jerzy miał serce: Leon ma tylko głowę. Jerzy pokochał wreszcie Helenę; Leon jęj nigdy kochać nie będzie.*

*Jakim sposobem tak wczesnie kochała, gdyż jeszcze nie ma lat siedmnastu?*

W porze przejścia z dziecinnego do młodocianego wieku dziewczęta najwięcej w około siebie roztaczają miłości; jak róże wydające więcej woni w czasie rozwijania się pączków. Jest to pora niebezpieczna dla rodziny, a pora zwycięstwa dla kochanków. Najrozsądniejsze zachmurzają powoli niebo swej duszy upajającemi marzeniami i występniemi nadziejami; kochają cnotę, a boją się

jej; sen ich był cichy i spokojny, zasypiały w objęciach Maryi Dziewicy; dopiero zasypiają w niespokojnych objęciach miłosnych widziadeł. Walka jest gwałtowną, trzeba im mocy archanielskiej dla oparcia się miłości, która ich ściga lub pociąga bez ustanku na ścieżki obrosłe gęstemi krzakami dzikiej róży i tarniny, wydającemi woń lecz i kołącemi zarazem; miłość jest wszędzie, na ołtarzu przy którym się modlą, pod przechodzącym obłokiem, w zerwanej róży; miłość przemawia nieustannie: głosem powiewu wietrzyka, i synogarlicy; rano, to jaskółka ulatuje do nieba ze swą wesołą pieśnią, wieczorem słowik kryje się w gałęziach dla śpiewania swych elegij; to miłość się żali, gdy dziewczęta błakają się po gęstych gaikach, to ona tęskno wzdycha lub gwałtownie wybucha gdy się wdają w rozmowę z fortepjanem, to ona śpiewa ulubioną piosnkę gdy spoczywają nad brzegiem strumienia. Nadaremnie odwracają oczy od tych nieskończonych obrazów miłości, nadaremnie zamykają ucho na te tysięczne zwodnicze głosy:—widzą i słyszą. Piękne niebo tak czyste w poranku życia pokrywa się gdzieindziej chmurkami; potem chmury się nagromadzają, błyskawica przerzyna widnokrąg, powstaje burza,—wszystko skończone,—albo raczej wszystko rozpoczęte.

*Przeznaczeniem Heleny jest często powtarzać tę piosnkę. Wszystko skończone!— Biedne dziewczę, pójdzie od jednego do drugiego, od tamtego znowu do innego, szukając wiecznie rzeczy, której nigdy nie znajdzie.*

Opowiedziałem wam jej historję nie znając onej,— czyli raczej nic nie powiedziałem.

Przyrzekłem wam nie zapuszczać się na ścieżki marzenia, lecz miałem opowiedzieć historję serca które kochało: otóż, serce które kochało nie jest krainą nieznaną? a zresztą poeta podobny zawsze do tego fletnisty obiecującego pięknym dziewicom Cyklady zagrać piosnkę, i grającego wszystkie oprócz przyrzeczonej.



## VI.

### Moja sąsiadka z profilu.

#### Pieśń tych którzy już nie kochają.

**M**ÓWIŁEM wam o sąsiadce której twarz widzę na wprost; lecz tysiąc razy więcej lubię sąsiadkę, którą widzę w profilu! Tej ostatniej nie znam wcale i nigdy znać nie będę, gdyż jest to



kobieta codzien zmieniająca maskę, przedstawiająca różne charaktery; to raz namiętna i śmiejąca się, żartująca z drugich i z siebie samej, wierząca we wszystko jak dziecię, to znowu pełna niewiary, jak zdradzona kochanka, żyjąca marzeniami w świecie widzialnym, a rosbifem w świecie ideałów, szukająca głupstwa w mądrości i mądrości w głupstwie. Ta kobieta tak prosta i tak zawila, tak szczerza i przewrotna, tak promienista i zaćmiona jest prawdziwym romansem, historją, poematem. Nie nazywam jej inaczej jak *Ciemną*, nawet gdy słońce świeci.

Mieszka na tym samym balkonie. Jesteśmy poddzielani tylko kilką gałęziami żelaznemi i gałęziami winnej latorośli. Od sześciu tygodni jest uwielbianą od pół tuzina ludzi poważnych, mniej więcej brodatych, których ona wodzi jak dzieci. Przychodzą.— Chce być bez nich.— Nie przychodzą; daje im znak, gdyż wszyscy się skupili około jej domu. Jest jeden, który się zawsze przechadza po ulicy z nosem do góry, o każdej porze we dnie i w nocy. Bo gdy nie śpiewają serenady, chodzą wszakże pod oknem.

Ta komedja owych wszystkich zakochanych, z których żaden nie jest kochankiem, bardzo mię bawi. Posłałiby mię do djabła, gdyż śmieję się

zawsze ich widząc i tylko wspólną ścianą jestem przedzielony od *Ciemnej*

Od czasu do czasu przepędzam długie chwile z moją sąsiadką. Rozmówiliśmy się po raz pierwszy nie wiem już jakim sposobem i z jakiej przyczyny, podobno z powodu wspólnej ściany, bo jedna z jej róz przechyliła swą śliczną główkę na moją stronę. Bawiliśmy się nawzajem jak ludzie dobrego i złego towarzystwa, którzy skrywają swe manewry.

Główna rzecz w miłości jest to otworzyć swe serce, a umysł kochanego lub kochanej kobiety wodzić po labiryntach nie dając mu nigdy nici Arjadny. O! dziećmi są ci, którzy w miłości grają na odkrytą kartę! Niech wiedzą o tém, że gdy kochając się, można powiedzieć: *Znam cię śliczna maseczko*, wszystko już powiedziane, a gdy wszystko powiedziane—wszystko skończone!

Są to dzieje polityki; każdy dyplomata i każdy człowiek zakochany powinni zachowywać sekret. Zawsze to jest tajemnica Stanu.

Nie znam więc tajemnicy mojej sąsiadki; ona też nie zna mojej,—cienie i cienie. Ileż to razy podróżowaliśmy jedno do drugiego, nie mogąc wszakże rozpoznać kraju!

Ona jest bardzo piękną. Starożytne rzeźbiarstwo brało wzór z siedmiu Ateńskich kobiet dla zrobienia jednej Dyanny lub Venercy. Pradier mi mówił że moja sąsiadka byłaby Dyanną godną lasów Apollona; gdyż Pradier przypatrywał się jej z miłości dla sztuki, z miłości dla Boga i dla siebie samego. Wszystkiego jest po troszę we wszystkich miłościach.

Moja więc sąsiadka jest piękna jak Dyanna. Jako myśliwa roztacza do koła siebie świeżą woń lasów. O! gdybyśmy się byli przed dziesięcią laty spotkali przy wspólnej ścienie—mając lat dwadzieścia i marząc o wiecznej miłości!

Lecz dziś lękamy się wpaść w paszczę wilka. Kochamy jeszcze miłość, lecz obawiamy się podać nieprzyjacielowi. A przytem tak dziś śmiejemy się razem, ze wszystkiego co się mówi i co się robi na świecie! Kto wie? możebyśmy stracili naszą wesołość?

Jednak nowa miłość jest nowym światem,—ziemią i niebem!—to radość Krzysztofa Kolumba. Lecz my już podróżowaliśmy tyle!

Oprócz tego trzeba przybyć w porę. Serce ma swe pory roku. Zima nie wydaje kwiatów. Być może że znowu na kilka miesięcy szrony i śniegi pokryły jej serce?—gdyż ona powstała z grobu wielkiej namiętności.

Wczoraj jeszcze na nutę serenady Szuberta  
śpiewała te żałosne zwrotki:

**Pieśń tych, którzy już nie kochają.**

Kto ten kwiatek polny  
Zerwał tak zawczasie?

Kto był tak swawolny  
Iż rozgniewał pieśnię?

Nie kocham! Niech zginę!  
Niebiosa zakryte,—  
Spadam na nizinę,  
Bo serce zużyte.

I pocóż żyć jeszcze?...  
Miłość dogorywa—  
Całą kartę streszczę  
W słowach: Tu spoczywa.

Pomnisz— kochaneczko?...  
Serce przypomina!—  
Rozkoszy słoneczko  
Noc mroczyć poczyna...

Wspomnę że ci teraz  
Marzenia dziecięcia  
Wyrojone nieraz  
Wśród twego objęcia?...

Już ust twych korale  
Mnie nie upajają;  
Już uspione fale  
Zwolna odpływają.

Słyszysz wiatr jak wyje?...

O! szczęśliwa droga!

Bez miłości żyję—

Nie wierzę i w Boga!

Nie zachwyca Ewa!

Znikły roje moje...

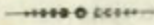
Czyż niech serce śpiewa

*De profundis* swoje?...

Słuchałem ją z ponurą rozkoszą. Nie kochać więcej, gdy się umiało kochać, jest to umrzeć w kwiecie wieku. Nie być kochanym, nie nie znaczy, bo kto kocha będzie kochanym; lecz nie kochać już! jest to postradać swoje Eldorado, swoją oazę, swój raj i swe piekło!— Oto dokąd ona zaszła,— dokąd i ja zaszedłem.

Gdyż zdaje się, że to ja ułożyłem tę piosnkę, którą ona śpiewa z tak poetycznym wyrazem smutku.

Cóż więc mamy począć my, którzy już nie kochamy? Dla przebycia Rubikonu poezji trzeba być poetą; dla przebycia Rubikonu miłości trzeba być zakochanym.



## VII.

## Paryż widziany z góry.

## Przedmowa.

**I**LEŻ to razy pochyleni w oknie przypatrywaliście się wzrokiem ciała i wzrokiem duszy temu wszechświatowemu pracującemu miastu, wielkiemu ulowi uświęconemu przez pszczoły a pożeranemu przez trutnie.

Rozwiń skrzydła duszo moja, i wracaj, mówiące ręce eo dziś ma napisać.

## Początki.

Podług historyków: »Jeżeli Rzym był założony przez syna bożka Marsa i przez wychowanka wilczycy, to Paryż założył książę ocalony w czasie zburzenia Troi; syn Hektora Frankus, który zostawszy królem Galji i wybudowawszy w Szampanji miasto Troyes, przybył wystawić miasto dla Paryżanów i nazwał je imieniem pięknego Parys'a swojego stryja.«

Dla wytlómaczenia tego wysokiego mniemania uczonych historyków, drugi historyk niemniej uczony, wykazuje że słowo *Paris* składa się z dwóch

wyrazów, t. j: ze źródłosłowa *Par* albo *Bar*, i z wyrazu *Izís* »albowiem ua miejscu założenia Paryża znaleziono statwę tej bogini, co dostatecznie dowodzi, że Frankus, czyli Francuz, jest założycielem Paryża.« (1)

### Histqrya.

Istnieją wszakże inne mniemania zasługujące na uwagę. Gdyby chciano nas w tym względzie posłuchać, powiedzielibyśmy, że traf był założycielem Paryża. W pewnym dzikim kraju była wyspa; przedstawcie sobie rozproszone plemie szukające ochrony od nieprzyjaciół; przebywa ono rzekę i oszańcowywa się na garstce piasku strzeżonej przez wody. Plemie to rybackie znużone ciągnęła wędrówką od brzegu do brzegu, od rzeczki do rzeki, od rzeki do morza chce kilka dni wypocząć na wyspie. Za ostrokołem, wznoszą się i namioty. Nastają silne wiatry, rzeka jest także nieprzyjacielem grożącym ze swojej strony; czemuż nie zasłonić się murem od burz zachodnich? Jednak miano czas spostrzedz że wyspa była rodzajną; podczas gdy rybacy puszczałi się w łodziach, spokojniejsi osadnicy dla rozrywki, przez ciekawość, lub też z instynktu na przyszłość wyra-

(1) Dla lepszego wyjaśnienia, zajrzeć do pamiętników Akademji nadpisów i literatury nadobnej, które obfitują w równie autentyczne dowody.

biali ziemię. Trwa to jakiś czas; nadchodzi pora wyjścia, włączenia się jak przedtem na los szczęścia; lecz błędne plemię przywiązało się do ziemi! zasiedli na niej— chcą zebrać. Mają wreszcie upodobanie w tych kilku stopach ziemi obronionych od zwierząt i ludzi, od nieprzyjaciół różnego rodzaju, gdzie każdy z nich może posiadać własne drzewo, kłos i dom własny. Postanawiają zostać; bardziej przedsiębiorczy i młodszy pójdą daleko szukać odkryć, lecz powrócą. Od tego dnia zaczął istnieć Paryż. Na miejsce ostrokołu, na którym wisiały krwawe jeszcze skóry zwierząt, przemysł, córa pokoju, posyła ludzi dla zbierania kamieni na blizkich wybrzeżach, wznosi mury i pokrywa je słomą; i oto miasteczko żyje z bijącym sercem. Dajcie jej nieco wytchnąć, znajdziecie w niej wkrótce obyczaje, rząd i prawo. Dzisiaj się nazywa Lutesi; z czasem przejdzie przez nią Cezar i wyda akt urodzenia; później miasteczko stanie się uniwersalnym miastem, będzie jednocześnie Babilonem, Atenami i Rzymem; lecz jakiegokolwiek będą jej losy i słowa, nie zapomni nigdy że wyszła z rodziny rybaków i za herb weźmie okręt.

Zacząłem przytaczać historię, skończyłem na spłodzeniu romansu. Jakże się często zdarza, że romans jest prawdopodobniejszym od historii.



Dziś już Paryż nie jest dziką wyspą, mieściną, dużym miastem, lecz całym narodem złożonym z tysiąca różnych ludów. Narod ten dla obrony od barbarzyńców posiada do koła mury na podobieństwo Chin.

### Położenie.

Jak wszystkie kraje na świecie i ten kraj leży w pośrodku ziemi. Jego znaczniejsze góry są następujące: Montmartre, Pére-Lachaise, Porte-Saint-Denis, l'Arc-de-Triomphe, wieżycy Notre-Dame, Panteon i Inwalidy. Wymieniają tylko dwie śpiczaste góry, górę Świętej Genowefy i pagórek Montmartre. I to, gdyby nie było wieżycy i Panteonu uchodziłyby za ledwie za wzgórze.

### Ludność.

Ludność tego kraju tak zmienna że niepodobna oznaczyć jej liczby, wieczorem liczy się milion, nazajutrz statystyka okaże się błędną gdyż trzeba było liczyć podług kobiecej cnoty, a nie na cnotę kobiet. Jeżeli Ameryka jest na urlopie w Paryżu, ludność wówczas rozmaitsza niż kiedykolwiek, bo Rzymianie jeszcze dotąd porywają Sabinki.

### Podział.

Kraj ten dzielący się na lądy, wyspy, półwy-

spy, ciałniny, międzymorza, skropiony jedną wielką rzeką, Sekwaną, jedną studnią, studnią Grenelle, przez małą rzeczkę, Bievre, przez tysiące źródeł i niezliczoną liczbę rynsztoków. Przypominacie słowa pani de Stael: *O! kto mi odda mój strumień z ulicy du Bac!*

### Meteorologia — Rolnictwo.

Klimat nader umiarkowany i najprzyjemniejszy; deszcz pada tylko przez siedm dni w tygodniu, nie licząc nocy. Zimno latem, lecz piękna pogoda zimową porą.

Zmiany pór roku rozpoznają się po zmianie odzienia, czyż gwardja narodowa nie ma zimowych i letnich mundurów? Są kalendarze ostrzegające was, że wiosna zaczyna się 21go marca. Dnia tego śnieg pokrywa drzewa; są to kwiaty wiosenne.

Dzięki tak szczęśliwemu klimatowi rolnictwo ma powodzenie w tym kraju. Uprawiają w nim róże. Zaden kraj nie posiada tyle ogrodów, ogrodów nad powietrznych, jak Semiramidy; niepotrzeba do nich schodzić dla spacerowania; te ogrody same do was podchodzą; znajdują się na każdym pięttrze.

### Zoologija.

W Marais, (bagno w Paryżu) znajdują się

wszystkie nieocenione szczątki przedpotopowych zwierząt.

### Przemysł.

Jest to kraj przedewszystkiem przemysłowy. Pomiędzy najbardziej znanymi rodzajami przemysłu wymieniają gazety i dzienniki, rozchodzi się ich dziennie około pięciuset tysięcy arkuszków; prawda, że niektóre z pomiędzy nich nie są publicznemi, gdyż nikt ich nie czyta.

W tem właśnie bije serce narodu.

Jest jeszcze drugi rodzaj bardzo znanego przemysłu, przemysł rzeźmieszków. Wymaga on wielkiej nauki; lecz można brać lekcye po dzień się lub dwadzieścia franków za godzinę.

### Wyznanie.

Religija katolicka jest religiją panującą. Kaznodzieje są w wielkiej modzie. Ludność z równym zapałem uczęszcza do kościołów, jak na inne publiczne zebrania.

Wejście bezpłatne; lecz gdy głos organu i woń kadzidła unosi cię w najwyższe sfery, trójgraniasty kapelusz opuszcza swą halabardę na twe nogi i woła piorunującym głosem: *Na Kościół, jeżeli łaska!*

Kościół katolicki jest ciągle kwestującym: prosi o jałmużnę we drzwiach, gdy ci podaje święconą wodę; kwestuje w chorze, kwestuje podając wam krzesło. Lecz szczególniej kwestuje w dzień twojego ślubu lub twojej śmierci.

Są jeszcze niektóre insze wyznania, np. Izraela, Lutra, Kalwina, są nawet nowe religie: jedna ojca Enfantin, druga Fourier, trzecia Mapah. Ta ostatnia z naczelnikiem dissydentskiego sensymonizmu, najdumniejszym ze wszystkich, który mieszka na poddaszu ze swoją przyjaciółką. Znałem go bardzo dobrze, gdy był tylko dowcipnym człowiekiem.

### Miejsca przechadzek.

Pomiędzy sławnymi spacerowemi miejscami oto las Buloński— ufortyfikowany przeciw spacerującym. Pozostaje Ranelagh, gdzie nikt już nie chodzi, bo na drodze znajduje się Château de Fleurs.

Lecz najpiękniejszym dziś miejscem przechadzki— dla koni,— są Pola-Elizejskie.

Nie trzeba zapomnieć o Luxemburgu, miejscu przechadzek kochanków,— o placu królewskim, przechadzce upadłej; o placu de la Con-

corde (zgody), tak nazwanym, że tam ścięto króla i lud jego.

A ogrod Botaniczny! Raj ziemski godny raju Breughel'a de Velours, gdzie się znajdują wszystkie bogactwa ze stworzonych istot, począwszy od nieposkromionego lwa z Sahary, aż do Paryżanina z ulicy Mouffetard.

### G i e ł d a.

Giełda jest świątynią dzisiejszej cywilizacji. spekulanci sprzedają pieniądze; przed tą budową wieczorem spotykają się spekulantki sprzedające same siebie za pieniądze. Wszystko, wszystko nawet miłość na tym świecie idzie w górę lub spada.

### Palais-Royal.

Palais-Royal jest już tylko wielkim karawan-serajem, gdzie się przez krawców odnawiają metamorfozy Owidjusza. O! pałacu opuszczony przez sławę od czasu jakieś postradał twoje bajaderki! Jest to punkt schadzki wszystkich cywilizowanych krajów tego świata. Mieszczanie paryżcy chodzą tam nastawiać swoje zegarki, gdyż wiadomo, że o południu, kiedy słońce przechodzi przez merydjan, wystrzał z działa zapowia-

da oczekiwaną godzinę; lecz, że słońce ukazuje się tylko przypadkiem, zjawia się zazwyczaj obłok uwalniający je od strzelania. Proszę-ż sądzić o srogim zawodzie dobrych paryzkich mieszczan! oto zegarki źle wskazują godziny! Straszne tego następstwa: tam mąż zapóźno powraca do domu, ówdzie drugi przychodzi zawczasie: dwie przykre ostateczności.

### **Tiulerje.**

Pałac królewski— wynajmujący się niekiedy z powodu wyjazdu,— lecz znajdujący zawsze mieszkańców.

### **L u w r.**

Pałac arey-dzieł— prawdziwie królewski— dla królów, którzy nie wyjeżdżają.

### **LHotel-Dieu.**

Tak nazwany dla tego, że wszyscy, co doń wchodzi umierają w nim:—Umierać jest to iść do Boga.

### **Prowincyje.**

Kraj ten od niejakiego czasu podzielony na dwanaście prowincji; lecz podróżny zastanawia się tylko przy dawnym podziale bardziej właściwym. Przedmieście Saint Honore, strona łacińska, przedmieście Saint-Germain, Bastylja, przedmieście Saint-Marceau, Tiulerje, Chaussée-d'Antin i Marais, wszystkie te prowincyje mają

tak odrębne piętna, iż się zdaje jakoby nie były z sobą w najmniejszym stosunku i nie tworzyły jednego kraju.

Jest jeszcze jedna prowincija, o której nie należy zapominać, znajoma pod nazwą trzynastego cyrkułu. Nie najmniej uczęszczana i nie najmniej malownicza; podróżowanie po niej nadzwyczaj przyjemne, z warunkiem wszakże krótkiego pobytu.

### O s a d y.

Dwie osady zależą od tego narodu. Są to dwie ważne wyspy: la Cité i wyspa Saint-Louis.

*La Cité* jest miejscem najbardziej urozmaiconém na całym świecie; zwykłym siedliskiem sędziów i złodziei. Znajduje się tam Pałac Sprawiedliwości, pod cieniem którego ukrywają się przyjemne domy kobiet wesołych i kobiet boleści otwarte dla mniej więcej wyzwolonych złoczyńców.

Tam się knują wszystkie wielkie zbrodnie; a więc drzwi i okna tych domów wychodzą na rynek kwiatów mających napełnić wonią tysięczne zakątki Paryża.

Takim sposobem znajdują się tam pod ręką dziewczęta i kwiaty, sprawiedliwość i złodzieje.

Wyspa *Saint-Louis* jest prowinciją spokojną,

wyrozumiałą, odosobnioną. Nie rodzą się ludzie w niej, lecz umierają. W ogólności tameczni krajowce są podeszłego wieku.

### Strona Łacińska.

Strona Łacińska bardzo urozmaicona i nader malownicza. Że się tam zgłębia prawo i kobiety, mieszkańce tej strony nazywają się studentami. Zapewniają nas, że oni uciekli na górę Świętej Genowefy, jak Rzymianie na górę Awentyńską, dla uniknięcia niebezpiecznych wpływów cywilizacji. Jest to mniemanie postępowe.

### Przedmieście Saint-Germain.

Przedmieście to jest szeregiem zrujnowanych zamków, gdzie wiele Rawenswodów, a mało Kalebów. Krajowce patrzą uporczywie w niebo, w niebo pochmurne, na gwiazdę, która już nie świeci. *Anno, siostró Anna, czy ty nie nie widzisz?*

Znajduje się w tej stronie na rogu mostu Zgody, wieża Babel zmieniająca ciągle nazwę i politykę.

Byłoby niesprawiedliwością zapomnieć o akademjach, — o Akademji nadpisów, gdzie zgadują się logogrify zostawione przez starożytnych ludzi, którzy także bywali niekiedy złośliwemi;



o Akademji francuzkiéj, której czterdzieste pierwsze krzesło bardzo mię nęci.

Wspomnijmy także o jednym pałacu, w Obserwatorjum astronomiczném, gdzie się prowadzi bezpośrednia korespondencija z księżycem i z inszemi odległemi stronami. W bliskości znajduje się Szkoła prawa i Szkoła medyczna, t. j. *la Chaumière*. Pomocnicza: *la Grande-Chartreuse*.

### Przedmieście Saint-Honoré.

Jest współzawodnikiem przedmieścia Saint-Germain. Mieszkańce nie szukają spadającej gwiazdy, obracają się zawsze do słońca.

### Przedmieście Saint-Marcean.

To przedmieście jest ojczyzną gałganiarzów, hordy ludzi dziwacznych obyczajów, mających zamiast słońca gaz, rewerberij i swą latarnię; są to Dyogenesy szukający śmieci, a niekiedy znajdujący ludzi.

Kraj to jedyny, w którym złoto jest chimera, w którym nigdy dwa dukaty nie brzęczały razem. Jest to nieznane morze na jakie udają się tylko La Peyruzowie stałego lądu.

W téj prowincji zamieszkałej tylko przez nowoczesnych Dyogenesów, znajduje się trybunał na otwartém polu. Strony wojujące zgromadzają sąsiadów i obwiniają się wzajem bez ogród-

dek. Sąsiedzi obwiniają obie strony, które zawsze kończą na tém, że się pobiją i pójdą do szynku.

Plemiona te mają takie podobieństwo z wielbładami, że co niedziela za rogatką upijają się na cały tydzień.

### **Przedmieście Saint-Antoine.**

Przedmieście Saint-Antoine jest w Antypodach Tiulerjów. Pracowici mieszkańcy tej strony chodzą do Paryża, tylko na rewolucje i na fajerkwerki: aby bić się lub popatrzeć.

### **Chaussée-D'Antin.**

W Chaussée-D'Antin robią się fundusze lub się tracą; na przedmieściu Saint-Germain zachowują się. Tam jest arystokracja pieniędzy, jak tu arystokracja urodzenia. Chaussée-D'Antin ma dwie ciekawe świątynie, magdalen i loretek. Uczęszczają do nich, lecz jeszcze częściej chodzą do Opery znajdującej się dość blisko. Łatwo to pojąć: w świątyniach są kapłani, w Operze kapłanki.

Wszakże polem dla żebraków zawsze jest świątynia— jak mówią wolterzyści.

### **M a r a i s.**

Marais, jak wyspa Saint-Louis, jest odległą

stroną, światem z dawnych czasów, niewierzącym ani w obelisk, ani w kolej żelazną. Podług Mercier nie ma stu lat, jak mieszkańcy tej strony zaledwie zdaleka— spostrzegali światło sztuki. »*Mercure de France* wchodził do wydatków razem z miotłami, i rachunek ten należał do odźwiernego.» Ponieważ *Mercure* przestał wychodzić, trzeba z tego robić korzystne wnioski dla mieszkańców Marais.

### Podróże.

W rzadkim tym kraju istnieją rozmaite sposoby podróżowania na lądzie i na wodzie; są nawet koleje żelazne, lecz wprowadzone tylko dla komunikacji zewnętrznych. Podróże na wodzie odbywają się w łódkach lub w parostatkach; lecz się na nie nie przydają, oprócz dojechania z ogrodu Botanicznego do Tiulerjów. Podróżowanie po stałym lądzie bardzo łatwe; na każdym kroku spotykamy wielkie powozy idące do wszystkich miejsc, które cię wszakże do żadnego nie zawożą. Prawda, że można podróżować piechotą, lecz mówiąc, jak dowcipny Ludwik XV.: »*Gdybym był naczelnikiem policji, zabroniłbym używania kabryjoletów.* W samej rzeczy ten sposób podróżowania staje się prawie niemożliwym: gdy powozy bowiem zajmują środek ulicy, a mijają nieustannie, człek idący pieszo, nader

podobny do tego chłopa w bajce, który mając przejść przez rzekę, czeka za nim w niej woda nie przestanie płynąć (1).

### Narodowe pismiennictwo.

Pismiennictwo narodowe musi nader zadziwiać cudzoziemców, gdyż się popisuje bezwstydnie na wszystkich ścianach; są to stronicie papieru, na których wszyscy chcą zapisać swe imie począwszy od pędraka chodzącego do szkół aż do najpoważniejszego reformatora. Autorem najbardziej znajomym jest Carlo-Alberto.

### Piosnki.

Mazarini powiadał: »Śpiewają! to i dobrze! pozwolcie im śpiewać; jeżeli śpiewają, to i zapłacą;» dziś już nie śpiewają, lecz płacą jeszcze.

### Kominy.

Kraj sławy i dymów! Kominów w nim za wiele, nie zimową porą, ale podczas burzy.

---

(1) Jan Jakób Rousseau w 1756 został wywrócony na ulicy przez ogromnego psa poprzedzającego karetę. Właściciel pojazdu pomknął dalej niezmrúżywszy oka, gniotąc kołem tylko kapelusz filozofa. Nazajutrz dowiedziawszy się, że o mało co nie zabił Genewskiego obywatela, posłał do rannego z zapytaniem, coby mógł dlań uczynić? „Trzymać odtąd psa na uwięzi,” odpowiedział Rousseau.

## Akademije.

Nie tak nie uwiecznia ludzi, jak śmieszność. Dzisiejszej Akademji Francuzkiej brak, nie Balzaka, nie Lamenege, nie Beranzera, ani promienistego zastępu młodych umysłów, lecz brak jej epigrammatów Piron'a.

W Akademji nadpisów i belletrystyki umysł żyje tylko tem, co już nieistnieje. Podziwiają w niej obrazy Apellesa i Zeuxisa, gdyż ich nigdy nie widziano. Przetoż na grobie wszystkich członków tej Akademji piszą się zawsze owe wiersze Piron'a:

Tu leży antykwaryusz szorstki niesłychanie.

Z duszą i z ciałem śpi w etruskim dzbaunie.

## O duchu ludu.

Rozum całego świata jest w Paryżu. Paryżanie są ludem najdowcipniejszym na kuli ziemskiej; lecz jak wyrzekł Montaigne, w każdej chwili trzeba go oduczać od głupstwa.

Są paryżanie rodzący się w Paryżu, paryżanie czystej krwi; ei patrzą na świat przez dziurkę; badają serca ludzkie, własne i swoich sąsiadek w teatrach znajdujących się przy bulwarach; wierzą we wszystko: do jednego z nich zawołano pewnego poranku, aby otworzył okno dla obaczenia jadącego na chmurze porównaniu dnia z nocą, otworzył je.

## VIII.

## Życie w zamku.

**N**ADAREMNIĘ opieram się na balustradzie i chcę patrzeć na ulicę, jakaś kwietniowa symfonia woniejąca kwiatami bzu i jabłoni pociąga mię w strony, gdzie są altanki pokryte młodym liściem, na łąkę rozpościerającą swe szaty, do zupełnie jeszcze dziewiczego lasu.

Gdy karnawał po raz ostatni na *Longchamp* potrząsł swemi brzękadłami, gdy romantyczni mówcy już przeliczyli swój różaniec, gdy malarze i rzeźbiarze odebrali z wystawy do pracowni obrazy i marmury, nie ma co robić w Paryżu, chyba go opuszczać. Żegnaj cię pani margrabino, niech wiatr kwietniowy ci sprzyja! Jedź ujrzyć znowu twe zamki, twe krajobrazy i jaskółki. Nadeszła pora — wyjeżdżaj. Już odświeżono wieżycę pradziadowskich zamków i wiejskie domy; fijałki napełniają wonią ścieżki parku i skalistą górę, pierwiosnki pachną w alei i na łące; gaj śpiewa w najlepsze; a w wiejskim kościółku ksiądz proboszcz zdjął pajęczynę z twej ławki. Ruczaj! ruczaj! uciekaj z Pa-

ryża; tam jest życie pod słońcem. Rzucaj! ruszaj! choćby dla dania wypoczynku twojemu sercu i głowie.

Napisz do mnie, jak przepędzacie dobre i złe dni. Mów szczególnie o zamku Kerkado. Dzięki ulewnym deszczom tej wiosny, w jeziorze musi być nieco wody; znajduje się ono w położeniu złego bogacza, zebrzącego o wodę w piekle. Karol X. przejeżdżając tamtędy na polowanie i widząc most na jeziorze Kerkado, rzekł: »Trzebaaby sprzedać most dla dostania wody.»

Adieu pani, niech słowicy twojego parku, więksi odemnie poeci uwolnią mię od słowikowania wierszy,— a niech róże z twojego parteru śpiewają ci, jak Orfeusz— mój znajomy, stary słowik,— poemat woni!

O! życie w zamku! dobre to było, gdy byli kasztelanowie i kasztelanki, gdy Paryż był w Wersalu, w Saint-Cloud, w Chambord, w Anet, w Fontainebleau! Lecz dziś, gdy Paryż jest w Paryżu w zamkach mieszkają tylko upiory.— Udują się jeszcze do nich ludzie dla uśpienia na sześć tygodni serca i umysłu. Są i wygnańcy zostawujący jedno i drugie w Paryżu. O! życie wiejskie! cieniste lasy, góry i doliny śpiewające duet, głosy nieskończoności mówiące

do ziemi o niebie, głosy drzew, rzek, ptaków i róż mówiące do nieba o ziemi! Tak, wszystko to bardzo piękne; lecz będąc w pośród cudów wiosny i widząc unoszącą się na skrzydłach pary lokomotywę, która dąży do Paryża, wołamy: Ach! kiedyż nadejdzie zima! I za nadejściem zimy oddalibyśmy swą część raję Mahometa za część Paryża.



## IX.

### **Wolność— Równość— Braterstwo.**

*Wolność, Równość, Braterstwo.* Prawie naprzeciw mego mieszkania znajdują się szynki, od rana malarz szyldów uwija się przed szynkiem; gdzieniegdzie po murze pociągnął pędzlem, lecz niepodlega wątpliwości, iż oczekuje jeszcze natchnienia. Lecz gdzież jest natchnienie?— Przejdzież ono koło niego pod postacią pięknej wietrznej dziewicy, jednej z tych córek Ewy dających za głosem węża? albo też znajduje się ono na dnie, której z owych nęcących butelek,



co się śmieją na całe gardło na biórze szynkowni?

Patrzcie!

Oto malarz szyldów przestępuje próg oświęcony. Z jakąż to lubością do tej szklanki, wcale nie kryształowej, nalewa czerwone wino! i z jakim uszanowaniem leje ze szklanki do gęby! Już się czoło jego rozpogadza. Jeszcze szklankę szynkareczko? któż bardziej zasługuje na wypicie całej butelki? Ukłoń się przed tym człowiekiem! gdyż powziął myśl. Obraz, który ma wymalować na murze już mu błyszczy w oczach. Już on nie malarz szyldów! Ten, na którego patrzysz teraz jest artystą! Szynek ten, pierwszy może, 24 lutego 1848 roku napisał nad drzwiami:

Wolność — Równość — Braterstwo.

Pijak to wynalazł.— Prawda w winie.— Dobrze wynaleziono.— W istocie, nad szynkami to, a nie nad pałacami trzeba było napisać te trzy wyrazy, będące przedmiotem miłości dla jednych, postrachem dla drugich.

Mój malarz szyldów w kilku rzutach pędzla napekał trzy figury. Poznają wolność po czerwonej czapce. Wolność! twarda i dzika bogini z ogromnemi piersiami. Równość! paradox,

karmiający się zawsze czarną polewką. Braterstwo! piękne dziewczę, której królestwo nie jest tego świata, począwszy od czasów Kaima.

Zszedłem na dół, aby dać cygaro malarzowi szylków.

— Ależ, panie....

Nie chciał przyjąć.

— Braterstwo! rzekłem, wskazując mu figurę, którą malował.

Uśmiechnął się smutnie.

— W malarstwie, przebaknął żartobliwie i z goryczą.

— Zapalmy, dodałem podając mu ogień. Nie starajmy się świat widzieć gorszym niż jest.

— O mój Boże! nie jestem mizantropem: słońce świeci dla wszystkich.

To mówiąc, dotknął pędzlem *Równości*.

— Równość! ciągnął dalej, jest postacią, której nigdy nie rozumiałem.

— Ależ wreszcie, rzekłem, niewychodziemyż i niewychodziemyż z tego świata przez jednakowe drzwi?

— Inaczej sędzę, przerwał, kiwając głową. Czyż przy obrzędach pogrzebowych i weselnych, nie weselej brzęczą i dzwonią, kiedy rzecz idzie o bogacza, niż przy urodzinach i śmierci ubogiego! Na tym świecie wszystko

kładamie Równości. Jedno jest dla niej słowo powitania, a tem słowem jest okrzyk śmierci:— *Tu leży!*— Otoż jako symbol napiszę to słowo na czele mojej figury Równości.

— Nie czyni tego nad drzwiami szynku; daj szklanę w rękę twojej bogini, będzie to symbol zrozumiały dla wszystkich, a szczególnie dla tych, co mają za co wejść do szynku.”

A że mój malarz szyldów uczył się nieco, zrobiliśmy mały przegląd niektórych symbolów stworzonych dla wyrażenia myśli w sztukach pięknych.

— W samej rzeczy, rzekł nagle, rozprawiamy przed moją peckaniną, jakbym malował obraz do Watykanu lub do Luwru. Pomyśl pan tylko, iż to, co maluję, będzie jedynie podziwiane przez podchmielonych pijaków, którym się dwoi w oczach. A przytem, długoż to potrwa? Po następnej rewolucji będę musiał malować cesarskiego orła, lilję, koguta Gallów, lub nie wiem co takiego.

— Bądź pewny, kochany artysto, że przy przyszłej rewolucji będziesz musiał zmienić tylko ozdoby twoich trzech bogiń dla zrobienia z nich trzech Graeji, lub trzech Cnót teologicznych; gdyż w gruncie zawsze to jest jedno i to sa-

mo: zawsze trzy kobiety rządzą światem, i tylko moda je zmienia.

-- Boję się bardzo, abym przy następnej rewolucji nie musiał trzech Park malować.

## X.

### Zycie jest romanssem.

**S**A kobiety, które dla tego kochamy, iż kochaliśmy je w innych wiekach. Skoro je ujrzemy— skoro znów widzimy— zdaje się nam, że chwytny jakiś promień, jakieś wspomnienie naszego dawnego życia. Moją *Ciemną* sąsiadkę kochałem w innym stuleciu. Przed chwilą śpiewała na nutę *Lully*, dowodzącą, iż miłość jest owocem z drzewa świadomości dobrego i złego.

— Tak, sąsiadeczko, masz słuszność, miłość jest jedynym kwiatem życia zasługującym na zerwanie; lecz kochankowie są ślepi, zrywają ciernie, a zostawiają róże.

— Boisz się, sąsiedzie; największa rozkosz jest to poszarpać sobie ręce. Róża jest symbolem, bo skropiona krwią Wenery.

—Zanadto jesteś uczoną, sąsiadko. Jakże cudną pieśń śpiewałaś nie dawno!

—Starą piosnkę wiecznie nową, na starą nutę nową zawsze.

—Pieśń twą, jeżeli się nie mylę, słyszałem na dworze Ludwika XIV., albo raczej za czasów regeneracji, czy przypominasz sobie pani, śpiewałaś mi ją w jakimś raju malarza Watteau. Życie jest romansem; przy każdej stronie wykrzykujemy: już ja to czytałem. Za czasów regeneracji, w raju Watteau ja się nazywałem *Adamem*, a pani *Ewą*. Ach! jak pani zgrabnie było w jej sukni z ogonem!

—Nie przypominam sobie tego; wszakże myśle razem z panem, że życie jest romansem odczytywanym powtórnie. I tak, woń pierwszych róż kwietniowych, budzi w naszej duszy wspomnienie pięknych dolin życia pozostałych na zawsze za nami. Gdy się obejrzymy za siebie, tam widnokrz sięga daleko po za kolebkę, dalej niż całe stulecie. Jestem mocno przekonana, iż nie po raz pierwszy istnieję. Nie wiem czyli żyłam pod postacią konika polnego, jaskółki, lub tygrysy, lecz żyłam w innych czasach. Kto wie? nie byłabym bardzo zadziwioną, gdyby mi powiedziano, że jestem jedną z tych pięknych słynnych dziewic, udających się na górę dla

opłakiwania swego państwa. Lecz dla czego, pytam pana, wspomnienie tamtego życia tak jest niewyraźne?

— Gdyż nie przechodzi się bezkarnie raz drugi przez kolebkę, gdyż trzeba zawsze zostawić obszerne pole dla wyobraźni, gdyż jest na to historia, aby nam posługiwała geografją w tym nieznanym kraju przeszłości. Czyż nie lepiej dla własnej dumy wyobrażać sobie swą postać pomiędzy promiennymi postaciami, niż wiedzieć naprzykład, że się było ciemnym niewolnikiem?— Wierz mi pani, nauka życia nie zależy na widzeniu daleko w przeszłości i w przyszłości. O! najpiękniejszym jest życie to, z którego zaledwie podnosimy zasłonę,— a którego pasa nigdy nie możemy rozwiązać. Nie wiadomo z kąd płynie źródło, nie wiadomo dokąd dąży. Nie wstępujemy na pagórek dla oglądania drogi w dolinie; znając zawczasu drogę, nie warto iść do końca. Co mi się w tobie szczególnie podoba, o moja godna uwielbienia sąsiadko,— choć cię nie uwielbiam,— to, to, iż cię nie znam, i że nie znasz sama siebie.

— Co mi się w tobie podoba, o mój sąsiadzie! to, że jesteś pierwszym spotkanym przeze mnie mężczyzną, który mi nie rzekł w przełocie: *Piękną jesteś i ja cię kocham.*

— To dla tego, że nie mam zwyczaju prośzenia jałmużny: kobiety to tylko dają, co się od nich odbiera. Ach! jakże się lituję nad tymi wszystkimi zdradzonymi kochankami, którzy śpiewają serenady, mając minę żebrzących o grosz!

— Ostrożnie sąsiedzie, powiem także, że jesteście uczonym.

— Uczonym! wiem wszystko i nie wiem. Wszakże wyrwałem kilka stronie z książki pana Kupidyna. Chcesz oto tę przeczytać? ona ci wytłómaczy dla czego masz niejaką przyjemność w błyszczeniu pomiędzy twemi pięciu czy sześciu adoratorami.

Sąsiadka wzięła kartę z mej ręki.

---

## XI.

### Karta z książki pana Kupidyna.

---

**W**y którzyście kochali,— wy coście nie kochali,— mali i wielcy,— szlachta i motłoch,— nie wiecie nic o miłości— i ja także,— dla tego to będziemy czytali razem brewijarz pana

Kupidyna. Rozczaruję was w mniemaniu o was samych i o sobie.

Sądziecie, że serce jest tylko dla jednego serca. Niestety!— kiedy jest serce dla jednego serca, jest ono i dla dwóch,— a niekiedy i dla trzech: dla obecnego, dla tego, które było i dla mającego być. Serce jest domem o pięciu lub sześciu piętrach. Dobrodusznie kochający się powinien mieszkać jednocześnie na wszystkich piętrach swojego serca.

Na dole,— mieszka w cieniu i karmi się łaźmi miłość melancholiczna. Wspomnienie tej, której już nie ma.

Na pierwszym piętrze, miłość, wielki pan, ciąga swą ogoniastą suknię, lub każe nosić ogon swoim murzynom po pysznych salonach błyszczących złotem, dziwaczными arabeskami i jaskrawemi zyrandolami.

Na drugim piętrze,— lecz miłość wymyślniejsza— przeskakuje jednym susem z pierwszego na piąte piętro; gdyż na piątym piętrze serca znajduje się jakieś wesołe dziewcze— żyjące powietrzem swego czasu. W towarzystwie swoich sąsiadów ptaszków i sąsiadek, kwiatów rosnących na dachu. A gdy miłość czuje się nie na swoim miejscu, w tem uczuciu na gałęzce nigdzie nie przy-



twierdzonej,— którą lada wiatr może unieść razem z kominem,— a tyleż ich unosi! idzie dla pozbycia się złego towarzystwa, do na w pół wystawnych salonów mieszczaneczki z trzeciego piętra,— gdzie wkrótce boi się roztyć. Widzicie ją— już zupełnie prozaiczna; licząc kroki zmierza na czwarte piętro, gdzie jakaś Rose-Pompon śpiewa jej nieskromne zwrotki młodzieńczych swawoli, które na godzinę, pozwalają jej wierzyć, iż ma lat dwadzieścia.

A potem,— zmęczona tem roztrzepaniem, nieśtałością, chcąc posiadać w końcu kobietę, któraby była pięć kroć kobietą— a która może całkiem nią nie jest, schodzi na drugie piętro i rzuca się w objęcia aktorki, mającej z kolei wedle swego widzimi się, to idealne zachcenia dziewiczych lasów, to imponujące zbytki margrabiny, to wesołą umiejętność kobiety lekkiej, to życie bez troski tej, co śpiewa na dachu.

Pięć miłości razem— to za wiele. Jeżeli jesteście sumiennymi, przyznacie wszakże iż zawsze tak się dzieje, pomimo wszystkiego cobyście robili dla pozostania wiernymi klassycznej jedności. Pan kupidyn nie lubi Arystotelesa. Jego komedja ma także pięć aktów, jak tragedija klassyczna, lecz za każdym aktem zmienia się piętro.

Czy serce najbardziej zajęte nie doznaje istotnie roztargnień?

O! jaki dobry bilecik ma la Chatre, mówiła Ninon. Już twoje usta mnie całując są roztargnione, mówiła pani de Parabère do Regenta, który się od wczoraj do niej udawał.

W starożytności miłość zawsze była wieloraką, wyjąwszy Hero i Leandra, którzy właśnie dla tego umarli.

Bóg nam dał pięć zmysłów, które się nigdy nie zgadzają z sobą, gdyż, skoro nie ma doskonałości na świecie, szukamy jej szczegółowo,— jak starożytny rzeźbiarz, co dla wykucia z marmuru wenery, zbierał piękne cząstki z nadobnych dziewic Sycyonu.

Miłość, gdy nie jest całkowitą miłością: uczuciem gwałtownem,— kłaczą roznoszącą,— burzą mieszającą niebo z ziemią— jest eklektycznym filozofem zbierającym wszędzie swą własność.

Od tej łzę— od owej uśmiech;— tu ciało, ówdzie duszę,— jak syn marnotrawny w pośród niewiast rozpustnych, upijający się wszystkimi winami i wszystkimi pocałunkami.

Dzieci marnotrawne mają słuszność wychwalając wielość żon.

Każda miłość jest wierną dla serca. W pierw-

szych dniach kochankowie mają dla siebie najmilszą zalotność, która wędnie jak pierwsze bzy.

•Tylko prawda jest piękną, tylko prawda jest miłą,« dowodził Boileau, nie rozumiejąc nic zgoła. W miłości kłamstwo jedynie jest pięknem: zawsze historia maskaradowa. Na pierwszy rzut oka wszystkie kobiety piękne; lecz za nadejściem ranku, biała, pełna zapachu tarnina jest tylko krzakiem.

Słowem w pierwszych dniach uczucia, mamy polityki przewyższające nas samych; jesteśmy czemś lepszym od mężczyzny, czemś lepszym od kobiety, jesteśmy zakochanymi!

Mamże powiedzieć? Znalazłem wszakże trzy kobiety, jakby cudem, mające, każda, wszystkie cnoty, wszystkie wdzięki, wszelkie piękności. Pojmałem promienną ułudę, ściganą przeze mnie na niebie poezji.

W czemże była tajemnica?—Kochały mię. Od czasu tej świetnej uczy, zbierałem już tylko okruszyny ze stołu.

Tym którzy nie chcą mieszkać na pięciu piętrach, trzeba radzić, aby byli kochanymi.

Lecz jeżeli są kobiety posiadające miłość, jest ich tyleż, które nie mają w sobie oprócz kobiety!—puhar rzeźbiony przez florenckiego mi-

strza z jak największym gustem, lecz który trzeba kochać oczyma, a nie ustami— gdyż jest zupełnie próżny.

---

## XII.

### Historja mojej sąsiadki.

---

**P**RZED kilką dniami na balkonie mojej sąsiadki widziałem Fryderyka de Marvilliers, którego często spotykam, na *Komedji*, w Operze, w pracowni Delacroix, w kawiarni *Café de Paris*, słowem wszędzie po troszę. Jest to człowiek w całej Francji i Nawarze najciekawszy. Wszystkie współczesne romanse z pożycia domowego wydobyte zna i może policzyć na palcach.

Jest to trzydziesto-pięcioletni człowiek, który z zapalem przeżył swawole i doznał rozkosznych uczuć młodzieńczego wieku. Długi czas żył sercem; lecz, jak zawsze się zdarza, rozum powoli zabił je. Pewnego poranku Fryderyk obudził się filozofem, to jest, nie mając już siły żyć własnym życiem, a tylko ze smutnym przywilejem istnienia życiem innych ludzi. Zawsze kochał

naukę; w dwódziestym roku szukał jej w książkach; w dwódziestym ósmym znalazł ją w sobie bezwiednie; w trzydziestym piątym szukał jej w wielkiej księdze, wiecznie otwartej, nazwanej światem— na której tak nie wielu z pomiędzy nas umie czytać! Fryderyk należy do małej liczby bezczynnych, rozumnych ludzi, żyjących przez ciekawość. Jest on z rodziny tych silnych umysłów, które nie mając już tu niczego do nauczenia się, strzelają sobie dumnie w łeb dla badania śmierci. Fryderyk nie doszedł jeszcze do tego. Znajduje on że komedja ludzka jest niewyczerpaną w swoich dziwactwach; codziennie znajduje w niej zupełnie niespodziane sceny. Na wzór nieustraszonego podróżnika chce do koła objechać świat moralny. Co go najbardziej bawi, to słabości serca, kto inny rzekłby bohaterskie jego czyny. Ze szczególniejszem upodobaniem śledzi miłośne przejścia we wszystkich ich niezwykłych i nieprzewidzianych fazach. Lituje się nad najobfitszymi romansopisarzami, będąc codziennie świadkiem początków i rozwiązania najśliczniejszych romansów. Nie zadawalnia się badaniem ziemskich namiętności w tem co one mają najstraszniejszego i najmilszego, najbardziej niszczącego i najrozkoszniejszego, bada jeszcze wszystkie namiętności: dąży za politykiem na wy-

ścigach o ministerstwo, za poetą, na wyścigach o krzesło akademiczne, śmiejąc się wielce z ciósów przypadku, który tak łącno obala nasze pałace z kart i domy na lodzie. Stanął już na punkcie widzenia Erazma, który wszędzie widział tylko obłąkanie, a sam chciał za sceną pozostać rozumnym. Fryderyk doskonale jest umieszczony dla przypatrywania się obłąkaniu ludzkiemu. Ma trzydzieści pięć tysięcy dochodu; bardzo często bywa w towarzystwach przedmieścia Saint-Germain i Saint-Honoré; wygodne zajmuje stanowisko w Operze i w jej okolicach; zwiedził wody i ruiny; jedném słowem był wszędzie gdzie kwitnie arystokracja francuzka: arystokracja imienia, tytułów, umysłu i pieniędzy. Fryderyk ma dobre gusta; lubi rasowe psy, konie czystej krwi, rzadkie kwiaty, piękne kobiety, i obrazy mistrzów. Umie dobrze władać szpadą. Wymieniają go w żokiej-klubie z powodu kroju jego odzienia i żywych odpowiedzi. Wszystkie kobiety mówią o jego piękności, o szlachetnej postawie, o wyrazistej i myślącej twarzy. Z wdziękiem i z dumą nosi czarne wąsy, które w czasie swych filozoficznych uwag pokręca zapamiętałe. Nieraz mu wyrzucano jego mizantropiję. „Nie rozumieją mię, powtarzał on; bardziej niż kto inny żyję w samym wirze. Nie

mam jednej jakiejś namiętności latającej po świecie; mam ich tysiąc zarazem: ciekawość rozmnaża życie. Czyż serce nie lgnie do książki, którą czytamy? Dla mnie świat jest księgą zawsze nową i zawsze otwartą na najpiękniejszej karcie.\*

Aby go dobrze odmalować jednym rysem, dodam, że Fryderyk nie śpi z powodu schadzki miłosnej naznaczonej dla kogo innego.

Wczoraj o godzinie jedynastej wieczorem ujrzałem znowu Fryderyka de Marvilliers, który od jedynastej z rana palił swe jedynaste cygaro i opowiadał swój jedynasty romans.

—Znasz więc moją sąsiadkę?

—Od dawna, a ty?

—Nie wiem czy ją znam. Nie jest że ona z rzędu tych kobiet, których nigdy nie znamy?

—Masz słuszość.— O! dała mi ona twarde orzech do zgryzienia.

—Opowiedz więc mi jej odysseę.

—Na cieniach cienie! Koniec świata na początku świata, Pompeja na Herkulanum. Znam tylko cząstkę jej romantycznego życia, jeden krzyk serca, łzę jedną.

I Fryderyk Marvilliers, paląc swe jedynaste cygaro opowiedział mi prawdziwy romans, albo raczej romans prawdziwy, który ja sam opowiem mojej sąsiadce ze znakami zapytania.

Lecz otóż i ona czyta dziennik na balkonie, a żebym też ją ugodził śmiało w samo serce!

— Dziwnie to pomyśleć, pani, że dziennik, który ja dziś piszę na moim balkonie, będziesz go czytała jutro na tym samym balkonie, jak gdybym wiedział coś więcej od pani. Jutro, na przykład, radzę jej przeczytać feljeton Constitutionnel'a. Mam zamiar opowiedzieć ci historję ciekawą bardzo, a szczególnie dla pani.

— W nie już nie wierzę.

— Nawet w siebie?

— Być może! Tak często mi mówią że nie mam serca! a ja sama sobie tak często mówię, ja nie mam rozumu!

— Mam chętkę wziąć panią za słowo.

— Bierz mię za słowo i opowiedz twoją historję.

— Nie, przeczytasz ją jutro, jeżeli chcesz, wolę tak dla dwóch przyczyn: najprzód z ciężkością by mi ją przyszło pani opowiadać; powtóre, że jeżelibym ją opowiedział, nie miałbym odwagi do napisania; a ona zasługuje na wydrukowanie.

— Więc ja sama nie godna jestem całej publiczności?

— I tak i nie. Lecz jestem opowiadaczem kupującym, nie żyję samem powietrzem. Dziennik mi da za co przeżyć ośm dni jeżeli mu zapiszę



odeinek przez dni cztery,— a pani—dasz mi cztery uśmiechy, które mię zamorzą głodem.

—Jak się panu podoba! Chcę pana słuchać— i będę go karmiła przez cały miesiąc; lecz czytać jego pisania nie będę.

—Nie wierzę pani abyś jutro nie zajrzała do *Constitutionnel'a*.

—Wiem dobrze że jestem całym sercem córką Ewy, lecz wiem także że pan nie jesteś szatanem.

—Nie czyńmy sobie więcej obelg; idę tęperować pióro, myśląc o pani. Jeżeli po pierwszym feljetonie zabraknie mi myśli, pani mi będziesz mogła podać nowe.

Poszedłem pisać niniejszą historję mojej sąsiadki, a tegoż samego wieczora była już wydrukowana w odcinku *Constitutionnel'a*.

---

## KRZAK BIAŁEJ RÓŻY.

### I.

**P**EWNEGO świeżego poranku, stworzonego z błękitu niebios, z promieni i kwiatów, Fryderyk de Marvilliers na pięknym angielskim koniu, mając

za sobą żokieja bardzo dobrego stylu, spacerowa po lasku Bulońskim w pobliżu Auteuil. Wsta rano, chcąc dnia tego spacerować dla siebie nie dla drugich, gdyż zaledwie było południe, wiadomo że ludzie wielkiego świata nie spacerują tak rano; jeździ on do lasku oddychać zapachem wsi, wtedy tylko gdy już żokiej lub malsztalerz zmiotł pył w alejach męcząc jego konia. Chociaż Fryderyk spacerował dla spacerowania, niepokoił się wszakże wszystkim co widać przejeżdżając; więcej go zajmowali nieliczni spacerujący, niż ciepło poranne tak przejmujące i tak poetyczne pod koniec kwietnia, kiedy ptaki i kwiaty zaludniają gaje, gdy cała natura jest jednym cudownym widowiskiem, czarodziejstwem jakimś ogrodem Armidy. Wtém, tuż kolo niego przesunął się prędko elegancki kocyk; zaledwie miał dość czasu do zauważania iż się w nim znajdowała kobieta.

— Tak prędko i tak rano, rzekł popędzając konia; muszę wiedzieć dla czego.

Przez kilka sekund jechał z dala za kocykiem. Na zawrocie alei, woźnica prawie nagle wstrzymał konie.

— Czy tu? rzekł, zsiadając z konia.

— Tak tu, odpowiedziano, zlekka przyciszonym głosem.

Odkrył stopnie, i jakaś młoda dama wysiadła z koczuka z lekkością sylfidy.

— Wilhelmic, będziesz czekał na mnie w tej alei, pochodzę trochę.

Woźnica skłonił się z uszanowaniem. Młoda pani oddaliła się niezupełnie jak spacerująca kobieta. Fryderyk oddawszy konia żokiejowi, zbliżył się do koczuka.

Czy to tylko nie konie hrabiego de Verneuil? zdaje mi się że poznaję herb jego.

Fryderyk przypatrywał się herbom wymalowanym na koczuku.

— Doskonale, rzekł, otóż i nowa książka; nie stracę dnia dzisiejszego.

Nie był nigdy prezentowanym hrabiemu, ani jego żonie, lecz znał ich jak się zna wszystkich w Paryżu.

Jednak, Fryderyk szedł za panią de Verneuil. Udał się na małą ścieżkę niezbyt uczęszczaną, a przyległą do alei, przez którą hrabina szła spiesznym krokiem. Przy końcu alei odwróciła się, może dla obaczenia czy kto za nią nie idzie; a że Fryderyk dążył po za drzewami, nie spostrzegła go; zatrzymała się na chwilę i zdziwionym wzrokiem spojrzała na pięć czy sześć domów rozsypanych na krańcu lasu: zdawało się iż szukała drogi; a potem jakby ją sobie przypomniła.

Udała się małą ścieżką zwijającą się pomiędzy winnicami, i wiodącą do dość skromnej furtki sztachetowanej jakiejś wyświeżonej i strojnej willi.

Podchodząc do furtki, pani de Verneuil zwołała nieco kroku i co moment zatrzymywała się, spoglądając po za siebie.

Fryderyk ukryty na rogu lasu w leszczynowej gęstwinie z wielką ciekawością przypatrywał się wszystkim ruchom hrabiny. Widząc ją tak spoglądającą w tył, wniósł zaraz że bała się, aby kto jej nie ścigał, potem iż na kogoś oczekiwała, wreszcie iż sama nie wiedziała co miała począć. Przybywszy do parkanu położyła swą rączkę w nowej rękawiczce na jednym z dwóch drzew akacjowych, które tam stały jakby na straży z obu stron drzwiczek. Fryderyk z niecierpliwością oczekiwał otwarcia się furtki. Ani wątpić, rzekł do siebie, że pani de Verneuil zadzwoniła; jakim więc to sposobem dzieje się iż trzymają za drzwiami tak piękną i tak chętną kobietę? Jednak furтка się nie otwierała. Pani de Verneuil spoglądała z kolei to na drzwi od domu, to na ścieżkę wśród winnic, to na niebo. Tak, tak, rzekł Fryderyk, szuka rady tam w górze; tak, zawsze odzywają się do nieba lecz zawsze djabeł odpowiada. Usłyszał potem ostre

skrzyknięcie klucza wchodzącego do zamku: to sama pani de Verneuil otwierała furtkę; lecz razem, jakby mimowolnie, zamknęła ją, wyciągnęła klucz i spieszenie się oddaliła. Fryderykowi zdawało się iż słyszał kilkakrotnie powtórzone słowo:— Nigdy! nigdy!

—Dobrze, rzekł, otóż i romans co się nie zaczyna jak inne, dla mnie to prawdziwa gratka.

Wkrótce pani de Verneuil przeszła o dziesięć kroków od leszczynowej gęstwiny, w której się znajdował na zasadzce; zadziwiła go w przechodzie jej blada piękność i regularne rysy, i wdzięk delikatnych powolnych ruchów: pochyliła zmęczoną głowę z giętkością szyi łabędzia. W twarzy jej Fryderyk zauważał wyraz tęsknego smutku, który go ujął za serce. Jest to uczucie prawdziwe, rzekł poważnie. Jest tam serce bijące pod wpływem ognistej myśli. Będąc już pod cieniem wielkich drzew, pani Verneuil otworzyła mały algierski woreczek wyszywany złotem i wyjęła z niego jakiś list. Fryderyk wniósł iż nie po raz pierwszy go czytała, widząc w jaki sposób rzuciła nań okiem. Usiadła na wywróconem przy drodze drzewie, aby swobodnie w lubej leśnej zaciszy list ten przeczytać. Tak więc, rzekł Fryderyk, pociesza się tem, iż tam nie weszła.

Wtem strażnik wysunął się z lasu prawie na-

przeciw niej; pani Verneuil złożyła list i jak naj-  
 śpieszniej wróciła do pojazdu. Woźnica nie wy-  
 palił jeszcze pierwszej fajki. Wsiadając do ko-  
 czyka kazała jechać prędko. Wkrótce pojazd zni-  
 knął za chmurą pyłu. Fryderyk nie uważał już  
 za stosowne ścigać dłużej panią de Verneuil.  
 Wsiadł na konia, i spacerując dalej, starał się  
 zgadnąć dla czego hrabina wstała tak wcześnie,—  
 dla czego otworzyła furtkę,— dla czego nie prze-  
 stąpiła niebezpiecznych progów willi,— dla czego  
 wreszcie usiadła melancholijnie, aby list prze-  
 czytać?— Nie podlega wątpliwości, mówił sam  
 do siebie, że chodziła na miłosną schadzki, gdy  
 była ubraną w najczulsze kolory. Widział je-  
 szcze powiewającą jedwabną błękitną suknię  
 wschodnią szarfę. Nie stracił jeszcze z oka świe-  
 żego, białego kapelusika z takim wdziękiem ota-  
 czającego łagodną bladą i piękną twarz pani Ver-  
 neuil. Powrócił do Paryża z postanowieniem nie  
 poprzestania na tej pierwszej stronie romansu.  
 Dobrze, mówił wracając do Paryża, znużony  
 byłem już nieco lichemi i jednostajnymi intryga-  
 mi w kulisach Opery; najczęściej w tych intry-  
 gach, kto wie początek zna i koniec. Tu ni  
 znam ani końca ani początku.

Wieczorem Fryderyk de Marvilliers spotka  
 w *Komedji francuzkiej* (był to dzień pierwszego

przedstawienia) jednego ze swych starych kolegów filozofii i cygara, młodego margrabiego de Verviers, który bardzo uczęszczał do domów wyższej i średniej szlachty. Mój kochany, rzekł do niego Fryderyk, nagadawszy mu o upadku teatru, w tych czasach nie masz nigdzie pięknych przedstawień tylko w naturze. Margrabia de Verviers parsknął ze śmiechu.

—W naturze, badałeś tylko naturę pana Ciceri. Nie wiesz, mój kochany, co mówisz; oto teraz gdy z tobą rozmawiam mam mieszkanie w Auteuil; zaczął już mię męczyć ciągły widok tego samego człowieka z różnych stron uważanego: wolę patrzeć na drzewa, na chmury, na płynące strumienie i na śpiewające ptastwo.

—Celadyn! szepnął margrabia de Verviers.

—Sądzę, ciągnął dalej pan Marvilliers, że ty co znasz wszystkich musisz także bywać i u hrabiego de Verneuil?—Tak, i często; dla czego?—Pani Verneuil jest bez wątpienia srodze enotliwa?—A tak.

—Nie wątpię. Zdaje mi się, jeżeli się nie mylę, że ją dziś rano spotkał w Auteuil. Czy to ona ma tam dom wiejski?—Nie sądzę, gdyż pan de Verneuil jest właścicielem jednego z najpiękniejszych zamków Normandji. Ponieważ pani Verneuil nadzwyczaj podobna do jednej mojej znajo-

mej; której o to nie mogę pytać, zrób mi więc tę przyjemność i zapytaj się u hrabiny, czy jeździ czasem na spacer w stronę Auteuil.— Nic łatwiejszego, odrzekł pan de Verviers, nie myśląc o zamiarach Fryderyka i nie zastanawiając się nad tem, że przy całej oględności z jego strony, w tem zapytaniu zawsze byłoby coś niedyskretnego.

Przechadzali się razem po foyer, a wkrótce powrócili znowu do sali. Fryderyk był na balkonie, margrabia w galerjowej łoży. Dostyć już znacie Fryderyka, aby wiedzieć iż więcej był zajęty komedją odegrywającą się w sali niż na scenie; przeto pierwszy spostrzegł przybycie jakiejś pięknej kobiety, może nieco za bladej lecz bardziej jeszcze pociągającej przez tę samą bladłość. Była to hrabina de Verneuil. Choć się znajdowała na przedzie łoży, ukrywała się do połowy, bawiąc z wielkim wdziękiem ze swym wachlarzem; miała ona wstydlivość piękności bojącej się aby na nią nie patrzano.

W antrakcie margrabia Verviers wszedł do łoży pani Verneuil. Fryderyk, jak łatwo pojąć nie myślał o przejściu się do *foyer*. Spostrzegł wkrótce że na pytanie margrabiego hrabina odwróciła się zaczerwieniona i z niespokojnością odetchnęła wonią swojego bukietu.



Pod koniec antraktu Fryderyk spotkał się z panem de Verviers. A co! rzekł do niego, w porę spotkałeś panią Verneuil; może nie przyszło ci na myśl wspomnieć jej o Auteuil'u?— O tem tylko myślałem, mój kochany Fryderyku; uderzyłeś w czułą strunę, gdy udając że nie rozumie o czem mówię, na same słowo Auteuil zmieszała się zupełnie, nie odpowiedziała mi i odwróciła się do sceny. Fryderyk nie mógł ukryć oznaki ukontentowania. Prawdziwy romans, mówił do siebie, tarmosząc wąsy,— romans, który ja sam tylko będę czytał,— romans dla mnie napisany.

Nazajutrz około południa, Fryderyk znowu przejeżdżał przez lasek Buloński z niepewną nadzieją spotkania pojazdu pani de Verneuil. Po krótkim spacerze powracał ku l'Arc-de-Triomphe, nie sądząc już wcale, aby się mógł spotkać z tajemniczą hrabiną, gdy nagle przyszło mu na myśl, że pani Verneuil mogła zmienić drogę, udając się do Willi. Skierował wnet konia w tę stronę. Wyjeżdżając z lasu zatrzęsł się z radości na widok pewnego zielonego woalu igrającego z wiatrem na ścieżce pomiędzy winogronami. Jako człowiekowi ciekawemu prawdziwie służyło mu szczęście. Znowu znajdował hrabinę w stanowczej chwili, w której się wczoraj zachwiała. Chociaż zmieniła ubiór, choć lekki, słomiany włoski kapelusz okry-

ty woalem zastąpił wczorajszy biały, poznał ją od razu, czy to z niespokojnego, chociaż zawsze niedbałego chodu, czyli też iż sądził że tylko ona jedna o tej porze musiała być na winogronowej ścieżce. Jak wczoraj, pozostał na brzegu lasu, cicho i nieruchomie, z bijącym sercem, jak widz teatru *la Gaité* na piątym akcie melodramy.

Przedstawienie nie długo trwało; pani de Verneuil nie zatrzymywała się z wahaniem się przed drzwiami. Zdecydowała się mężnie, a będąc przy furtce, otworzyła ją za jednym pokręceniem klucza z prawdziwie kobiecą żywością. Wszakże nie przyszło to jej łatwo, bo furtka chociaż nie z jednej sztuki, była dość ciężka; hrabina musiała ją popchnąć z całej siły. Jakież to Francuz, z natury już grzeczny dla kobiet, przychodzi ostatni na miłosną schadzkę?

Pani Verneuil zamknęła furtkę i znikła w ogrodzie pomiędzy drzewami.

## II.

Hrabia de Verneuil był czterdziesto-letnim człowiekiem poważanym dla swego majątku i dobrego, odznaczającego się wychowania. Doznawał dla swej żony uczuć zacnych i szczerych. Kochał ją za jej twarz, za jej miły układ, i za umysł poetyczny; prowadził życie podług własnego,

raczej podług upodobania swej żony; lato przepędzał wśród swoich ziemskich posiadłości, zimę wśród zabaw i próżności świata paryzkiego.

Pani de Verneuil, z domu de Riancourt, oddawała światu co każdy winien mu oddać, wiele uroku, wdzięku i dowcipu,—gdy to wszystko posiada, lub nie posiada nawet. Zdawała się, że nie była przeznaczoną do zwyczajnego życia matki dzieciom; zanadto lubiła wybryki wyobraźni, stworzoną była do rzeczy niemożliwych i nieprzewidywanych.

Gdy Fryderyk obaczył, że pani Verneuil weszła do ogrodu sama jedna, niespokojna, zmieszana, chociaż z mocnem postanowieniem, starał się sobie przypomnieć wszystko co o niej słyszał. Nie raz wychwalano jej piękność, lecz jako piękność skromną, ukrywającą się w pozyciu małżeńskiem, nie zaś robiącą sobie z onego piedestał; wszysey ludzie beczymni otaczający piękne kobiety i robiące im reputację, mimochodem tylko o niej wspominali, jako o roślinie rzadkiej, która się nigdy nie miała rozwinać w atmosferze pospolitych namiętności. Ależ, rzekł Fryderyk, świat jest często złym sędzią, skazującym, lub uniewinniającym podług swego widzimisie, biorącym nie raz hipokryzję występku za swobodne postępowanie cnoty.

Jednak pani de Verneuil znikła pod cieniem drzew w ogrodzie, a Fryderyk nie chciał porzucić w tym miejscu swego romansu w czyn; szukał oczyma sposobu obaczenia czegoś więcej; nagle spostrzegł dom panujący nad ogrodem willi z drugiej strony sztachetów.

W zapale dowiedzenia się o wszystkim, poszedł prosto do owego domu. Na progu w drzwiach znalazł czarnowłosą wystrojoną ogrodniczkę, łuszczącą bob, która na jego zapytanie, odpowiedziała, że cały dom był do najęcia, a z powodu kończącej się prawie wiosny pozwala mu dowolnie naznaczyć sobie cenę, jaka by się podobała; za sto talarów oddawano mu cały dom. Więc ta strona nie jest zamieszkaną? rzekł do ogrodniczki. Czy może być, ab ten mały, tak sliczny, będący przedemną domek, był pustym?

— Jak to, panie! a toż mi mówiono, gdyż ja nie dawno tu się znajduję, że ten dom jest zamieszkanym. Wiesz-że przez kogo?? Bynajmniej; przed sześcią tygodniami przybyłam tu z Asnières, nie wiem jeszcze, jakich mamy sąsiadów; lecz pan nie masz się czego obawiać, strona bezpieczna.

Fryderyk poszedł za tą kobietą, która z kolei otworzyła wszystkie trzy apartamenty.

Były one tak urządzone przez jakiegoś samorodnego architekta, że tylko z przyjemnością mieszkaliby w nich ludzie przepędzający całe życie w oknie. Widok z nich był śliczny i pełen różności: drzewa, woda, Paryż w dali, nieczego nie brakowało do obrazu. Zresztą, Fryderyk nie tracił czasu na podziwieniu szczegółowem szczęśliwych efektów pejzażu i niedostatków mieszkania. Postanowił zająć drugie piętro, przekonawszy się, że z tego miejsca najlepiej widać z góry ogród i okna małej willi. Pierwsze piętro było zakryte drzewami, trzecie miało balkon, z którego nie można było widzieć, nie będąc widzianym.

— Oto masz, rzekł do ogrodniczki, dając jej luidora, to zadatek dla odźwiernego, jestem twoim mieszkańcem i od tej chwili wnoszę się na cały sezon.

— Ależ pan nie możesz tu pozostać bez mebli; nie ma nawet na czem usiąść w tym salonie. Niech cię to nie obchodzi, gdy już tyle robię, że mieszkam na wsi, to nie dla tego, aby żyć zamkniętym: przepędzam czas w oknie, lub przechadzam się po polu. Jak się panu podoba, ludzie pańskiego stanowiska zawsze mają słuszość. Mówiąc to, ogrodniczka skłoniła się

i wesoło zbiegła na dół, zadziwiona strasznie ze sposobu życia Fryderyka.

Więcej jak przez pół godziny pan Marvillers wsparty na oknie spoglądał uporeczywie na okienice willi, myśląc ciągle, że się otworzą. Wszakże nie przysła tu darmo, mówił do siebie, albo już tu ktokolwiek na nią czekał, albo nadejdzie, a okienice zapewne tak szczerlnie zamknięte dla zachowania większej tajemnicy.

Była to ta pęra dnia, spokojna i wesoła, w której się wiatr uspakaja, ucisza się ptastwo, a cała natura rozkosznie marzy. Zdawało się, że mała willa usypiała, jak zamek zaklęty w głuchym lesie. Nie dawała najmniejszego znaku życia: nawet sam ogród był jakby przejęty tą ciszą i spokojem.

Fryderyk ze swojego miejsca doskonale mógł wszystko widzieć i słyszeć. Okno, z którego patrzył było nie więcej, jak o dwadzieścia pięć kroków od okien willi. Nie tracił jeszcze cierpliwości, gdy ujrzał znowu zielony woal po nad krzakami.

Pani de Verneuil przechadzała się zwolna zawsze pod wpływem jakiejś niespokojności, gdyż na każdym kroku obracała się i spoglądała ku furtee. Przybywszy pod drzewo palmowe, za-

trzymała się i pochyliła głowę. Fryderyk bał się, aby na chwilę nie stracić z oczu hrabiny. Pomarzywszy chwilę, stojąc nieruchomie, jak posąg, podniosła rękę, jakby dla otarcia łzy. Płacze, rzekł Fryderyk; czy nie przybyłem czasem, aby być świadkiem smutnego rozwiązania?

Pani de Verneuil znów zaczęła iść krętą ogrodową ścieżką; zatrzymała się przy krzaku róż, wspaniale roztaczającym swą białą kitę: nigdy na jednej gałęzi nie kwitło razem tyle róż. To ta, rzekła pani de Verneuil.

Nachyliła się dla zerwania róży, lecz za nim wzięła do rąk gałązkę, odwróciła głowę, jakby z bojaźni, aby nie być pojmaną na tak prostym i zwyczajnym uczynku. Obraz miał wiele wdzięku i kolorytu; połysk zieleni, promienie słoneczne, nagły rumieniec hrabinej, wzruszyły serce Fryderyka, który, jak powiadał, był czułym na piękno natury.

Zerwawszy różę pani de Verneuil, powąchała ją z wyrazem cichego smutku.

— Czyż to po białą różę tu przyszła? zapytał siebie Fryderyk.

Spostrzegł potem, że oddalając się hrabina obrywała liście róży. Wkrótce znikła na rogu willi. W kilka minut później posłyszał jak się otwierała i zamykała furtka; zszedł na dół i sta-

rał się przekonać czy hrabina wyszła sama jedyna. Nadaremnie wytężał swój wzrok ostrowidza, to jest wzrok ciekawego, nie mógł odkryć kędy się oddaliła pani de Verneuil.

Gdy powrócił, zastał ogrodniczkę w ogrodzie warzywnym bosą i z obnażonymi rękami, wyrwijącą chwast z pomiędzy salaty. Podeszedł do niej z miną roztargnioną, mówiąc:— Powiedz mi, piękna ogrodniczko, czy myślisz, że ten śliczny przeciwległy domek jest do najęcia?— Mój Boże! wczoraj się dowiedziałam, że jest do sprzedania. Wybudował go jeden biedny uprawiacz winogron z tych stron, i sądził, że dobrze swe pieniądze umieścił; dziś nie ma ani domu ani pieniędzy; wiem przynajmniej, że mają sprzedać dom dla wypłacenia długów; nie widziałeś-że pan ogłoszenia? Mówią wszakże, że dobrze jest wynajęty.— A! sprzedaje się! zawołał Fryderyk z radością; a! sprzedaje się!— Więc pan chcesz kupić?— Kupić? nie, pomyślał Fryderyk, lecz chęć zwiedzić. Nie maż tam odźwiernego? rzekł głośno.— Był ogrodnik, co tam z boku mieszkał w owej szopie, lecz zdaje się, że znalazł lepszy ogród i jest teraz w Neuilly.— A klucze od tego domu?— Mówiono mi, że się znajduje w nim mieszkaniec, który zapewne tak tam mieszka jak pan tu. Przy-



pominam, żem pozawczoraj widziała służącego w liberji bawiącego się gracowaniem drożek; więcej nie wiem. Sądzę, że notarjusz w Passy, zajmujący się interesami biednego pana Collombet, ma drugi klucz.— Muszę dostać ten klucz, rzekł Fryderyk z zapalem człowieka mającego odkryć skarb jakiś. Idź zaraz do notarjusza, dodał pokazując luidora; weź, to ci wzmocni nogi.— Ależ, panie, nie odpowiadam....— Idź zawsze, czekam na ciebie.

Ogrodniczka nie wkładała nawet trzewików. To warjat, mówiła do siebie, ale nie zły człowiek. Powróciła bez klucza. Notarjusz nie pomyślał o nim; musi posłać do Saint-Germain do córki pana Collombet. Jutro, jeżeli pan chce...— Jutro! to cały wiek. Czekać do jutra! Odpowiesz mi za to, że znajdę klucz u notarjusza?— Lepiej jeszcze, on mnie go wręczy, bo prosił, abym pokazała dom; ma o tem napisać do mieszkańca.— Bardzo dobrze! o dziesiątej rano muszę zwiedzić cały dom od piwnicy do strychu.

Po chwili spostrzegł Fryderyk trzydziestoletniego mężczyznę na pięknym skaro-gniadym koniu, stojącego jakby na straży przed willą. Był to człowiek światowy, wykwiśnięty ubrany i imponującej powierzchowności. Miał z sobą dwóch chartów siwych, idących za nim spokojnie. Ma-

chał pejezem po powietrzu ze złe powstrzymywanym gniewem. Widząc Fryderyka patrzącego na niego wielkimi oczyma, spojrział nań wzrokiem wyzywającym jak człowiek, który byłby rad dać poczuć komu swój gniew. Na szum skrzydeł kuropatwy jeden z chartów rzucił się gwałtownie do dojrzałego już prawie żyta. Parę jego gwiznął, biedne zwierze w ten moment powróciło opuściwszy uszy i zdając się na łaskę niewzruszony tem wcale, uderzył go kilkakrotnie pejezem. Poczem, znudzony widać ciekawością Fryderyka i ogrodniczki, śpiął konia ostrogami i zniknął za chmurą pyłu.

— Czy to czasem nie mieszkaniec małego domu? zapytał Fryderyk. — Nie mogę panu powiedzieć, gdyż jeszcze go nie widziała.

Fryderyk powracał do Paryża zapytując się o ciebie, czy nie spotykał kiedy w teatrze lub w towarzystwie tego jezdca w złym humorze.

Nazajutrz o godzinie ósmej udał się piechotą do Auteuil: przechadzka prędką i męczącą uspokaja niecierpliwość; pomimo całej swej filozofji Fryderyk czuł potrzebę przejścia się.

— Już! zawołała ogrodniczka spostrzegłszy go wysuwającego się z po za płotu. Pobiegnęła potem powtórnie do notariusza. Gdy powróciła Fryderyk już był na miejscu swoich spostrzeżeń. Po

słyszawszy nadchodzącą ogrodniczkę, poszedł na jej spotkanie. Otoż, panie, wszystkie klucze narzecie; notarjusz nie chciał mi już ich powierzyć, mówiąc, że nie wie o ile można się nimi posługiwać, gdyż to są podwójne klucze pozostałe w ręku właściciela po wynajęciu domu, lecz mniejsza z tem, oto są; notarjusz polecił mi powiedzieć panu, abys wprzód zadzwonił przed otworzeniem furtki, gdyż przypadkiem lokator może być w domu.— Czy zna go notarjusz?— Bynajmniej; lecz dziś wieczorem ma przybyć pan Collombet dla dania mu potrzebnych objaśnień.— Sprobujmy zawsze, rzekł Fryderyk, idąc do furtki; dom jest do sprzedania, mam prawo go zwiedzić; zresztą, kto wie? papiery rządowe na giełdzie stoją wysoko, może mi się bardzo zdarzyć, że kupię dom.

Stanąwszy przed furką, zadzwonił. Żaden ruch, żaden hałas nie zwiastował obecności ludzkiej, otworzył stanowczo furkę, zamknął ją za sobą i podszedł do małego ganku z pewnem biciem serca. Nie przypatrywał się wcale krzewom i ścieżkom ogrodowym; ukryty w swoim oknie miał dość czasu do zbadania rodzaju drzew i rozmaitości kwiatów, począwszy od dębu, a był tam jeden, aż do skromnej stokroci na trawniku. Otworzywszy drzwi sienne, przestąpił

przez próg z ciekawością spoglądając przed siebie. Choć sieni były ciemne, uznał za rzecz rozsądną zamknąć drzwi za sobą, jak to był uczynił z furtką; wszakże zapytał wprzód głośno, czy nie ma tam kogo. W sieniach nie znalazł nic szczególniejszego; przypominały one zwyczajnie sienie domów wiejskich. Wszedł do salonu, bardzo prostego i zaledwie umeblowanego, spostrzegł w nim tylko fortepjan. Powrócił do sieni, w których się znajdowało dwoje drzwi wewnętrznych, jedno z prawej, drugie z lewej strony. Z niejakim zadziwieniem zauważył, że lewe drzwi były nieco otwarte. Popchnął je trzęsąc się prawie i podniósł portjerę z czerwonego adamaszku: i wszedł niespodzianie do bardzo malowniczego sypialnego pokoju.

Na pierwszy rzut oka spostrzegł szpadę, florety, fajkę turecką, parę pistoletów, ogromną szablę, słowem wszystko co przyozdabia sypialnię oficera kawalerji.

### III.

Przy wejściu do sypialnego pokoju, tysiączne rzeczy zmieszane, uderzyły oczy Fryderyka; lecz pomimo dobrze zamkniętych okienic, gdy słońce uderzyło w nie najsilniejszymi promieniami, wkrótce mój ciekawy filozof rozpoznał

całą wykwintną ruchomość, aż do najśliczniejszych drobnostek. Sciany obite naśladowaniem skóry ruskiej, były zawieszono bronią i fajkami różnych kształtów i różnych krajów; nigdy nie zgromadzono razem tyle środków przeciw życiu i nudom: sztylety, rapiry, jatagany, szable damasceńskie, halabardy, dziiryty, strzały dzikich ludzi, karabiny, rusznice, muszkiety, żelazne koszulki, albańskie pistolety, medjolańskie klingi, szpady z podwójną rękojeścią, puginały malajskie; cała ta zbrojownia była w pełnym komplecie. Zbroja stała przy drzwiach na warcie. Nie będę próbował opisywać rozmaitych fajek stanowiących z tem wszystkiem spokojną sprzeczność. Znajdowały się tam *nargile* wydające jeszcze zapach *tombekky*, i fajka turecka z długim cybukiem jaśminowym, ozdobionym drogoceennymi obrączkami. Lecz w tym bogatym zbiorze fajki mniej zajmowały miejsca od broni. »O! otoż i muzeum, rzekł Fryderyk, które nie daje mi wcale chęci spotkania się z gospodarzem domu; czyżby to pani de Verneuil miała tu przychodzić po to, aby się fechtować lub palić fajkę?»

Postąpił jeden krok naprzód i spostrzegł przed sobą żelazne nieco ozdobione łóżko, pokryte atlasową przetykaną kapą i ginące prawie w sutych, czér-

wonych firankach. Przepyszna lamparcia skóra ze srebrnymi szponami zdradzała wyszukany zbytek. Od łóżka Fryderyk poszedł do komina, na którego gżemsie pokrytym axamitem ze złotemi frenzlami, leżały pięknie oprawne książki, stały chińskie porcelany i znajdowało się tysiące ślicznych drobiazgów uprzyjemniających życie. »Tam do licha! rzekł Fryderyk, myśląc zároveň o pani de Verneuil, jak i o gospodarzu domu,— człowiek żyjący samotnie nie myśli wcale o tych wszystkich błyskotkach nowoczesnego zbytku.»

Obok zwierciadła, w małych axamitnych ramach, pomiędzy cybukiem i perskimi pantoflami, Fryderyk zauważał pastelowy portret z czasów La-Tour'a, który mu przypominał, jeżeli nie znajomą twarz, to przynajmniej jedną z tych ślicznych twarzączek, jakie wiecznie pamiętamy raz je tylko ujrzawszy przypadkiem. Był to portret kobiety— paryżanki, lecz wschodnich rysów twarzy— pieszczącej niedbale na swych kolanach małego szpica. Podróżowała ona po własnem sercu, albo raczej dążyła za swą myślą w nieznanome kraje.— Tak, tak, rzekł Fryderyk, odstępując od pastelu, aby się mu przypatrzeć zdala; jest to pani de Verneuil, albo raczej jest to portret zrobiony przed stu laty,

a niewątpliwie podobniejszy do niej, niż wszystkie portrety zdjęte z niej samej.— A to ciekawa rzecz, ciągnął dalej, oglądając dokoła tę sypialnię; możnaby pomyśleć, że jeszcze tu wczoraj mieszkało.

W samej rzeczy, Fryderyk widział pantofle przed łóżkiem, na przykryciu otwartą książkę, na kominku pióro czarne od atramentu; a czuł jakby zapach ostatniego, wypalonego cygara. Na suknie stół pokrywającym, przed małą mahoniową szafką, zauważał laskę laku i świecę, która jak mu się zdawało, musiała płonąć tym samym ogniem dla zapieczętowania jakiegoś listu:— być może, pomyślał, tego samego, co pani de Verneuil czytała płacząc. Ależ, doprawdy, dla czego się oddalił właśnie w chwili, w której ona niewątpliwie przychodziła z odpowiedzią na ten list jego?

W tym momencie promień słońca, jakby aureolą otoczył czoło damy na pastelowym portrecie.— Doprawdy, była to pani de Verneuil, lub przynajmniej takąby musiała być ona w osimnastym wieku; uśmiechałaby się tym uśmiechem bardziej zalotnym niż czułym: hrabina może, piękniejsza, lecz bez wątpienia w jej sercu więcej namiętności niż w tych ślicznych oczach. Ten

co tu mieszka ma zamiast jednej dwie kochanki. Chciałbym bardzo znać i postawię na swoim— historję tej, której oto podziwiam portret.

W swoim zapędzie dowiadywania się o wszystkim niezwłocznie, Fryderyk zapomniał o pani de Verneuil, badając portret pastelowy. I ta, także była hrabiną, lecz za czasów, gdy tak wyłącznie panowały hrabine. Dla kogo ten śliczny portret był wyrysowany? Czy to się ona tak uśmiechała do pana hrabiego? czy do jakiegoś *kawalera*? czy jeszcze nadzieja, czy już wspomnienie wzrusza to młode serce?

Fryderyk był właśnie w tem miejscu swych uczonych poszukiwań, gdy się nagłe odwrócił z pewnym rodzajem niespokojności. Co to takiego? zapytał sam siebie, podchodząc do drzwi. Przysłuchiwał się wstrzymując oddech. Posłyszał jak otworzono furtkę, a wkrótce i w sieniach drzwiach dało się słyszeć nie miłe skrzywienie klucza w zamku.

—Do licha! rzekł, z zakłopotaniem kręcąc wąsy, potrzeba mi trochę filozofji.

Postanowił nie tracić rezonu, grać dobrze rolę człeka pragnącego nabyć dom do sprzedania, ale spostrzegłszy, że natrętnym gościem była kobieta,— może pani de Verneuil,— skoczył prędo



ko za franki od łóżka, nie mogąc się powstrzymać od przyjemności dowiedzenia się czegoś więcej.

Zaledwie się ukrył, gdy pani de Verneuil podniosła portjerę. Jeżeli sama jedna! pomyślał drżąc cały, to moje położenie nie zupełnie będzie rozpaczliwe; lecz gdyby i gospodarz domu przyszedł na jej przyjęcie? I gdyby mieli sobie wiele do powiedzenia?...

Fryderyk zrozumiał dobrze, że mógł mieć chwilę wcale nieprzyjemną, wszakże, tak silnie panowała nad nim namiętność widzenia wszystkiego, że niezgodziłby się oddalić, nawet mogąc to uczynić nie będąc widzianym.

Pani de Verneuil weszła do pokoju niespokojnym krokiem, jak gdyby się bała wywołania echa, a wnet po wejściu rzuciła się na krzesło nie mogąc utrzymać się na nogach. Mój Boże! mój Boże! rzekła chwytając powietrze, i spojrzała dokoła z wyrazem wynurzania się, jak by chcąc powierzyć ścianom i meblom to, co było przyczyną bicia jej serca. Sądziłam, mówiła dalej z cicha, że nie będę miała nigdy dość siły, aby przyjść aż tutaj; wszakże nie po raz pierwszy tu przychodzę.

Powstała, rozwiązała wstążki od kapelusza i

zbliżyła się do łóżka; Fryderyk nie śmiał oddychać, nie śmiał nawet patrzeć więcej. Pani de Verneuil rzuciła kapelusz na przykrycie i podsunęła się do kominka; stanęła przed portretem pastelowym, przypatrując mu się; a zdawało się, że z pochyloną głową, zajęta była jakimś wspomnieniem: odstąpiła potem zwolna i nagle zaczęła płakać łkając. Stojąca, nieruchoma, z opuszczonemi rękami, z pochyloną głową, w swej boleści stała się prawdziwie piękną, choć sprawiedliwie uchodziła tylko za kobietę ładną z temi trochę nieregularnemi rysami twarzy, z temi wdziękami paryżanki i ciemnemi oczyma, bardziej ujmującemi niż łagodnemi i naiwnemi.

Znowu padła na krzesło, płacząc gorzkimi łzami, obłąkana prawie ponurym smutkiem. Łzy toczyły się jej po twarzy i spływały na piersi, a ona nie myślała ich weale zatrzymywać w drodze. Fryderyk do żywego był poruszony tym smutnym i ślicznym obrazem. Żałował nieco, że nie mógł pocieszać tej kobiety tak zasługującej na pociechę. Przytem kobieta płacząca bywa nie raz anielsko piękną. Fryderyk nie gniewał się weale, że widział kogoś szczerze płaczącego. Wszakże, rzekł do siebie z niejakim zadziwieniem, sądząc, że pani de Verneuil nie przyszła tu jedynie po to, aby płakać. Za-

pytywał siebie, jakieby to były te łzy wylwane tak serdecznie, gdy w tem dal się we drzwiach słyszeć lekki szelest. Fryderyk nie mógł się powstrzymać od poruszenia. Pani de Verneuil odwróciła głowę do łóżka, a potem do drzwi z nagłą niespokojnością. Pobladła i powstała z miejsca; lecz gdy po szeleście tym nastąpiła głęboka cisza, potrząsała głową, jakby mówiąc do siebie:— E! to nie.

Wszakże Fryderyk nieoślepiiony doleścią, spostrzegł mężczyznę podnoszącego portjerę i zaglądnącego ukradkiem. Nie mógł poznać twarzy tego nowego przybysza, zauważał jednak, że był młody i wykwiśnięcie ubrany; widział jeszcze z pod portjery bót ze srebrną ostrogą. Położenie stawało się bardzo trudnem. Fryderyk zaczynał obawiać się tajemnic, jakie bez wątpienia miał odkryć. Cóż się tu dzieć będzie? Obiecał sobie odtąd badać wszystko na świeżem powietrzu, przekonany, że nauka schwytywana w cudzem mieszkaniu, niekiedy za daleko prowadzi. Lecz na ten raz, postanowił bądź co bądź nie tracić rezonu. Sądził, że w nagłym przypadku zawsze będzie miał dość czasu schwycić sztylet lub rapir: a właśnie tuż nad jego głową wisiła szpada. Od czasów Ewy ciekawość naraża na niebezpieczeństwa.

Pani de Verneuil zbliżyła się do małej maho-

niowej szafeczki, zawsze pięknej choć w przedawnionym guście. Wyjęła z woreczka aby ją otworzyć, malutki, prawie niedojrzany kluczyk.

— Teraz już jestem w domu, rzekł Fryderyk, chce odkryć tajemnice swojego kochanka. W chwili gdy pani de Verneuil otwierała szafkę, nowo przybyły jegomość, będący przy drzwiach, wszedł do pokoju z hałasem. Fryderyk poznał w nim wówczas jeźdźca, który bił wczoraj swojego charta.

Był to człowiek pięknie zbudowany i szlachetnej postawy; a co od razu w nim zastanawiało, to pewien wyraz otwartości i stanowczego charakteru, który nie wiele dobrego obiecywał w ostatecznych razach.

Poszedł prosto do pani de Verneuil. Ona odwróciła się z przestrawą.— Pani...— O nieba! zawołała padając na kolana. Pani! prosz Boga, aby mi dał siłę zabić ciebie.— Zabić mnie! co mówisz? zabić! O! mój Boże!

Podniosła ręce z wyrazem najgłębszej boleści. Czegoż lepszego możesz się spodziewać dla siebie i dla mnie?— Ależ panie, oszukano ciebie.— Masz jeszcze odwagę to mówić? Dałby Bóg abym się omylił! Najprzód nie chciałem wlerzyć moim oczom; wczoraj śledziłem ciebie; wczoraj byłaś w tym pokoju... Dzisiaj...— Panie, będą miała

tyle godności, że się bronić nie będę; zabij mię jeśli sądzisz że winna.

— Winna! zdaje mi się że drwisz ze mnie. Jako! znajduję cię w pokoju twego kochanka otwierającą jego szafki, kładnącą kapelusz na jego łóżko...

Fryderyk przy całym mężstwie i silnem postanowieniu silnie zadrżał. O! pani! pani! ciągnął pan de Verneuil pogardliwym tonem, gdyż to on sam był w istocie.

— Panie, nie potępiaj mię! na miłość boską, ani słowa więcej; gdybyś wiedział po co...

Pan de Verneuil odepchnął silnie hrabinę zalamującą ręce.

— Tak właśnie, ani słowa więcej, rzekł nachylając się i zaglądnąjąc do szafki; lecz tu oto bez wątpienia jest czem cię potępić.— Mnie potępić?

Pan de Verneuil spostrzegł w szafce paczkę listów i chwycił za jeden skwapliwie. Nie otworzywszy go jeszcze, poznał że nie był przez jego żonę pisany; lecz z powodu kobiecego pisma, chciał wiedzieć do kogo zaadresowany. Koperty już nie było. List ten należał do rzędu mnóstwa tych bilecików, pisanych codzien przez owe piękności trwoniące wesoło i niedbale swą młodość; do rzędu ślicznych bilecików, w których za-

równie nie ma ani serca, ani prawdy jak i ortografii.

Pan de Verneuil rzucił ten list pod nogi przygnębionej, mdlejącej i nieprzytomnej hrabiny, która się już nie śmiała ani poruszyć. Spójrz-no, pani,— spójrz na ten list! znajdziesz tam uczucia rywalki godnej ciebie, gdyż sądzę że to cię zazdrość tu przywiodła.

—Niedokończywszy tych słów jeszcze, hrabia chwycił z szafki, siedm lub ośm listów związanych białą wstążką. Tem razem poznał charakter swojej żony. Uniesiony gniewem do najwyższego stopnia, wziął hrabinę za rękę i zgniół ją w swojej; hrabina z krzykiem na wznak upadła.

Fryderyk chciał być, jak zwykle, tylko prostym widzem, lecz nie mógł powstrzymać szlachetnego wzruszenia, które go w jednym skoku popchnęło przed pana de Verneuil już uzbrojonego w sztylet. Sam równie był zadziwiony że się znajdował w pośród tej tragi-komedji, jak hrabia i hrabina de Verneuil, widząc go ukazującego się nagle w tej strasznej chwili, na wzór sędziego, kochanka lub złodzieja.

Fryderyk chciał być tylko zwyczajnym widzem komedji ludzkiej, i zaledwie niekiedy, wie-

dziony gorącą ciekawością wciskał się za kulisy, lecz w tem położeniu, chcąc nie chcąc musiał ukazać się na scenie dla odegrania roli.

Ze przedewszystkiem był człowiekiem dobrego serca, dzielnie się stawił w tej ważnej okoliczności. Hrabia rzucał na niego wściekle wejrzzenia, hrabina coraz więcej była zadziwiona i przestraszona.

— Sądzę, rzekł do męża, że najprzód powinienes wysłuchać tłómaczenia się...— Doprawdy, mój panie, odrzekł mu pan de Verneuil pogardliwie i źle powstrzymując gniew i zazdrość, mógłbyś się być nie pokazywać; nie należę do liczby tych, którzy znoszą junakierje.— Ależ panie...

— Milez pan! wiem już co chciałem wiedzieć.

Pan de Verneuil spojrział na żonę.— I śmiała jeszcze się bronić gdy jej kochanek był ukryty za firankami łóżka. Hrabina powstała z żywością i lekkością ranionego na polowaniu danjela.

— Cóż wyrzekł?... O! mój Boże ja umrę!— Mało z tego umiera, wielu żyje, rzekł hrabia odpychając ręce żony. Niestety! mówiła zwieszając głowę z rozpaczą, żarty po zniewadze! Cóżem zrobiła? Gdzie jestem?— Raz jeszcze ci powtarzam, jesteś ze swoim kochankiem.

— Panie, rzekł Fryderyk, który nieustannie

chodził od męża do żony, sam nie wiedząc co począć dla złagodzenia zazdrości hrabiego de Verneuil, i dla usprawiedliwienia i ocalenia hrabiny, panie, pan potępiasz za prędko, pomyśl tylko...— Nie jestem mężem śmiesznym; przed chwilą chciałem zabić tę kobietę; pan się pokazałeś to i dosyć. Nazwisko pańskie?

Fryderyk de Marvilliers podał swój bilet wizytowy panu de Verneuil.

—To właśnie, rzekł hrabia przez zęby; amator przygód!

Pan de Verneuil poszedł ku drzwiom. Zona powstała i pobiegła do niego.— Na miłość Boską! ja ci wszystko powiem.

Hrabina uciepiała się do ramienia męża. Nie, nie, ty mnie nie porzucisz!— Pani, przysłaś tu sama, możesz więc dobrze i wyjść beze mnie.

Hrabia odepchnął gwałtownie młodą kobietę i wyszedł z pokoju jak człowiek, który stracił głowę. Pani de Verneuil omdlała upadła na progu. Fryderyk przykląkł aby ją ratować.

#### IV.

Musimy teraz powiedzieć jakim sposobem traf, odkrywający zawsze zasłony w wielkim tajemniczym mieście, wydał ranną przechadzkę pani de Verneuil.



Pan de Verneuil miał być na śniadaniu u Tortoniego; a gdy z jednym ze swych przyjaciół przechodził koło kościoła świętej Magdaleny, margrabia de Verviers nadchodzący w tej chwili, spojrzął na hrabiego z zadziwieniem. A to dziwna rzecz! rzekł z roztargnieniem; nie sądziłem abyś się miał znajdować na śniadaniu. Dla czego?— Powracając tylko co ze szkoły wojennej, gdzie mnie wzywał generał, spotkałem twój fajeton na Marsowem polu; zdawało mi się przynajmniej że poznałem dziarski chód twoich szalonych koni. Tak, tak, rzekł hrabia rzucając cygaro, mój pojazd musiał właśnie w tej chwili przechodzić tamtędy. Ale, dodał, śmiejąc się dość niezle na człowieka nie mającego chęci do śmiechu, nie zawsze się znajduję w moim pojeździe.

Pomimo to hrabia poszedł śmiało na śniadanie jak i inni. W godzinę opuścił nagle swych towarzyszków i powrócił do siebie. Czy pani de Verneuil już przyszła? zapytał lokaja. Odpowiedziano że niedawno wyjechała z domu. Wsiadł na konia i udał się na pole Marsowe nie mając wielkiej nadziei znalezienia śladów swojego powozu. Wszakże, z powodu że eleganckie pojazdy rzadko przechodzą przez Marsowe pole mógł powziąć niejaką wiadomość; w samej rzeczy, szczęśliwym trafem spotkał trzech czy czterech

inwalidów, którzy swemi wskazówkami naprowadzili go na drogę do Antenil. W skutek poszukiwań i wskazówek dostał się przed małą willą, ale już za późno dla zastania w niej pani de Verneuil. Nie zapomnieliście jeszcze o jego gniewie na widok Fryderyka; gdyż jak już wiadomo, to pan de Verneuil bił wczoraj trochę niemilościernie swego krnąbrnego charta.

Tego samego wieczora w małym saloniku w pałacu pana de Verneuil, hrabina całkiem zamysłona, z książką w ręku, nie kazała wnosić światła, chociaż już od pół godziny prawie, ostatni dzienny promień zaledwie z trudnością przechodząc przez firanki, nie dozwalał jej czytać więcej. Hrabia wchodząc ostrożnie, zapytał co czytała z takim zajęciem. Ach! odrzekła ze drżeniem, o mało coś mię nie przestraszył. Złóż książkę Blanko, i wytłomacz mi dla czego od dwóch dni pogrążona jesteś w prawdziwie dziwnym smutku. Pani de Verneuil poczerwieniła i żywo zamknęła książkę. Hrabia utkwiał w nią wzrok badawczy. Chociaż już była ciemna noc w małym saloniku, spostrzegł rumieniec swej żony.— Cóż więc, nie odpowiadasz mi? Mówiąc to wziął rękę pani de Verneuil. O! bo szukam w myśli przyczyny, odrzekła powoli, dla czego to się ze mną stało.— A więc słucham cię.—

Kto wie? dodała ze wzruszeniem; czyż ja sama wiem dobrze?— Blanko, pomyśl o tem, że to ja do ciebie mówię. Sądzę że nie ten romans, który trzymasz w ręku tak cię zasmuca?— Któż ci to powiedział? nie wiesz-że iż wyobraźnia dająca się owaćdnać romanssem często wielki wpływ wywiera na serce!— Romanse! romanse! nigdy ich nie czytasz.— Przyznaję się, że ten romans traf mi podał do ręki. Ciotka twoja zostawiła go wczoraj w salonie.— Stara warjatka z próżnym sercem chcąc się jeszcze oszukiwać, której się raz zdaje że jest Indjaną, Walentyną, drugi raz Genowefą, Johanną i Bóg wie nie kim? Lecz teraz nie o romanse chodzi; oto lepiej, Blanko, otwórz przedemną twe serce.

Hrabia nie uwolnił ręki żony, i z wolna podniósł ją do ust. Hrabina wówczas oparła czoło na ramieniu męża, może z postanowieniem odkrycia mu swej tajemnicy, czy też może z zamiarem zmyślenia. Jakaż bowiem najuczciwsza kobieta nie zwiedzała niekiedy zgubnych ścieżek kłamstwa?— Lecz lokaj postawił na kominie dwa zapalone kandelabry; to niespodziewane światło zmieniło nagle usposobienie hrabiny; nie znalazła nie więcej do powiedzenia, jak tylko, że była smutną sama nie wiedząc dla czego.

Co trudniej da się pojąć, to ten delikatny zwrót

uczuc męża, który zmienił także jego niedyskretne usposobienie: nie śmiał więcej przy świetle zapytywać swej żony, zapewne z bojaźni aby jeszcze raz się nie zaczerwieniła. Powstał i przechadzał się w milczeniu. Pani de Verneuil ukradkiem zauważała niespokojność męża.—Wszakże, mówiła do siebie dla zapewnienia się, śniadał dziś ze swemi przyjaciółmi u Tortoniego.— Teraz ty, rzekła nagle do męża pani de Verneuil, zrobiłeś się bardzo smutnym.— To nic, wybąknął, zapewne i ja tak jak ty, doznaję smutku niewytlómaczonego. Pan de Verneuil tak był pewnym swej żony, że nie mógł się zdecydować przypuścić aby była winną. Wiedział od kośca, że jakaś dama wysiadała z powozu w Autenil; że sama jedna szła polem; że wchodziła do małej willi,—lecz czy to w samej rzeczy była pani de Verneuil?

—A to można stracić głowę, rzekł tupnąwszy nogą, lecz nie chcę badać Blanki, poczekam.

Już przez cały wieczór pani de Verneuil nie przemówiła do męża ani jednego słowa; przed oddaleniem się do swojego pokoju, podała mu rękę i wzruszonym głosem życzyła dobrej nocy. Nazajutrz po bardzo niespokojnej nocy, pan de Verneuil postanowił zdążyć wśladać za żoną, i 202-

laż ją, jak widzieliście, w tej sypialnej komnacie.

## V.

Mój ciekawy bohater upadł na kolana, aby ratować omdlałą panią de Verneuil. Ujął ją najprzód za ręce nagle i familjarnie, do czego go upoważniał stan hrabiny; potem podniósł ją i zlekka oparł głowę na poduszce; następnie pośpieszył otworzyć okno i okienice: blask dzienny i orzeźwiający chłód z ogrodu ocuciły hrabinę. Powstała prędko i zdawało się, jakby czegoś szukała oczyma. Chciała wyjść zaraz, lecz nie miała siły zrobić ani jednego kroku; upadłaby znowu na dywan, gdyby się była nie schwyciła za portjerę.

Fryderyk powrócił do niej.—Panie, nie wytłómaczysz-że mi...—Daruj mi pani moją tu obecność; lecz nie ma czasu do stracenia: trzeba przeszkodzić, aby on przyszedł, gdyż jeżeli mąż pani...—Co chcesz powiedzieć? o kim mówisz?—Pozwól-no pani, nie obrażaj się, widziałem ja wielu innych.

Pani de Verneuil z poruszeniem i z godnością podniosła głowę. Nie rozumiem pana; o kim mówisz?—Wiesz pani lepiej odemnie; wszystko zgubisz, chcąc udawać. Czy on przyszedł? Czy

się oddalił? czy jeszcze go oczekujesz?— Ależ jeszcze raz mój panie, pan zapominasz...— Pomyśl pani no o tém że trzeba teraz aby się nie spotkał z jej mężem. Ależ ja nikogo tu nie oczekiwałam, i bardzo się dziwię że znajduję tu pana.— Mój Boże! aż nadto pojmuję jej zadziwienie; wszakże, gdym pomimo woli był już świadkiem tego wszystkiego, pozwól mi sobie usłużyć. Gdzież on się znajduje? Trzeba abym poszedł go uprzedzić o tém co się dzieje.— Sądzę, panie, że nie wiesz do kogo mówisz. Możesz się znajdował tu przeszłego roku, gdy przychodziły aktorki i inne kobiety tego rodzaju.— I po cóż jeszcze udawać? Ma się rozumieć, że pani jesteś szczerością w całym jej pierwotnym wdzięku. Nie wątpię o tém; jednak trzeba go uprzedzić o tém ważném niebezpieczeństwie, narażającém życie dwóch dzielnych ludzi, gdyż, nie bądź pani w błędzie, mąż jej byłby go zabił.— Kogo?— Jego.— Ależ kogo wreszcie?...— Pani kochanka.

Pani de Verneuil wzdrygnęła się z oburzenia. Czy to ja marzę? Czy jestem obłąkana?

Przygnębiona zupełnie upadła na krzesło. Fryderyk, mniej rozumiejąc niż kiedykolwiek, przechadzał się po pokoju cały wzruszony i nie wiedział już co mówić i co robić. Dziwna rzecz! myślał spoglądając ukradkiem na panią de Ver-

neuil. Widząc tę kobietę, zdaje się iż jest naj-niewinniejszą. A kto wie? to zadziwienie może i nie udane; w takim wieku nie podobna być tak biegłą komedjantką. Jest w tem jakaś tajemnica, której ani ja, ani jej mąż nie możemy odkryć.— Posłyszał w tej chwili łkania pani de Verneuil.— Tak, tak, powtórzył, omyliłem się; osądziłem, jak wszyscy sędziowie tego świata, nie wysłuchawszy i nie pojąwszy rzeczy.

Gdy mówił te słowa sam do siebie, zatrzymał się ze zdziwieniem, słysząc hrabinę powtarzającą po cichu: *Gastonie! Gastonie! do czegoś mię doprowadził!*— A! otóż i imię kochanka! Jakżem był naiwny sądząc że tutaj przyszła tak samo, jakby była poszła do kościoła! Doprawdy trzeba rozpaczać o kobietach.

Zwrócił się do hrabiny. A więc pani, jego imię Gaston?... Dla czego tak długo każe na sobie oczekiwać?

Na to ironiczne zapytanie, które wszakże dla pani de Verneuil było przerażającym, biedna kobieta krzyknęła przeraźliwie i zakryła twarz obiema rękami, jakby bojąc się ukazania się jakiegoś widma. Gdyż, ciągnął dalej Fryderyk, chcący wreszcie dowiedzieć się cokolwiek, wczoraj jeszcze przychodziłaś czekać na niego, pozawczoraj nawet...— Panie, panie, miej litość, sza-

naj moją boleść. Jeżeli łzy kobiety są dla ciebie modlitwą, która cię wzrusza, pójdź po mojego męża, postaraj się niech powróci, gdyż bez niego nie chcę opuścić tego pokoju.

Pomimo ochoty, jaką miał Fryderyk do badania tej zagadki w rysach twarzy, we łzach i w słowach pani de Verneuil, pośpieszył powiedzieć jej, że czuje się szczęśliwym skuteczniając jej rozkaz. W samej rzeczy, pani, potrzeba aby twój mąż powrócił. Nie ma nigdy tak zrozpaczonego położenia, aby się ludzie dobrze urodzeni nie mogli z sobą porozumieć.

Nizko się ukłonił i wyszedł natychmiast. Nie wiedział dobrze gdzie szukać pana de Verneuil. Wszakże, mówił do siebie, jestem przekonany że pan de Verneuil nie mógł się bardzo oddalić; gdyż będąc mężem nawet i rozzłoszczonym, ulega się zawsze zazdrości pobudzającej do odkrycia i do widzenia wszystkiego.

Poszedł prosto do lasku, sądząc że hrabia musiał się zatrzymać w pierwszej alei, aby nie stracić zupełnie z widoku drzwi małej willi. W samej rzeczy, hrabia zatrzymał się w bliskości całej poruszony jeszcze. Podczas gdy go szukał Fryderyk, powrócił niespodzianie do willi; idąc za popędem szlachetnego natchnienia. Przy wejściu do pokoju zastał panią de Verneuil płaczącą



okropnie w szale najsilniejszej rozpacz. Spostrzegłszy go, umilkła i zdobyła się na poważną spokojność.

— Wszystko mi jedno! mówiła do siebie, na wszystko jestem przygotowaną nawet na śmierć, gdyż zranił mi serce.

Pan de Verueuil podszedł do żony ujął ją za ręce, przycisnął do piersi i pocałował w czoło. Hrabina w milczeniu podniosła oczy; zdawało się że tego nie rozumiała.

— Blanko, daruj mi uczynioną zniewagę; byłem warjatem; nie możesz być winna, to niepodobieństwo. Znam cię! — Bogu dzięki! rzekła pani de Verueuil, rzucając się w objęcia męża; nie wydajesz na mnie wyroku nie wysłuchawszy wprzódy, nasz honor zbawiony. Lecz ja ci wszystko opowiem.

Uściskali się z zapałem, dumni że znów byli warci siebie.

Fryderyk zastał ich w tem objęciu. Był to dla niego nowy wypadek wcale nie tłómaczący inszych. Skłonił się z uszanowaniem. Na widok jego hrabia nie mógł ukryć pewnego wyrazu zagniewania. Jeszcze! szepnął czując odradzający się gniew, tak dobrze uśmierzony łzami radości i objęciami żony.— Widzę dobrze, rzekł Fryderyk, iż nie mi więcej nie pozostaje do zro-

bienia jak iść sobie. Przed chwilą, pani, mógłbym się być pochlubić przed sobą, że m poznał cię dziwnym przypadkiem, mogącym mi pozwolić usłużyć tobie; teraz zaś, gdy zawilość rozwiązała się na chlubę dla pani, usuwam się, nie śmiejąc mieć nadziei pozyskania przebaczenia za mą niewczesną obecność. Jestem prawdziwie w rozpacz, że m podchwycił tajemnicę, której niewątpliwie nienadużyję, chcę bowiem przy wyjściu zapomnieć że m tu przychodził. Muszę wszakże wytłómaczyć moją przytomność w tym domu. To mówiąc, Fryderyk zwracał mowę do pana de Verneuil.— Nie zauważyłaś może pan tego, iż ten dom jest do sprzedania. Muszę się przyznać, że prosiłem o pozwolenie zwiedzenia go w nadziei odkrycia w nim czegoś nadzwyczajnego, gdyż on mię zajął swą dziwną jakąś tajemniczością. Na prawdę, nie spodziewałem się tego dziwnego spotkania; sądziłem, iż dom był pusty: chciałem obejrzeć miejsce, nie zaś widzieć przychodzące tu osoby. Wybaczcie filozofowi żyjącemu nieco ciekawością; lecz dzięki Bogu moja ciekawość dyskretna, i możecie rachować na moje milezenie.

Fryderyk się skłonił, aby wyjść.— Chwilę, panie, rzekła pani de Verneuil; pozostań pan, proszę go o to: trzeba, abyś wiedział po co tu

przyszłam: powiedzieć ci to jest moim obowiązkiem.— Przyznam się pani, rzekł Fryderyk z uśmiechem, że nie trzeba mię zatrzymywać przemocą.— A więc będziesz miał wytlómaczenie wszystkiego, teraz, gdy przebaczyła ślepemu zapędowi i sercu, które cierpiąc staje się okrutnem....

Pan de Verneuil dał znak zniecierpliwienia się. Posyłał do licha ciekawego filozofa, świadka małżeńskiej sceny, który w skutek swego położenia równe z nim posiadał prawo do słuchania tego, co miała mówić jego żona. Nie czuł już zazdrości dla kochanka, lecz dla obcej osoby wtajemniczającej się zupełnie do jego domowego pożycia, dla obcej osoby, przed którą żona miała się wynurzać. Mniejsza z tém! rzekł pan de Verneuil. Trzeba uleść przypadkowym okolicznościom.

Widząc męża znowu niespokojnego i zamyślonego, pani de Verneuil przerwała mowę. Niestety! ciągnęła zwolna, czemuż nie odważyłam się powiedzieć tobie tego przed dwoma dniami? Oszczędzilibyśmy sobie wiele chwil bolesnych. Lecz oto co zaszło.

Fryderyk usiadł wygodnie w fotelu. Hrabina także zmęczona podobnemi wstrząśnieniami usiadła sama blisko szafeczki, do której mąż

wrzucił napowrót jej listy. Pan de Verneuil oparł się tylko o kominiek.

Okno pozostało otwarte, a słońce przeciskając się przez gałęzie migdałowego drzewa, rzucało na kobierzec swe połamane promienie. Ta sypialnia przed chwilą tak ponura i opuszczona, ożywiła się nagle miłą i spokojną wesołością. Ale, rzekł Fryderyk, patrząc na panią de Verueuil, która miała zacząć opowiadanie, cóż ona takiego powie? Chyba, że to jest igraшка młodych małżonków szukających rozrywki, lub może natrafiłem na jaki paroksyzm warjacji, jest tu coś nie pojętego. Ten mąż, który nagle zakochał się w swej żonie, jakby nie wiedział, że już tu wczoraj przychodziła sama jedna? że już wczoraj zatrzymała się przed furtką, nie śmiejąc iść dalej? A też imię Gastona? a owa róża drżąca zerwana ręką, to jest ręką winowajcy? a te łzy, które mi się zdały słodkiemi i gorzkiemi zarazem? a list odczytywany w cieniu z takim wzruszeniem? Oto są jak mi się zdaje nader ciężkie oskarżenia. Ale zresztą będę wszystko wiedział, gdyż dotychczas nie wiem.

## VI.

Pani de Verneuil tak zaczęła mówić: »Co

jest najsmutniejszego, to, że ci nie mogę opowiedzieć tego w dwóch słowach. Mój Boże! wszakże rzecz nader prosta. Zresztą bądźcie cierpliwi, gdy wszystko trzeba powiedzieć, powiem wszystko.

»Trzy lata temu pan Gaston d'Avrigny....»

Na to imie pan de Verneuil podniósł z uwagą głowę. Hrabina nie zmieszana wcale, spojrzała na męża.

»Trzy lata temu, ciągnęła dalej spokojnym głosem, pan Gaston d'Avrigny przyjechał do zamku mojego ojca dla spędzenia w nim wiosny. Był on moim krewnym, znaliśmy się z nim oddawna— wiesz o tem panie de Verneuil.— W dzieciństwie spędzaliśmy razem święta, razem zbieraliśmy w parku pierwiosnki. Gaston przyjeżdżał do mojego ojca na czas polowania; Był to człowiek beczynny; z małym funduszem nie miał żadnego zajęcia; lubił bardzo nie robić, to jest jeździć konno, polować i latać po świecie, jak marnotrawny syn dobrego domu. Żeby to jeszcze u mego ojca temi się tylko zadowalał przyjemnościami! Lecz, czy uwierzysz? zachciało mu się szalenie we mnie zakochać.»

Zazdrość błysnęła w oczach pana de Verneuil.

»Nie obrażaj się, nie na to nie mogłam poradzić; z początku nawet ani się domyślałam.

Czytał dużo nowoczesnych romansów, mówił ciągle o namiętnościach gwałtownych, głębokich, fatalnych. Nie pojmowałam zgoła tych jego dowodzeń, a prosiłam tylko Boga w prostocie serca o męża, któryby mię kochał spokojnie, o życie domowe ciche i pełne błogosławieństwa... jak te com znalazła... Mówiłam nieustannie Gastonowi, że stracił głowę, że wszystkie te szumne frazesa godne były domu warjatów. Podług niego, potrzebował on miłości pełnej burz i wichrów. Ktoby mu uwierzył na słowo, osądziłby, iż on miał w sercu Wezuwjusz lub piekło. Zazdrośniejszy od Otella przysięgał, że gotów zarabąć rodzaj ludzki za jedno wejrzenie. Nie mogę nawet dać wyobrażenia o wszystkich dziwactwach, któremi, otoczył się jak orszakiem. Biedny chłopak! romansopisarze zepsuli i innych wielu. Znałam go niegdyś prostym, szczerym, otwartym, miłym bezwiednie; ze smutkiem znalazłam go tęsknego, marzyciela fatalistę: Manfreda lub Rawenswoda.

»Widzę go zawsze przez park przechodzącego, dumnie w płaszcz obwiniętego, na wzór kastylskiego kochanka, który oczekuje naznaczonej na schadzkę godziny. Co się tycze jego, nie miał on inszych schadzek, jak tylko z księżycem, gdyż o ile mogłam odgadnąć, przed nim to wynurzał

burze swojego serca. Ja się nie śmieję, mój Boże! gdy mówię o nim, czyż nie trzeba go odmalować takim jakim był?

»Pierwszy raz wyznał mi swą miłość podczas małej archeologicznej wycieczki, dokonanej konno, piechoto i w szarabanie przez całe zamkowe towarzystwo. Gaston jechał konno; miał przyjemność w narażaniu się na niebezpieczeństwa, albo raczej w tworzeniu ich sobie, gdyż dla rozsądnego jeźdźcy droga była wygodna: kilka brodów do przejechania, parę stromych ścieżek, mała rzeczka do przebycia w bacie, słowem droga zwyczajna, jak tyle innych. Ja także jechałam konno, dumna z mojego wierzchowca i mojej amazonki, szczęśliwa w ośmnastym roku życia i wesoła na widok nieba jaśniejącego nad mem czołem.

»Byliśmy na górze, jechałam ścieżką, słuchając wesołego gwizdania kosa. Lecz oto nagle mój szalony kuzyn skacze na pochyłość, aby jechać obok ze mną. — Gastonie nie wiesz co robisz, bądź ostróżniejszym. — Nie bój się, odrzekł, źle wstrzymując słupiącego się konia, jestem fatalistą, moja piękno kuzynko; zresztą, mówił dalej, nachylając się ku mnie, czyż nie miłoby było umrzeć tutaj, w twoich oczach i tak pięknego dnia? — Oto, odrzekłam z uśmiechem, gdyż

wcale nie brałem tego na serjo, oto myśl, która tylko tobie mogła przyjść do głowy.— O! moja kuzynko, ciągnął ożywiając się coraz bardziej, żebyś ty wiedziała, jak cię kocham!— Nie wątpię o tem; i wiem już od lat ośmnaśtu.— Niestety! nie kocham cię teraz tak, jak kochałem, gdyś była dzieckiem; jest to namiętność, która mię zabije, wierzaj mi kuzynko! Gdybym nie miał nadziei posiadania cię z czasem, w tej chwili rzuciłbym się z koniem pomiędzy te skały... Złęklam się tych słów wymówionych z wyrazem prawdziwej szczerości. Przed chwilą parsknąłabym ze śmiechu: teraz nie śmiałam, ani zaśmiać się, ani odpowiedzieć.— Zastanów się nad tem, dodał prawie z rozpaczą, pierwsze wymówione przez ciebie słowo każe mi żyć lub umrzeć! Już od pięciu tygodni nadaremnie starałem przemódz me serce. Zawsze w niem była, zawsze!... Napróżno zamykałem oczy!... Bo czyż można zamknąć oczy duszy?— Słuchaj kuzynku, nie unoszę się tak, jak ty w poetycznych sferach niepodobieństwa; pomówiemy znów o tem, lecz tymczasem, strzeż się, abyś nie upadł.— Okrutna! rzekł, podnosząc oczy w niebo, ja płaczę, a ty się śmiejesz; z czasem będę pomszczony; będziesz kochała także, a wówczas cię nie zrozumieją, gdyż tam tylko



wysoko spotykają się dusze prawdziwie dla się stworzone.— Zresztą, mówił dalej, chwyciwszy mię za rękę, którą mu wnet wyrwałam, nie trzeba nigdy o niezem rozpaczać.

»Rząd brzoź znajdujących się na brzegu ścieżki rozdzielił nas wówczas z wielką moją radością; przez dalszy ciąg spaceru, tak się urządziłam, iż nigdy nie byliśmy więcej sam na sam.

»Zajęta nieco szaleństwem mojego kuzynka byłam wieczorem w swoim pokoju, gdy mi służąca oddała bilecik mówiąc: że Gaston ma wyjechać; że prosi mię, abym po przeczytaniu tych kilku wierszy odpowiedziała na nie choć parę słów. Nic pomnę już wszystkich jego dziwnych, dziwacznych i nadzwyczajnych wyrażen: byłam aniołem; oczekiwał odemnie życia i rozumu, gdyż przyznawał się z pokorą, że gwałtowne uczucie wzbudzone w nim przezemnie, obłąkało jego umysł.

»Z początku miałam zamiar odesłać list nie czytając, a uprzedzić o wszystkim mojego ojca; potem, bojąc się narobić hałasu dla dzieciństwa, bo byłam pewną, że piękny styl kuzynka w niezem nie zmieni moich uczuć dla niego, odważyłam się więc przeczytać po prostu list jego. Przeczytawszy, znalazłam, iż nie mi więcej nie zostało do zrobienia, jak tylko wy-

leczyć Gastana z jego szalonej miłości słowami siostry. Napisałam: był to błąd bez wątpienia, lecz nie przewidywałam, aby mogło być niebezpieczeństwo w dokonaniu dobrego uczynku.

»Pisałam do niego, że pierwiej powinien był myśleć o utorowaniu sobie drogi na świecie niż o szalach miłosnych; że był młody, odważny i zdolny; że tylko potrzebował chcieć, aby dojść do wszystkiego. Zupelnie po macierzyńsku wyrzucałam mu jego beczynność, próżnowanie i niedbałość. Dla łatwiejszego dojścia do celu, objawiłam mu otwarcie, że jeżeli dojdzie do czego, być może mój ojciec odda mu moją rękę; a że wówczas można przypuścić, że i moje serce pójdzie za ręką.

»Nazajutrz przed południem odpowiedział mi tomowym listem. Odpisałam raz jeszcze, przyznając się nie przeczytawszy całego. Gaston mi mówił, że na jedno słowo nadziei pójdzie mężnie dla zawojowania całego świata, że się stanie ministrem, marszałkiem Francji, królem, słowem tem] wszystkiem, co stanowi tu sławę nie zaś szczęście. Odpisałam, że szczęście pójdzie w ślady sławy. Nie mając nie wówczas do czynienia, pozwalałam sobie sążnićcie pisywać do kuzyna; miło mi było dawać mu rady, mnie ma-

jącej lat ośmnaście, jemu, który miał dwadzieście siedm.

»Podczas ostatnich ośmiu dni jego bytności w zamku zamieniliśmy z sobą kilka listów. Ta ciągła korespondencya zmęczyła mię w końcu; przytem ośmielił się nawet mówić do mnie zbyt namiętnie. Wypadało położyć temu koniec: nie dla tego, abym się choć na chwilę bała pokochać Gastona, lecz zrozumiałam, że wstąpiła na niebezpieczną i kompromitującą drogę.

»Gaston miał do załatwienia jakieś familijne interesa po śmierci ciotecznej babki; wyjechał smutno i niechętnie.» Bądź zdrowa Blanco, rzekł do mnie, całując w rękę, gdy powrócę będę godnym ciebie.

»Odprowadziliśmy go z ojcem, aż do końca alei, gdzie przechodził dylizans. Gdy już znikł mi z oczu, doznałam jednocześnie wesołego i bolesnego wrażenia. Byłam rada z uwolnienia od tak upartego w miłości kuzynka; smuciłam się, gdyż zapewne przecucie ostrzegało mię, iż go nigdy więcej nie ujrzę.

»Prędko zapomniałam o spacerze, o listach i bohaterach romansu. Przybyłam na zimę do Paryża, a może.... »Pani de Verneuil spojrzała czule na męża. »A może przypominasz sobie żeś-

my się spotkali u pani de C—? Miałeś tę wyzłość, żeś nie był moim krewnym i nie wyobrażał jakiegoś bohatera romansu.

»Leez nie tu miejsce przypominać pierwsze rozdziały naszego małżeństwa. Przed trzema dniami nie myślałam wcale o moim biednym kuzynku warjacie; wszedł jakiś służący, a przekonawszy się, żeś była sama jedna, wręczył mi list i dwa klucze. »Co to znaczy? zapytałam go zadziwiona.— Nic nie mam do powiedzenia pani; wypełniam ściśle dany mi rozkaz — oto jest wszystko.» Obróciłam ze dwadzieścia razy list w rękę za nim go nie odpieczętowałam; ze dwadzieścia razy oglądałam oba klucze; w końcu złamałam pieczęć z silnem biciem serca. Choć nie myślałam bynajmniej o Gastonie d'Avrigny, od razu poznałam jego pismo. Zgadłam, nie wiem dla czego, że miałam się dowiedzieć o smutnym wypadku.

»Zaledwie od kilku miesięcy wiedziałam, że Gaston doznawszy przeciwności prawie we wszystkich rodzajach kariery, na zakończenie wstąpił do afrykańskiej armji, gdzie zresztą znał generała Lamoricièra. Był on człowiekiem stworzonym do wojny; jeden tylko znałam w nim istotny przymiot, męstwo. W ostatniej potyczce z Arabami został śmiertelnie raniony na polu bitwy,

ale sam ten list, który możesz przeczytać, wytłumaczy ci ostatecznie tajemnicę mojej obecności w tym pokoju.”

Mówiąc to, pani de Verneuil podała mężowi ostatni list Gastona. Pan de Verneuil ujął jednocześnie i list i rękę swojej żony. Hrabina odetchnęła, spuściła głowę i zarumieniła się z ukontentowania. Po kilkakrotnem rozwijaniu i obracaniu listu pan de Verneuil przeczytał go głośno:

»Kuzynko,

»Zapewne w szczęściu zapomniałaś o biednym Gastonie d'Avrigny, który tak cię kochał, który cię kochał zanadto. Mam-że ci powiedzieć? przez dwa lata żyjąc bez widzenia ciebie, nosiłem jednak zawsze w sercu to szalone, miłe i straszne uczucie, które zniszczyło me życie! O! nie wiedziałaś jak głębokiej, jak poświęcającej się doznawałem dla ciebie miłości. Nie mogąc żyć u stop twoich, żyć twojami wejrzeniami, twoim uśmiechem, twoją pięknnością, nie mogłem żyć nigdzie tem co stanowi życie bez miłości. Prokowałem wszystkiego dla oszukania mojego serca; widząc, że mi szczerzy pozostawał fundusz, trwonilem go we wszystkich zwodniczych upojeniach paryzkiego życia. Lecz w pośród tych szarów, przechowywałem w duszy twój ukocha-

ny obraz, jak kawałeczek czystego nieba uśmiechający się w czasie burzy. Nie mogąc przewziąć serca, nie widziałem nic innego przed sobą oprócz śmierci. Przytem, muszę wyznać, gdyż nie należy grać komedji, byłem prawie całkiem zrujnowany, a w smutku i przygnębieniu, nie czułem w sobie dość odwagi do przemożenia trudności przy dorabianiu się majątku. Samobójstwo stało się dzieciństwem; jest zawsze miejsce na polu bitwy dla człowieka z sercem. Jest tylu ludzi mówiłem sobie, którzy będą kochanymi, jadą tam umierać, gdy wzywa ich tu czułe serce! I czemużbym ja, którego nikt nie pożałuje, nie miał tam nadstawić się kuli arabskiej, naznaczonej do zabicia biednego chłopca kochającego życie. Wkrótce uchodziłem tu za bohatera. Nie czytałaś-że mego nazwiska chlubnie wymienionego w jednym z raportów marszałka? Wreszcie nadszedł dzień oczekiwany przezemnie.

»Gdy będziesz list ten czytała, żyć już nie będę, a umrę jednego tylko żałując, to jest, żem nie był traiony w serce. Nie ci nie powiem o moich ostatnich cierpieniach: byłem na wszystko przygotowany. Jedno mię niepokoi a powiem ci co. Napisałaś do mnie ośm listów podczas tej miłej i smutnej jesieni, kto-

ra przepędziłem w zamku mojego wuja. Listy te chociaż doprowadziły mię do rozpacz, były wszakże dla mnie nieocenione; chowałem je zawsze, jako skarb największy. W chwilach najgłębszego smutku odczytywałem je z gorzkiem, rozkosz mi sprawiającem upojeniem. W czasie, gdy tracił fundusz, najałem małą willę w lasku Auteuil, w której przepędziłem ostatnie lato w wesołym towarzystwie: było to miejsce schadzki ludzi równie, jak ja nieczem się niezajmujących. Wszyscy się tam bawili, oprócz mnie; lecz udawałem, że się bawię, jak inni. W małej mahoniowej szafeczce, znajdującej się w głębi sypialnego pokoju schowałem twoje listy; mam-że wyznać? Wszystkie miłosne listy, otrzymane przezemnie w Auteuil'u, przez nieuwagę wrzuciłem do tej samej szafki: daruj mi to świętokradztwo. Gdy wyjeżdżał do Afryki w miesiącu listopadzie, byłem w Paryżu, a nie miałem czasu powrócić do Auteuil; klucz od domu zostawiłem u mego służącego, z rozkazem, aby tam chodził niekiedy i dopatrywał ogrodu, chciałem bowiem utrzymać go w przekonaniu, iż powrócę. Nie powrócę już. Lecz jakim sposobem, moja kuzynko, oddać ci ośm listów, będących tam razem z tylu innemi? Sama tylko możesz je poznać. Kto wie czy te listy nie wpa-

dłyby w niegodne ręce! Mam kredytorów, i nie wiem co się stanie, gdy dojdzie wieść o mojej śmierci. Zastanów się nad tem, czy będziesz miała odwagę pojechać sama po nie. Piszę tylko do ciebie i do służącego, który ci wręczy klucze. Dwa czy trzy dni zaledwie żyć będę; główny chirurg powiedział mi prawdę. Nie dowiedzą się zatem zaraz w Paryżu o mojej śmierci; masz czas udać się do Auteuil. Jest to dom osamotniony,— na końcu lasku: cały biało-malowany, ujrzysz go po nad winnicami; poznasz po małej kratkowanej, ciemnej furcie ze złoceniemi strzałkami. Dubois wręczy ci klucze, od furtki i od drzwi wchodowych; insze drzwi, jeżeli się nie mylę, są otwarte; na nieszczęście nie wiem, gdzie położył kluczyk od małej szafki; być może znajdziesz go na kominku. Zresztą jest to stary mebl, łatwy do otworzenia. Pierwszy lepszy mały kluczyk doń przypadnie.— W końcu zrób jak będziesz mogła; lecz proszę cię odbierz twe listy znajdujące się w nader złem towarzystwie.

»Gdybym słuchał własnego popędu, pisałbym do ciebie aż do chwili skonania; lecz cóż ci powiem czegobyś nie odgadła! Żegnaj cię więc moja piękna kuzynko.— Przebacz mi, że cię jeszcze nazywam tym wyrazem tak słodkim dla mojego



serca; lecz dopóki bić ono będzie, dopóty będę kochał mą piękną kuzynkę!”

W tym miejscu pan de Verneuil z gniewem zgmiotł pismo.

— Wszystko? rzekł Fryderyk nie uleczony ze swego zamięłowania wiedzy.

— Tak, panie, wszystko, odpowiedział sucho pan de Verneuil.

Hrabina z westchnieniem zwiesiła głowę. Jako wierny dziejopisarz powtórzę tu ostatnie wiersze listu, których hrabia nie chciał czytać głośno:

»Gdy pójdziesz do tego małego domku żyć już przestanę. O! żeby to Bóg pozwolił mojej duszy udać się tam jednocześnie z tobą! Myśl ta obchodzi mię bardzo.... Oczekuję śmierci z większą niż kiedykolwiek niecierpliwością....

»Bądź zdrowa! bądź zdrowa! bądź zdrowa! W ogrodzie jest krzak białej róży, na który, gdy kwitnął w przeszłym roku, patrzałem często, myśląc o tobie moja kuzynko; za całą miłość, którą miałem dla ciebie, pójdz i zerwij jedną różę z myślą o mnie.

*«Gaston d'Avrigny»*

Fryderyk widział dobrze, że pan de Verneuil nie chciał przeczytać ostatnich słów listu. Po-

wstając do wyjścia, spojrzawszy prędko, spostrzegł te słowa: krzak białej róży.

»Jestem w domu, rzekł, przy drzwiach ukłoniwszy się wprzód hrabiemu i hrabinej; więc pani de Verneuil zerwała białą różę.»

Przypomniał sobie obawę, wzruszenie, łzy hrabiny przy zrywaniu, oddychaniu zapachem i obrywaniu listków róży.

»A kto wie? rzekł do siebie; może teraz, gdy już on nie żyje będzie go kochała.»

Gdy Fryderyk wyszedł, pan de Verneuil patrząc ze smutkiem na żonę, rzekł do niej:

»Blanko, czy zerwałaś różę w ogrodzie?

—Nie, »odrzekła ściskając męża.

Sąsiadka czytała *Constitutionnel'a*. Historia ta wyszła w nim w pięciu numerach, w odcinku.

Pierwszego dnia moja sąsiadka z największą obojętnością zapytała mię czym napisał wczoraj feljeton.

Na drugi dzień była dla mnie nadzwyczaj ujmującą.

»Bądź spokojną pani, rzekłem do niej śmiejąc się. Bohaterka mego romansu, wyjdzie z niego bielszą od najbielszych gronostajów.»

A gdy już był koniec, przyszła śmiało do mnie:

»Zrozumiałeś wszystko, rzekła ze wzruszeniem.

— Nie; gdyż nie wiem końca.

— Ani początku.

— Lecz jak się to dzieje, że pani jesteś tu sama jedna? nawet Fryderyk de Marvilliers na próżno robi domysły o tem.

— Bo mąż mój sądzi, że byłą kochanką Gastona.

— A pani jak sądzisz?”

Uśmiechnęła się smutnie.

»A pan?”

— Sądzę, że *tak*, gdyż powiedziałaś *nie*.”

Milczenie.

»Gdzie jest mąż pani?”

— Lata po świecie. Poszlę mu pańskich pięć feljetonów, aby go z sobą pogodzić, co do przeszłości. Albo nie zrobię tego, gdyż posądzi mię o to, że sama napisała tę historję. Jest teraz posłem w Rzymie do Papieża w kwestji Jezuitów. Skończy na fanatyzmie.

— A pani?”

— Ja tak nie skończę.”

Nadszedł muzyk. *Tajemnicza* zwróciła się do niego.

»W porę pan przychodzisz. Zaśpiewaj mi  
*Śmierć serca.*

I Arezzo, nie dając się długo prosić, zaśpiewał te zwrotki na notę tak smutnie smutną, jak jęk nocnego wiatru wśród nagich gałęzi, kiedy śnieg pada.

### Śmierć Serca.

Strony różami usłane!  
O! strony dla mnie stracone!  
Strony różami usłane,  
Słodycze wasze mi znane!—  
Na zmian wy tyle skazane!  
Wszystko skończone!

Kochankę białą ja miałem;  
Miłość— sny także minione!  
Kochankę białą ja miałem,  
Lecz gdy raz ucałowałem,  
Konającą wnet ujrzałem!  
Wszystko skończono!

Winna gałąź świeżą była,  
Na polach zboże zielone;  
Winna gałąź świeżą była,—  
Nad nią się śmierć pochyliła,  
Do mogiły położyła.  
Wszystko skończone!

Wyje zima zawichrzona;  
Wtrąca jesień w mgły zmrużone;

Wyje zima zawichrzona—  
 Dusza śniegiem przypruszona;  
 Śmierć mi mówi: jam twa żona.  
 Wszystko skończone!

A gdy Arezzo prześpiewał, rzekłem do  
*Tajemniczój:*

»Jaką przyjemność znajdujesz pani w słuchaniu takich śpiewów?

— Przyjemność taką, jakiej się doznaje w stąpaniu zazdrośną stopą po cmentarnem ziele.

— Rozumiem: ten, który już umarł bardziej żyjącym jest dla jej serca niż owych pięciu czy sześciu zakochanych.»



## XIII.

### M ó j s a s i a d.

#### Historja mimozy.

**M**OWIŁEM wam o wszystkich moich sąsiadkach, ale nie mówiłem o moim sąsiedzie; a to dla tego, że podczas podróży miałem tylu sąsiadów! byli to Teofil Gautier, Alfons Esquiros, Beranger, Gerard de Nerval, Juljusz Sandeau, ksią-

zę Kapui— a nie w Kapui; było wszystkich potroszę, gdyż Paryż mając lat dwadzieścia podróżuje ciągle. Jeżeli co pół roku zmieniał okno dla zmiany punktu zapatrywania się na Paryż, na świat i na siebie samego, iluż to zmieniało je, co trzy miesiące? Jedni dla szukania szczęścia, którego nigdy nie znajdują; inni dla znalezienia bogactwa siadającego niekiedy przy drzwiach, lecz nigdy nicotwierającego okna; owi przez upodobanie do różnych przygod, tamci, aby uciec od kochanki lub właściciela domu, tego Oerbera pokazującego zęby, gdy mu nie dano jego kwartałowego piroga.

Nie zawsze podróżowałem w tém samym oknie; wychodziło ono z kolei to na ulicę du Bac, to na plac Vendomme, to na wybrzeże Voltaire, na rozległe łąki Ruysdaël'a, na Ren niemiecki, na jezioro Majore, na Giudekę, na Watykan, na zatokę neapolitańską, na ogrody Semiramidy, na pałac królowej Saby,— lecz nigdzie mi tak dobrze nie otworzyło świata, nie służyło za błyszczące ramy do wszystkich portretów i obrazów, jak na wybrzeżu Woltera.

Siadywałem w oknie Woltera, na wybrzeżu Wolter, po nad karykaturą Woltera; lecz nie stałem się przeto większym wolterzystą. Przepędziłem pół roku w mieszkaniu tej potencji u-

mysłowój wprowadzony do niego przypadkiem, a nie przez uwielbienie dla osoby patryjarchy. Miałem ztamtąd prześliczny widok: widziałem cały Paryż, od l'Arc-de Triomphe, aż do Notre-Dame. W jednym dniu przechodziło mimo mnie to odwieczne miasto z królem nawet i Sekwaną. Lecz któż— ośmieli się odmalować jego nagłe zmiany? Kto odważy się wypisać jego tysiączne, codzienne Odyssee! Co za obraz! co za podróż! jakaż to książka! Pod temi złoconemi lamperjami— złoconemi dla niego, a nie dla mnie,— pod tym ślicznym sufitem, na którym muzy *Bouche go* plotą jeszcze wieńce, jakby on był tu dotąd, on, który je wszystkie kochał bez prawdziwego uczucia,— w tém to miejscu wolałem raczej czytać baśnie Woltera.

Tylko w tém oknie podróżowałem prawdziwie; w inszym czasie biegałem po świecie, lecz widziałem świat jedynie z góry, w przelocie. Z tego okna widziałem swobodnie takim, jakim on jest rzeczywiście; Anglicy, Niemcy, Rossjanie, Włosi, Turcy, Arabowie dziecy ludzie! defilowali przede mną; bo już nie ja zadawałem sobie pracę defilowania przed nimi, lecz oni przedemną. Co mię szczególnie nudziło podczas moich podróży, to, że w Neapolu, w Konstantynopolu i w Berlinie widziałem tylko Włochów, Turków i

Niemców urodzonych w Moskwie, Paryżu i Londynie. Tylko w Paryżu wszystkie narody spacerują jednocześnie.

Wyniosłem się ztamtąd dla dwóch przyczyn. Naprzód, żem już nie pisał więcej pod pozorem tego, iż pan de Wolter dość już napisał podobnych książek; powtóre, że Anglicy zbyt często żądali oglądać mieszkanie Woltera, którego raczyli nazywać najdowcipniejszym człowiekiem w całej Francji, co zmusiło mego groom'a, paryzkiego ulicznika, niełubiącego Anglików, do mówienia im: »Tak milordzie, był to człek najdowcipniejszy we Francyi, Nawarze i Anglii.»

Opuściłem okno Woltera dla okna w Smyrnie; był to inny punkt zapatrywania się na rzeczy; lecz nie był-że to zawsze ten sam mężczyzna, ta sama kobieta, to same uczucie, ta sama komedja przesuwająca się przed memi oczyma?

Od kilku dni mam sąsiada—botanika, sławnego—w Akademji Nauk.— Sądzi, że wynalazł nowy gatunek jaszczurek i pokrzywy; ma szczególnie pretensję do pisania *in folio* o mimozie, jej własnościach, uczuciach, przyzwyczajeniach i chorobach. Przed chwilą zastałem go, przypatrującego się biednej jakiejś mimozie, którą poświęca na ofiarę dla swej szalonej miłości nauki. Otoż tedy jest człowiek poważny. Patrz-



cie: uzbroił się w lupę i w nożyce. Nieszczęśliwa mimoza, wtenczas tylko spokojna, kiedy śpi. Co mówię! kiedy on śpi; gdyż budzi ją co chwile z okrucieństwem owego kata, odzywającego się do królewskiego dziecka: Kapeeie, ty śpisz! Mój sawant nazywa swój ezulozioł Ofelją. Gdy onegdaj przemawiał do niej, nazywając tem imieniem, sądziłem, że widzę jego córkę lub służącą. Mimoza lęka się jego: skoro się przybliżyła do niej w swym długim szlafroku, którym porusza pył nauki, mimoza dostaje mdłości; bojaźliwe drżenie wstrząsa wszystkie jej liście; gdy się dotknie do niej, kurezy się i opada; ukrywa swe życie w tysiącnych całunach. Uczony nie zadawałnia się tem, iż ją dotyka końcem paznogaia; słyszę głos nożyczek; tu i ówdzie obcina po jednym liściu. Jestem do głębi wzruszony tem barbarzyństwem, gdyż widzę krwawe łązy smutnej Ofelji. Lecz mój sąsiad. wcale nierozczulony, podchodzi ku mnie i wita mię najspokojniej.

—Chcesz być świadkiem konania Ofelji?

—Jak to, już, wszak tylko od sześciu tygodni ją męczysz.

—Tak, chciałem, aby konanie było powolne i bolesne; chciałem wybadać jej życie w jej śmierci. Patrz-no jak pobladła. Wczoraj po-

kropiłem ją arsenikiem. Prokowałem wprzód słabszej trucizny; lecz poznałem, że trzeba silniej natrzeć.

— I pan jesteś zupełnie pewny, że umrze?

— Tak. Noc była straszna; cały systemat zaatakowany.

Uczony wyjął zegarek:

— O południu żyć przestanie.

— Jużes zrobił doświadczenie?

— Tak, najakuratniej. Siadam zaraz kończyć pisać moją rozprawę na kongres. Możesz mój kochany poeto napisać epitafiję dla Ofelji.

— Dajże mi tę nieszczęśliwą ofiarę.

Powróciłem do siebie z postanowieniem ocalenia Ofelji. Nie jestem członkiem Akademji nauk; lecz jeżeli mój sąsiad umiał ją zabić, sądzę, że potrafię wskrzesić.

Wyjąłem z korzeniem mimozę i posadziłem pomiędzy memi różami, które swą świeżością i wonią już ją wnet ocuciły. Słońce rzuciło na nią swe promienie złagodzone nieco przezrzystemi liśćmi pomarańczowego drzewa. Skropiłem ją od góry do dołu. Zamiast epitafji, kto wie czy nie napiszę dodatku do rozprawy uczonego? O niesprawiedliwościuczonych posiedzeń i akademij! wszyscy mu będą wieszowali,

że zabił mimozę; a ja za to, iż ją przywołam do życia, pozyskam tylko zapomnienie.

Zadzwoniono do mych drzwi. Mój groom, swoim zwyczajem poszedł spacerować— za mnie, jak powiada. Ażebym też poszedł otworzyć! Ależ poco otwierać drzwi dla ludzi nudnych, hultajów, dla pozbawionych miłości— dla niemających rozsądku? Są tacy i takie i im podobne. Nie, nie otworzę.— Zresztą już i zapóźno.

Byłem w błędzie. Kto wie może to samo przeznaczenie dzwoniło we drzwiach?

Otworzyłem, lecz znalazłem tylko bilet wizytowy z pompatycznem imieniem Teofila.

Przejdzie pod moim oknem. Tak właśnie, poznaję jego koezyk i dwa malutkie konie. Próżność próżności! Nie chce już on być człowiekiem dowcipnym, pięknie piszącym, poetycznym;— chce się stać człowiekiem— konnym.— Jakżem dobrze zrobił żem mu drzwi nie otworzył: wybornie wygląda w swoim powozie. O czym że chciał ze mną pobaraszkować?— Poznaję ją. I ty pani, która uczęszczasz do teatru poznałabyś ją łatwo. Nie odmaluję ci tej kobiety, nazwę ją tylko jednym rysem charakteru: Jeden jutrzejszy kochanek pewnego wieczora ofiarował jej za kulisami prześliczną perłę. Schwyciła ją i włożyła pomiędzy zęby, a przekonawszy się, że była pra-

wdziwą, temi samemi białemi ząbkami uśmiechnęła się najmilej do swego wielbiciela. Gdyby zaś perła była podrobioną, nie uśmiechnęłaby się i oddałaby ją z miną niewyrażającą najmniejszego przywiązania do dóbr ziemskich.

Teofil daje jej mimochodem tylko prawdziwe perły swej poezji—kraśne jagody godne puharu króla Tule.

Widziałem Ofelję. Już jest południe.— O dziwo! za mojem zbliżeniem się wstrząsała się radośnie: nie było to bowiem owe drżenie z bojaźni, którego doświadczała, spostrzegając czarny szlafrok sawanta. Jeszcze bardzo chora; lecz podnosi liście na znak ocalenia, jak podnosimy ręce do nieba po uniknionem niebezpieczeństwie. Już na bladych ustach mimozy widziałem przelotne drżenie nadziei.



## XIV.

### Z a A l p a m i.

**D**ZISIAJ rano, gdy moje serce nie miało żadnego zajęcia, otrzymałem z Wenecji ten dziwny list:

»Nigdy cię nie widziałam w widzialnym obrazie, lecz widzę codzień pod postacią jaką ci dały muzy; nie przypuszczasz wcale, aby za Alpami, za morzami była kobieta żyjąca z tobą, twoją myślą, twemi marzeniami, uśmiechem i gniewem; która cię unosi na swem sercu w lasy i góry; która wieczorem spogląda na gwiazdę na jaką ty patrzysz, na gwiazdę twoją lub moją.

»Kto idzie? zapytasz mię.— Ja. Czyż ci tego nie dosyć? czy nie poznajesz mojego głosu? głosu któregoś nigdy nie słyszał, lecz który ci mówi o miłości. Wiem żeś w niepewności, gdyż istotnie jestem tem zjawiskiem maskaradowem, mówiącem: kocham ciebie! nie pokazującem wszakże, czy usta które mówią: Kocham ciebie! są piękne. A gdybym nie miała wszystkich zębów? gdybym była kosooką? gdybym była ryżą, nie mając włosów wenejanki? nie lękaj się zbytecznie. Gdybym nie była tak daleko od ciebie, gdyby Alpy nie były zbyt gęstym wachlarzem twarzą zasłaniającym, nie odważyłabym się wówczas powiedzieć to co ci powiem teraz:

»Jestem piękną.

»Upewniłeś się tedy: nie należę do liczby tych odwiecznych kobiet autorek, które dzisiaj wszystkie pięć części świata zapelniają swemi poetyczno-uczuciowemi rozmyślaniami.

*»Czy chcesz abyśmy się kochali przez Alpejski wachlarz?*

*»Neidzia.*

*»Wenecja. Dom żyda Salomona, kupca łokciowych towarów na Rialto.«*

Odpowiedziałem mniej więcej w następujący sposób:

*»Pani,*

*»Skoro jesteś piękną, będę cię kochał; lecz czekam zanim się wachlarz z Alp nie uchyli przed moim ciekawym wzrokiem. Tymczasem szczęśliwy jestem że żyję z tobą w Wenecji, gdyż nie żyję sam z sobą w Paryżu.*

*» \* \* \**

*»Paryż. Dom kupca wachlarzy, nie daleko od Chińskiej Bramy.«*

Odpisałem dość niedbale, lecz muszę wyznać, że ten list, przynoszący mi może bicie serca otoczonego wonnemi jónskimi kwiatami, wzruszył mię nieco. Zaledwie wieczorem zdołałem się otrząść z owego niepokoju zwiastującego nowe uczucie. Przechodząc przez most des Arts, spostrzegłem że się głupowato zapatrzył na gwiazdy, myśląc o Neidzji.

Po dwódziestu dniach jużem był zapomniał zupełnie o Wschodzie, gdy otrzymałem list, które-

go zagraniczna pieczęć pocztowa poruszała mi serce: Wenecja! Wenecja! List był krótki, z tych trzece tylko złożony wierszy:

*»Kochałam cię, gdyś twój list otrzymała. »W tej chwili już cię nie kocham. Kazałam warjatce powrócić do domu.*

*»Neidzia.«*

O serce ludzkie! bezdnia cieniów i sprzeczności! już mię nie kocha, a ja ją kocham.

Te trzy wiersze ognistemi literami migały przed moim zasmuconym wzrokiem.

— Otóż, rzekłem do siebie; jeszcze jeden zamek na lodzie obrócił się w perzynę. Kto wie? może ta kobieta, była istotną kobietą, kobietą której szukano od stworzenia świata a której nie znaleziono dotychczas. Jednak trzeba coś o tém postanowić. Gdyby ona mieszkała w Madeleine, lub w Bastylli, poleciałbym do niej w pojeździe najętym po czterdzieści groszy na godzinę; lecz jechać do Wenecji! O! takim kosztem— to trochę za drogo.

Wyszedłem na balkon. Obłoki dążyły ku Wschodowi. Przypatrywałem się im, jak gdybym miał z nimi polecieć.

— No co się to tak pilnie zapatrujesz?

Był to głos mojej sąsiadki. Zbliżyłem się do niej. Odchyliłem winną latorośl i nasturcję.

Wiesz-że pani co się ze mną dzieje?

—Przestraszasz mię. Cóż takiego?

—Jestem zakochany.

—Ej! co mi mówisz! chciałabym bardzo wiedzieć pana zakochanego i to tylko nie we mnie.

—Czyż to się ludzie kochają tak blisko? Kocham się za Alpami, za morzami, w Wenecji.

—Jedź tam.

Powróciłem już. Chętniebym tam jeszcze raz pojechał, lecz cóż znajdę przybywszy, kłębek dymu.

Zapaliłem cygaro, a sąsiadka zwinęła papierosik w swych ślicznych paluszkach.

—Wszystko mniej więcej jest dymem.

—O! gdyby tylko Alpy cnoty były do przebycia!

I opowiedziałem sąsiadce początek tej nieprawdopodobnej przygody.

—Opowiedziałem ci, pani, początek, na ciebie teraz kolój opowiedzieć mi koniec.

Kto wie początek, wie koniec. Radzę ci jechać do Wenecji i nie powracać tak, jak pojedziesz. Bądź zdrow.

—Bądź zdrowa! czy to pani sobie wyobrażasz że ja pojedę?

—Jest to twój obowiązek. Jakto! piękna kobieta będzie pisała do ciebie iż cię oczekuję,



a pan nie pojedziesz do niej, pan który lubisz dziwne przygody! Bądź zdrow! bądź zdrow! nie chcę się z panem widzieć, jak tylko po jego powrocie.

— Dla tego właśnie, że się lubię awanturzyć, nie pojedę do Wenecji. Wartoż tam jechać gdzie na nas oczekują! O! nieprzewidzianość! nieprzewidzianość! oto życie! Jeżeli bóstwo przygod poprowadzi zawsze szczęśliwie mą gwiazdę, urządzi on to tak dobrze, że kiedykolwiek spotkam się z Neidzią w chwili gdy o niej myśleć nie będę.

---

## XV.

### Co słyhać przez okno.

---

#### I.

**S**ŁYCHAĆ pozytywek, — szejnekaterynkę jak mówią służące; słyhać turkot omnibusów, wrzawę wojennej muzyki, ochrzypłe krzyki Paryża, brednie wiatru; lecz nie to słyhać głównie, gdyż codziennego hałasu nie słyhać.

Słyszemy szczególnie pół-słówka sąsiadów, fa-

milijne tajemnice wielkiego miasta, plotki tej, lub tego, zwierzenia się jednych i drugich.

Tak to przed chwilą pomiędzy dwoma kłębami cygarowego dymu podśluchałem następujące, do-  
weipne duo.

—A! otóż jesteś!

—Czy to ja jeszcze? nie wiem doprawdy. Tak mój kochany, nudziłem się przez cały miesiąc żem o mało co się nie ożenił.

—A ja, tyle się od miesiąca żeniłem, żem o mało co się nie znudził.

—Jabym się pewnie ożenił, gdybym nie chodził do komedji Francuzkiej na nie wiem już jakie przedstawienia. Jest tam jedna prześliczna aktorka, która mi zawróciła głowę w stronę trzy-nastego cyrkułu (1).

—Jakże z nią jesteś?

—Napisałem do niej tak:

*Pani,*

*Gdy cię widzą, kochają cię; gdy cię kochają  
gdzież cię widzą?*

—Cóż ona odpowiedziała?

*Panie,*

*Miłość jest ślepa, przeto nie można mię widzieć!*

---

(1) Paryż dzieli się na 12 cyrkułów; ślubne kontrakty odbywają się u cyrkułowego notariusza. O nieprawych związkach mówią iż to są małżeństwa 13 cyrkułu.

Ta zwięzłość wystowienia się przypomina mi ową sławną kobietę, która z za Alp pisała do swego kochanka:

*Kocham cię!*

Kochanek za całą odpowiedź odpisał jej te dwa słowa.

*Masz wzajemność.*

— Nie żes nie odpisał twojej aktorce?

— Poszedłem do niej. Twierdza...

— Zajęta przez nieprzyjaciela?

— Kobieta sprytna, biorąca tylko nowego kochanka, dla pozbawienia się dawnego. Wykraśliśmy się pozawczoraj po przedstawieniu.

— O! przyjacielu, strzeż się aktorek. Mają one zawsze nieznanomego kochanka oszukującego wszystkich innych. Tym kochankiem jest publiczność. Masz słuszność; dla publiczności najśłodsze uśmiechy,— najmilsze kokieterje, cały dowcip i cały urok!

## II.

— Zkąd pochodzi ten harmonijny duet, śpiewany przez tak dobrane małżeństwo.

— Skończysz jak twój ojciec!

— Mój ojciec umarł dostatnim człowiekiem, miał za co kupić ostatnią tyzannę— Szampańską.

— Nie miał nawet za co kazać się pogrzebać!

—Jest to najlepszy sposób, aby nie być żywcem pogrzebanym.

—I pochowano go więc jak psa.

—Jako psa należącego do chrześcijanina. Chcę umrzeć tak samo,— chcę— moja miła żoneczko— aby napisano na moim grobie te piękne słowa starożytnego mędrca. »Przyszedłem nagim na ziemię, nagim wróciłem do niej. I po cóżbym miał się frasować za życia, wiedząc że zawsze nadzy trafiamy do końca wszech-rzeczy!«

—I jakże tu nie stracić głowy!

—Tak, miła żoneczko, tak skończę, i nie chcę aby napisano na moim grobowcu, tak jak na grobowcu tego wściekłego małżonka ze cmentarza Montmartre: *»Oczekuję mej żony!«* z dwiema srebrnymi rękami, z których jedna ściska i przyciąga drugą.

### III.

Lecz jakaż to piosnka dolatuje do mnie przez okno z szynku? Tu malarz szyldów macza swój pędzel w czerwonym winie.

Spiewa jakby był zamówionym do Opery.

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .  
 O Ninon! kochanie, wiem koniec twój smutny:  
 Ty umrzesz gdy tobie kochanek okrutny,  
 Choć kochał szalenie, wytrąci już z ręki  
 Kieliszek i rzeknie: »Przekwitły twe wdzięki.«

Malarz szyldów śpiewa tak dobrze, bo sam  
 skomponował i wiersze i nutę. Muszę się do-  
 wiedzieć o życiu tego człowieka; pod tą jego ma-  
 ską ukrywa się filozof.

#### IV.

Nie więcej nie słyszę oprócz ciszy; lecz do-  
 brze wsłuchując się pojmuję nareszcie co mówią  
 moi sąsiedzi z góry. Rzecz idzie o naszych przy-  
 jaciółach—tak twoich, jak i moich.—Jest to głę-  
 boka krytyka na wiatr rzucona. Im się zdaje iż  
 tylko piszą w przestrzeni; lecz ja słucham pode-  
 drzwiami. Jest to rozmowa pomiędzy studentem  
 a rzeźbiarzem.

#### Student

Lamartine to natura w sztuce.

#### Rzeźbiarz.

Hugo to sztuka w naturze, lecz sztuka dła-  
 wiąca naturę fałdami swej długiej szaty.

**Student.**

Alfred de Vigny i Teofil Gautier, to sztuka ukrywająca naturę.

**Rzeźbiarz.**

Niemaz już ani sztuki, ani natury, jest człowiek.

**Student.**

Masz słuszość: człowiek, czyli sztuka nowoczesna, nie jest ani sztuką, ani naturą; lecz duchem, uczuciem, namiętnością, wyobraźnią, ideą—wszystkiem.

**Rzeźbiarz.**

Jest niczém. O! starożytni! starożytni mistrzowie!

**Student.**

Co za herezja! Nigdy Grecya nie miała młodszego i złocistszego pokolenia jak nasze—nawet za czasów Peryklesa,—nigdy Rzym nie miał—nawet za Augusta,—Włochy—za Leona X.,—Francya za Ludwika XIV. Dostano się za kolumny Herkulesa, zdobyto Olymp, wykradziono ogień z nieba. Udawano się wszędzie.

**Rzeźbiarz.**

Tak, a nie doszliśmy do niczego.

**Student.**

Rzecz nie w tém aby dojść. Powiedziano jest: na tym świecie wszystko początkiem. Samo ży-

cie nie jest skończoną księgą. Na ostatniej stronie nie pisze się koniec, lecz tu leży.

**Rzeźbiarz.**

Wolę Fidjasza i Praxytelesa niż Pradier'a i Klezyngera.

**Student.**

Cóżeś widział z dzieł Fidjasza? co widziałeś Praxytelesa? Starożytni mistrzowie są tylko pre-  
textem dla Akademji Nadpisów. Co do mnie, oddałbym całą mądrość siedmiu mędrców greckich za jedną warjacką stronę Balzaka lub Zanda. Zand! ta kobieta pisząca jak mężczyzna. Balzak! ten mężczyzna umiejący czytać w sercu jak kobieta.

**Rzeźbiarz.**

Przyznaję, że oddałbym wielu poetów z wieku Augusta i z wieku Ludwika XIV za Béranger'a i za Alfreda de Musset, za Béranger'a tego ostatniego z Gallów, za Alfreda de Musset, to marnotrawne dziecię poezji upijające się ze swawolnemi dziewczętami, lecz wlewające im łzę— cudną perłę uczucia— do bachanekich puharów.

**Student.**

Co mi się szczególnie podoba we współczesnych autorach, to ich odwaga. Niczego się nie lękają, nawet Akademji. I tak, Hugo i Lamartine'a możnaby wzięść za akademików. Czyż nie mają

oni zawsze wyciągniętej z pochwy, iskrzącej się szpady?

**Rzeźbiarz.**

Są dzisiaj gawędziarze, za którymi przepadam. Nie mam czasu czytać Diumasa, piszącego piórem wyrwanem ze skrzydeł Czasu; lecz z jakimże upodobaniem czytam Karr'a!

**Student.**

Uczucie ostre jak dowcip.

**Rzeźbiarz.**

A Janin?

**Student.**

Dowcip uosobiony. Co mówisz o Houssaye?

## V.

Cheiałbym bardzo wiedzieć zdanie rzeźbiarza. Lecz cóż to za dziwny hałas? Jeszcze jeden sąsiad. Ma on żonę i przyjaciela; ale przyjaciel jest teraz nieobecny, jak można wnieść z rozmowy.

—Masz tobie! masz tobie! masz!

—Aj! aj! aj!

—Jeżeli jeszcze słówko powiesz, wezmę kandelabr.

—Jeśli raz jeszcze mię uderzysz...

—Wyrzucę cię przez okno!



— Ja sama wychodzę!

— W takim razie zgoda.

Chwila milczenia;—głośne śmiechy;—uścisk;—  
oto ostatnie słowo.

## VI.

Co przez okno słyszeć, oto idealne głosy nieskończoności, odległy gwar wielkiego miasta, obwoływającego nędzę, miłośne głosy dusz szukających siebie, rozdzierające krzyki serc starganych, żałośne jęki matek głodnych głodem swych dzieci.

O! gdy me okno wychodziło na zatokę neapolitańską, niedaleko winnej latorośli, z której tryska *lacryma christi*, obok tych ślicznych dziewcząt żyjących powietrzem na słońcu i w miłości, słyszałem tylko hałas wesołych pieśni i rozgłośnych śmiechów!

## XVI.

### Podczas deszczu.

**D**ESZCZ pada—deszcz pada, berzerko, pasterko.  
Oto wyborna okoliczność do wyjścia z domu,  
mianowicie dla mnie niemającego parasola.

Raz tylko miałem parasol, i to już bardzo dawno: było to przy mojem wyjściu z kolegium. Przechadzałem się po bulwarach uzbrojony w parasol jakby powracając z Pontoise. Przechodzi jakaś kobieta, rzucając na mnie nader czułe spojrzenie.

— Pani!

— Panie!

Po tej rozmowie byliśmy już dawnymi znajomymi. Wzięła mię pod ramie.

— Dokąd pani idziesz?

— Na ulicę de la Victoire.

— I ja tam idę.

Szliśmy wesoło, płynąc nieco. Powiedzieliśmy już byli sobie kilka czułych frazesów, gdyśmy się zrównali z 50tym Nó: omnibusa.

— Do widzenia! rzekła do mnie.

— Jakto! przerwałem, nie kończym rozmowy?

— Do przyszłej ulewy!

I poleciała kłaniając się memu parasolowi.

Zemściłem się przy następnej ulewie.

Wychodziłem z balu w Operze podczas straszego deszczu. Nie było ani jednej dorożki na dwadzieścia mil do koła. Bawiła mię złość wielu ślicznych dziewcząt, ubranych lekko jako amorki lub sylfidy. Noc była ciemna— czarna jak mówiono wówczas.

— A ani jednego parasola! mówiło śliczne domino perłowego koloru, wspierające się na rękę Wenery nie chcącej wstąpić do wody.

— Kochane Domino, rzekłem grzecznie, chcesz mego parasola i mego ramienia?

— Chcemy, chcemy, zawołały obie razem.

I wzięły mię z obu stron pod ręce z największą swobodą. Udaliśmy się w drogę. Słychać było szum wiatru, łoskot osypujących się na ulicę kominów, deszczu bijącego w ściany domów i przeraźliwe krzyki masek topiących karnawał.

— Panic, rzekła do mnie Wenera, pochyl nieco twój parasol w moją stronę.

— Mój kochany, mówiło domino perłowego koloru, na miłość bliźniego osłoń mię trochę.

W prawo i w lewo odpowiedziałem dowcipnem słówkiem dobrego gustu. Tak byłem malowniczym w moich odpowiedziach, że się śmiały jak szalone. Wszakże czem dalej szliśmy tem one więcej narzekały na mój parasol.

— On tylko jemu samemu służy, mówiła Wenera.

— To parasolik nie parasol! powtarzało domino.

Lecz szliśmy ciągle; w końcu zbuntowały się.

— Wiesz co, rzekła żeglująca Wenera, oddaj mi parasol, a sam przejdź na stronę.

Usłuchałem najchętniej.

Czy to to twój parasol?

Burza tymczasem wyła.

— Nie mam inszego, odpowiedziałem spokojnie.

— Cóż to! moja kochana, to przechodzi wszystkie żarty maskaradowe. Patrz-no, co on nazywa parasolem!

Druga spojrziała.

— Nic, a nic nie widzę.

— I ja także, dla tego nie spostrzegłyśmy, że jego parasol to pejcz.

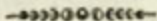
Mówiąc to, udała że mi oddaje mój pejcz z całej siły.

— I cóż chcesz? rzekłem odbierając łagodnie mą własność; dajemy to co mamy. Moim parasolem jest mój pejcz. A któraż z was moje panie pewnego dnia lub w jakiej nocy swego rozkosznego żywota, nie marzyła o tej dobrej pani Sganarelle lubiącej nadewszystko gwałtowne wyrazy harmonji naśladowczej swego męża? Gdybyście umiały po łacinie, mówiłbym wam o księciu Buckinghamie, jednym wielkim panie, który się skromnie przyznawał, iż wszystkie swe powodzenia winien był swemu pejczowi, jakiego bezwstydnie używał w swych królewskich miłostkach. Lecz mój pejcz jest dziś berłem tylko dla Wener-y i dla domin nie mających przytułku.

— Nie mających przytułku! powtórzyła zape-  
rzona Wenera. Może zechcesz pójść do mnie na  
herbatę?

— Dość już mam tej wody, o moja Najado!  
Byłem pomszczony.

Deszczochron jest przesadą; dobrym on był  
przed wynalezieniem ryn dżdżowych, lecz dzisiaj  
po co się ochraniać od tej dobroczynnej rosy,  
którą nam niebo zsyła z zawsze otwartej dłoni?  
Czyż to drzewa i kwiaty używają deszczochronów?  
Anglicy, którzy nas wyprzedzili we względzie  
wygód, skasowali już ten śmieszny wynalazek  
wieku mającego wstręt do wody. Uznawszy serjo  
deszczochrony trzeba też uznać i słońcochrony.  
Nie trzeba wychodzić na ulicę jak tylko z upa-  
dnięciochronem, omnibusochronem, dzienniko-  
chronem— a szczególnie niewiastochronem;— tu  
się mają na względzie kobiety niezupełnie eno-  
tliwe!— Lecz jakież to będzie kształt tego osta-  
tniego— chronu?



## XVII.

**Że myśl ludzka zawsze dąży czterema drogami.**

---

Czy często wam się zdarza myśleć o tem co robicie? Czyżeście się nie przekonali że myśl najupartsza, najgłębsza, najbardziej poważna nie zajmuje nigdy całego naszego umysłu? Umysł nasz prawie zawsze chodzi czterema drogami. Jest to historia serca nieustannie opanowanego przez dwie miłości zarazem,—przez miłość która mija i przez miłość nowopojawiającą się, jako noc pamiętająca z jednej strony o zachodzie słońca, a z drugiej przeczuwająca wschód jego.

Myśl ludzka, wszechmocna jak bóstwo, gdyż czas wyprzedza i sięga po za przestrzeń, jednym polotem dąży w dwie przeciwne drogi. Czyż nie zdarza się często pocięciu pisać scenę komedji, gdy dusza jego jest pod wpływem sceny tragicznej? Ileż to razy Molière śmiał się z zakrwawioném sercem! »Łza spływa mi z oka, mówił Lesage; maczam w niej me pióro i piszę najweselszy dyalog«.

Któż z pomiędzy nas umiejących temperować pióro nie podjąłby się dyktować razem i feljeton

i sprawozdanie polityczne, jedząc jednocześnie śniadanie lub fechtując się? Nic prostszego. Pan Wolter był wielkim leniuchem,— tylko nie do powieści, swych jedynych arcydzieł— które pisał galopem, sądząc, że nie postawi na nich swego nazwiska.

O! gdyby to pióro mogło zdążyć za myślą w jej promienistym polocie! Lecz ileż to razy pióro zagrzęzło w atramencie, traci z oka myśl twórczą! Przyjdzie pora, że dzienniki będą wielkie jak moje okno, a wszyscy dziennikarze nauczą się stenografować, ale już nie będą umieli pisać.

Co do mnie, gdy tylko dwie rzeczy robię razem, uznaję się za najleniwszego człowieka na świecie. Gdy piszę, naprzykład, poruczam losowi, albo jeśli chcecie, natchnieniu, staranie prowadzenia mego pióra i oddaję się całkowicie rozkosznemu marzeniu i niepokojom domowego pożycia. Jednem słowem, myślę o wszystkim— tylko nie o moim stylu; który wszakże nie na tem nie traci: jestem podobnym do muzyka znajdującego pod smyczkiem piosnkę, gdy dusza jego unosi się w przeszłości lub przyszłości, zakochana w znanem i nieznanem. Styl to muzyka: wznosi się i spada tonami, smutny lub wesoły, ciemny lub promienisty, poruszający lub żartobliwy, łagodny lub przejmujący, spokojny lub hałaśliwy;

jest to podróżny znający wszystkie drogi i ścieżki zwiedzanego przez się kraju; idzie tam i nazad nie myśląc o tém, podług swojego widzimisię, lecz z całym roztargnieniem podróżnika, któremu więcej chodzi o samo podróżowanie niż o przybycie do celu podróży.

Ciekawą byłoby rzeczą stawić zawsze obok siebie, to co autor pisze i to czego nie pisze! Dam tego przykład. Proszono mię o artykuł o malarstwie francuzkiem; zacznę:

#### Co autor pisze.

Szkoła malarska francuzka jest dziś pierwszą na świecie. Otrząśliśmy się ze starych więzów, postąpiliśmy na przód ze wspomnieniem przeszłości, lecz uniesieni poezją tego, co jest nieprzewidzianem. Wszystkie szkoły, w których kwitł gienjusz ludzki, znajdujemy obecnie we Francji ożywione nowoczesnym poczuciem piękna. Jesteśmy z kolei i Florenczykami i Niencami i Rzymianami, Flamaudczykami, Wenecjanami, Hiszpanami i Holendrami, ale z cechą narodową.— Zaprzeczano czasami istnieniu szkoły francuzkiej; szkoła francuzka istniała zawsze, zawsze

#### To czego autor nie pisze.

Smutno! smutno! Poeta miał słusność, mówiąc: wszystko smutne, a życie jest trudną księgą do napisania. Poszukajmy nieco miłości, jeżeli w niem ona jeszcze istnieje,— O! gdyby ona nie miała nosa, jak u Roxolany!— Żeby mi przynajmniej Diaz przysłał jutro swoje *Baigneuses d'Arctuse*, które już od roku ma ciągle mi przysłać jutro.— Paleta jego pokryta perłami błyszczącymi w słońcu— albo raczej macza on swój pędzel w tęczy.— Zapomniałem, że wieczorem idę do Opery. Poczóż idę do Opery?— z kim?— Tak, przypominam sobie, idę, aby się z nią



miała swój charakter, czy to w pomysłach, czy w kolorystyce, w stylu lub uczuciu. Od epoki gotycyzmu zawsześmy mieli malarzy. Jan Cousin bardziej był przedstawicielem podań francuzkich, niż ślepym naśladowcą szkół Florenckiej i Rzymskiej. Prawda, że jego Zdjęcia z Krzyża, jego Sądy Ostateczne przypominają Perudżina miękkością i światłością kolorytu, nieporównaną łagodnością wyrazu; lecz gdzież czerpał smak dobry owych krajobrazów tak poetycznych w swej sielskiej prostocie? O! zapewne Włochy go nie nauczyły tak głębokiego poczucia piękna natury. Jan Cousin, malarz epoki odrodzenia, był głównym spadkobiercą sztuki gotyckiej we Francji, pobożnie odziedziczył naukę, śmiałość, charakter swoich poprzedników.

Możnaż powiedzieć, że szkoła francuzka nie istniała, gdy Mikołaj Poussin, ów poważny i głęboki umysł, ów marzyciel zabłąkany z *Pasterzami Arkadji* i ponurym a samotnym *Potopem*, ten myśliciel stworzony dla nauki, przynosił arcydzieła w skutek swego

nie spotkać.— A! otoż znówu niebo się zachmurza; ha! niebna rzecz, trzeba będzie spotykać na drodze tylko same parasole.

---

Słońce przedziera chmury, nie będzie deszczu. Ludzie niemający zajęcia pójdą patrzeć na wypuszczanie balonu. Obaczę go lecącego i przez moje okno. Otoż wreszcie dogodna sposobność dla kobiet, które chcą być porwanemi. Balon jest obrazem marzeń; puszcza się w błękit przy dobrym wietrze, lecz jego ludzkie skrzydła nie długo utrzymują go na obłokach. Spada na ziemię, uznając, że niebo jest tylko królestwem samego Boga. To zasługuje, aby było gdziekolwiek wyrezonowanym i umieszczonem.

Ale zapomniałem napisać do Roxany. Maiejsza oto! powiem jej żem pisał, a ona temu nie uwierzy. A zresztą coż jej powiem takiego, czegoby ona nie wiedziała? Przytęm kobiety wszystkie jednostajne, trze-

ścisłego obcowania ze starożytnymi mistrzami; gdy Eustachy Lesueur, owy Rafael francuzki, malował jak poeta w czasie, w którym Poussin malował, jako filozof; gdy Mojżesz Valentin, marnotrawne dziecię sztuki wykazywał w swych obrazach cały młodzieńczy zapal; gdy Kludjusz Lorrain tworzył w tak czarodziej-ski sposób swe rokoszne raje ziemskie, po których sam Bog lubiłby się przechadzać?

Z Kludjuszem Lorrain zaginęła wielka tradycja: nadużycie zasady akademickiej wywołało reformatora Watteau, człowieka gienjalnego, który jednak nie bardzo wierzył w siebie, pojmując dobrze, że nie w akademjach, lecz w studjach dzieł wielkich malarzy i dzieła bożego, artyści utalentowani czerpią ducha, jako w żywym źródle. Lebrun spowodował upadek, Watteau rzucił jarzmo; Lebrun ubrał sztukę francuzką w perukę Ludwika XIV., Watteau wprowadził na nowo uśmiech i swobodę do swych uczt wesołych. Malarstwo francuzkie zawsze dotąd poważne i umiarkowane, zosta-

ba im przeto pisać zawsze to samo....

---

Wszystkie kobiety jednostajne, szczególnie we względzie pisania. Pokażcie mi choć jeden list miłosny, w którymby nie było tych słów: *O! czuję, że nie kocham nikogo oprócz ciebie!*— Od jak dawna pani? Często byśmy zgadli mówiąc im:— Od wczoraj.

---

— Arturze (przepraszam cię panie, który masz imię Artur, gdyż Artur to mój *groom*). Arturze, przynieś mi szklankę wody!

— Ależ,— panie, nie mogę razem robić dwóch rzeczy; czyszcę pańskie bity.

— Jak to, dudku nie możesz robić razem dwóch rzeczy, a domagałeś się prawa do pracy; ja, który chcę prawa do hultajenia, ja zawsze robię razem dwie rzeczy!

— Oto jest panie, jest szklanka wody.

— Podaj mi trzewiki?

jące pod wpływem rozumu lub uczucia. nigdy się nie gubiące w upojeniach palety; dało się olsnić Watteau. Malarstwo zawsze wiodło z sobą porcję, pożyczano od niej wymowy, pojęcia, marzenia: za czasów Watteau malarstwo bardziej niż kiedykolwiek dumne ze swej bogatej palety rozminęło się myślą, sądząc, że będzie mogło nadal iść samo po zdobycie genjuszu i sławy.

Był to cały perjód malarzy zakochanych w kolorycie, pogardzających wysokim stylem i pięknym rodzajem. Powitano liczną i silną rodzinę Vanloo, rozsiewającą marnotrawną dłońią swe siły; ujrzano Lemoin'a, stworzonego na wielkiego malarza; kłaniano się przed Boucher, który zagłuszył swój genjusz rozpustą swęj palety; Boucher, dziecię Rubensa, który zawsze był dzieckiem; La Tour, malarz uczony, kochający naturę, który miał nieszczęście patrzeć tylko na naturę kłamliwą; Greuze, malarz to przyjemny to deklamator, starający się napróżno spojzić złoty uczucia łańcuch zerwany na grobie Lesueur'a.

— Muszę pójść kupić szuwaksu.

— Co? urwisie! a ten coś kupił pozawczoraj?

— Poczysciłem nim wszystkie pańskie trzewiki.

— Począwszy od swoich.

— Pan bardzo łaskaw.

— Potrzeba, aby ten urwis należał do każdej butelki.

— Jest to stare przyzwyczajenie.

— Jak to, stare przyzwyczajenie, nie masz więcej lat siedmnastu!

— Pan wie dobrze, że my przywykamy do tego przy piersiach naszych mamek.

— Nie słyszysz, że dzwonią? pójdz-no i otwórz!

— Nie, panie, nie dzwoniiono.

— Jeśli się jeszcze odezwiesz.... I któż to tak rano do mnie przychodzi? Choćby to był sam cesarz Chiński nie przerwę mojej pracy. Arturze, powiesz, że mnie nie ma w domu.— Ta woda doskonała. Pojmuję dobrze wyrażenie pani de Longueville: «Ach! czemuż to nie jest grzechem pić wo-

Watteau zrobił rewolucję w sztuce dla uwolnienia jej od akademickich podań Lebrun'a: David, który się uczył w pracowni Boucher zrobił, że tak powiem kontrrewolucję, dla skierowania na nowo sztuki ku szlachetniejszej idei, ku szlachetniejszemu uczuciu, ku wznioślejszemu powołaniu; lecz wystrzegając się popędu nadanego przez Lebrun'a; udał się wprost do sztuki starożytnej, szukając w niej nauczycieli i wzorów. Na nieszczeście dla niego samego i dla sztuki francuzkiej, David stworzony był raczej na rzeźbiarza niż na malarza; mniej studjował styl płasko rzeźb starożytnych od posągów: i dla tego bardziej jest uroczyście niż malowniczym; robił grupy, a nie robił obrazów. W samą rzecz, nie brak mu nigdy poży, osobnego ruchu, ścisłości linii; lecz nie ma on nigdy ani kompozycji, ani kolorytu; przygniata życie nauką; czy to tworząc Greków, czy Francuzów, zawsze masą posągów zapelnia swe obrazy: jego Francuzi z 1792 i 1814 roku są to rzymskie marmury.

de?" Słyszę hałas w przedpokoju; to Gérard de Nerval chce wejść i słusznie. Otoż ukazuje się i Artur rozłożony.

— Pan Gerard de Nerval utrzymuje żeś pan w domu!

— Wiedziałem dobrze, rzekł Gerard wchodząc wesoło.

— Gdy więc pan sam nie powiesz, że go nie ma w domu, to mi nigdy nie uwierzą.

— Byłaby to wielka strata dla godności przedpokoju! Przynies nam cygara i odejdz sobie.

— Mój kochany Gerardzie mnie całkiem nie ma w domu, podróżuję po historii sztuki, lecz tyś jest dobrym towarzyszem podróży; zresztą to mi nie przeszkadza słuchać cię i odpowiadać. Zkąd przybywasz?

— Z Konstantynopola.

— Dokąd jedziesz?

— Do Harlemu.

W czasie gdy David za pomocą nauki zdobył sobie rodzaj starożytny, Prudhon, ten drugi Rafael francuzki, doszedł do tego samego przeżyciem. Z jakim, że to u rokiem, przejęty nowoczesnym uczuciem, wywoływał do bytu wszystkie te pogańskie obrazy dążące w ślad za Amorkami i Gracjami! Boucher robił ładne Amorki, lecz któż robił kiedykolwiek słicniejsze od Prudhon'a? A jakże on odmłodził swoje Gracje! jakże one obudzają u nas poczucie piękna! co za nieporównany konturn! jaki pędzel surowy i namiętny zarazem! Prudhon był poganinem całą duszą.

—Czyż seraj tulipanowy wart owego drugiego seraju?

— Nie przypominasz-że naszej podróży do Harlemu?

—Owszem, lecz przybyliśmy tam za późno. Nie było już inszych tulipanów oprócz malowanych.

—A słiczna Helena? Miłości, tyś zgubiła Troję!

—A! przypominam ją sobie! żywy tulipan, godzien i bardzo tulipanów Van Huisum'a!

—Cóż-to takiego tak do rywczu piszesz?

—Sam nie wiem, alem już skończył, Nie myślisz-że tak jak ja, że: *Prudhon był poganinem całą duszą.*

Oto mniej więcej dwie drogi, któremi dziś rano dążyła dusza moja. Dla większej prawdy powinienem był tu i ówdzie oznaczyć boleści porodu pewnych zwrotów zle się wydających. Lecz czyż to nie jest oznaczonym wypoczynkami drugiej kolumny?

## XVIII.

## Historja malarza szyldów.

## I.

## Gienjusz w szynku.

**W**CZORAJ szedłem ulicą Cherche-Midi z jednym moim przyjacielem.— Widzisz, rzekł do mnie, ten mały szynczek?— Tak, ten szynczek, gdzie się zwieszają winne latorośle!— Są to latorośle malowane.

Nigdy, od początku istnienia malarzy, nie odano natury z większą prawdą i efektem. Liście zwróciłyby na siebie uwagę Ruysdael'a i Van Huysum'a; grona złote z jednej strony, z drugiej czarne obciążały jakby obie latorośle; światła i cienie zgadzały się tam przewybornie; kilka kropel rosy błyszczało na słońcu; kilka pajęczyn ruszało się w cieniu. Dla większego omamienia górne winne grona były pokłóte przez osy, dolne do połowy oszczypane, a to tak naturalnie, że mnie brała chęć zerwania jednego kaliwa.

Weszliśmy do szynku, aby się zapytać o nazwisko malarza. Przechodząc przez stancję spo-

strzegłem najprzód tylko chmurę dymu i posłyszałem hałas zmieszanych, pijanych głosów. Powoli ujrzałem uwydatniające się, rozpromienione twarze siedmiu czy ósmiu pijaków spór wiodących o interesach państwa, niektórych z powagą, drugich z ogniem. Jedna twarz szczególnie mię zastanowiła swą bladością i pięknnością rysów; promień rozumu oświecał jeszcze czoło; przygasłe oczy rzucały tu i ówdzie smutne i pogardliwe wejrzenia. Lecz twarz ta była porwana namiętnościami hańbiącemi; pięczęć rozpusty była wyciśnięta na czole; rozczochrane i zapeckane włosy wskazywały, że malarz, jak on to i sam powiadał, czesał się tylko pędzelkiem; wąsy były zmoczone winem, a przedwczesne zmarszczki pokrywały czoło i policzki; jeden Rembrandt mógłby oddać tę fizjonomiję karczemną. Ubiór był zupełnie do niej odpowiedni: stara opończa, niewiadomego koloru koszula i jakieś zagadkowe trzewiki.

Poznałem w nim mego malarza szyldów.

Był on najbardziej pijanym z całej kompanji; odzywał się niekiedy półsłówkiem, wodząc dookoła obłąkanym wzrokiem. Napróżno szynkar-ka przychodziła oznajmując mu, że jest szyld kupiecki do malowania; za całą odpowiedź nalewał sobie szklankę. Opowiedziano nam w kil-

ku słowach, że przybył z Ruen nie wymieniając swego nazwiska ani pochodzenia, że dzięki szynkarce długi czas tu bawił, że wreszcie był ciągle pijany. Na nasze przybycie goście szynkowi starali się go ocucić i zachęcić do mówienia. Przypominam sobie jedną z jego odpowiedzi: pytano go o jego zdanie o wolności. Dał z początku znak, że go nudzą; lecz wkrótce litując się nad zdaniem swych koleżków pijaków, rzedł do nich powoli, wspierając się na łokciu. »Tutaj jest wolność.» I ukazał palcem napełnioną szklankę. Potem wyjąwszy z kieszeni dwódmieszto-groszową monetę, dodał: »Oto jeszcze wolność. Lecz wolność, ciągnął z uśmiechem, zdawkowa.» Po tych słowach, wrócił znowu do stanu nieprzytomności i miledzał.

Wkrótce wszakże powstał zwolna; podszedł do komina zataczając się nieco, a wzięwszy kawał węgla, zbliżył się do ścian; chwilę stał nieruchomie jak posąg, w końcu, jakby na pamięć odrysował pierwszą linię. O! O! rzekł jeden z pijących, tak już dobrze podchmielony, iż mu się zdaje, że szyld maluje.»

Malarz szyldów nie słyszał tego, wyglądał jakby był sam jeden w stacji. Przypatrywałem mu się z ciekawością. Wkrótce się ożywił; włosy w tył odrzucił jak człowiek odurzony



promienną myślą; jego twarz zużyta wyszlachetniała na chwilę. W kilka minut ukończył rysunek. Chciał w nim przedstawić Magdalenę u stóp Chrystusa Pana. Nie powiem, aby jego Chrystus i jego Magdalena były narysowane ręką mistrza; jednak malarz szyldów zdołał nieposłusznym węglem naszkicować figury z większym wyrazem niż niektórzy malarze posługujący się farbami i kolorytem. Zrobiwszy ostatni rys, odstąpił w tył, popatrzał na swój utwór przymrózając oko i usiadł znów za stołem. »Co tam, co tam, rzekł ponuro, trzeba utopić te myśli.»

Podszedłem do niego.

— Koleżko, czy nie stukniesz się ze mną? przemówiłem, biorąc go za rękę.

— Dobrze, odrzekł, ściskając dłoń moją, boś uczciwy człowiek, a ja jestem uczciwy pijak. Nie piję z pierwszym lepszym.

Poprosiłem go, aby przyszedł do mnie naza jutrz. Za chwilę był na moim balkonie.

— Dla czego jesteś malarzem pod gołym niebem, masz naukę i natchnienie?

— Dla czego? rzekł pochylając głowę pod ciężarem smutnych wspomnień. Dla czego?

A po chwili mileżenia dodał:

— Nie bądź tak okrutnym i nie zmuszaj mię do

patrzenia przed siebie lub po za siebie. Żyję z dnia na dzień, przeszłość we łzach zotopiwszy, a widząc przed sobą najokropniejszą przyszłość. Pozwól mi żyć w zapomnieniu o sobie samym i o wszystkich—żyć pijanym—gdyż to jest całym moim ratunkiem.

Nie śmiałem więcej go zapytywać. Chodziliśmy do koła pokoju, oglądając obrazy. Wydawał sąd o nich jednem wydatnem słowem, choć w nieco nieprzyzwoitym stylu. Nagle ukląkł na fotelu na widok jednego obrazu Prudhon'a:—I ja też byłem malarzem! zawołał prawie z rozpaczą:

I opowiedział mi swe życie.

## II.

### O niebezpieczeństwie malowania Magdaleny na puszczy.

Aż do 1837 roku życie jego da się opowiedzieć w kilku wierszach. Ojciec jego rodem z Lotaryngji, sam malarz, peizażysta szkoły Lutherburgskiej, zostawił go w kolebce pod opieką osieroconej matki, która całą duszą przywiązała się do swojego dziecka. Nie mając kogo więcej kochać, kochała go aż do ubóstwiania. Opisywać wam wszystkie czułości tej biednej matki byłoby za długo. Zaczynała już mieć nadzieję

nowego szczęścia, lecz niebo dozwolewszy jej uśmiechnąć się tylko, dotknęło ją powtórnie. Umarła w Listopadzie 1836 roku, zostawując Fryderyka samego na świecie. Cóż miał teraz poznać, będąc pozbawionym uśmiechu matczynego? O mało co nie upadł na duchu; lecz młodość w nieszczęściu ma tyle ukrytych sposobów, tak prędko i tak wesoło powstaje na własnych ruinach! Fryderyk opłakiwał zgon matki, jej ukochany obraz zachował w przybytku swojego serca, i całe tygodnie przepędzał na wspomnieniach o tej biednej kobiecie, którą tak smutny los spotkał. Po matce został mu fundusik, parę tysięcy liwrów dochodu, dość ładny mebl, kilka obrazów i nieco gotowego grosza. Miał z czego żyć, przebywając wstęp do życia i rozwinięcia talentu. Fryderyk postanowił mieszkać samotnie: najął pracownię na ulicy Notre-Dame-des-Champs, w pięknym miejscu i dobrze oświeconą; wziął się poważnie do pracy, przycisnąwszy wprzód do serca stary pędzel swojego ojca. Zaczął od obrazu wystawiającego *Najświętszą Pannę pod Krzyżem*. Chociaż już zapomniał nieco swą matkę, wszakże jej czułe i słodkie oblicze samo się ożywiło na płótnie. Raz już znowu tę twarz znalazłszy, Fryderyk uczuł że nie jest zupełnie samotnym na świecie, że z woli niebios jego matka przyszła

czuwać nad nim i wzbudzać w nim nadzieję. Ła-  
two pojmiecie, że nie myślał wcale rozstać się z tym  
obrazem; pieścił go całą siłą przywiązania i ta-  
lentu, zawiesił nad swém samotnym i skromnym  
łożem, i pomimo nalegań przyjaciela nie dozwolił  
go wynieść z domu. Dotąd wszystko szło dobrze:  
praca była jego ucieczką i życiem, nadzieją i we-  
selem. Wstawał rano, jak ptaszę polne, jak pra-  
cowity robotnik, śniadał w pracowni, rozrywa-  
jąc się najczęściej czytaniem rzeczy bardziej pło-  
chych niż poważnych. Wieczorem jadł obiad,  
lub coś podobnego, w towarzystwie kilku studen-  
tów; po obiedzie przechadzał się po Pazyżu i to  
dla nauki jeszcze, bo szukał wszędzie oczyma  
szlachetnych i pięknych głów, zasługujących na  
miejsce w jego galerji. Gdy pędzel był mu nie-  
posłusznym, szedł do Luwru zachwycać się ja-  
kim wspaniałym obrazem Rubensa, swego pra-  
wdziwego mistrza.

W 1837 roku, w miesiącu kwietniu, podczas  
świeżego poranku, Fryderyk malował *Magdalene  
na puszczy*. W chwili gdy on maluje, nakreślmy  
sami jego portret: twarz dwudziestoletnia, profil  
regularny, ciemne włosy, błękitne marzące oczy,  
usta skromne, choć już otoczone delikatnymi wą-  
sami, policzki zlekka rumiane, które wszakże  
prędka zblednieją, kibić wysmukła, noga mała,

ręka kobieca,— oto Fryderyk. Gdybym musiał odmalować jego umysł, nie zaniedbałbym przystroić go we wszystkie zbroczenia naszych czasów.

Miał on tego dnia za model do Magdaleny, młodą jasnowłosą dziewczynę, której wyraz twarzy wskazywał, że wiele jej może być darowanem, lecz że jeszcze nie zaczęła pokutować. Jej błyszczące oczy, wznosząc się nawet do nieba, świeciły ogniem namiętności i wyrażały żal uciech ziemskich. Jednym słowem, była to Magdalena jawno grzesznica ale nie Magdalena pokutująca.

Fryderyk położył paletę, aby się z różnych stron przypatrzył swej robocie, lecz pochyliwszy głowę ze smutkiem, rzekł, biorąc za kapelusz: »To nie Magdalena na puszczy.— Dokąd idziesz? zapytał go model.— Posiedzenie skończone; zapleć znów swe włosy, idę szukać inszej Magdaleny.« Wyrzekłszy to wyszedł poważnie. Przeszedł przez Luxemburg i posunął się ulicą Tournon. Gdy wymijał stary i zrujnowany dom sławnej wróżki panny Lenormand, zastanowił się z podziwienia na widok pięknej kobiety wysiadającej z dorożki w przesadnym ubraniu. Widząc tylko jej twarz, zawołał: »Oto moja Magdalena!« I nie wiedząc dobrze co czyni, poszedł za nią na wschody prorokini. Ochłonawszy nieco z zapалу, chciał u

dołu wschodów cofnąć się nazad, lecz owa kobieta nie wiem już po co odwróciła się w tej chwili, nie mógł więc wytrzymać, aby jeszcze trochę nie popatrzeć. Wszedł za damą i usiadł naprzeciw niej w salonie dla oczekujących. Podczas gdy ona z niespokojną ciekawością przypatrywała się fantastycznemu umeblowaniu starej sybilli, Fryderyk wzrokiem malarza śledził wszystkie rysy, i grę kolorów tej pięknej twarzy zniszczonej nieco bezsennością, namiętnościami i smutkiem. Nieznajomą zniecierpliwilo wreszcie uporeczywe wpatrywanie się Fryderyka, odwróciła głowę; lecz on pod pozorem przypatrzenia się jakiemuś krajobrazowi, powstał ze swojego miejsca i usiadł tuż koło niej. Zapytała go wówczas bez ceremonji, co to jest takiego. Fryderyk odrzekł z ukłonem: »Mimowolnie wszedłem za panią.— Co pan chcesz powiedzieć?«

Í dama obejrzała go od stóp do głowy, dla przekonania się z kim miała do czynienia. »Chcę powiedzieć pani, że jej twarz mię zastanowiła; jestem malarzem, szukam wszędzie głowy świętej... nie obrażaj się pani, świętej Maryi-Magdaleny, którą chcę malować... Jeżeli chcesz abym zrobił arcy-dzieło, to przyjdź tylko do mojej pracowni.— Zrobisz-że mi mój portret?— Dwa-

dzieścia razy! nie ustane w odtwarzaniu tego arcydzieła przyrody.«

Rozmawiając z Fryderykiem, dama swym wzrokiem ostrowidza wniknęła w głąb jego duszy, a znalazłszy tam coś szlachetnego i wielkiego, co ją ujęło, nie mogła ustrzedz się od pewnego ku niemu pociągu. »Posłuchaj, rzekła doń z piękną grą rysów twarzy, zapytam wróżki czy mogę bezpiecznie pójść do tej pracowni.

W tej chwili, wysoka, nieco przekwitła dama, wyszła ze swego tajemniczego gabinetu; wróżka ukazała się na progu i dała znak do wejścia nowo-przybyłej. Fryderyk tak był zachwycony tą przygodą, że nie zważał na starą sybillę. Drzwi się zamknęły; pozostał sam bardzo wzruszony, tu i ówdzie rzucając wzrok roz-targniony na obrazy i sztychy, po których przechadzały się pająki snując pajęczynę.

Po kwadransie wyszła młoda dama. »I cóż?« zapytał ją Fryderyk błagającym głosem.

Wzięła go bez ceremonji pod rękę. »I cóż! odrzekła z wymuszonym uśmiechem, chodźmy do twej pracowni.«

Dama tego dnia miała na imię Lidja. Jej historja znajoma, gdyż damy tego rodzaju wszystkie mają jednakową. Za czasów mitologicznych poetów, przezwanoby ją Syreną, za romantycznych

Lwicą, lub Panterą; imię tu nie nie znaczy. Mie-  
szkała ona na ulicy Notre-Dame-des-Lorettes; nie  
źle występowała w chorach w Operze, lecz bez  
porównania lepiej grała swą rolę na teatrze świa-  
ta. Najbardziej pracowała nad nauczaniem się  
kalendarza aby pamiętać tysiące imion, które  
przybierała, tysiące imion swoich kochanków i  
tysiąc wyznaczonych przez nią schadzek. Zna-  
cie jej pochodzenie i jej przyszłość. Nie widać jak  
one przychodzą, jak odchodzą; zjawiają się i nikną  
nie uprzedzając nikogo. Znam kończące karierę  
na dewocji; były one podobne do wiosłarzy, przy-  
bijających do brzegu, będąc doń tyłem odwróco-  
nemi. Twarz jej ukształtowała miłość, upiększył  
djabeł. Chociaż żyła w grzechu, z grzechem, i  
przez grzech, pozostało w jej rysach coś szla-  
chetnego i wzniosłego, co oczarowało Fryderyka.  
Bez wątpienia, bardziej niż inna jej pokrewna,  
mogła ona natchnąć malarza do wymalowania  
Magdaleny pokutującej.

Fryderyk i Lidja poszli prosto do pracowni,  
on uszczęśliwiony tak pięknem odkryciem, ona  
z ciekawością ujrzenia czy młody malarz posiadał  
coś więcej oprócz pędzłów i palety. W przecią-  
gu pół godziny policzyła już na palcach wszyst-  
kie dochody Fryderyka, gdyż będąc łatwowiernym  
jak młodość, opowiedział jej wszystko. „Wy-



bornie, rzekła, ten zaspokoi moje wydatki przez cały kwartał.«

I używając wszystkich swych sztuk, przyjęła pozę Magdaleny pokutującej. »Czy trzeba abym płakała? zapytała Fryderyka.— Jaktó! zawołał zachwycony, tak daleko posunęłabyś miłość sztuki?— Czyż sądzisz, iż ja nie znam łez Magdaleny?« Lidja wzięła do rąk krzyż z kości słoniowej i oczy podniosła w górę. Fryderyk wziął się do roboty. Odwracając się do Lidji, z zadziwieniem ujrzał dwie łzy w jej błękitnych oczach. »O! pani, rzekł z zapałem, te łzy nie będą stracone.«

Przemaalował oczy Magdaleny i zawiesił na nich łzy Lidji. Lecz nagle, rzuciwszy pędzel, upadł do nóg komedjantce.

Nazajutrz pracownia była zamknięta; trzeciego dnia Fryderyk przyszedł do niej na chwilę, lecz zaledwie popatrzał na Magdalenę. Przy wejściu do sypialni, bardziej niż kiedy zastanowił go czuły i niespokojny wyraz twarzy na portrecie matki. »Prawda, rzekł przejęty dziwnem wzruszeniem, nie byłem tu ani tej, ani przeszłej nocy.« Lecz djabeł nie dał mu czasu do zastanowienia się: zamknął drzwi, i nie widział nic oprócz pociągającego obrazu Lidji.

## III.

## Szalone Miłostki.

Mamże wam opowiadać dosłownie całą historję miłostek, zalotności Lidji i wszystkich słabości Fryderyka? Mamże wejść do tego labiryntu bez poetycznych widzeń, po którym bardziej niż kiedy, błąka się dziś świetna młodzież naszych czasow, do tego labiryntu bezdusznych namiętności, rozczarowania i rozpaczy? Mamże wam pokazać przy bladem świetle prawdy, szereg tych pięknych awanturnic, niszczących tyle serc szlachetnych, zużywających tyle szlachetnych umysłów?! Nie narzekajcie zbyt mocno na moralizowanie; nie raz byłem świadkiem boleśnego widoku, ginącej na wieki, świetnej przyszłości w tej bezdennej przepaści. Lidja pełną ręką czerpała w kiesce i w sercu Fryderyka; w krótkim czasie roztrwośniła jego dochody i jego zachcenia. Za późno odkrył, iż był zdobyczą szatana, lub, co lepiej, nierządnicę. Chciał się wycofać; lecz czyż znajdzie swój zapas do pracy, swe rozkoszne złudzenia, swój mały fundusik, owoc ojcowskich starań? Już było po nim; dym rokoszy, zakrył wkrótce przed nim dym sławy. »Jedno warte drugiego« powtarzała mu Lidja. Coraz bardziej zabląkany w atmosferę szału, patrzył już na wszyst-

ko przez pryzmat upojenia; długa noc rozpostarła się po nad jego duszą.

Co tydzień sprzedawał procentowy kupon, wyobrażając sobie przez lekkomyślność lub przez zniechęcenie, że człowiek z talentem nie może się nigdy zubożyć. Z początku prowadził jeszcze rachunek, pamiętając na oszczędność matki; lecz w końcu zaniedbał rachować się. Lidja знаła lepiej niż on sam stan jego małego funduszu. Dała mu wkrótce tego dowód, kłócąc się z nim bez widocznego powodu. Przygotowała scenę zazdrości. Ze zaś już on jej nie kochał od dawna, pokłócił się bardzo chętnie. Było to dla niego nader szczęśliwie; odzyskiwał swobodę. Powrócił do siebie weselszym niż zazwyczaj. »Dziwna rzecz, mówił spoglądając znowu z nieznaną przyjemnością na swą paletę; dziwna rzecz, że Lidji przyszła myśl zerwania ze mną; co mi brakuje? Jestem piękny, mam powierchowność wielkiego pana, mam dowcipu więcej niż trzeba, jestem hojny jak dziecko znakomitej rodziny, można o mnie powiedzieć, że umiem dobrze wyrzucać pieniądze za okno«... Przy tych ostatnich słowach Fryderyk zbladł i pochylił głowę. »Obaczmy!« rzekł. Przejrzał swe papiery i stan swego funduszu, Lidja dobrze policzyła: zostało Fryderykowi tylko tysiąc franków. »Rozumiem, rzekł

z gniewem, rozumiem dla czego pokłóciła się ze mną!»

Powrócił do pracowni z postanowieniem ukończenia rozpoczętej roboty, zgromadzenia z zapalem rozrzuconych szmatów swojego talentu. Dwa dni pracował bez wytchnięcia; lecz już było zapóźno do powrócenia na piękną, kwiecistą drogę, którą opuścił nie obejrzawszy się nawet; ogarnęło go lenistwo; wyznanie sztuki wygasło w jego duszy; pragnienie sławy ustąpiło już z jego ust przekwitłych. Zapał jego był tylko chwilowy. Na trzeci dzień poszedł do swoich przyjaciół: po wieczery wziął nową kochankę, godną towarzyszkę Lidji, która prędko przemarnowała tysiąc franków pogardzonych przez Lidję, powtarzającą: »Rujnuj się sobie z inną!» Po Lidji mógł jeszcze podnieść przygnębione czoło; po Olimpji wszelka nadzieja była stracona. Wdał się we wszystkie dziwaactwa rozpusty serca, ze zwieszoną głową, bez wstydu i żalu puścił się drogą fatalną poczynającą się na balu Opery, a wiodącą do Clichy. »Straciłeś zaledwie pół funduszu, mówiła mu Olimpja w dniu, w którym ostatniego dukata wyrzucił w magazynie strojów, straciłeś zaledwie pół funduszu; możesz jeszcze robie długi. Przy twojej powierzchowności jest z czego przeżyć rok cały.» Bez przewo-

dnika i wędzidła Fryderyk dał się unieść wszystkim wiatrom na to burzliwe morze. »Mniejsza oto! mówił z płochością, nie boję się rozbitcia: czyż malarstwo nie będzie zawsze dla mnie środkiem wybawienia?»

Gdy się już dostatecznie zadłużył, Olimpja zerwała z nim, nie wiem już jakim sposobem. Fryderyk nie miał czasu zastanowić się dla zajrzenia w oblicze życia: błdził coraz więcej. Wkrótce skonfiskowano mu meble i sprzedano z licytacji; wkrótce na rogach wszystkich ulic był ściganym przez wierzycieli. Nie zostało mu nic z ruchomości pobłogosławionej przez matkę. Zostawiono mu tylko stalugę, paletę, pędzle, portret matki, nieszczęśliwą *Magdaleny* zawsze nieukończoną i kilka zaledwie podmalowanych płócien. Najął blisko Sainte-Geneviève drugą pracownię, albo raczej kącik na poddaszu zle oświetlony dwoma małemi okienkami. Miał nadzieję wyjść prędko z tego niebezpiecznego miejsca; dla pocieszenia się mówił sobie, że ubóstwo jest najlepszym towarzystwem dla genjuszu. Ta myśl nie była już prawdą względem niego, który postradał religję sztuki, zapal młodości i pryzmat złudzenia. Dawniej, ubóstwo, jak dla wszystkich szlachetnych umysłów poświęcających się na męczeństwo, miałoby dla niego

uśmiech zachęty, ale obecnie, ubóstwo musiało się mu okazać bez maski i przebrania, w całej śmiertelnej bladości, w łachmanach cuchnących mogiłą. Szukał więc ucieczki w pijaństwie; tworzył dla odurzenia się tysiączne paradoxa; lecz w nocy powracał do domu; przestępując smutny prog swego mieszkania, słyszał okropny głos domagający się zdania rachunku z użycia czasu; w ogołoconej ciupie ubóstwo zziębnięte i zgłodniałe stawało mu w oczach; w końcu matka zawsze się doń uśmiechała swym anielskim, słodkim, strasznym uśmiechem. Pewnej nocy czując się niegodnym tego uśmiechu, pochwycił portret, ucałował z płaczem i zawołał: »Nie! matko! nie, nie wiesz, jak bezbożną przebyłem drogę; nie, nie, nie śmiem więcej usypiać pod twojem okiem. Żegnaj cię!»

Przewrócił portret.

Na jego pochwałę, trzeba wyznać, że nie mógł znieść takiej sromoty: starał się mieć dochód z malarstwa, lecz stracił talent; ręka drżała, pędzel wprzód tak posłuszny, zbuntował się zupełnie; paleta, na której znajdował twórczość była już tylko smutnym chaosem; czoło jego napelnione wprzód tysiącami cudnych obrazów, było bezpłodnym pustkowiem. Chciał wszakże ukończyć swą Magdalenę; lecz pozbawiony wiary i

miłości, w kilku dotknięciach pędzla zepsuł dawniejszy święty wyraz twarzy. »Już po wszystkim, rzekł, rzucając pędzel, jestem tylko peckielem.» Ogarnęła go szalona złość, wywrócił stalugę, i podeptał płótno. »Tak, powtarzał, jestem tylko ciałem bez duszy, sercem bez uczuć: wszystko już dla mnie skończone.» Chciał umrzeć. »Lecz jak umrzeć? A przytem pocóż unikać walki w stanowczej chwili? Kraj potrzebuje żołnierzy, będę żołnierzem. Bóg mi dozwoli dobrze umrzeć. »To mówiąc stanął w oknie swego smutnego mieszkania. Naprzeciw budowano dom; ze dwunastu mularzy, w różnych miejscach na murze, pracowało z zapalem. Wszystkie te prostacze twarze były ożywione szczerą wesołością; jedni śpiewali, drudzy gawędzili jednocześnie, nie tracąc czasu. Węgielnica, cyrkiel, dłuto obracały się nieustannie w ich pracowitych rękach. Fryderyk aż do głębi serca był wzruszony tym obrazem pracy; pojął, że tam było życie, że praca stanowi połowę szczęścia, że chleb nabyty pracą jeden tylko jest przez Boga pobłogosławiony. »Nie zostanę żołnierzem, rzekł, będę malarzem szyldów; gdy niegodzien jestem być artystą, stanę się wyrobnikiem.» Wytrwał w tem postanowieniu; zebrał swe rupiecie i pędzle; portret matki powierzył opiece brokantera, który od

niego za dobrych czasów kupił kilka szkiców; naostatek opuścił Paryż, sam nie wiedząc, gdzie się uda i mając z sobą zaledwie dwanaście franków. Sądziecie może, że już ocalony, że znów się w nim obudzą szlachetne uczucia, że malarz szyldów może znów powoli odzyska swój artystyczny talent? Nie, Bóg nie ma łaskowości dla tych, co upośledzili Jego dzieło; On chce, aby ci, którzy rozrzucają kwiaty, zbierali tylko gorzkie owoce.

## IV.

## B a r w i n e k.

Wieczorem, w miesiącu października 1843 roku, z kijem w ręku przybył Fryderyk do Ru-en; udał się do pewnego malarza budynków, wskazanego sobie przez towarzysza podróży. Nieznalazłszy go w domu, zaszedł do szynku, mając nadzieję, przy swej obiecującej powierzchowności, dostania wiecezery i przytułku. Gospodyni domu, wdowa od niedawnego czasu, nie przyzwyczajona do ugaszczania ludzi tak przyzwoitych, przyjęła Fryderyka bardzo uprzejmie. Co widząc, powiedział jej poprostu, że był malarzem szyldów z Paryża." A więc, rzekła szynkarka, wymaluj nam po swojemu jaki szyldzik. Moja siostra jest akuszerką, czybyś nie



miał i dla niej zrobić jakiego obrazu? Ja sama, jeżelibyś śmiała pana o to prosić, poleciłabym mu wymalować mi kilka pięknych winogron na ścianie szynkowej.—Licz na mnie” odrzekł Fryderyk, nalewając sobie szklanekę.

Nazajutrz o godzinie siódmej malował w szynku na ścianie. Użalcie się nad nim: nie miał zupełnej odwagi; poświęcił się swemu rzemiosłu zaledwie po wypiciu kwarty jabłeczniku, którego wyziewy zakryły mu przeszłość, terazniejszość i przyszłość, szynkarka śledziła go wzrokiem, zachwycona talentem na w pół pjanego artysty.

Nie będziemy go badali dzień po dniu w tej fazie jego życia. Zamieszkał u szynkarki. Kobieta ta tak dobrze wszędzie i zawsze wychwalała swojego malarza szyldów, że otrzymał on tem rychlej mnóstwo obstalunków, iż sądzono, że Fryderyk nie dłużej zabawi w mieście. Pracował przez pół doby, nie zapominając podehmieć się nieco przed przystąpieniem do roboty. Z początku upił się przez wyrezonowanie, wkrótce upijał się z nałogu, czy to dla zagłuszenia smutku, jak powiada piosnka, czy też dla znalezienia marzeń, jak Hoffman. Stał się największym pijakiem w tym szynku; daremnie go przestrzegała szynkarka, sam jeden wypijał wię-

cój niż wszyscy sąsiedni przekupnie. Dobrze płacona szynkarka zaprzestała wreszcie moralizować; przytęm, jeśli wierzyć ulicznym plotkom, Fryderyk nabył już tu takiej wagi, że mógł jej nie słuchać; jeżeli ona była panią szynku, on był jego panem.

Fryderyk tak się wstawił w Ruen, że mały szyneczek był ciągle zwiedzany przez obcych ludzi. Biedny malarz szyldów spostrzegł wkrótce, że mu się przypatrywano; nie miał jeszcze dość cynizmu, aby znosić ciekawe wejrzenia. Powiedział, że wychodzi. Szynkarka dowiodła mu, że miał u niej sto pięciofrankówek. Udał się znów do Paryża. Jest to poczciwe, jedyne miasto, w którym ludzie nieszczęśliwi mogą żyć samotnie w ukryciu, jest schronieniem dla wszystkich dusz pragnących cierpieć w niewiadomości. Fryderyk bał się wszakże, aby go tam nie poznano; przybywszy, nie śmiał udać się ani w stronę Opery, ani w stronę Luxemburgu. Najął mieszkanie na Marais po nad szynkiem. Gdzie umieścić swe pieniądze? Zgadnicie, że u wszystkich kupców win w sąsiedztwie, prosząc ich, aby rozgłaszali pomiędzy swojemi jego sławę, jako malarza szyldów.

Praca nie zjawiała się, a za nadejściem zimy przyszła najokropniejsza nędza; tracąc reszt-

ki sił moralnych Fryderyk nie chciał już dłużej pasować się: postanowił umrzeć z głodu. Przedsiębiorca teatralny przybył w porę z obstalunkiem dekoracji do małego teatrzyku. Znów więc wziął się do pracy i do pijaństwa. Przedsiębiorca zadowolony z jego śmiałej i wprawnej roboty, nieźle mu zapłacił i starał się zachęcić obietnicą większych obstalunków. Człowiek ten za winnymi wyziewami rozpoznał talent Fryderyka: nie obchodząc się z nim wcale, jak z wyrobnikiem pracującym pod jego rozkazami, miał dla niego szacunek należny umysłowi dotkniętemu przez nieszczęście. Fryderyk zresztą wśród najszaleńszej uczty, zachowywał szczerą godność jakąś, która wszystkich dziwiła; chciał upaść najniżej, lecz nie chciał się dać zelżyć nikomu oprócz siebie samego. Pomimo najlepszej chęci przedsiębiorcy teatralnego, Fryderyk lubiący przedewszystkiem, nieczynność, szynk i swobodę, zerwał z nim wkrótce. Znów wrócił do dawnego stanu nędzy, i zhańbienia; dotąd spadł był bardzo nisko, teraz wstąpił na straszny gradus wiodący od rozpusty do zbrodni. Od czasu swego powrotu do Paryża słyszał codziennie tak dziwne zdania, że już zaczynał nierozróżniać dobrego od złego. Zdało się, że Bóg ulitował się nad tym

człowiekiem hańbiącym w sobie Jego dzieło. Bóg dopuścił, aby miłość, przyczyna jego upadku, była także jego wybawicielką.

Pewnego ranku wezwano Fryderyka do prze-malowania jakiegoś szyldu. Wehodząc na drabinę, pijany jak zazwyczaj, spostrzegł w jednem z okien antrsolu profil zachwycającej piękności. Wszedł nie zatrzymując się, lecz w przeciągu kwadransa ze dwadzieścia razy odwrócił głowę dla przypatrzenia się temu anielskiemu profilowi. Prędko się wytrzeźwił, i z nałogu poprawił swe ubranie będące w wielkim nieporządku. Dziewczę, której widział profil było ślicznem stworzeniem żyjącem w błogosławieństwie niebios, żywiącém swą pracą ślepą matkę i bardzo młode siostrzyczki; rytowała ona noty, kolorowała ryciny i na zakaz robiła obicia. Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata; a oddawna była już opatrzącością swej rodziny. Fryderyk, widząc ją pracującą z pobożnym i wesołym zapałem, pojął, iż wykonywała dobry uczynek. Rytowała wówczas noty. Nad jej ramieniem zschylała się świeża i miła twarzyczka siostry; dwie drugie, najmniejsze bawiły się u nóg; matka z oczyma obróconemi do światła, była jakby pogrążoną w rozmyślanie. Piękny ten obraz ożywiało kilka wazonów *koszyska* i

barwinku kwitnących w oknie. Fryderyk, który nigdy nie widział tak cichego, prostaczego, i spokojnego wnętrza domu, wzruszył się, westchnął i podniósł oczy do nieba.

Młoda wyrobница zaczęła śpiewać, a głos jej odbił się w sercu malarza sztyldów, jak czyste echo ośmnastego roku jego życia. Śpiewała raczej do nót niż dla śpiewania, lecz Fryderyk słuchając ją przerwał swą peckaninę. Skończył na tem, że zszedł z drabiny, aż do łez wzruszony i zadziwiony biciem serca—serca, które od lat dziesięciu nigdy już prawie nie biło! Zbyt był przyzwyczajonym do szynku, aby i tym razem nie pójść do niego; usiadł w końcu i swobodnie pieścił się obrazem dziewczęcia. Szynkarz podał mu wino i fajkę. »Nie tego potrzebuję, rzekł z odrazą. Niech mi przyniosą papieru i ołówków.»

Szynkarz usłuchał. Tymczasem Fryderyk machinalnie napelniał sobie szklankę i zapalił fajkę. Lecz, gdy ujrzał to o co prosił, odrzucił na stronę fajkę i szklankę. Zaraz zaczął rysować; uśmiech miłości przebiegł po jego przekwitłych ustach, gdy zobaczył okazujący się na papierze anieski profil. »To dziwne, rzekł z goryczą, u niem jeszcze rysować.» Przedstawił dziewczę tak jak je widział, w oknie zapelnioném

kwiatami, pochylone nad kamieniem do litografowania nót; kilkoma rysami oznaczył akcesorja obrazu. Mniej niż w pół godziny zdołał uchwycić wyraz twarzy, tę rzewną słodycz, tak wesołą i spokojną, ten wdzięk naturalny, pełen prostoty, ów urok nieopisany wejrzenia, spowodowany spokojem serca.

»Dobrze zrobiono,» rzekł jeden z pijących pochylony nad Fryderykiem. Malarz wnet przewrócił swój rysunek.

»Co to do ciebie należy? rzekł do pijaka; ruszaj sobie pić.»

Dotknął zlekka portret różową farbą, rzucił tu i ówdzie lekkie cienie, słowem wykończył go; poczem wyszedł z szynku. Była już noc, sądził więc, że nie znajdzie w oknie młodej robotniczki; wrócił wszakże na ulicę Saint-Louis. Spostrzegł zdaleka Gabryelę pochyloną w oknie. Przeszedł mimo zaczerwieniony, nie śmiejąc podnieść głowy.

Nazajutrz bardzo rano był już na drabinie. Widział jak wschodzące słońce pozłacało okoliczne dachy; widział jak Gabryela przyszła do roboty, śpiewając niby ranna jaskółeczka. Jeszcze piękniejsza była niż wczoraj. Świeżutka biała perkalowa sukienka uwydatniała kształty jej kibici. Choć mało czasu miała dla sie-

bie, nie sądźcie wszakże, aby zaniedbywała swe piękne włosy. Co rana spędzała pół godziny na ich czesaniu i układaniu. Cała jej zalotność, zalotność dozwolona nawet przez Pana Boga, była w częstem zmienianiu sposobu zaplatania włosów. Tego dnia, porytowawszy bez wypoczynku prawie przez godzinę, podniosła oczy, i widząc swój barwinek wiecznie świeży, zawsze kwitnący jak jej dusza, przysłała z chińskim dzbaneczkiem do okna dla polania swych kwiatków. Z dziecinną radością policzyła mające rozkwitnąć pączki, przy odejściu zaś, wsunęła obie swe rączki pomiędzy wonne liście *koszyska*. Fryderyk widząc ją samotną, chciał koniecznie do niej przemówić; lecz jakże się na to ośmielić? co powiedzieć? poco zakłócać taką niewinność i otwartość? Może nigdy z tak bliska nie słyszała głosu mężczyzny? A on, Fryderyk był, że jeszcze człowiekiem? mężczyzną? Wszystkie te myśli przeszły mu przez głowę, zamroziły serce i ustom odjęły mowę.

Wreszcie, głosem przygłuszonym westchnieniem, rzekł do niej: »Pozwól mi pani ofiarować ten rysunek za jeden kwiatek barwinku, który zerwę na twojem oknie.«

Gabryela zląkła się i podniosła oczy; twarz Fryderyka nie bardzo wzbudzała ufność; wszakże

jej bladość i błagalny wyraz przemówiły za nim. »To malarz szyldów szepnęła do siebie.» Uznała za rzecz bardzo prostą dozwoić mu zerwać barwinek; poraz to pierwszy raczył ktoś zwrócić uwagę na jej ogród. Podczas, gdy się zastanawiała, Fryderyk rozwinął rysunek. »Mój Boże! rzekła zadziwiona widokiem swojego portretu jakby się znalazła nagle przed oddalonym lustrem. To dla mnie? dodała z dziecinną radością.— Tak, rzekł nieco ośmielony Fryderyk.— Ależ panie.... »Zaczerwieniła się i upuściła portret na kwiaty.» Nie lękaj się pani, ujrzałem cię, wydałaś się mi piękną; wiem, że dziewczęta lubią zwierciadła; lecz oto rysując twój portret, uczułem, iż me serce prędzej biło niż kreśliła ma ręka. Wybacz mi, nie wiem co mówię; pozwól mi zerwać jeden kwiatek twojego barwinku i wszystko będzie skończone.»

Gabryela była pomieszana do najwyższego stopnia; te dziwne wyrazy wypowiedziane przez źle odzianego i złej miny wyrobnika, obijały się o jej ucho jak słowa zupełnie obcej mowy; widziała dobrze; że ją Fryderyk kochał i ta miłość przejmowała jej serce okropną trwogą. Wkrótce jednak uspokoiła się w swjej niewinności. Sama dla Fryderyka zerwała kwiatek barwinku. »Masz pan, lecz nie chcę zatrzymywać



twojego rysunku.— O! żebyś wiedziała z jakim uszanowaniem i z jaką go miłością rysowałem? Nie obaczymy się już więcej; czemużbyśmy nie zachowali sobie pamiątek z tego świeżego poranku?

To mówiąc, Fryderyk wziął do ust barwinek. »A więc dobrze! rzekła Gabryela, odchodząc do pokoju; matce o wszystkiém powiem. Bądź zdrów!— Bądź zdrów!»

Fryderyk nie chciał kończyć przemalowywania szyldu: »Nie, nie, mówił oddalając się, nie jestem już malarzem szyldów!»

Poszedł odszukać pijaka, co wczora pochwalał jego rysunek i zaprojektował mu zrobić jego portret za dwie pięćiofrankówki. Przy takiej cenie znalazł mnóstwo amatorów. Tym sposobem przepędził kilka dni na pracy. Z powierzchowności Fryderyk prawie się nie odmienił; zawsze szynk był jego pracownią, tamto *pozowali* przychodnie między jedną a drugą butelką wina. Lecz choć się jeszcze upijał, rozumny spostrzegacz mógł już zauważać pierwsze oznaki metamorfozy. Fryderyk odzyskał zapał ludzi dążących do pewnego celu; od chwili do chwili twarz jego jaśniała wesołością; patrząc na jego czoło można było zga-

dnąć, iż myśl czynna znalazła w niem swe siedlisko.

Zrobiwszy ze dwadzieścia portretów, ubrał się z niejaką starannością. Gabryela pewnego wieczora spostrzegła go przechodzącego. Szlachetne dziewczę od miesiąca jak zerwało barwinek dla Fryderyka, często o nim myślało; nie widziała się z nim znowu, lecz nieraz przy robocie rozrywało ją przypomnienie tej bladej i zużytej twarzy. Litowała się nad Fryderykiem nie wiedząc czy się trzeba było nad nim litować. Nie kochała go, lecz nie mogła się obronić od popędów szlachetnego współczucia. Wieczorem, gdy przechodził pod jej oknem, posłała mu czuły uśmiech siostry. Fryderyk oddalił się z nowem życiem w duszy; pod ruinami promień słońca i powiew wiosenny ożywiły kilka garstek wonnej trawy, kilka rozkwitłych kwiatków.

Każdego wieczora, nie przyznając się do tego, Gabryela starała się odkryć Fryderyka pomiędzy przechodniami; lecz już on więcej nie przechodził.

Jednego ranka jakiś wyrobnik oddał jej następujący list, który głośno przed matką przeczytała.

»Drżąc piszę do ciebie Gabryelo; nie śmiałybym tego uczynić, gdyby śmierć będąca koło mnie,

nie dała mi męztwa i śmiałości. Czy pamiętasz malarza szyldów, który narysował twoją precudowną twarzyczkę z tak niespodziewanem szczęściem? Wybiła już dla biedaka ostatnia jego godzina, oto już kończy on swą smutną, bardzo smutną wędrówkę! Czy uwierzysz? tyś mię zbawiła! Byłem jak Danjel we lwiej jamie; lwami są nieczyste uczucia miotające sercem; byłem aniołem przysłanym od Boga. Nie jestem już w jamie, w której od lat dwunastu coraz więcej się zagłębiałem; ale, niestety! czuję jeszcze rany przez lwów zadane. Śmierć wszystko niszcząca, może też wszystko naprawić. »Dobrze umrzeć« mówili starożytni, dobrze umrzeć jest to dopełnić największy czyn w życiu. Chciałem żyć jeszcze, żyć ze wspomnieniem o tobie, jeżeli nie z tobą samą; lecz rany były śmiertelne. Chciałem się znów zająć pracą; pozostała mi tylko mała iskierka, lecz i ta zgasła w pierwszej chwili zapału. Jednak jakby mi było błogo mieć dość czasu i siły do wzniesienia się aż do ciebie, do podeptania zwyciężką stopą łachmanów mej duszy! Bóg mi nie dozwolił tego szczęścia! Niech się dzieje Jego święta wola! Nie myśląc wcale narzekać na niebo, owszem na klęczkach je błogosławię; błogosławię ci, któraś wybawiła me serce od złorzeczeń. Unoszę się szaloną exal-

tacją, nie jestem wszakże obłąkanym, lecz światło długi czas przedemną ukryte, oślepia mię. Wiesz-że jakie jest me ostatnie marzenie? słuchaj. Sądzę że przyjdiesz złożyć przy mem śmiertelnem łożu przebaczenie pełne łaski, spokoju i niewinności. Gdybyś przyszła, nie byłżebym już w niebie? Lecz nie przyjdiesz, będziesz się zbyt lękała; jednak byłby to dobry uczynek miły Bogu.

*»Fryderyk Leroy«.*

„Ulica Saint-Louis, dom winiarza„.

Gabryela dla zrozumienia nieco tego listu, przeczytała go powtórnie.

»Mamże pójść? zapytała matki znającej historję portretu i barwinku.— Jeżeli to ma być dobry uczynek, jeżeli ci serce iść każe, to idź moja córko«.

Gabryela poszła wnet ze swą młodszą siostrzycką. Znalazła Fryderyka nad szynkiem w małym, nędznie wyglądającym pokoiku.

»Jakto! przyszłaś? rzekł, ujrzawszy ją wchodzącą. Przerazona jego złowieszczą bladeścią nie odpowiedziała. »O! Gdybyś wiedziała, mówił dalej, jak me serce teraz szczęśliwe!« Fryderyk zaledwie nie skonał ze wzruszenia. »Ty nie umrzesz! rzekła nagle Gabryela; ty nie umrzesz!— Jestem skazany na śmierć, nie przez doktorów,

którzy się zawsze mylą, lecz przez Boga, który się nigdy nie myli. Zresztą dla czegoż żyć jeszcze?— Dla czego? powtórzyła, schylając głowę i mówiąc z cicha, bo ja cię Kocham».

Na te niespodziewane słowa, Fryderyk podniósł się na swych marach, uchwycił rękę Gabryeli i przycisnął do niej swe zlodowaciałe już usta. »Niestety! rzekł smutnie, choćbym mógł żyć, nie chciałbym twej miłości; bo nie byłbym nigdy jej godzien. Zachowaj twą miłość dla jakiegoś młodego, czystego i pełnego przywiązania serca, dla tego który cię przyozdobi swemi młodzieńcemi nadziejami. Wszakże gdybyś mię kochała, może bym znalazł jeszcze jaki promyczek mej zniszczonej młodości? Dusza podobna do nieba: obłoki mogą ją zaćmić, lecz nie mogą dosięgnąć; za nadejściem dni pięknych po ciemnej zimie, dusza ukazuje się w całej swej czystości. Wiedz Gabryelo (dozwól mym ustom tego słodkiego imienia) wiedz, że od czasu jak tu jesteś, czuję się młodym jako dawniej; zdaje mi się, że się przebudzam z okropnego snu, okropnej nocy.«

Fryderyk zmęczony tem radośnem wzruszeniem, upadł znów na poduszkę prawie omdlały; zaledwie miał dość siły otworzyć trochę oczy. W tej chwili jeden z jego przyjaciół pijaków, pełniący nieźle obowiązek kobiety pilnującej zwykle cho-

rych, wszedł z krzyżem w rękę. »Wyobraź sobie, rzekł pijak do dziewczęcia, wyobraź sobie, że się on chce spowiadać. Od kilku dni bardzo się zmienił. Znałem go za owych czasów, kiedy tylko konewkę wina chciałby mieć za spowiednika.— Wina! wina! zawołał Fryderyk w manji; niech mi przyniosą wina i szynkarę!— Gabryelo! Gabryelo!«

Dziewcze przelękło się i chciało wyjść; już jej siostrzyczka była na wschodach; lecz słysząc swe imię, Gabryela pozostała: »Jestem, rzekła.— Dobrześ zrobiła żeś przyszła, ciągnął Fryderyk; wszystko skończone, bądź zdrowa; umieram z twoim barwinkiem.« I zaczął śpiewać powolnym i żalnym głosem jakąś niewinną zwrotkę w której mówił, że jego dusza miała ulecieć z barwinkiem zerwanym przez Gabryelę. »Jak tylko zacznie bredzić, rzekł szynkowy koleżka Fryderyka, wnet śpiewa tę piosnkę. Tak dzielnemu pijakowi, śpiewać podobną litanję! A! gpybyś wiedziała jak on dobrze pił!«

Gabryela wyszła ocierając łzy. Powróciwszy do matki, na znak żałoby oberwała wszystkie nowo-rozkwitłe barwinki.

Fryderyk nie umarł; przeniesiono go do domu miłosierdzia, gdzie przebył całe lato i całą jesień. Gdy wrócił na świat, jak to sam powia-

dał, pobiegł do czarodziejskiego okna, pod którym po raz ostatni uczuł bicie serca. Okno tak ożywione na wiosnę hożemi twarzyczkami w posród kwiatów, teraz było puste i zamknięte. Dokąd się udała Gabryela? Od trzech lat wszędzie ją szuka pomiędzy żywemi i umarłemi.

»Jeżeli ją znajdę w życiu, rzekł do mnie z zapalem, znów stanę się malarzem; jeżeli jej nie znajdę pozostanę malarzem szyldów. Z nią mógłbym żyć w marzeniu, bez niej nie mogę żyć jak tylko w pochmielcu«.

---

## XIX.

### C z a s.

---

#### I.

**B**YLEM przed chwilą na moim balkonie nie mogąc otworzyć oczu na codzienny domowy romans, zajmujący mój umysł i serce. Nie widziałem ani moich sąsiadów ani sąsiadek. Nadaremnie starałbym się oderwać od *wczora*, *dziś* jeszcze dla mnie nie istnieje, chociaż już słońce wskazuje południe. Co dowodzi, że czas jest tylko *paradoxem*.

Czas ze skrzydłami! co za błahy wymysł poetów! Czas, to marzyciel idący na przód i wracający, raz na skrzydłach wiatru, drugi raz na skorupie żółwia. Pierwszy który powziął myśl wymierzenia Czasu był głupcem. Czyż bóstwo podlega miarze? czyż można wymierzyć świat niewidzialny? Otóż czas, to jak bóstwo w świecie niewidzialnym.

Czasie! przyjacielu, daremnie ukazujesz mi się z twojemi skrzydłami, żartuję sobie z twej rozzłoszczonej miny. To ty dążysz za mną nie ja za tobą. Położ się u nóg moich, gdyż ja dziś iść nie chcę; chcę żyć do sytosci mojem wczora. Wyrwij pióro z twech skrzydeł i daj mi je dla napisania stronicy, do uniesienia której na karę będziesz przezemnie zmuszony. Twe skrzydła o Czasie! przyjacielu, ukrywają kosz gałganiarza. Do niego to potomność rzuca swe chlubne ła-chmany. Moja stronica, jeżeli ją zechcesz unieść, przeżyje aż do jutra.

## II.

### Dwie sprzeczności.

\* \* \*

Widzę oto, tam, w oknie, na poddaszu—nie daleko od obłoków i jaskółek, dwoje ślicznych dziewcząt pochylonych nad zwieszonym ogrodem—jak ogrody babilońskie.



Obie piły mleko z tego samego źródła. Są to dwie siostry i dwie sprzeczności; jednej na imię Johanna, drugiiej Magdalena.

Johanna polewa kwiaty, Magdalena je zrywa.

Magdalena przed lustrem będzie zaraz przypatrywała się swój twarzyczce, bo Magdalena nadewszystko na świecie kocha Magdalенę.

\* \* \*

Czy widzicie tam, tę piękną dziewczynę, tak wystrojoną w dziwacznej sukni, a zapalającą wejrzenia wszystkich przechodniów?

To Magdalena.

\* \* \*

Widzicie dalej, tę otwartą i szczerą piękność, rumianą jak róża? Rozwesela ona me oczy, nazwałem ją psotnicą. Kamil Roqueplan z takiem upodobaniem wymalował, chciałem powiedzieć uszczknął, jój śliczną rozkwitłą twarzyczkę.

To Johanna.

\* \* \*

Dokadże idą te dwie siostry? Idą dokąd ich wiedzie ich poezja? gdyż poezją, tak jak powietrzem, wszyscy żyją.

Johanna idzie wesoło do rogatki dla spotkania się ze swym kochankiem, pięknym młodzieńcem, który ją uczciwie poślubi przed trój-kolorową wstęgą (przed merlem).

\* \* \*

Biedna Johanna będzie bitą i zadowolnioną! Dozna wszystkich cierpień macierzyństwa i nędzy, lecz przywiąże się do swojego gniazda.— Będzie kochała tych wszystkich, którzy

rozedrą jój piersi, ukocha tego, który dwa razy na tydzień wróci do domu pijany— i bić ją będzie, jeżeli nie znajdzie wesołą.

Ukocha męża i dzieci, bo Bóg z nią będzie.

\* \* \*

A Magdalena dokąd-że idzie?

Idzie do studenta, który pali cygaro, pokręcając wąsa. On jój kupi suknię z potrójnemi wolantami i kapelusz cały w kwiatkach i korónkach. Potém pójdą razem tańcować do *Chaumière*— potém pójdą na wieczerzę— potem— nie pójdą patrzeć na wschód słońca.

Potém ona pójdzie wszędzie, tylko nie do siebie, gdyż do tego pierwszego łódeczka, strzeżonego przez bukszpanową gałązkę tylko jój siostra sama powróci.

\* \* \*

Magdalena jak marnotrawne dziecię roztrwoni wszystkie skarby swojego serca i swej młodości, nieznałazszy mężczyzny, który ją pokocha uczciwie— na dziś i na jutro!

Będzie wiecznie biegła, aby uciec od samej siebie, gdyż Bóg z nią nie będzie.

\* \* \*

I dnia pewnego spotkają się dwie siostry. A widząc się na wpół nagiemi, płodna matka rzeknie do bezpłodnej niewiasty, głosem Pisma świętego.

„Wiatr tylko objęłaś, a imie tve zapisałaś na fali. Ukryj, ukryj tve zwiędłe piersi: ja je z dumą ukazuję, gdyż widzę jeszcze przy nich usta jedenaściorga moich dzieci“.



## XX.

## P a r a d o x a.

Dla czego opuszcza się Paryż.

---

**O**PUSZCZA SIĘ kochankę dla wzięcia drugiej; wkrótce w drugiej szuka się pierwszej. Opuszcza się Paryż dla jakiej inszej strony; a gdziekolwiek kto przybędzie szuka Paryża, gdyż Paryż dla umysłu francuzkiego jest tem czem kobieta dla serca mężczyzny.

Pewnego poranku wyobrażamy sobie, że się będziemy nudzić w Paryżu; dziennik jakiś wspomina o morzu Północnem; myślicie o Wschodzie i oto już jesteście w drodze— na kolei żelaznej, na poczcie, lub na statku parowym. Widzicie przesuające się drzewa, pasące się trzody, latające gołębie.— Jedzicie; spostrzegacie widnokreśgi jasne i mgliste, miasta mające minę jakby się nudziły tam od stworzenia świata. Jedzicie zawsze— i zawsze spotykacie te same obrazy. Zapal was ogarnia; żałujecie, iż nieposiadacie palety Kludjusza Lorrain'a lub Ruysdaela. Lituje się nad tymi biednymi Paryżanami uczący mi się poznawać świat z gazet, i oglądającymi

niebo tylko przy przejściu przez most *des Arts*. Zatrzymujecie się wreszcie w jednym mieście, w którym wszystko co jest najśliczniejszego pochodzi z Paryża. Pierwsza rzecz o jaką prosicie jest dziennik paryzki. Przechadzacie się po mieście; spotykacie twarzączkę, która was zajmuje, mieliście się nad nią zachwycać, gdy w tem dowiadujecie się, iż to jest dama przybyła z Paryża.

Udajemy się na Wschód dla przypatrzenia się ubiorom: znajdujemy tam Turków pilnujących się ściśle mód paryzkich; jedziemy do Niemiec dla uczenia się literatury: widzimy tam przedstawienia: *Behemiens de Paris*, a w dziennikach czytamy *Tajemnice Paryża*; udajemy się do Bergop-zoom dla zbadania charakterystycznych tańców holenderskich majtków (torując sobie drogę do Instytutu), a znajdujemy tam polkę Cellariusza.— Zawsze Paryż, wszędzie Paryż.— Tak, że gdyby mi przyszło odpowiedzieć na to zapytanie:— Dla czego opuszcza się Paryż?— rzekłbym:— Dla widzenia Paryża.

Gdyż, trzeba się ośmielić to wyrzec, że krajem dziś najmniej zbadanym, jest sam Paryż. Poeta mówi do filozofów: »Nie puszczajcie się na odległe morza metafizyki; wy, którzy pomrzecie nie obszedłszy dokoła samych siebie!» Nie

należałoby odezwać się do podróżujących paryżanów: dla czego robicie tyle drogi nie zwie-  
dziwszy wprzód Paryża? Wschód tylko w Pary-  
żu, w Paryżu tylko są dziewicze lasy; nie no-  
wego pod słońcem, jeżeli nie pod słońcem pa-  
ryżkiem.

### Drugi punkt widzenia.

Jednak zaczynam myśleć żem się omylił; spra-  
wiedliwiej byłoby wyrzec, że Paryż nieistnieje:  
mam wiele dobrych przyczyn do zaprzeczania  
bytności Paryża. Mężczyzna jest mężczyzną tyl-  
ko dla swego charakteru, kobieta dla wyrazu  
twarzy, poeta (będący razem mężczyzną i kobie-  
tą), tylko dla swej oryginalności; otoż miasta  
są jak poeci, kobiety i mężczyźni. Jakież cha-  
rakter, wyraz i oryginalność Paryża? Powie-  
działem, że Paryż znajduje się wszędzie, jest to  
paradox. Nie ma nigdzie Paryża, a szczegól-  
nie w Paryżu. Piron poznając wiersze Kornela  
i Rasyna, w jednej tragedji Woltera, kła-  
niał się im z uszanowaniem; ja znajdując w mo-  
ich podróżach mody, zwyczaje, i widoki Pary-  
ża, sądzę, żem ujrzał moje poeciwe miasto, i  
zdejmuję kapelusz przed tymi starymi znajomy-  
mi. Lecz prawdziwie rzecz się dzieje tak, że  
Paryż poprostu wziął od innych krajów, to co

go dziś wyróżnia. Ubieram się w Paryżu, jak się ubierają w Londynie, przed chwilą kupiłem sobie twin; jem na obiad rostbif i bifszyk; palę jak Holender hawańskie cygara, pijąc kufel niemieckiego piwa; tańczę polkę jak Węgrzyn; śpiewam pieśni Rossiniego; piję herbatę jak Chińczyk, w saskiej porcelanie; mam namiętność do wina Reńskiego, do Grizi lub do wina Hiszpańskiego; jeżeli chcę się przypodobać Paryżance, daję jej kaszemiry Indyjskie i flamandzkie koronki, gdy mam czas posiadać konie, sprowadzam je z Afryki lub ze Szkocji; gdybym miał dowcip, powiedziano by, że mam *humour*.

Lecz spostrzegam, że ten drugi paradox zbijają pierwszy. Dla czegoż więc napisałem pierwszy? być może dla tego, że chciałem napisać drugi.



## XXI.

### Koniec podróży.



#### I.

**T**A podróż nie ma ani początku ani końca; nie trzeba wszakże, aby była wieczną. Tak samo,

jeżeli nie macie czasu dążyć za mną, ja nie mam czasu ruszać dalej. Była to podróż niegdyś przedsięwzięta, gdy miałem dość czasu do stracenia; dzisiaj nie jestem już tak bogatym. Trzeba ciągnąć swój pług, na wzór ujeżdżonego konia, co przebywszy wszystkie niebezpieczeństwa na górach, poddaje się mężnie uciążliwej pracy.

Nie wiem jak jest opowiedziana ma podróż. Boję się czym najlepszych opisów nie zachował dla siebie samego; boję się uchodzić za dziwaczego podróżnika, wędrującego w idealnym świecie, po nieznanym drogach, w królestwie niemożliwości i pędzącego czwałem na paradowie.

I cóż z tego jeżeli tu i ówdzie wskazał widnokrąg nawet na ciemnym niebie,— jeżeli znalazł zatraconą ścieżkę wśród dzikiego lasu umysłowości?— Tylko złe książki przydają się na coś.

Tony Johannot na tytule tej podróży przedstawił mię wśród widzeń widomego i niewidomego świata. Są tam wszystkie idealne urojeńia tworzące promienisty świat poety. Zrozumiał on, że podróżowałem po niebie marzeń.— Poezja i przyjaźń, usymbolizowane w jednej figurze, stały przy mnie poważnie po lewej stronie,

myśląc o komedji śmierci, wówczas, gdy ja myślałem o komedji miłości, gdy ten, który jest wszędzie, gdzie są poeci, myślał o komedji życia; po prawej stronie miłość w swym najcudniejszym kształcie, ukazywała perłowy uśmiech; ze wszystkich stron kobiety dające się widzieć tylko w Alhambrze, wyobrażały nadzieje podróżnika i marzenia poety. Lecz urojenia uleciały, czyli raczej kończę mą podróż po niebie marzeń.

Obarczonemu poważną pracą, przyjemnie było cofnąć się na kilka godzin do moich lat dwódziestu, wyrwać jeszcze kilka kart zapomnianych z tej wiecznie żyjącej księgi, którą domowa wietrznica nosi zawsze na swem sercu: tak podróżny, wstąpiwszy już do ciemnego lasu, zatrzymuje się w otwartym między drzewami miejscu, aby raz jeszcze spojrzeć na tę piękną krainę, w której oddychał wonią róż i fijałków, bo już tylko czuć będzie przykry zapach dębów.

## II.

Sądziłem, że już skończył podróż i oddawałem się rozkosznemu próżnowaniu, zajętemu tylko sobą, marzącemu lecz nie myślącemu wcale.

Spoglądałem z niejaką dumą, nie myśląc wszakże o Akademji Nauk, na mimozę mojego sąsia-



da, to jest na moją mimozę, gdyż ona do mnie należy, bom ją wskrzesił.

Marzyłem sobie, że mój okręt gnany wszystkimi wiatrami zbyt pośpiesznie dążył po za odwiecznym, nieruchomym brzegiem, nazywającym się Czasem.

Marzyłem sobie, że zdala od gwarów politycznych starej Europy, warto pod jasnym niebem przepędzić przyjemnie godzinę z jaką kobietą, potrzykroć kobietą, bo tak wyobrażałem sobie Neidzę: dowcipną, namiętą i piękną.

Spoglądałem z nieokreślonym żalem na graniczny mur z winnych latorośli i róż bengalskich, oddzielający mię od mojej sąsiadki, gdy w tem ona, odchyliwszy liście, ukazała swą śliczną twarzyczkę: cudny portret wymalowany przez Boga, a w różnanych ramach.

— Witam panią.

Uśmiechnęła się swym ślicznym uśmiechem.

— Zegnaj pana, gdyż za godzinę wyjeżdżam. Poblada i ja zbladłem.

— Wyjeżdżasz? Po co?

— Po co? Jeżeli nie wiesz, ja ci nie powiem.

— Dokąd jedziesz?

— Alboż ja sama wiem dokąd jadę? Może do Wenecji.

—Do Wenecji! A gdybym ja był pojechał?

—Pojechałabym sama; podróżowalibyśmy razem; w Wenecji zrzuciłabym maskę i ujrzalbyś Neidzę.... Ostrożnie sąsiedzie, obrywasz liście naszych róż granicznych....



## XXII.

**Rozdział, w którym czytelnik zamknie ma książkę, a otworzy swe okno.**



**PODRÓŻ DO WENECJI.**

Do Węgry! A székelyek és magyarok  
székelyek és magyarok székelyek és magyarok  
székelyek és magyarok székelyek és magyarok  
székelyek és magyarok székelyek és magyarok  
székelyek és magyarok székelyek és magyarok

XIX

székelyek és magyarok székelyek és magyarok

PODRÓZ DO WENHCLJ

## PODRÓŻ DO WENECCJI.

---

### I.

#### Przedmowa do Podróży.

---

**O**d czasu jak przestałem czytać— podróżuję. Świat ten— nienajlepszy— jest romansem, który tu i ówdzie otwieram na los szczęścia, raz w znajomem, drugi raz w nieznanym miejscu. W romansie świata, jak w romansie miłosnym trzeba umieć stosownie opuszczać karty. Omi-ja się Pontoise, jak się omija miłosne oświadczenie. Opuściłem Pontoise w wagonie północnej kolei żelaznej.

Montesquieu powiadał: »Niemcy stworzone do podróżowania po nich, Anglija dla myślenia w niej, Włochy dla czasowego pobytu, Francija dla życia w niej.» Czy Montesquieu czytał to stare przy-

słowie: *Italia para nacer, Francia para vivir, Espana para morir.*

Francuzi żyją jak drzewa, zasadzone na tymże gruncie pod tem samym niebem i pod tem samym słońcem. Już to wiadomo, że Francuzi nie podróżują chętnie,— chciałem powiedzieć nie podróżują. Paryżanin udaje się chętnie tylko do Saint-Cloud, lub spokojnie bierze pocztę do Fontainebleau. Nauczyć się żyć jest to nauczyć się umierać. Należałoby raczej wyrzec: Podróżować jest to przywykać do śmierci. Kto wie? Może w samej rzeczy grób jest tylko nowym krajem,— tamtym światem jak powiadają. Ten frazes jest pocieszającym dla tych, którzy lubią podróże, a boją się swej ostatniej podróży. Tylko ostatnią podróż odbywają we Francji porządnie: przebywają śmierć; ale Alpy: ale Pireneje! Nie mówię o Francuzach podczas wojny: wówczas idą oni wszędzie. Nie mówię o Francuzkach udających się Baden; te nigdzie nie jeżdżą. Wyznaję, że dla Paryżanina Paryż jest zawsze nieznanym krajem. Pewnego poranku udałem się w dobrej wierze na podróż po ulicy Saint-Denis; zrobiłem na niej wielkie archeologiczne odkrycia; znalazłem tam pierwotne zarysy narodowego francuzkiego teatru i malarstwa. Zacząłem pisać mą podróż, lecz trzebaby mi było technienia Żyda tułacza. Uznałem zresztą, iż trzeba było pisać, a nie podróżować,— albo raczej podróżować, a nie pisać.

I tak, w dniu, w którym wyjeżdżałem do Wenecji spotkałem jednego z pomiędzy trzech

czy czterech historyków, ogłaszających dziś wielkość i upadek republiki Dożów; historyk ten zasługujący na wiarę podróżował tylko z księgarni do Biblioteki królewskiej i do Muzeum Luwru: Canaletto oszpecił Wenecję z takim talentem....

Co do mnie, jeżeli dziś piszę, nie gniewajcie się za to; nie mam pieniędzy na podróż. Przytem, nie piszę, lecz opowiadam.

Mówią powszechnie, iż każda droga wiedzie do Rzymu; wierząc temu pewnikowi, puściłem się północną koleją żelazną dla dostania się z Paryża do Wenecji. Jeszcze raz powitałem Rubensa w Antwerpji, a Rembranta w Amszterdamie; wszyscy podróżujący (dla podróżowania, a nie dla przybycia do pewnego celu) wyznają ze mną, że najlepiej jest jechać do Włoch, tą najpiękniejszą drogą: naprzód Renem, potem przez górę Świętego Gotarda. Jeziorami Wilhelma Tella dopływacie aż do stóp tej góry Olbrzymów; z drugiej strony jeziora włoskie przyjmują was na swe nieustające gody.

Od wyjazdu z Paryża aż do przybycia do Wenecji nie spotkałem ani jednego Francuza, wyjąwszy artystów należących do wszystkich krain. Wszakże przypominam sobie, iż na wierzchołku Righi był jednocześnie ze mną jeden Paryżanin urodzony w Paryżu, rozprawiający o Paryżu, o kobietach paryzkich i o paryzkiej Operze.

Wściekły ten Paryżanin był audytorem w Radzie Państwa, wiele widać dbającym o swój tytuł, gdyż na liście podróżnych wspaniałemi li-

terami napisał:— *Audytora w Radzie Państwa!*— Bez potrzeby toś uczynił mój panie, gdyż nikt z nas nie przeczył temu, że miałaś uszy (1). Można nieco zrozumieć, popisywanie się z tym tytułem dla pójścia na koncert, lecz nie dla oglądania wspaniałych widoków Righi!

Z Medjolanu do Wenecji jechałem z filozofem niemieckim, znającym wszystkie języki— nawet— swój własny. Rozmawialiśmy z nim długo o nowoczesnej niemieckiej sztuce. Ze towarzyszymi naszej podróży byli Anglicy, a jako Anglicy trzy czy cztery już razy widzieli Wenecję, prosiłem mojego filozofa kilkakroć, aby się u nich rozpytywał o kraju, przez któryśmy jechali. Przerwał swe dowodzenia o sztuce i, (podług przyzwyczajenia od czasu jak byliśmy razem) dokładnie przetłómaczył moje zapytanie. Gdy mu odpowiedziano, zachował dla siebie objaśnienie i dalej roztrząsał teorie Owerbekka.

Oto wszystko com się dowiedział w drodze z Medjolanu do Wenecji.

Krajobraz nie nader rozmaity, ale natura pełna siły i świeżości, upaja wzrok swem bogactwem, świetnością i kolorytem. Wystawnie rozpościera całe bogaetwo winnych latorośli, tworzących kwieciste arkady na palach zasianych chmielem, kukuruzą i tytoniem.

---

(1) W oryginale francuzkim jest *Auditeur*; *Auditor*,— ściśle tłómaczac: *Sluchacz*;— W znaczeniu prawnem wice-referendarz.



## II.

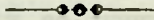
## Z Wicencji do Padwy.

Niedaleko od Padwy, w bogatej krainie,  
 Kędy zboże pod winną latoroślą ginie,  
 (O! czemuż dla oddania tej cudownej strony  
 Niemam pędzła Tycjana lub Pawła z Werony?),  
 Leżącego przy drodze chłopaka na trawie  
 Kobieta jakaś ręką pieściła łaskawie;  
 Jako wierzby gałęzie długie, rosochate,  
 Spadały na ramiona jej włosy bogate;  
 A była prawie naga— tylko płótna kawał  
 Okrywał jej kolana; nie jeden się zdawał  
 Ciekawym śledzić wzrokiem nogę odsłonioną,  
 I jej szyję wspaniałą, z marmuru toczoną.

Dawała patrzeć na się; naiwna w piękności  
 Nie starała się ukryć swej skromnej nagości;  
 Bóg ją stworzył jak Ewę, gdy rana pewnego  
 Chciał ujrzeć rzeczywistość z marzenia sennego:  
 O! i po cóż ukrywać arcy-dzieło chciano?  
 Wszakże na to stworzone, by na nie patrzano!

I zgadując nareszcie, iż się piękną zdała,  
 Swą szyję niepokorną zlekka pokryć chciała,  
 Wyciągnęła już rękę— wiatr miotał zasłoną—  
 Pokrasniało jej czoło pod wstydu koroną;  
 Lecz się matką uczuła i uśmiech matczyny  
 Ożywił jej oblicze— ów uśmiech jedyny!  
 Podała pierś dziecięciu... O! czyn to wspaniały!  
 Aniołowie śpiewając hymny boskiej chwały

Owiali ją skrzydłami— i padła zasłona  
Na wyraz namiętności— niewinnego łona.



### III.

#### W e n e c j a.

**S**ANNAZAS opiewał Wenecję w najśmielszych hiperbolach. Wyprowadzał na scenę Neptuna i Jupitera. »Spójrz, mówi bóg morza do boga piorunów, spójrz na Rzym i na Wenecję! Wychwalaj ile ci się podoba twoje Kapitolium i twój Tybr, dzieło pigmejów i rzekę pigmejów. Patrz na jedno i na drugie miasto; a powiesz, iż Rzym był zbudowany przez ludzi, Wenecja zaś chyba przez bogów:

*Si pelago Tibrim praefers, urbem aspice utramque;  
Illam homines dices, hanc posuisse deos.*

Byron wołał: »Witam cię o! Cybello mórz, ukazująca się mi w oddali w koronie z wieżyc i rozkazująca wspaniale falom i bóstwom Oceanu!»

Nie zapomnijmy Soneta Alfierego:

*Ecco, sorger dall' acque io veggo altera  
La canuta del mar saggia reina... (1).*

(1) Oto widzę wychodzącą z wód, wspaniałą, poważną i mądrą królowę morza.... (Tłómacz).

### Kampanella śliczny sonet napisał o Wenecji:

„Nowa arko Noego, co unosząc się na falach, zachowałaś od zguby sprawiedliwe plemie, gdy Attyla, owa plaga zesłana przez Boga, zalał Italję.

„Nigdyś nie była zhańbioną jarzmem; wydajesz myślących i uczonych bohaterów. Sprawiedliwie więc nazwano cię niepokalaną dziewicą i płodną matką.

„Płyniesz po morzu, ryczysz na lądzie, latasz pod niebem!

„O królowo! tyś rybą i lwem na przemiany,— Lwem Świętego-Marka— dźwigającym Ewangeliję.”

Poeci opiewali Wenecją, romanso-pisarze prowadzili do niej swe bohaterki, podróżnicy opisali jej zwyczaje, malarze oddali pałace i kościoły; ale ani romansopisarze, ani poeci, ani podróżnicy, ani malarze nie zdołali przedstawić dla oka i dla wyobraźni tego wchodniego dziwu. Przed Wenecją trzeba zamknąć czwartą księgę Child Harolda, trzeba zakryć najpiękniejsze roboty Kanalettego, owego malarza krajobrazów bez ziemi. Jeden tylko jest obraz mogący dać wyobrażenie o Wenecji, to sama Wenecja.

Przybywając do Wenecji chce się zawołać, jak prorok przed Tyrem: „Jakim sposobem zginęłaś ty, co mieszkasz na morzu! O miasto wspańnię! zatrwożą się wyspy, widząc dziś tylko same fale wychodzące z portyków twoich pałaców.”

Przy wejściu do Wenecji nagły smutek ogarnia serce. Lew Świętego-Marka w złoconej klatce. Sam Adrjatyk, morze poetów, które za dobrych czasów przychodziło uderzać miłośnie

falami o marmurowe pałace dla ukołysania rozkosznej Violant'y, sam Adrjatyk, od czasu jak odbija w sobie puste i będące w opłakanym stanie pałace, stał się ponurym i ciemnym. Republikański ludzie gdzie jesteście? Gdyż to nie was widzę śpiącego na tych opustoszonych progach. Narodzie, synu rzeczypospolitej, coś uczynił z twą matką? Hożą i piękną córą Adrjatyku wydałeś na pastwę namiętności obcych królów. Zagarnęli oni jej łożę, okuli ją swemi świętokradzkimi ramionami, bili ją jak nierządnicę. A ty ludzie republikański nie zbudziłaś się, aby umrzeć, wołając z poetą:

Kto żyć będzie, wolnym będzie, kto umiera,— już wolny!

Wenecja jak Wenus wyszła z morza; jak Wenus była piękną i namiętną, oddaną całkiem swawoli serca, upojeniom ust i wejrzeń.

Wenecja, »królowa morza!» jest miastem innego świata; wstąpiwszy raz do cichej, czarno-okrytej, jak katafalk gondoli, zapominamy nagle o kraju z któregośmy przybyli; bijącym sercem i myślącą głową należymy całkiem do Wenecji. Tam to szczególnie podróżujemy w śmierci: tam to jest cisza grobu, zapach grobu— sam grób. Lecz któżby nie chciał mieszkać w podobnym pomniku, wzniosłym poemacie, w którym architekt i rzeźbiarz wyśpiewali z kolei najpiękniejsze zwrotki wschodniej poezji?

Wenecja wyszła z morza piękną i zwyciężką, poskromiła tego hardego i drażliwego rumaka,

dającego się tylko ukrócić złotej ostrodze niewidzialnego pana. Lecz powoli morze odzyskuje swą władzę, bije w wyłomy opuszczonego miasta, co noc pochłania po ziarnku kamienia z książęcego pałacu, wchodzi do pałaców Foscarei i Barberigo, zalewa wszystkie marmurowe marmurzenia Palladiusa. Ta, która wyszła z morza, przez morze zostanie pochłonią. Gdyby Wenecja miała jeszcze swą działawę, działawę republikanską, mogłaby pasować się z morzem, i wiosłem dożów poskramiać zwyciężkie fale; lecz Wenecja przy swych zwiędłych piersiach nie ma już dzieci; a zresztą i po cóż jej mieć dzieci? Czy dla tego, aby zostali niewolnikami Austryjackich Cezarów? Nadaremnie probują ocalić Wenecją od blizkiej śmierci: nie słyhać w niej bicia serca ludu. Wenecja, jak Jerozolima, jest tylko świetną mogiłą.

Dla artystów podróż do Wenecji jest świętą pielgrzymką. Nie wypowiem z jak pobożnym zapalem powitałem w przezroczystej, błękitnej, różowej i złocistej zarazem dali, jej wzniosłe kopy i wieżycy. Chociaż jestem chrześcijaninem, wyznaję iż nie myśl religijna świeciła nad tymi kościołami: było to raczej wspomnienie Tycjana i Pawła Weronńczyka, jaśniejących mistrzów, którzy nawet po za grobem żyją w słońcu.

Niedawnemi jeszcze czasy przybywało się do Wenecji w gondoli i w łodzi; dziś, gdy kolej żelazna wszystko pochłania, przybywamy koleją że-

lazną. Zresztą lubię bardzo ten sposób przebywania morza podczas porównania dnia z nocą.

Wkrótce kolej żelazna zniesie Alpy. W obecnym stanie Wenecji ta kolej żelazna bardziej wydaje się przeznaczoną na to, aby ocalić szczątki miasta od ostatecznego upadku, niż dla prowadzenia do jego wnętrza.

Gdym przybył, Wenecja miała swe włoskie niebo, co się jej nie codzień zdarza; cesarz austriacki niezadowolnił się posłaniem tam swej polityki i swoich żołdaków, posłał jeszcze grady i burze swojego kraju.

Omnibus założony dwóma wioślarzami wziął nas z banhofu i zawiózł do hotelu.— Królowa Holenderska zajęła cały hotel *Leone Bianco*. U Danielli'ego rodzina Galicynów zagarnęła wszystko.

Radzono nam stanąć w *Luna* przynajmniej do jutra: w *Luna* (księżyc) i owszem! lubię księżyc przy świetle księżycyca. Hotel ten znajduje się przy wielkim kanale naprzeciw ogrodu Pałacu-Królewskiego, prawie pod samemi arkadami placu Świętego Marka: nie można sobie życzyć bardziej lunatycznego mieszkania.

Zdaje się że we wszystkich krajach trzeba lubić księżyc w chwili marzenia, a nie podczas posilania się. Właściciel hotelu dał nam piękne pokoje wykładane mozaikowemi taflami i całe w arabeskach, lecz ostrzegł że pod *Księżycem* nie dają obiadu.— Nie dają obiadu?— Gorzej jeszcze, odrzekł, dają zły.

Po raz pierwszy spotkałem podobnego właści-

ciela hotelu. Bardzo nas obeszło to jego ostrzeżenie; poszliśmy więc gdzieindziej szukać jedzenia na los szczęścia, lecz ono się nie spotyka w Wenecji. Ludzie tam żyją wiatrem, słońcem, pomarańczą, rodzynką, kawałkiem ciasta z ryżowej mąki i kawą. Nie ma zupełnie traktyerów; nie mówię bowiem o kilku ciemnych szynkach, w których nie mogłem poznać tego co się je o samem południu. Ludzie z pospólstwa nie mają gospodyń; śniadanie i obiad składający się z gotowanego raka morskiego jedzą na ulicy; nie posiadają ani domu, ani ogniska, zaledwie jakiś barłóg w przepierzeniu. Gondoljery mieszkają w swoich gondolach, gdzie nie śpiewają wierszy Torkwata.

Jednak mój niemiecki filozof chciał zjeść obiad; co do mnie zylem tylko wzrokiem: nie na obiad przybyłem do Wenecji.

---

#### IV.

#### Święty-Marek.

---

**S**TALEM jak znak podziwienia przed bazyliką Świętego-Marka, owem greckim rzymskim i gotyckim cudem, owym snem z *Tysiąca i jednej nocy*, owym poematem pełnym życia i kolorytu

opiewającym raczej chwałę sztuki niż chwałę boską. Bóg w swej prostocie dobrego ojca rodziny, nie lubi tych wszystkich oślepiających bogactw. Bazylika Świętego-Marka jest zarówno meczetem jak kościołem. Nigdzie nie połączono tak zgodnie rozmaitych rodzajów architektury, owego nieporównanego wdzięku Greków ze świątynnym zbytkiem Bizantezyków.

Oczarowani już całkiem fasadą i kopułami, oświeconemi wesołem wrześnieowem słońcem, zachwyceni sławnymi kołmi Korynckimi, porfirową grupą, lwem skaleczonym, weszliśmy do środka, jakby oślepieni niespodzianie. Te mozaiki na złotem dnie, pokrywające wszystkie sklepienia i wyobrażające historię świętą począwszy od Adama, aż do Ewangelistów; te posadzki z jaspisu i porfiru; te niezliczone kolumny z marmuru, bronzu, alabastru, z *verde antico* i centkowanego kamienia; ta kropielnica, arcy-dzieło piętnastego wieku, wznoszące się na starożytnym ołtarzu— arcy-dzieło bez daty; ten sławny kilkoramienny lichtarz, *Pale d'oro*, nagrobki, całe to bogactwo złota i marmuru, sztuki i poezji, na które zachodzące słońce rzucało jasne promienie, mięszało moją ciekawość.

Niedaleko hotelu zatrzymałem się przed bronzowemi drzwiami, na których trzy płaskorzeźbwe twarze zwróciły moją uwagę.

— Nie są to twarze figur kościelnych, rzekłem do mego towarzysza.

Poznałem Tycjana. On poznał Aretin'a. Do-



szliśmy wkrótce że trzecia głowa była Sansowina, który trzydzieści lat poświęcił na wyrzeźbienie tych drzwi.

Aretin przedstawiony tam z całą swą zuchwałością. Jest to żywa głowa nosząca na sobie piętno obrzydliwego charakteru, umiarkowanego rozumem. Aretin sprzedawał pochwały lub czerwidła: sam Tyejan robił jego portrety, aby być ogłoszonym za wielkiego artystę lub złagodzić potwarze.

Leez Tyntoret tak się z nim nie obchodził względnie; pewnego dnia zawitał do poety i odmierzył go swoim pistoletem: »Pietrze Aretin'ie jesteś wysokim jak trzy razy mój pistolet« rzekł do niego. Malarz sprawiedliwie był nazwany Krzepakim.

Słowo Aretin'a było mieczem Damoklesa wiszącym nad głowami wszystkich. Tak, że pięknym był on dzień dla jego nieprzyjaciół a nawet i dla przyjaciół, w którym można było bez bojaźni zbudzenia go, napisać o nim te wiersze:

Qui giace l'Aretin poeta toseca  
Che d'ognun disse male che di Dio,  
Seusandosi col-dir'io n'ol conosco (1).

Był to silny i niecny dziennikarz, którego można uważać jako wynalazcę *panegiryków*. Nie kazał-że opiewać Franciszka Igo. i Karola V., nie li-

(1) Tu leży Aretino poeta toskański, który tylko o jednym Bogu źle mówił, tłumacząc się że go nie zna. (Tłómacz).

cząc mnóstwa małych włoskich książąt? Jedni mu przysłali złote łańcuchy, drudzy konie; biedniejsi po prostu kije;— co mu wszakże nie przeszkadzało do robienia swoich medaljonów, na których hardo dawał solie tytuł boskiego.

Trzeba wyznać, że jego portret jest jedną z dziwacznych rzeczy w kościele Świętego-Marka. Prawda że Michał-Anioł o tych drzwiach Sansowina nie powiedziałby, jak w drzwiach chrzcielnicy we Florencji: *drzwi do Raju*.

Chciałoby się dłużej pozostać w kościele St-Marka, gdyby pałac książęcy nie był tuż obok. Jeżeli pałac książęcy jest Kapitolium władzy arystokratycznej, most Westehnień jest onej skałą Tarpejską. Smutne dzieje! Rozpoczyna je od pierwszej stronicy Marino Faliero z uciętą głową, i Calendrio architekt poprzednik Michała-Aniola, kończący życie na rusztowaniu.

Powierzehowność książęcego pałacu jest zarazem grozną i wesołą, jak gotyckiego zamku zbudowanego przez kochanka po powrocie z wojen krzyżowych; gienjusz Północy i Wschodu połączony w jednej myśli. Kapitele kolumn pierwszego rzędu na fasadzie ze swojemi liśćmi, figurkami, symbolami śmiałej i pierwiastkowej roboty; mała lodzja Vittoria, *la della Carta*, Statuetki greckie na fasadzie zegarowej, Adam i Ewa przez Rizzo, mała fasada Bergamose'a, Mars i Neptun Sansowina, złote wschody, wszystko to jest pysznem przystąpieniem do rzeczy.

W pałacu zamieszkałym dziś tylko przez same

arcy-dzieła, znajduje się biblioteka, lecz prawdziwemi historykami weneckimi, są malarze. Całe dzieje rzeczypospolitej wypisane na sufitach pałacu.

—A gdybyśmy poszli na obiad? rzekł do mnie niespodzianie mój filozof.

Udałem się za nim w milczeniu. Przywołał mię do życia prawie tak samo jak gdyby wyrzekł:— *Bracie, trzeba umrzeć!*



## V.

### Żyjący obraz Weroneza.

**J**ESZCZEM był nie widział Wenecjanki. Nagle ujrzałem, jakby cudem ukazujący się obraz Pawła Weroneza w całej swej świetności i swobodzie.

Były to cztery, młode jasnowłose dziewczęta—szatynki ze złotym odcieniem, żywe i próżniacze córki ludu, szukające słońca i gondoljera. W Wenecji każda dziewczica z ludu ma dwóch kochanków jednostajnie przez się kochanych: słońce i gondoljera, rozpoczyna się panowanie drugiego, gdy pierwszy kończy swoje.

Widząc przechodzące ze swobodą królewską te piękne dziewczęta, stworzone nie do pracy, lecz

na to tylko aby były pięknymi, podziwiałem z kolei Boga w jego dziele i wspomnienie Pawła Weronezyka. Zaledwie zlekka były odziane. Nie noszą ani czepków, ani kapeluszków, ani żadnego z tych okropnych wymysłów kobiet północnych bojących się dostać kataru. Obłite ich włosy zaledwie są przytrzymane z tyłu głowy szylkretowym grzebieniem. A zawsze się z pod niego wymyka hałaśliwie jakiś niesforny kosmyk jak złoty snopek. Suknie ich mało co zaszpilone; pyszny ich biust przypomina biust kochanki Tycjana w muzeum Luwra; i nie bardziej od tego przysłonięty. Ze wschodnią wspaniałością, na wzór chlamidy, zarzucają na ramiona szale kosztujące dwieście groszy. Niekiedy ubierają głowy jak Hiszpanki. Z wielkim wdziękiem noszą, ciągnąc po ziemi, drewniane lub safjanowe pantofle na wysokich obsacach. Mają dość ładną urodę, wszakże nie przytaczając wierszy Juwenalisa:

Breviorque videtur  
Virgine Pygmaea nullis adjuta cothurnis (1).

to jest, bez swych łyżew, *wydają się niższemi od Pigmejek*.— Wszystkie są kolorystkami; szukają albo kolorów zgadzających się z sobą lub harmonijnie sprzecznych. Zdaje się że jakby były obecnymi w pracowniach malarzy weneckich

---

(1) Wydaje się niższą, od kobiety pigmejskiej bez pomocy koturnów.

złotego wieku. Ten sam silny efekt, ta sama miłość jaskrawego kolorytu, ten sam styl w bogactwie draperji, nie dochodzący ani do prostoty ani do wzniosłości, lecz jaśniejący teatralną wspaniałością; styl Weroneza w Wenecji, Rubensa w Antwerpji, Giordano w Neapolu i Lemoine'a w Paryżu. Cyceron nie lubiłby kobiet Weneckich; ale Plinijusz by je ubóstwiał.

Tycjan, król kolorystów nawet przy Rubensie, Giorgione i Weronezie, uznawał tylko trzy kolory: biały, czerwony i czarny; znajdował w nich swoje niebiosy, swoje Wjolynty, swoich dożów, drzewa i promienie. Weneckianki, kobiety z ludu, lubią tylko te trzy kolory, a słońce wykańcza obraz.

## VI.

### Kochanka Tycjana.

**P**RZYBYWSZY do Wenecji myślałem że ideał jest wymysłem północy: Południe jednak, nie daje się nigdy zwyciężyć sztuce. W Wenecji, ani Bellini, ani Giorgione, ani Tycjan, ani Weroneze nie przewyższyli w swoich madonach lub w swoich niezręcznościach piękności cór Adryjatyku.

Mistrzowie weneccy równie jak i flamandzcy

z tak zywą prawdą oddali dzieło boskie, że w Antwerpji albo w Wenecji zdaje się nam iż na każdym kroku spotykamy obraz lub portret. Zatrzymujemy zadziwieni wołając: Co za koloryt i jakie oświecenie! Zdaje się nam z razu, że się kłaniamy przed malarzem, Tycjanem lub Weronizem, Rubensem czy Van Dykiem: a kłaniamy się Bogu.

Nie widziałem był jeszcze obrazów, lecz powracając z San-Giorgio-Maggiore, spotkałem na Guidecca w kołysanej wiatrem gondoli, dziewięć dwódziesto-letnią niesłychanie zastanawiającej piękności i młodości. Zdrowie ma też swą poezję. Na pierwszy rzut oka poznałem Florę Tycjana, córkę Palmy Starego. Trzymała w ręku bukiet lecz mniej świetny, mniej rozwinięty od niej samej. Pochylona niedbale nad Guideccą przypatrywała się swej piękności, otrząsając sobie na usta zwiędłe kwiaty bukietu. Gondoljer wiozący ją na plac Świętego Marka, spoglądał na nią namiętnie; a pół głosem śpiewał dziwaczne zwrotki bachanaljów odbywających się na Lido. Był to piękny gondoljer, odziany łachmanami, ale w weneckim stylu. Nie widząc go, nie podobna sobie wystawie z jakim wdziękiem robił wiosłem. Piękność słuchała go z urokiem niewyraźnego wspomnienia miłości. Bóg wie jak szalone uczucia przypominały jej te tony na wiatr rzucone. Cały byłem zajęty Tycjanem i jego kochanką. Ich dziejów nikt nie zna, nawet ci co je pisali.

## Poemat Wjolanty.

Piękna Wjolanta była córką Palmy. Gdy piętnasta wiosna zakwitła na jej jagodach, ukląkł malarz przed swą córką, jak przed obrazem najświętszej Panny Maryi, królowy Anielskiej.

„Wjolanto, Wjolanto, liljo rozkwitła w mojej miłości na błękitnych salach pięknej Wenecji, sława twa na tym świecie z niczém się nie da porównać: Bogarodzica którą mam malować do kościoła *Odkupienia* będzie twym wiernym obrazem o! Wjolanto moja!

„Gdyż ty jesteś obrazem świętych dziewic będących tam—wysoko w niebie gdzie jest Bóg.

„Gdyż złoto twych włosów spadło z nieba jak promień miłości; gdyż płomień twych oczu, jest świętym płomieniem zapalonym przez aniołów na ich srebrnych trójnogach.“

To mówiąc, malarz wziął paletę i malował na chwałę sztuki i na chwałę boską.

Bogarodzica która się ożywiła na ścianie z cedrowego drzewa była arcy-dziełem jaśniejącém miłością i prawdą.

Gdy obraz został skończony, piękna Wjolanta uleciała jak ptaszę, aby zaśpiewać swą piosnkę. Urodziła się na to, aby kochała jak wszystkie córy ziemskie.

Gdy idąc śpiewała, spotkała się z Tycjanem i jego przyjacielem Giorgione.

—Kochany Tycjanie, jakieby to arcy-dzieło wyszło z naszych palet, gdyby podobne dziewcze raczyło wstąpić do naszej pracowni! Co za wspaniała i śliczna Dijanna! Co za Wenera oslepiająca życiem i światłem!

—Gdyby przyszła do mojej pracowni, rzekł Tycjan cały wzruszony, upadłbym przed nią na kolana i połamałbym moje pędzle.

Wjolanta przyszła do pracowni Tycjana, a jednak on nie złamał swych pędzli. Odetchnawszy z nią całą wonią upajającą miłością jutrzni, odmalował ją z kwiatami w rękę piękniejszą od najpiękniejszej.

Giorgione przyszedł dla obaczenia tego portretu, ale Tycjan skrył kobietę i portret.

Długi czas żył z tajemnicą rozkoszną tego upajającego i świeżego uczucia, które było, jakby promieniem słonecznym wśród rosy.

Pewnego dnia, pożałujcie córki Palmy Starego! Tycjan wystawił portret swojej kochanki. Wówczas wszyscy ją mieli ukochać, lecz on czyż jeszcze kochał?

Sztuka jest rajem ziemskim, w którym rozkwita miłość; to raz jako piękna lilja godna uświęconego brzegu, to znowu, jako śliczna róża pełna wspaniałej rozkoszy.

Uśmiechnąwszy się do Wenecjan oczami i ustami swojej kochanki, Tycjan, upojony rozgłosem.... (Użalcie się nad Palmą Starym, który już widział swą córkę, tylko w Madonnach Odkupienia!) przekształcił Wjolanę w Wenerę wychodzącą z morza, odzianą szatą fal przezroczystych.

Sztuka zagłuszyła miłość; Wjolanita była tak piękną, iż znalazła pociechę w swej piękności; jej królestwo było z tego świata— królowała więc.

Pewnego wieczora, gdy się mówi Anioł-Pański, weszła do Kościoła Odkupienia. Gdy ją spostrzeżono wchodzącą, odzywano się dokoła: Oto Wjolanita nie trafiła do drzwi.

Oddychając wonią kadzidla, uklękła przed ołtarzem, przed którym jój ojciec często się modlił. Organy grzmiały chwałę Boga, a młode Wenecjanki swemi srebrnymi głosami śpiewały hymn na cześć królowej Aniołów.

Wjolanita podniosła oczy, te piękne oczy wzniesające wszystkie ziemskie namiętności.

Wzrok jój spotkał się z twarzą Boga-rodzicy, najczystszej, najszlachetniejszej, najbardziej godnej uwielbienia ze wszystkich znajdujących się w kościele Odkupienia.

— Święta Maryo, Matko Boża, szepnęła zwolna, módl się za mną.

Zastanowiła ją boska piękność Madonny, która jakby była stworzoną z uśmiechu bożego.

— Niestety! mówią mi żem piękna, jest to jeszcze nowe kłamstwo miłości; oto jest piękność w całym swym blasku, ożywiona myślą z nieba.



Jakieś przypomnienie wzruszyło jej serce, przypomnienie niewyraźne, przelotne jak błyskawica w nocy.

— Gdym była młodą, rzekła przypatrując się Bogarodzicy, gdy miałam lat szesnaście.....

Zemdlała i upadła na marmurową posadzkę: poznała wreszcie tę Madonnę tak piękną uwydatniającą się na złotolazurowem niebie; była to Madonna Palmy Starego.

Wjolanta poznała siebie.

— O mój Boże! zawołała połykając łzy, dla czegoś zezwolił na tę odmianę?

I gdy wczoraj jeszcze znajdowała siebie tak piękną w swém zwierciadle z Murano, teraz zakryła twarz, jakby ujrzawszy je w całej okropności swych błędów.

Powstała i wyszła z kościoła oddychając z ponurą rozkoszą przykrym zapachem mogiły.

Dokąd poszła? Słońce, kochające słońce Wenecji osuszyło ostatnią perłę spadającą z jej oczu. Dokąd poszła? Było to w porze, w której winna latorośl zaczyna odkrywać swe wspaniałe bogactwa.

Spotkała Pawła Weroneza, który otoczył jej skronie pierwszymi pozłocistemi winogronami z nad Brenty. O moja Madonno! mówił Palma Stary; o mój Ideale! powiedział Giorgione; o kochanko moja! powtarzał Tycjan; o moja Bachantko! rzekł Paweł Weroneze.

## HYMN DO WJOLANTY

### Poświęcony Giorgione.

O! śliczna córko Palmy, Wjolanto kochana,  
Tyś była aż do skonu poezją Tycjana;  
Rozkoszne dzieło Stwórcy, słońcem ozłoczone,  
Jak winne latorośle przez Brentę zroszone!

Wprzód nim serce zabije, usta drżą ku tobie,  
Twa szyja dźwiga miłość płomienną na sobie,  
Wzuieca żądze tajemne, przemawia do ciała!  
O! tyś kwieciem rozkoszy, Wjolanto wspaniała.

O! córo Adrjatyku i sztuk odrodzenia,  
 W tobie bogów nadzieje i bogów wspomnienia.  
 Poganko z niezrównanej twych wdzięków świetności,  
 Historjo przecudownej Wenecjan miłości!

Na twem dumnem ramieniu z marmuru jasnego  
 Lubię fale pokrętnie włosów rozwianego!  
 Ileż razy, gdy słońce muskało twe sploty,  
 Sledziłem cheiwem okiem ich koloryt złoty!

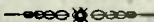
Palma ciebie uczynił najczystszą Madoną  
 Dzisiaj w jego obrazach i ty jesteś ezezoną;  
 Magdaleną zostałas pod pędzlem Tycjana,  
 Magdaleną, co dla swych kochanków oddana.

O! kobieto raz strojna jak Zuzanna w czystość—  
 To słaba jak Helena— sen i rzeczywistość—  
 Odpowiedz mi dla czego z niezwykłą hojnością  
 Pan Bog cię tą pochopną obdarzył pięknością?

O! bo serce z rozumem musi być zbratane:  
 Tycjan ścieżki chciał znaleźć naówczas nieznanę;  
 By on został gienjuszem ty, Wenecji córa,  
 Powstałas z łona morza jako Wenus wtóra.

W twojej czarnej źrenicy świeci jego chwała,  
 Bo niby mecą cudu tyś mu wszystko dała:  
 I ten połysk obrazów słonecznej poświaty,  
 Te pryzmata, promienie, te palety kwiaty!

Przez ciebie Tycjan swoje cudne sny odtwarza,  
 Bez kochania cóż znaczą przepychy ołtarza?...  
 Bóg tworzy, lecz kobieta uzupełnia dzielność,  
 Bo uczucie artyście daje nieśmiertelność!



## VII.

## Tycjan i Giorgione (Dzordzjone).

**D**RZYPATRZYWSZY SIĘ żyjącemu portretowi Wjolan-  
lanty, widziałem i malowany jej portret; lecz  
jeszcze ona mniej żyjącą w dziele Tyejana, przy  
jego ognistym kolorycie? Piękne to dziewczę  
znajduje się prawie we wszystkich włoskich ga-  
lerjach obrazów. Czy zawsze Tycjan ją malo-  
wał? Poznajemy dotknięcie pędzla mistrza, lecz  
najczęściej on tylko wykończył, co jest rzeczą  
najtrudniejszą, zdradzającą gienjusz. Oto przy-  
czyna przyznawania tych wszystkich Wjolan-  
t Tyejanowi. »Jego pracownia była niedostępnym  
przybytkiem; lecz gdy ten wielki mistrz wychodził  
z domu, zostawiał otwarte drzwi od pracowni,  
aby jego uczniowie mogli ukradkiem kopijować  
zostawione tam obrazy. Po pewnym przeciągu  
czasu znajdował wiele z nich kopji do sprzedania,  
skupował je przeto i poprawiał tak, że się stawały  
oryginałami. Zdarzało się mu nawet podpisy-  
wać je.» Po takowem zapewnieniu Lanzi'ego,  
historyka zasługującego na wiarę, można powie-  
dzieć z Teofilem Gautier: »Oprócz siedmiu czy  
ośmiu królewskich i książęcych muzeów, gdzie  
rodowody obrazów przechowują się od czasów  
ich wyjścia z rąk malarzów, wszystkie płótna

przypisywane wielkim włoskim artystom są tylko starożytnymi kopjami." Wszakże ci wielcy włoscy malarze byli tak płodnymi, szczególnie Wenecy! Oba Bellini malowali jeszcze w dziewięćdziesiątym roku życia: Montagna, Palma i Tintoretto dzielnie pracowali mając lat ośmdziesiąt. Co do Tycjana, wszyscy wiedzą, iż umarł z zaraży dziewięćdziesięcio-dziewięć-letnim starcem.

Co za świetny żywot, pełen gienjuszu i sławy! Do ostatniego dnia zachował całą młodzieńczość lat dwódziesięciu. Widziałem w Akademji Sztuk-Pięknych jego pierwszy i ostatni obraz; oba znajdują się w tej samej sali jako dwie eiekawe karty dziejów: czy uwierzycie? obraz śmielszy, żywszy, jaśniejszy jest obraz ostatni. Powiem nawet, że dla mnie, jest on najpiękniejszym z obrazów tego stuletniego malarza. To samo z Rembrandtem, który rozpoczął umiarkowaniem i cierpliwością, a skończył na swobodzie i najdzikszej śmiałości. Homer pisał Odysseę w zimie swojego życia.

Gdy wspomniałem o Rembrandcie powiem, że widziałem w Wenecji jedną z jego holenderskich Magdalen.

W skutek prawdy Rembrandt został wzniosłym, jak inni w skutek podniesienia i idealności. W Wenecji znajduje się jedna Magdalena tego mistrza, arcy-dzieło wyrazu stanowiące dziwną sprzeczność ze wszystkimi Magdalenami mistrzów włoskich. Jest to piękna i prosta Holenderka; lecz do tego wzniosłego poematu czyż

nie ma wzorów w każdym kraju? Jeżeli ona nie jest piękną ogromem linii, jest piękna boleścią i żalem (boleścią i żalem pierwszej lepszej dziewczyny; lecz pocóż robić zawsze z Magdaleny kobietę zbyt jaśniejącą światłością pokuty, niejako poetę serca, lub jakąś chrześcijańską Safonę opiewającą bardziej, niż opłakującą swe grzechy). W Magdalenie Rembrandta widać, że wprzód nim ona podniosła oczy do nieba, kochała ludzi na ziemi; widać wyraźnie, iż wprzód płakała z radości, nim zaczęła wylewać te piękne łzy przez genjusz skryształizowane. Ona niepodobna do swoich siostr; widzimy ją w pół postaci, z przodu, ubraną po holendersku; ukazuje jedną prześliczną rękę, jakie robił Rembradt, gdy chciał. Sercem żyje jeszcze po ludzku, sercem wywołującym w nas burze; wszystkie namiętności, które nią miotały na morzu niebezpieczeństw, zaledwie uspięne w jej łonie.

Na twarzach Tycjana nie masz zmęczenia myśli, nie rozumiał on ani postrachów biblijnych, ani idealnego rajy sztuki. Dość mu było być prawdziwym i promienistym. Żyjąc w Wenecji wśród wszystkich uciech szalonej rozkoszy, miał za muzę bachantkę i topił swą poezję w kędziorkach kochanki spadających jak deszcz złocisty na śnieżne jej ramiona. Może brakowało Tycjanowi jakiej przeciwności losu, zawiedzionej miłości, ukrytej walki z nędzą, wielkiej boleści serca: żył szczęśliwie lat dziewięćdziesiąt dzie-

więć, podziwiany przez wszystkich, nawet przez królów, nawet przez cesarzów. Franciszek I. podejmował jego pędzel, a Karol V. dawał mu najświetniejsze listy na szlachectwo. »Wysłuchawszy radę miłych nam naszych książąt, hrabiów, baronów i inszych dygnitarzy świętego-imperjum, na mocy naszej cesarskiej władzy, czynimy cię hrabią lateraneńskim, hrabią naszego dworu i naszego imperatorskiego konsystorza, nadając ci ten tytuł niniejszém, wynosimy cię na tę wysoką godność i wpisujemy do liczby inszych hrabiów palatynów. Ciebie, twoje dzieci i ich potomstwo uznajemy na wieczystość równie szlachetnymi o ile być można na najwyższém ludzkim stanowisku, jak gdybyś się był urodził ze szlachetnej rodziny, z czterech pradziadów po ojcu i matce. Nadajemy ci miecz, ostrogę, szatę i pas złoty.»

Leccz ostatnie chwile tego długiego, jasnego i spokojnego życia były najsmutniejszym dramatem, jaki kiedykolwiek mógł się człowiekowi wydarzyć.

Tycjan miał dwóch synów i jedną córkę: Pomponio, Horacego i Lawinję. Pomponio był księdzem, Horacy malarzem, Lawinja była piękną. Zjawiła się w Wenecji zaraza, Horacy jeden z pierwszych padł jej ofiarą. Tycjan chciał pilnować swojego syna, swego kochanego Horacego, o którym myślał, iż będzie jego spadkobiercą; dotknięty powietrzem upadł na te same łożo. Miał nieszczęście widzieć skon Horace-

go; gdy zaś już sam był blizkim skonania, Pomponio, będący najgorszym księdzem szesnastego wieku, tak obfitego w złych księży, przybywszy pocztą z Medjolanu, wpadł do pałacu Barbarigo oddawna zamieszkanym przez jego ojca. Nie myślał wcale zamknąć ojcowskich oczu, lecz zagarnął kosztowne sprzęty i drogocenne obrazy dla sprzedania ich z licytacji.

Tycjan ów sławny artystysta umarł samotnie, bez przyjaciela, bez sługi, któregoby mógł pożegnać. Pomponio był gorszym niż sługa. Uciekł jak najprędzej z Wenecji, zostawiwszy nieoprzebane zwłoki ojca. Ten, którego Franciszek I. i Karol piąty uważali za równego sobie, nie miał grobowca. Teraz wznoszą mu pomnik naprzeciw pomnika Kanowy, lecz nie zebrano jego kości. Wenecja, zaledwie zaczyna poznawać, że jej malarze zasługują na uszanowanie równe jak dożowie.

Rzeźbią marmur dla Tycjana, lecz Pawła Weroneza zostawiają pod skromnym kamieniem w cieniu opuszczonego, rujnującego się kościoła S. Sebastjana, w grobowcu bez okazałości.

Gdyby wszakże Giorgione nie umarł w kwiecie wieku, jak kłos ze złotem ziarnem, a zielony jeszcze, byłżeby Tycjan uznanym przez potomność za króla kolorystów? Tycjan był tylko człowiekiem z talentem za życia Giorgione; gdy Giorgione zszedł z tego świata, odważył się zostać gienjuszem. Badając starannie dzieła Wenecjan, można się wkrótce przekonać, że Tycjan

poprostu kopjował trzech mistrzów, Zucati'ego, Bellini'ego i Giorgione. I to jeszcze czy zdobył całą słodycz Bellini'ego, całą romantyczną poezję Giorgione, tego drugiego Arystotelesa zbrojnego pędzlem? Magdalena Tycjana wyrównywa-ż Madonnie Belliniego? Sławne *Wniebowzięcie* war- też *Dziecięcia Mojżesz* Giorgione'go? Zamiłowanie kolorytu nie przemagało w nim do tyła, aby ście- śniać horyzont, jak się to zdarzyło Tycjano- wi. Jego symfonia mniej hałaśliwa, lecz wię- cej wzniosła. W *Mojżesz*, jak i w większej części obrazów, zestawiał z sobą bardzo mało sprze- cznych kolorów, zawsze je precudownie prze- rrywając cieniami; dla tego harmonja jego kolorytu poważna przy całej świetności.

Nie wiele pozostało w Wenecji z dzieł Gior- giona. Wiadomo, że malował freski na fronto- nach pałaców podług zwyczaju piętnastego wie- ku. Zaledwie spostrzegamy dziś niektóre ich ślady święcie przechowywane. Poznajemy od razu Giorgiona po tej pewności pędzla, po świe- żej czerwoniawej karnacji, po zarzucaniu i ukła- dzie draperij; poznajemy go szczególnie po śmia- łości i szlachetności wyrazu. Jest to magnat w malarstwie, noszący dzielnie szpadę i złote ostrogi.





## VIII.

## Obrazy weneckich malarzy.

UJDYBYM miał malować ten świetny obraz, wybrałbym tryptyk jak pierwotni malarze. Na środkowym dziale napisałbym ognistemi literami: *Wiek złoty*; pierwszy kompartment poświęciłbym wiekowi srebrnemu, ostatni wiekowi z *alliazu* (1).

W pierwszym kompartmentcie pod mistrzami mozaiki, stanowiącemi wiek dziecinny sztuki, umieściłbym do koła Giovanna Bellini'ego niezrównanego malarza Schiavoni'ego, który wykradał Bogu aniołów i umieszczał ich w swem dziele; Gentile'go Bellini'ego, zakochanego w starym stylu; Andrea Montagna, tego Wenecjanina zakochanego w starożytności, zapaleńca czerpiącego natchnienie z niebios, który pierwszy otworzył oczy malarzom weneckim na okazałe widoki Brenty; Squarcione'a, nazwanego przez swoich uczniów najpierwszym pomiędzy malarzami; Wiktora Carpaccio, »który miał prawdę w głębi serca,» którego osoby dla ich ruchu i wyrazu twarzy zdają się posiadać duszę; Girolam'a de Santa-Croce, wdzięcznego malarza bachanaljów, a promienistą jutrzenkę Giorgione'a; Giam-Battist'ę Cim'ę, albo raczej Cone-

(1) Mieszanina dwóch kruszców.

glia'niego, który ma tyle wdzięku i prawdy w ruchach, w twarzach i kolorycie; Montagnana, mistrza w stylu *padewskich* cieni; poprawnego i uczonego Franciszka da Ponti, Bartolome'a tworzącego swoje obrazy zarówno ze złota, jak z farb; Andrzeja di Murano, pokrywającego swą oschłość wyrazem niby starożytności, Wiwari-  
nich, świetnych kolorystów, malarzy pobożnych iuczonych; Karola Crivelli, przesadnego Perudżyna weneckiego; wysmukłego i strojnego Marka Basaiti; wreszcie kilka postaci mniej zasługujących na wzmiankę, których zapomnienie ukryło w pół-cieniu.

Na środkowym dziale widzimy cztery jaśniejące grupy. Najprzód Giorgione o śmiałym i złotym pędzlu, drugi Andrea del Sarto; dalej Pietro Luzino, jego uczeń i rywal, który z lekkiego malarstwa spadł do rodzaju śmiesznego, i który wykradł swemu mistrzowi kochankę i kazał mu umrzeć ze smutku; Sebastjan del Piombo, malarz o przezroczystrych kolorach, który przy śmierci Rafaela był uznanym w obec Juljusza Rzymianina, za pierwszego malarza we Włoszech; Giovanni d'Idine, który na chwilę posiadał paletę Giorgione'a i pędzel Rafaela; Francesco le More mający rękę do wykonywania, gdy Juljusz Rzymianin, lub kto inny raczył za niego myśleć; Lorenzo Lotto, powściągający swój niepohamowany pędzel grą pół-cieni, i umierający ze złożonemi rękami przed Madoną własnego utworu, godną postaci Leonarda da

Vinci; Palma Starszy, ojciec Wjolanaty nauczyciel Bonifaczia, Palma, którego pędzla niedostrzedz w cudownych głowach jego Przechystrych Dzie- wie, natchnionych pięknoscią córki, za nim ta nie spotkala Tyejana; szorstki i łagodny Rocco Marconi; Brusasorei, poeta epiczny, który wziął do rąk paletę zamiast pióra; Parys Bordone, pełen wdzięku i uśmiechów; Pordenone krzepki i namiętny, rywalizujący z Tyejanem pędzlem i szpadą.

Następuje grupa Tyejana; znakomity mistrz Nicolo di Stefano, Francesco, Orazio, Fabrizio, Cesare, Tomasso i Marco Vicelli; Tizianello i Girolamo di Tiziano, wszyscy z rodziny króla kolorystów, znajdują się naokoło niego, równie jak Bonifazio, *cień jego ciała*; erudyta Campagnola i Calisto Piazza kładący na swych obrazach podpis Tyejana, nie obrażając nikogo.

W trzeciej grupie widzimy świecąca na popielatowem nieco dnie z ultra-maryny twarz z odeieniami winnego koloru gwałtownego i delikatnego Tintoretto, który, wypędzony z pracowni zazdrośnego Tyejana, napisał na ścianie swego ubogiego pokoiku: Rysunek Michała-Anioła i koloryst Tyejana. Tintoretto, któryby był jednym z największych malarzy, »gdyby w wielu swoich obrazach nie okazał się niegodnym Tintoretta.» Przy nim daje się widzieć Dominik Tintoretto, który szedł w ślady ojca, »jak Askanjusz Encasza;» Maria Tintoretto, anioł rodziny, będąca piękną sercem, piękną z twarzy

i z talentu, pociecha i boleść swojego ojca, co się uśmiechał nad jej kołyską i wypłakał wszystkie łzy swoje na jej grobie.

Tuż blisko Tintoretta powitajcie w tem wątpliwem, lecz czarodziejskie sprawującym wrażenie, świetle, tę arkę Noego, albo ów genjusz instynktu, nazywający się Bassano, a jak dziecię bawiący się ze wszystkimi przedpotopowymi zwierzętami. Otaczają go czterej jego synowie wszyscy odznaczający się tym samym wyrazem twarzy, Jacopo Apollonio i Jacopo Guadagnini, przypominający go zdaleka,— jako też Antonio Luzzarini, ów szlachetny weneccjanin, który go naśladował do niepoznania.

Oto czwarta grupa uwydatniająca się na tle przezroczytym przed pałacem ze smukłymi kolumnami i wspaniałymi portykami, w którym odbywa się jakaś pobożna uczta z całą pogańską wspaniałością. Czy poznajecie tego wielkiego pana w malarstwie z jego wesołej twarzy, wykwinności ruchów i teatralnej okazałości ubioru? To Paolo Veroneze, wspiera się niedbale na swoim bracie Benedetto, malarzu ozdób i perspektywiście; prowadzi za sobą dwóch swoich synów Carlo i Gabrielo, którzy byli tylko dziećmi wielkiego człowieka;— Parasio i del Friso, którzy także coś po nim odziedziczyli, wreszcie wszystkich ślepych naśladowców.

Przechodzimy do drugiego kompartymentu; wzrok nasz olśniony takim blaskim, takim cza-rem, i taką promienistością nie może z początku

rozeznąć tych odeieni szarawych przytłumionych cieniem. Wszelako spostrzegamy Jakoba Palmę-Młodszeo, mistrza manjerystów, ostatniego w wieku złotym, a pierwszego w wieku *alliażu*, ów gienjusz wahający się, rzucający się od Rafaela do Weroneza, od Polydora do Tintoretta, który byłby wielkim mistrzem, gdyby nieistniały obrazy tych czterech znakomitości. Widzimy także niewyraźnie rysujące się w cieniu postaci: Bosehni'ego, który malował tak jak się biją junacy; wspaniałego Corona, Vicentin'a historycznego malarza republiki, Perand'y-poety,— Malombr'y portrecisty,— i miękiego, wdzięcznego Pilotto. Dalej spostrzegamy sektę *ciemnych*, którzy w siedmnastym wieku przynieśli do Weneji styl Cavaraggio, jako to, Triva, Saracini'ego, Strozz'ę, Berevensi'ego, Ricchi'ego. Pociąga następnie oko grupa przypominająca z początku świetne czasy weneckiego malarstwa; składa się ona z Contarino, Tiberia Tinelli, jasnego i miękiego Foraboseo, Belleti, Carlo Riddoli, Vecchia. Lecz oto rozchodzą się cienie, jak mgła przy wschodzie słońca: jaka to promienista postać? Czy to znowu nie Tycjan lub Paweł Werończyk? To Varotari Padewczyk. Co za wdzięk i co za siła! co za zamilowanie w romantycznem pięknie! O! gdyby tu był Arjosto! Kobiety Tycjana i Weroneza nie mają tej bohaterkiej piękności i tej świeżości zastanawiającej. Otaczają go jego uczniowie Scaliger, Rossi i Carpioni; zostawuje on nieco miejsca dla

Liberi'ego, najuczeńszego z malarzów weneckich; dla dzikiego i możnego Piazzett'y, iskrzącego się w cieniu; dla Canalett'ego pejzażysty kraju, w którym nie ma ani kawałka ziemi; dla popędliwego i uśmiechniętego Tiapolo, który był ostatnim z weneccjan,— gdyż Roselba następująca po nim była kobietą.

Ileż to postaci zasługujących na pamięć pograżyłem w mglistej oddali tego obrazu! A wszakżem przewrócił Pellion i Ossę; mieszani-  
na zupełna. Sława jest starą hultajką wymieniającą kiedy niekiedy piękne imie, a zawsze powtarzającą te same. Ileż to poetów, ile artystów posiada gienjusz, a nie posiada sławy! Zresztą są oni najbogatsi, gdyż sława nie daje się pochwycić, a z gienjuszem można ezerpać pełnemi rękami.

Może zamiast szkicowania tego obrazu powinienem był naśladować tego fiksata Boschini'ego, który w śmiesznym poemacie kreśli *mappę żeglarsko-malarską*,— *rozmowę pomiędzy weneckim senatorem i professorem malarstwa pod nazwą JAŚNIE WIELMOŻNEGO i KUMA, podzieloną na ośm wiatrów, za pomocą których okręł Wenecja puszcza się na wysokie morze malarstwa, z kąd pamuje nad oblędem wszystkich nieznanających busoli.* Widać, że i w Wenecji były Scuderi. Mappa malowniczego-żeglarsstwa nie wartaż mappy Czulości?

O! gdybym miał na moje rozkazy tę geografję weneckiego malarstwa z republikańskim

okrętem dla puszczenia się na morze gienjuszu! Odkryłbym wówczas wyspę Giorgion'a, zapelnioną maurytańskimi pałacami, z kochankami śpiewającymi na trawnikach, przy szmerze marmurowych fontan, bohaterskie wiersze Ariosta! I wyspę Tycjana z Wenerą uśpioną na różach, albo Wiolantę zaszpilającą swój stanik przed zwierciadłem z Murono trzymanem przez amorków! I wyspę Weroneza, gdzie woda zmieniona w wino dla upojenia jego wesołych gości, stworzonych dla uczt i miłośnych awantur! I wszystkie te wyspy, na których panują Bellini i Tintoretto, Sebastiano del Piombo albo Palma Starszy, Bassano lub Varotari, słowem wszyscy prawdziwi królowie Adrjatyku.

## IX.

### Akademja Sztuk - Pięknych.

**M**ALARZE weneccy nie patrzali na życie oczyma duszy; nie otworzyli przeto złotych podwojów rzeczy niewidomych i nieskończoności; uśmiechali się tylko do świata znikomego, nie przeczuwając świata wiecznego. Zerwali kwiat życia nie spostrzegłszy, iż w jego kielichu znajdowała się łąza niebieska. Jakże daleko od miłośnych ma-

rzeń Korredzja do cielesnych nimf Tyejana! U Korredzja namiętność jest cała w płomieniach, lecz ma skrzydła; u Tyejana jest ona leżącą kobietą, która podnosi zlekka firankę.

Wenecja nie czuła nigdy pracy myśli; kochała Boga nie wznosząc się aż do niego; upiła się promienną pięknością swych kobiet i złocistych winogron Lombardji. Morze, przynoszące jój, jako wiecznie uległy niewolnik, wszystkie skarby Azji, w burzliwym lub spokojnym czasie, nie przyniosła jej nigdy uroczystych rozmyślań tworzących marzycieli i poetów. Wenecja, iż tak rzekę, nie czytała nic więcej oprócz romansu życia; słuchała szalonych ucztowych piosnek, gdy filozofja chciała ją uczyć swych smutnych prawd, to ona przyciągała filozofję na bankiet i ręką pięknej dziewczyny z obnażoną piersią nalewała jej najlepsze z przewożonych morzem wino Cypryjskie.

Te uwagi przysły mi na myśl, gdym przestąpił próg Akademji.

Jest bowiem i w Wenecji Akademja Sztuk Pięknych; lecz ta nie szkodzi żyjącym, a składa hold umarłym. Cicognara, założyciel, chciał szczególnie, aby ona służyła za schronienie dla wszystkich arcy dzieł rozrzuconych po zrujnowanych kościołach, pałacach i klasztorach. Ten Cicognara odkrył *Wnichowzięcie*, arcy-dzieło Tyejana schowane przez ciąg wieków w kościele Frari pod warstwą pyłu, który je zakrywał nawet dla oczu malarzy. Nie poprobuję opisy-



wać wrażenia, jakie sprawuje ten obraz, odzyskawszy swą dziewięcią świeżość. Jest w nim cały Tycjan. Michał Anioł i Rubens jedynie byliby godni chwalić tę wspaniałą kompozycję i ten jaśniejący koloryt.

Akademja ta zawiera w sobie nie jedno arcydzieło. Cała szkoła wenecka świeci tam imionami mistrzów pierwiastkowych i mistrzów głównych.

Pomiędzy mozaistami i malarzami Wenecja miała nie wielu rzeźbiarzy. Wszakże Akademja posiada kilka marmurów i bronzów, posągów i płaskorzeźb weneckich skulptorów: tak naprzykład, płaskorzeźbę z roku 1345, przedstawiającą pełną prostoty i wyrazu Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem Jezus na wyłożonym marmurze. Dłoto Kanowy jest wystawione pod porfirową urną, zawierającą w sobie jego rękę. Kanowa przyszedł na ostatku, jakby dla zrobienia grobowca z białego marmuru dla krainy-matki bogów-artystów.

Kanowa w 1794 roku chciał był wznieść pomnik dla Tycjana w kościele Frari; ogłosił projekt jego, lecz nadszedł upadek rzeczypospolitej i Tycjan pozostał w swym ciemnym zakątku. Plan Kanowy posłużył za wzór dla jego własnego grobowca w tym samym kościele. Jest to sze-roka piramida z kanaryjskiego marmuru z tym napisem: *Ex consolatione Europae universae.*

Dziś już przecie ociosowują marmur na grobowice dla Tycjana, lecz zapominają o Pawle

Weronicyku w kościele świętego Sebastjana, gdzie pajak spokojnie snuje swe sieci na opuszczonych arcy-dziełach znakomitego kolorysty: history Estery i Mardocheusza. Pewnego dnia po południu oglądałem samotnie te świetne malowidła. Powoli ogarnął mię głęboki smutek na samą myśl, iż tu się znajdował osamotnionym, w ciemnym grobie, ten, który przepędził życie w tak hałaśliwém i wesołém towarzystwie, ten, który tak długo wykładał u słońca jego promienie i jego wesołość.

W Wenecji skończył także życie Sansowino i Aretin. Sansowino wielki, tak niepokonany artysta, tyle podróżujący za życia, nie miał spoczynku i po śmierci. Jego zwłoki wędrowały z jednego do drugiego kościoła. Aretin również nie ma grobowca. Był pogrzebiony w kościele S. Łukasza, gdzie się znajduje jego portret wymalowany przez Alviso del Friso; lecz jeżeli grób zniknął, to zawsze jego bezbożne imię rozlega się jeszcze w kościele przez usta kapłanów, którzy przechowali w tradycji jego ostatnie słowa po przyjęciu ostatniego pomazania. Podług nich zmarł on mówiąc ów wiersz:

Guardate mi da'topi, or che san unto.

Wszakże czytałem gdzieindziej, że Aretin konał polegając ze śmiechu przy opowiadaniu przygód sióstr swoich, weneckich nierządnie sprzedających miłość, tak jak on sprzedawał pochwały.

Zwiedziłem pobożnie wszystkie weneckie ko-

ścioły dla uczczenia w nich Boga, lecz niemniej i dla znalezienia ducha wielkich artystów, unoszącego się przed ich obrazami lub po nad grobowcami. Długi czas rozmawiałem z Palladio w jego kościele *Odkupiciela*, o wieczornej porze, gdy Kapucyni odprawiali swe modły. Sansowino ukazywał mi się wszędzie i wtajemniczał w piękności tej dziwnej architektury stworzonej dla Wenecji i niemożliwej gdzieindziej.

## X.

### Dziewice posilające się różami.

**M**ALARZE weneccy nie doszli aż do nas swoim potomstwem, oprócz jednego Andrzeja Schiavoni, którego odwiedzałem prawnuków. Już raz z powodu wystawy obrazów w Amszterdamie, wymieniłem nowoczesnych Schiavoni'ch Weneckich, którzy przechowali cześć dla kolorytu i przywiązanie do namiętnego wyrazu w twarzach. Stary Schiavoni miał w pędzlu więcej gienjuszu, lecz mniej miłości.

Pewnego ranka, bardzo wcześnie, płynąłem wielkim kanałem, chcąc zwiedzić dnia tego większą część pałaców, których frontony zachwy-

cają wejrzenie począwszy od Świętego-Marka, aż do Rialto. Mój gondoljer zatrzymał się nagle przed pałacem maurytańskiej architektury, mówiąc do mnie znacząco:

—Piękna galerja, piękna kobieta, piękne dziewczę!

Było dla czego zatrzymać się nieco. Zadzwo- nił. W kilka minut jakaś stara kobieta otwie- rająca drzwi, dała mi znak, abym szedł za nią. Wehód był wcale nie wspaniały. Drzwi i wscho- dy nieprzypominały bynajmniej starożytnego we- neckiego pałacu ozdobionego złotem i marmu- rami. Baba wprowadziła mię do jakiegoś przed- pokoju zawieszzonego obrazami świeżo namalo- wanemi w stylu wygładzonym, przeznaczonemi dla Rossji. Dotąd sądziłem, że mój gondaljer chciał pożartować sobie ze swą piękną galerją, piękną kobietą i piękną dziewczyną. Cheia- łem się już wycofać, pod pozorem, że się po- mylił, do innych chcąc drzwi trafić; lecz wła- śnie gdym myślał o odwrocie, ujrzałem otwie- rającą się prawdziwą galerję zapełnioną brzyd- kiemi marmurami z czasów odrodzenia, popier- siami bez nosów i uszu, mającemi uchodzić za starożytne.

Wehodziłem do tej galerji z wzrastającym niedowierzaniem, gdy w tém nowa postać uka- zała się na horyzoncie. Był to gospodarz do- mu, starzec, typ wenecki, zepsuty nowocze- snem ubraniem. Podeszedł ku mnie i otworzył wreszcie gabinet bardzo ciekawy. Od razu zo-

stałem olśniony, jak gdybym wszedł do samego słońca. Byłem u dzieci słońca: Giorgione, Bellini'ego, Tycjana, Weroneza, Tintoretta, roztaeczających wszystkie swe promienie; nigdy nie zgromadzono razem tylu świetnych zjawisk. Była tam Ewa naga po raz pierwszy, gdyż ukrywała swą nagość; była Magdalena pokutująca w całej okazałości Magdaleny jawnogrzeszniczki; była Wenera ze śnieżną piersią i Dyjanna ze srebrną stopą; słowem były tam wszystkie miłośne poetyczne i religijne symbole. Mamże powiedzieć? zdawało mi się z początku jakoby wszedł do haremu, — co mię przekonało o mylności, — drudzy powiedzą o nieomylności, gienjusz weneckiego.

Wszystkie te miłośne obrazy nie przedstawiały dla mnie ani Ewy, ani Magdaleny; wiedzmy z całym jej ubóstwem, żalu z gorzką rozkoszą; ani Wenerę, ani Dyjannę: — Wenerę, uroczystości sereci; Dyjannę, kochanki tryumfującej nad miłością. Widziałem tylko na zewnątrz same kobiety. Symbol zniknął pod blaskiem kolorów; tylko oczy moje były olśnione.

Zwróciła zaraz na siebie moją uwagę dziewczyna uśpiona w *Ogrodzie różannym*. Jej czuwającej kochanek strzegł uśpionej. Ogród różanny znajduje się na brzegu Brenty. Ta śliczna grupa przypominała mi nieco Boucher'a; lecz było to malowidło żywe, daleko starsze, którego blask złagodzony jakimś smutkiem, obcym swobodnemu talentowi Boucher'a. Choć wyraz tych twarzy

miał w sobie coś wieśniaczego, można było odkryć w nich prawdziwe wykształcenie. Byli to włościanie, lub wielcy panowie przebrani za włościan. Chociaż sen zamknął oczy dziewczęcia, zgadywało się iż one były najpiękniejszymi w świecie. Lekki uśmiech ozłacał jej usta, jak gdyby się po nich przesunął sen miłosny z idealnym pocałunkiem kochanka.

Pomiędzy temi świeżemi i bujnemi postaciami, spostrzegłem jeszcze oryginalną istotę nie mającą pretensji do przypominania uświęconych figur. Był to utwór starego Schiavoni, utwór serdeczny, w którym malarz nie myśląc o tem popuszcza wodze gienjuszowi w dniu powodzenia palety. Wystawcie sobie dziewczę zadziwiającej świeżości przed stołem pokrytym różami. Jest to chwila jej posiłku: je kwiaty. I dla tego, podług wyrażenia pewnego starożytnego autora, jagody jej wykarmione różami. Myśl prawdziwie poetyczna, warta niemieckiego marzyciela. Jestem przekonany że Schiavoni utworzył tę piękną *amatorkę* kwiatów nie myśląc zgoła iż dla poety nastroczył przedmiot do sonetu. Sonet istnieje. Nigdy nie zgadniecie kto go napisał? To ten urwis Le Pays, w swoich *Przyjaźniach, Miłościach i Miłostkach*:

D O I R Y S.

Jedzącej zazwyczaj kwiaty.

Przysięgam na mą duszę, że twój gust mię śmieszy!  
Co to? jesz kwiaty—wyborne jedzenie!

Doprawdy twój posiłek tani nieskończenie,  
Choć go zowiesz monarszym, gdy cię samą cieszy.

Jakież twego kucharza będzie zatrudnienie?  
W ogrodzie chleb powszedni znajdziesz i łakocie...  
Lecz przestańmy żartować w podobnym przedmiocie;  
Wierz mi, tak nedorzeczne rzuć przyzwyczajenie:

Bo gdy zima nadejdzie i gniew swój rozżarzy,  
Gdy kwiaty pozostaną tylko na twojej twarzy,  
Których srogość powietrza zniszczyć nie śmiała,

Cobyś Irys robiła w złej okoliczności  
Gdyby ci w braku kwiatów którebyś zjeść chciała  
Wypadło samą siebie połknąć z konieczności?

Le Pays był Wenecjaninem jeżeli nie z charakteru miejscowego to przynajmniej z dowcipnych zwrotek. Zamiast takiego poety czemu to Schiavoni dla wytłómaczenia tego ślicznego utworu nie miał jakiego Rozegartena lub Biurgiera?

—Podoba się panu ten obraz? zapytał mię gospodarz domu.

—Bardzo, odrzekłem: jest w tej głowie jakaś idealna namiętność przypadająca mi do serca. Widziałem już to śliczne stworzenie w mych młodzieńczych marzeniach. Mieszka ona w połocistych strefach jakiego rajy Mahometa.

—Ta piękna kobieta jedząca kwiaty, malowana nie spełna przed trzema wiekami przez mego pradziada,— gdyż jestem Schiavoni (ukłoniłem się potomkowi Schiavoni'ego),— jest skopjowaną nadzwyczaj podobnie, a tę kopję pokażę panu.

—Pan sam jesteś malarzem?

— Tak, panie; kopja o której mówię jest jedynym z najmniej złych moich utworów, sam to osądz sz.

Pan Schiavoni przywołał babę która się oddała, i zagadał do niej po włosku w weneckim dyalekcie. Nie zrozumiałem ani słowa. Przypatrywałem się wówczas z niejaką ciekawością temu potomkowi starożytnego malarza, przechowującemu po trzech wiekach sukcesyjny dar kolorytu.

— O to jest, rzekł niespodzianie.

I wskazał palcem piękną dwódziestoletnią dziewczę z uśmiechem przestępującą próg gabinetu.

Była ubrana bez wymysłu, niedbale, licząc zapewne wiele na swą twarzyczkę, na swą szyjkę wzniosłą i swobodną, na marmurowe ramiona, i pogardzając dla tego pomocniczymi środkami ubioru. Jej ciemne włosy ze złotymi odcieniami zaledwie zlekka były podtrzymane grzebieniem. Włosy miała tak obfite iż Magdalena jawno grzesznica zrobiłaby z nich sobie ubranie, w chwilach światowych wspomnień, dla ukrycia przed wiatrami pustyni płomieni przeszłości.

— A co mój panie, rzekł do mnie ojciec, nieznajdujesz— iż kopja godna oryginału?

Byłem odurzony podobieństwem: ten sam rysunek, ta sama expressja, ta sama świetność.

— Panie Schiavoni, zdaje mi się że przewyższasz sławnego Schiavoni'ego; nie oddałbym dzieł twoich za jego, albo raczej oddałbym oryginał za kopję. Jakże ten cud wytłómaczyć?



— Wszystko co ci mogę powiedzieć, to, że podług podania ta twarz malowana jest portretem mojej babki (babki z szesnastego wieku); lecz opowiem panu zaraz tę historję.

Przemówiłem do dziewczęcia słów kilka, mówiąc jakieś głupstwo, jak naprzykład: Ty także jesz kwiaty; twój umysł pożywa na śniadanie urojenia, a dusza złudzenie. Odpowiedziała mi cudownym ruchem szyjki i ust, ukłoniła się z nieporównanym wdziękiem i wyszła na schody.

Powróciliśmy do obrazu i pan Schiavoni tak zaczął mówić:

### Ostatnia wieczerza Hijacynty.

„Oto historja Schiavoni'ego i Hijacynty, biednego malarza i pięknej dziewczicy.

„Zaczął on od tego że był malarzem szyldów. Urodził się w Sebenigo w Dalmacji. Zawczasu przybył do Wenecji gdzie żaden ze sławnych ówczesnych malarzy nie raczył być jego nauczycielem.

„Wszakże Tycjan spotkał go dnia pewnego idącego ze swemi obrazami dla przedstawienia ich jakiemuś kupcowi. Zadziwił wielkiego malarza oryginalny sposób malowania Schiavoniego.— Kto cię nauczył tych przezroczystych tonów i tych pięknych poz?— Nie wiem.— Czemuś tak błądzą?— Bom głodny.

„Tycjan wziął Schiavoni'ego za rękę i zaprowadził do biblioteki Świętego Marka:— O to masz za co na chleb zarobić.

„Schiavoni namalował trzy kręgi blisko wieżycy: ryccze konni pałaszujący nieprzyjaciół; biskup wspierający ubogich; król rozdający nagrody żołnierzom.

„Lecz po kilku dniach wypoczynku, znów opanowała go zupełna nędza; zapracował tylko na zapłacenie długów

i na wesołe. przepędzenie karnawału. Nie spotkał więc Tycjana i nie śmiał więc pójść do niego.

„Pocieszał się miłością pięknej dziewczyny, którą spostrzegł pewnego wieczora płaczącą na Rialto.— Dla czego płaczesz?—Mój ojciec odpłynął, a moja matka umarła.

— Chodź ze mną i ja płaczę i jak ty jestem osierocony.

„Poszła za nim. Oddała mu swą piękność, on oddał jej swe serce. Lecz Bóg zapewne nie pobłogosławił tych zaręczyn.

„Wszakże nie tracili nadziei. On, znakomity malarz, ze swej sztuki uczynił rzemiosło; malował szyldy lub kopje. Mieszkali w małym domku nie daleko pałaców Barbarigo i Foscari. W nocy słyszeli opiewane rozkosze życia, nie mogąc zasnąć z głodu.

„Hijacynta nie czuła głodu sama, lecz czuła go za swoją dziatwę. Corok miała więc jedném dzieckiem,— a ośm już lat upłynęło od spotkania na Rialto.

„Księża Świętego-Krzyża obstalowali dnia pewnego obraz Nawiedzenia: Schiavoni wziął się do pracy, sądząc że skończą się złe czasy dla jego kochanej Hijacynty. Gdy obraz został skończony, w kościele była uroczystość. Cała Wenecja znosiła kwiaty przed madonę.

„Malarz aż do nocy pozostał w kościele. Gdy się oddalili wszyscy prawowierni, zbliżył się do księży Świętego-Krzyża i prosił ich o trochę pieniędzy.— Nie mamy; zabierz kwiaty, jako hołd przynależny twemu genjuszowi.

„Schiavoni z rozpaczą chwycił dwa bukiety róż i uciekł jak obłąkany. Hijacynta spotkała go na progu z ośmiorgiem drobnych dzieci.— Bukiety z róż! rzekła ze swym cudownym uśmiechem.— Tak, to są pieniądze ojców Święto-Krzyżkich! rzekł Schiavoni rzucając ze wściekłością róże pod nogi swej kochance.

„Hijacynta zbladła i podjęła róże.— Podam zaraz wizerunek, rzekła, pobaw się nieco z biednemi malcami.

„Schiavoni zawołał dzieci do pracowni. Biedne zgłodniałe pisklęta ogłaszały nędzę wydając krzyk ze wszyst-

kich swych różowych dziobków. Gdy znów się ukazał, stół już był nakryty; dzieci zajęły swe zwyczajne miejsca.

„Skoro Schiavoni usiadł, Hijacynta podała mu na dwóch cynowych półmiskach oszczypane bukiety z róż.

„Taka była ostatnia wieczerza Hijacynty.

„Schiavoni starał się pracą, modlitwą i gienjuszem złożyć przezwyteńczyć. Umarł ze znużenia.

„To piękne dziewczę jedzące róże jest portretem biednej Hijacynty. Bez wątpienia, że Schiavoni malował go z pamięci wylewając wszystkie łzy z serca. Nieprawdaż, iż smutno patrzeć na róże, myśląc o tej wieczerzy na której nie było ani okruszyny chleba?

„Niestety! dodał pan Schiavoni po chwili milczenia, ja nie mam gienjuszu, a mieszkam w pałacu! Z dwóch Schiavonich któryż uboższy?“

Pan Schiavoni otarł łzę.

Stalem smutnie pochylony przed Hijacyntą. Odkryłem powoli pod jej nieopisanym uśmiechem wszystkie boleści, które ją zawiodły do grobu.— Hijacynto! Hijacynto! przebąknąłem. Sam uczulem łzy w oczach. Chciałbym przycisnąć do serca to piękne stworzenie tak niesprawiedliwie przez los dotknięte.

Posłyszałem za sobą odgłos stapań i odwróciłem się cały przejęty uczuciem, które ogarnęło mą duszę. Była to także Hijacynta, albo raczej panna Schiavoni przychodząca uwiadomić ojca o przybyciu konsula ruskiego.

—Hijacynto! Hijacynto! rzekłem biorąc ją za rękę i całując w czoło,— o! gdybyś żyła jakże bym kochał ciebie.

Pan Schiavoni mieszka w dawnym Justynjańskim pałacu przylegającym do sławnego pałacu

Foscari. Dziwne zrządenie losu! Przed dwiestu pięćdziesięcią laty Fosear'owie byli monarchami rzeczypospolitej, a Schiavoni umierał z głodu w cieniu ich pałacu; dzisiaj potomkowie Schiavoni'ego posiadają pałace, a Fosear'owie nie śmieją nawet spoglądać na pałace swych przodków. Przeszłego roku było jeszcze w Wenecji czterech Foscari'ch. Jeden z nich umarł jak stary Schiavoni »nie zostawiwszy nic na pogrzeb«. Kwestowano w kościołach dawnej rzeczypospolitej dla pochowania zwłok jego w sposób odpowiedni jego imieniowi. Pozostało trzech Foscari'ch: pierwszy żyje nieznanym z dochodu wynoszącym rocznie trzysta-sześćdziesiąt-pięć ewanegyierów, drugi jest pocztyljonem roznoszącym listy,— Foscari pocztyljon!— trzeci komikiem w jakimś małym teatryku.— Wolę tego, potyka się z losem z uśmiechem na ustach.

Jeden komik pamięta o swoich pradziadach dożach.

Obrazem mającym najwięcej życia z całej galerji Schiavoniego jest *Adam i Ewa* Tintoretta, obraz oślepiająco świątły i świeży. Ewa przypomina nieco Ewę Łukasza z Lejdy i Albrechta Dürera, tych pogan Północy, którzy stworzyli kobietę bardziej dla oczu niż dla serca.

Pan Schiavoni ma syna będącego malarzem, jak byli wszyscy Schiavoni prawie od trzech wieków. Nie posiada on śmiałości pędzla swojego ojca; zamiłowanie pewnych magnatów do *sztuki oglądzonej* na zawsze już go zgubiło; maluje

porcelanowe Madonny powstrzymując swój pędzel, jak nieśmiały jeździec powstrzymuje konia. Zresztą jest on człowiekiem rozsądnym, pracującym dla majątku, nie żądającym sławy Starego Schiavoni z warunkiem wiecerzy z róż.— nawet w towarzystwie Hijacynty.— Odznacza się w robieniu obrazów Bellini'ego, nawet i Giorgione, którym brakuje tylko ich podpisu. Gdy mu się wydałem bardzo rozkochanym w utworach tych dwóch wielkich malarzy, przyrzekł mi w kilka dni zrobić Madonnę jednego i Djanę drugiego. W Wenecji to szczególnie stoi na najwyższym stopniu sztuka podrabiania starożytnych mistrzów. Są tam nowoczesne pracownie, z których nie wyszedł nigdy żaden oryginał. Wywożą ztąd co rok sto Tyejanów, pięćdziesiąt Giorgione, sto Weronezów, i pięćdziesiąt Bellinich kontrabandowych. Przybywając do Wenecji spotykamy wszędzie malarzy ze złotego wieku; lecz wkrótce rozdrażnieni kopjami nie chcemy ich poznawać nawet w ich własnych utworach.

Pan Schiavoni zapytał mię niedbale czy są jeszcze we Francji malarze zasługujący na sławę. Próżność próżności! Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć; miałem ochotę wychwalać p. Bidault i pana Pingret. Odpowiedziałem poważnie wymieniając panów Delacroix i Ingres. Prosił abym mu powiedział czy robią figury czy krajobrazy.

Miałem kilka razy, mówił dalej, ochotę posłania moich obrazów na wystawę do Paryża; lecz, zważyłem, pocóż szukać tak odległej sławy?

Ten człowiek miał słuszość: zdobycze gienju-szu nie takie jak zdobycze wojenne, nie chcą gi-nać w przestrzeni; im trzeba tylko małego miej-sca na słońcu. Iluż to malarzy, ilu poetów pi-sze swe poemata tylko dla małej liczby wznio-słych umysłów, gardząc okrzykami tłuszczy!—tłuszczy, któraby się zawsze myślała, gdyby jej błę-dnego zapachu nie pociągał od czasu do czasu u-święcający zapach monarchów myśli.

Pan Schiavoni ze smutkiem wspominał mi o trudności dostania modelów: oddawać się duszą i ciałem pierwszemu lepsze-mu gondoljerowi jest rzeczą przyjętą pomiędzy dziewczętami ludu; lecz odkryć sobie szyję, ramię lub nogę w pracowni, uznają one za rzecz siebie niegodną. Chcą aby miłość zrywała przepaskę dla swobodnego im przypatrywania się; lecz boją się pożądlivosti wzroku, jak mówił święty Paweł. One, które się nigdy nie rumienia, zarumieniłyby się roz-bierając się poważnie dla pozowania jako Dyjanna, Magdalena pokutująca lub Nimfa leśna. Nie można inaczej zmusić Wenecijanki do służenia za model, jak zrobiwszy jej wprzód miłosne oświad-czenie. Uczucie jest ogniem wesela oczyszczają-cym ciemne mgły namiętności.

Pan Schiavoni prosił mię abym go odwiedzał; przyrzekł mi także odwiedzić mię w Paryżu. Przyrzeczenia w podróży! Oddajemy się sercem i duszą na godzinę; po godzinie, już się prawie zapomniało nawzajem o sobie. Nie miałem cieka-wości pójść do pana Schiavoni'ego: przeczyta-

łem jego księgę aż do końca; bez wątpienia, że jeżeli przybędzie do Paryża, nie będzie miał czasu ukłonić mi się na ulicy, a i ja także jemu.

## XI.

### Zapomniana tancerka.

**S**POTKAŁEM pannę Taglioni w dawnym pałacu Grimani na listowej poczcie. Nie była już ona tam ślicznem widziadłem zstępującem z nieba Opery; tą kobietą, w tańcu jakby przypominającą sobie owe czasy, w których miała skrzydła. Młodości! młodości! dla czego, jak od innych, uciekasz i od tych, co przykładały do ust twój złoty puchar, co nierozważną dłonią rozrzuciły wszystkie wonne kwiaty miłości, co żyły całym urokiem poezji! Panna Taglioni nie jest już tą wykwiintną *Cyganką* (artystką prowadzącą swobodny żywot) w sztuce Camargo, wdziękiem dorównywającą upojeniu; jest obywatelką, która płaci duży podatek, rządzi swemi ziemnemi majątnościami i domami, chce mówić pałacami: ma ich trzy czy cztery w Wenecji, co stanowi wartość jednego domu na ulicy Saint-Denis.

Tego dnia panna Taglioni stała pod biórem pocztowo-listowem, czekając nim przyjdzie na nią

kolej, stała z innemi jak pierwsza lepsza śmiertelna istota, chociaż była boginią i sylfidą! Czekalem także i razem z nią posuwałem się w natłoku.

Przyszła z kolei do bióra i z miną nieco tajemniczą i zakłopotaną wybąknęła: *Marya Taglioni*.

Próżność i wszystko próżność! urzędnik na oczekującej poczcie nie znalazł tego sławnego nazwiska. Podczas gdy szukał listu pod literą T, ścisnęła go wzrokiem i przed nim chciała wyczytać. Cała jej dusza była w liście, który miała otrzymać. Cóżby jej miał powiedzieć?— Że ją zawsze kocha.— To się jeszcze mówi.— Ze poszedłby za nią na koniec świata?— To już się nie mówi.

Wszakże można było mieć nadzieję tylko na trzech czy czterech zostających listach. Bióralista przepatrywał jeszcze bardziej powoli, jakby zgadując udręczenie oczekującej. Rączką w świeżej rękawiczce oparła się z niecierpliwością o brzeg okna. (We Włoszech wszystko się odbywa na ulicy lub w oknie).

— *Niente*, odezwał się nagle bióralista.

Słowo te przeszło sztyletem serec tancerki. Odstąpiła zwolna od okna sama nie wiedząc gdzie się ma udać. O! biedna czarodziejko, któraś straciła swą złotą łaskę! przed dziesięcią laty kto inny oczekiwał na listy; dzisiaj mszczą się nad tobą za wszystkich, którymś kazała oczekiwać; takie to dzieje wszystkich miłości.



W ludzkiej dolinie głos mężki przywołuje niewiastę najprzód bez echa:

Saro!

Saro!!

Saro!!!

W końcu, będąc uwielbiana największa nawet bogini, otwiera oczy i odpowiada jak echo:

Saro!

O!

Wreszcie głos przyzywający z takim uczuciem umilka powoli; słyhać tylko smutne echo przerywające ponure milczenie, jakiś krzyk boleści, krzyk osierocenia:

O!

O!!

O!!!

Tak, w takim to stanie znajdujemy wszystkie te boginie, które tańczyły pod niebem teatralnych dekoracji.

## XII.

### O niebezpieczeństwie obiadowania w Wenecji.

**Z**APOMNIAŁEM wam powiedzieć w jaki sposób je się obiad w Wenecji. W dzień naszego przyjazdu długi czas szukaliśmy gościnnego stołu.

— Na serjo jestem niespokojny, rzekł do mnie mój filozof niemiecki, gdyż zaczynam myśleć, że w Wenecji tak żyją jak się ubierają — powietrzem.

Jeździliśmy z jednego kanału do drugiego, badając cheiwym wzrokiem wszystkie domy. Wszędzie w Wenecji sprzedają chleb i owoce; lecz choć bardzo są rumiane skorynki kukuruzowe albo muszkatowe rodzynki, nie mieliśmy najmniejszego apetytu do tego zielonkowego posiłku. W podróży, z apetytu, jesteśmy anglikami. Przebyliśmy pięćdziesiąt mostów, od pałacu książęcego udaliśmy się do Rialto, z Rialto do arsenału, gdy w tem Opatrzność nie opuszczająca nigdy ludzi dobrej woli, przedstawiła naszym oczom cudowne ogłoszenie, na którym były nadrukowane te wymowne słowa: *Piotr Marseille traktyernik*. Byliśmy wkrótce w pałacu Piotra Marseill'a.

Dano nam dwa bifsztyki, cztery kotlety, dwoje kurecząt i dwie butelki cypryjskiego wina. Nie liczę leguminy i deseru, ani dobrego humoru służących do stołu maleców.

— Czy podróżujesz jako filozof czy jako artysta? zapytał mię mój towarzysz.

— Podróżuję, odrzekłem, bez żadnego postanowienia. Zkąd to zapytanie?

— Ztąd, iż ten obiad zakończy się zapewne strasznym rachunkiem.

Nadszedł i rachunek: Piotr Marseille nie ma

ani pióra, ani atramentu; jego *piccoli* robią rachunek z pamięci. Zaprosili u nas cztery ewan-gygiery (3 franki i 8 su) za obu! Postanowili-smy mocno nigdy tam nie wracać,—gdyż dwa bifszteki, cztery kotlety, dwoje kureząt, dwie bu-telki wina cypryjskiego za trzy franki i ośm su! jest to mniej niż darmo, a ja mam zwyczaj pła-cić za obiad.

—Czy tu czasami je kto obiad? zapytałem je-dnego *piccolissimo*, który dla naszej zabawy przy-niósł całe gniazdo kotów.

—*Si, signor.* (Tak panie)

—Cóż chcesz rzekłem do filozofa, i drudzy tu przed nami jedli obiady.

---

## XIII.

### Drażliwa kwestya.

---

**P**OSZLIŚMY na granity do kawiarni Florjana, sławnej już za czasów Rzeczypospolitej, gdzie do-tąd cały wielki świat Wenecji zatrzymuje się wieczorem wśród dymu cygarowego i cieka-wości cudzoziemców.

W tej to kawiarni pewnego wieczora spotkał Montesquieu Lawa ze sławnym jego brylantem i

dziwaczyni teorjami. »Czemu, zapytał go prezydent, nie spróbowałaś przełamać oporu parlamentu, będąc dawcą milionów?— Bo Francuzi, odrzekł Law, jeżeli nie są tak wielkimi gienjuszami jak moi współrodacy, to są (aż do dzisiaj) daleko mniej przedajnymi.« Co mówicie o tym nawiasie Lawa? Montesquieu ztąd wychodzi, twierdząc, że rodzaj rządu spowodowywa cnoty lub występki narodów. »Społeczność swobodna tylko chwilowo, musi lepiej się opierać przedajności, niż ta która ciągle jest wolną; pierwsza sprzedając swą swobodę traci ją; druga tylko pożyczka i wycięza zastawiając.« Wenecja tę drugą jeszcze nastręczyła uwagę Montesquieu'emu: »Widziałem galery w Wenecji, nie masz tam ani jednego smutnego człowieka. Starajcie się więc włożyć sobie na szyję łańcuch, aby być szczęśliwymi!«

Podano nam kawę w pośrodku placu Świętego-Marka, pomiędzy marzącym Turkiem i rodziną wenecką. Rodzina ta składała się z matki, dwóch córek i z męża lub narzeczonego. Tu podam drażliwą kwestyę pod sąd publiczny. Mąż,— a był to mąż w samej rzeczy,— palił niedbale, odpowiadając od czasu do czasu na pytania dwóch siostr, które tu przysły szczególnie dla jedzenia zamrożonych owoców.

W tém małżonek otrząsa cygaro i kilka skierpada prosto na okazały biust jego żony (ogień zatrzymał się na pagórku). Powstała z przestra-

chem, mąż nie rozumiał co to znaczyło— ja się rzuciłem— i, zgasilem ogień.

Tem razem mąż powstał i zaczął do mnie mówić złą francuzczyzną; odpowiedziałem mu również złą włoszczyzną i obaśmy się zgoła nie rozumieli.

On przemawiał jeszcze głośniej, ja odpowiadałem tymże tonem, a żona tłómaczyła mu mój ruch »tak naturalny;« gdyż wreszcie »czyż było stosowniej dozwolić mi spalić się żywej?«

Była to komedja jak można najbardziej wenecka: wszysej na nas patrzali, wszysej się śmiali, szczególnie młodsza siostra. Jeden tylko mój niemiecki filozof zachowywał swą melancholiczną powagę.

Powstał wreszcie dla uspokojenia tego niespodzianego otella. Jego powaga śmieszniejszą jeszcze była od samego położenia.

— Signor...

»Obrażony« małżonek parsknął ze śmiechu i zapalił cygaro.

Zaczynam uważać iż trzeba mi będzie w Wenecji mówić po włosku. Jakąż to włoszczyzną będę rozmawiał z tymi wszystkimi Niemcami i Anglikami? Owidjusz był zmuszony mówić jak Scytowie, aby się dać zrozumieć; Racine podróżując po Langwedocji, powiadał: »Jestem narażony na zapomnienie tej francuzczyzny, której trochę umiem.« Co do mnie, darmo się staram,

nie mogę się powstrzymać od mówienia po francuzku (1).

Kraina Goldoni'ego lubi teatr. *La Fenice* rywalizuje z *la Scala* i *San Carlo*. Wszakże Medjolan i Neapol prześcigają ją, gdyż więcej jest pieniędzy w tych dwóch miastach wiecznie żywych. Zdawało mi się nieraz w teatrach Weneckich żeś był świadkiem przedstawień dawanych przez cienie dla jakiegoś marzyciela przypadkiem pozostałego na nogach na ruinie świata. Zdarzyło mi się dnia pewnego gdy przedstawienie prawdziwe, odbywało się na wodzie, być prawie samemu jednemu na komedji. Wyszedłem wstrząsając całuny umarłych wieków.

Co do karnawału Weneckiego, wyobraźcie go sobie jako pochód widm śpiewających *De profundis* nad wszystkiem co było pięknem i kochanem w Wenecji, gdy ona była królową świata.

---

(1) Rasyń wdawał się niekiedy w *concetti*; obaczcie tylko jego wiersze napisane w podróży:

*Noc puściła skrzydłom wolę;*

*Księżyc w bladym czole*

*Zasiadł na srebrzystym tronie*

*I gawędzi w gwiazd tych gronie.*

Są to na czysto wiersze z holetu Rambouillet. Gdy wielcy poeci chcąc się uczynić małymi, robią jak Herkules przedzący u nóg Omfali, łamią wrzeciono.

## XIV.

## Wenecja przed stu laty.

**P**RZED stu laty Wenecja miała jeszcze swojego dożę i swoje kurtyzanki, karnawał i gondoljerow;— posiadała jednego malarza żyjącego,— prawda że kobietę,— lecz ostatni kwiat, ostatni uśmiech weneckiego malarstwa, Rozallę, której cudowny blask, zagłusza prawie dziwy La Tour'a.

Przed stu laty prezydent de Brosses, podróżując z Sainte-Pelage pisał: »Nie masz tu (w Wenecji) więcej malarzy, lecz w pałacach jest jeszcze dosyć malowideł do pokrycia oceanu. Ja i Sainte-Pelage nie pomyślimy nigdy o śniadaniu, nie wziawszy wprzód na sumienie czterech obrazów Tycjana i dwóch sufitów Weroneza. Co do robót Tintoretta, to ani można pomyśleć o ich wyczerpaniu. Musiał ten człowiek mieć *una furia da diavolo*.«

Już pojęcia o sztyletach weneckich były tylko w obiegu pomiędzy włóczęgami Francji i Nawarry. Dopiero ani jednego pojedynku, ani zabójstwa; zaledwie trzech czy czterech dobrych chrześcijan do roku wpadało do morza; i to jeszcze obżalowane żony twierdziły, że ich nierozsądni małżonkowie wypiwszy wina Cypryjskiego *upadli na ulicy*.

Zazdrość wenecka była także paradoxem; brakowało czasu do zazdrości. Zresztą wspólność dóbr rozciągała się na cały ród aż do trzydziestego szóstego stopnia. »Pomiędzy szlachtą, skoro dziewczica zostaje zaręczoną, powiada prezydent, wkłada maskę, i nikt jej nie widzi oprócz narzeczonego lub tych, którym on ją widzieć pozwala, co się rzadko zdarza. Po wyjściu za mąż staje się wspólnym sprzętem całej rodziny; niezły wynalazek, usuwający powód do ostrożności i zapewniający zawsze potomków czystej krwi. Często dostaje się w udziale młodszemu bratu nosić nazwę męża; lecz jeszcze musi być koniecznie kochanek; ubliżałoby to nawet niejako kobiecie, gdyby nie miała przyznanego sobie publicznie adoratora.« Oto dla czego szlachta wenecka poczynająca się w piątym wieku doszła aż do nas bez przerwy; mąż mógł być nieobecnym; zdarzało mu się nawet niekiedy podróżować po odległych morzach w służbie Rzeczypospolitej, a rodzina nie traciła na tej jego nieobecności; po powrocie znajdował mnóstwo małych dzieci. Z początku chciał wątpić, czy ta dziatwa rzeczywiście jego była; lecz nie można było wątpić, w Złotej księdze Wenecji zapisano ją pod jego imieniem.

Przed stu laty gondoljery śpiewali wiersze Tassa i Arjosta, gdyż przed stu laty wozili w gondolach zakochane pary. W pałacu swoim patrycjusz miał nieograniczoną władzę, lecz gondola była uświęconem schronieniem. »Rzeczą jest nie-



słychaną aby gondoljer pani dał się przekupić panu; nazajutrz utopiliby go jego towarzysze.« Była to podróż do Cytery, Watteau; namiętność zrodzona z białej morskiej piany kołysała się rozkosznie na morzu w gondoli całej z axamitów, jedwabiów i złota. Dziś znajdują się jeszcze gondole, lekkie, wysmukłe, pływające jak rekiny, lecz droga do wyspy miłości zatracona.

Przed stu laty karnawał trwał pół roku. Przez sześć miesięcy, dożowie, arcybiskupi, panowie, księża, ambasadorowie nie mogli wydalić się z miasta, nie mając maski w rękę lub na nosie; pogańskie bachanalje panowały w pałacach, kościołach i klasztorach; wszyscy po trochę oddawali się djabłu, choćby tylko dla niewysłowionej pociechy powracania do Boga. Dziś nikt się nie oddaje ani Panu Bogu, ani djabłu; są jeszcze maski, lecz nie ma karnawału. Namiętność tworzyła nierządnicę, dziś je tworzą pieniądze. Były teatry, w których się objawiał duch Wenecjan w dowcipie i muzyce; od czasu jak się tam rozlega po ulicach austriacka muzyka i austriacki dowcip nie masz już ducha narodowego.

Przed stu laty plac S. Marka był »brukowany nierządnicami,» jak piekło dobremi chęciami: dziś po nim biegają tylko gołąbki. Jak w Paryżu psy, tak w Wenecji spotyka się gołębie. Wiadomo, że w dawnych czasach, na Wierzbną Niedzielę, było we zwyczajpu puszczać, z nad facjaty gmachu Świętego-Marka stado go-

łębi z małym zwitkiem papieru przy nogach, co po chwilowem mocowaniu się w powietrzu, zmuszało do opadnięcia na dół." Lud rzucał się na gołębie i na wieczerzę skręcał im karki. Było to w rodzaju rosołu z kury Henryka IV. Zdarzało, iż co rok trzy czy cztery gołębie zdołały się ocalić z tej rzezi Świętego-Bartłomieja i uciec na ołowiany dach książęcego pałacu, jakby pocieszając się nadzieją z więźniami. Rozmnożyły się później nieskończenie. Rozczulona Rada dziesięciu wydała postanowienie, iż będą karmione kosztem rzeczypospolitej. Dziś już nie ma więźniów pod ołowiem, a gołębie przyswojone przechadzają się niedbale w mankiecikach po placu Sgo Marka, jak wystrojone w niedzielę mieszczki.

Przed stu laty sztuka i zbytek panowały jeszcze w Wenecji. Tracono fundusz po królewsku na pozłotę lamperji, sufitów i ram pałacowych. Ciekawy też był los nieprawych dzieci lub sierot opuszczonych przez rodziny i zdanych na opiekę Rzeczypospolitej. Wybudowano dla nich domy przytułku, w których nie miały innych obowiązków oprócz opiewania chwały Boga i chwały Wenecji. I tak w tych domach przytułku był jakby nieustający koncert anielski. Serafimowie rajy Świętego Piotra, nigdy wam w waszych marzeniach nie dały pojęcia o tej świetnej muzyce. Wszystkie one były piękniemi, gdyż gienjusz sztuk uwieńczał ich skronie, i świecił w ich źrenicach. Ubiera-

ły się w bieli, a we włosach nosiły bukiet z granatów. Grały na skrzypcach, fletach, organach, obojach i wiolonczelach. »Największy instrument ich nie zastrasza; ich głosy dla wprawy i lekkości są precudowne. Zabetta szczególnie zadziwia rozciągłością i mistrzowskim wyrobieniem swego głosu. Co do mnie, nie wątpię, iż polknęła skrzypcę Somis'a.»

Przed stu laty zaczynano już opuszczać swoje pałace, czując się w nich zbyt małymi;— tak nasi dziadowie opuszczali swe zamki z wieżycami;— dziś nie ma prawie weneejan w tych pięknym wsehodnich pałacach. Weneejanami dziewiętnastego wieku są na wpół zrujnowani Rosjanie i Anglicy, mieszkający przez oszczędność w tych książęcych siedzibach. Księżna Luchesi Palli,— pierwiej księżna Berry, jest dziś królową Wenecji. Panna Taglioni bogatsza od niej, lecz ze swojemi trzema czy czterma pałacami jest zawsze tylko boginią operową.

Przed trzystu laty nie ubierano się codziennie w Wenecji; spójrzcie tylko na kurtyzanki Tyccjana; przed dwiestu ubierano się z niesłychanym zbytkiem: zapytajcie Pawła Werończyka; przed stu ubierano się w płaszczach i perukach, broniąc się od letnich upałów; dziś ubierają się tam, jak w Paryżu.— O kraino draperjowego i teatralnego stylu! o ojczyzno ognistej palety!

Przed stu laty inkwizycya zaledwie miała tylko cień władzy, gdyż jej sprawiedliwość nie by-

ła już ocieniona tajemnicą. Naprzeciw tego obrzydliwego sądu rada dziesięciu umieściła trzech najwyższych sędziów. Skoro inkwizycya pokazywała swe szpony, jeden z trzech sędziów powstawał z miejsca i zawieszał wyrok. Ze swej strony Rada Dziesięciu była bardzo dobroduszną; obwiniony musiał być bardzo wielkim zbrodniarzem dla zasłużenia na zamknięcie w podziemiu lub pod dach ołowiany. Dziś sprawiedliwość Wenecka, mając do czynienia z Silvio Pellico, chciała po raz ostatni uświetnić lochy i ołowiane poddasza książęcego pałacu (1).

Więzienia Weneckie, które dały powód do wielu rozpraw i do kilku tragedij pięcio-aktowych, nie są ani zbyt wysoko, ani zbyt nisko. Lochy nie znajdują się pod wodą; *ołowiane poddasza* nie w obłokach. Lochy są więzieniami, w których i bardzo można mieszkać—mając melancholiję. Rzeczpospolita niecheąca śmierci grzesznika wyłożyła je deskami dla zabezpieczenia od wilgoci. *Ołowiane poddasza*, są rodzajem poikoików na poddaszu, z których widać najpiękniejszą na świecie panoramę, to jest Wenecję pływającą na z pięćdziesięcią otaczającemi ją wyspami. Kazanowie źle tam było, gdyż Kaza-

---

(1) Jest jeszcze do dziś dnia stróż więzienia chlubiący się tém, iż zaniósł Sylwuszowi Pellico płaszcz, gdy ten szedł na sąd. Jest to stary napoleonista, z płaczem wspominający więźnia na wyspie Świętej Heleny, lecz bez wzruszenia pokazujący powierzonych sobie więźniów.

nowa nie był marzycielem (1). »Lecz prezes trybunału weneckiego, hrabia Hosemberg, który mieszkał na owem poddaszu, napisał w dzienniku, iż wielu swoim czytelnikom nie życzy lepszego mieszkania (2).»

Przed stu laty w Wenecji zgoła nie obiadowano i nie wieszano. Pokoje jadalne były malowane przez Bassano lub jego uczniów; widziano w nich rozrzucone najpiękniejsze owoce, najrzadsze myśliwskie i rybackie trofea, lecz na stołach nie było prawie czego na żąb położyć. Wzrok tylko jadł obiad. »Wenecjanie z całym przepychem, i pałacami, nie wiedzą, co to jest dać komukolwiek wieszanie. Byłem na *roz-mowie* u prokuratorowej Foscarini. Za cały posiłek o godzinie trzeciej, to jest o jedynastej wieczorem podług francuzkich zegarów, dwódziestu lokajów przyniosło na srebrnym półmisku ogromną dynię pokrajaną w kawałki, ochrzczone imieniem kawona, przysmak najobrzydliwszy na świecie. Przytem był stos srebrnych talerzy, wszyscy się rzucili na kawałki dyni i o pół nocy wrócili do siebie na wieszanie.» I dziś się

(1) Wiadomo, że Kazanowa nie chciał czytać *Pociechy*, Boecjusza, gdyż nieznajdował w tém dziele żadnego wskazanego środka do uciezki.

(2) Valery. Ten sam podróżnik podziela nasze zdanie o dawnym weneckim rządzie: za przybyciem Francuzów w 1797 roku, gdy lista skazanych za przestępstwa polityczne została otwartą, znaleziono tylko czterestu od początku stulecia.

to nie odmieniło:— zawsze są srebrne półmiski i kawony, z tą tylko prawie odmianą, iż pewnego wieczora podano mi na półmisku pozłacanym normandzkie jabłko. Jabłka normandzkie są w Wenecji nader poszukiwane. Widziałem nie jedną wielką panię kęsającą je białymi zębami,— jak gdyby były owocem zakazanym.

Przed stu laty, Alfred de Musset zakochany wówczas w Grenadzie i w Wenecji, śpiewał swym srebrnym głosem:

W kraśnej Weneci,  
Usnęły łodzie,  
Rybak na wodzie,  
Nie świeci.

Teraz dziewica,  
W blasku księżycy,  
Czeka młodziana,  
Wsluchana.

Bal się gotuje,  
Każda się stroi,  
Przed lustrem stoi,—  
Maskuje.

Niech z dołów wieży,  
Zegar czas mierzy,  
Znudzi się stary,  
Bez miary.

My liczymy sobie,  
W usta rumiane,  
Całusy dane,  
W tej dobie.

I wdzięki twoje,  
I tych łez zdroje,  
Coś gdy kochała—  
Przełała.

Dziś najśmielsi śpiewają w gondolach hymny na cześć papieża Piusa IX—reformatora.— Świat nie wiele się zreformował od stu lat. Duch ludzki, podobnie słońcu, oświeca od razu tylko jedną połowę kuli ziemskiej,— albo jak morze, traci z jednej strony to co zyskuje z drugiej. Rzym nieco swobodniejszy niż był przed stu laty, lecz gdzież jest Rzeczpospolita wenecka? W tabakierze Metternicha.



## XV.

## Spacery w Gondoli.

**J**uż się nikt nie dziwi, jak dawniej, że wszystkie gondole jednostajnie pokryte czarnem sukniem nabijanem złotymi świeczkami. Był to kolor Rzeczypospolitej żywej, a dziś jest umarłej.

Umarli tylko jedni mają wyłączne prawo kazać się wieźć na cmentarz w gondolach czerwonych, to jest żałobnego koloru Rzeczypospolitej— koloru krwi.— Jest to ostatnia podróż. Nie ma sporów o czerwone gondole.

Malibran nie lubiła czarnego koloru, gdyż był on dla niej przeczuciem mogiły. Ośmieliła się dnia pewnego wypuścić przed Piazzetą gondolę szarą. Zrobiła się istna rewolucya. Biedna Malibran została po raz pierwszy w życiu wygwizdaną.

Nie ma nic miłszego dla leniwego umysłu, jak podróż bez celu w tym labiryncie nazwanym Wenecją, Nicją Ariadny jest gondoljer. Kołyszymy się niedbale opanowani przez najdziwniejsze marzenia. Moznaby powiedzieć, że się podróżuje po za grobem w krainie przez duchy zamieszkancej. Za ledwie budzi nas na rogu ka-



źdej ulicy harmonijny krzyk gondoljera:— *Castellani-Nicolotti*. Charon nie więcej był milczącej w swej acheronskiej podróży.

Gdy będziecie w gondoli nie zapomnijcie o spacerze do Chioggia, gdzie bije jeszcze serce Wenecji, dokąd nie jeden członek rady Dziesięciu udawał się pod sekretem dla zapomnienia o trybunale w miłosnych uściskach; dokąd wędrował Tycjan, aby znaleźć swe realne postacie; gdzie Leopold Robert układał swą grupę rybaków, a Goldoni zbierał charakterystyczne rysy do *Gare Chiozzotte*. Nie zapomnijcie o wyspie Świętego-Łazarza dokąd udawał się Byron, aby się uczyć z Ormianami. Zakon pracowitych Mechitarystów jest może najzacniejszym ze wszystkich zakonnych instytucij. Współcześni reformatorowie obowiązani są dla sprostowania swych pojęć zrobić wycieczkę do wyspy Świętego-Łazarza. Nie znajdą tam jak w niektórych zakonach rozrzuconych po Europie bezowocowego wyrzeczenia się świata, Szatana pychy i dzieł jego. Ormianie żyją żywem życiem, w obec nieba i z nauką podnoszącą niespokojną duszę, a pocieszającą stroskane serce.



## XVI.

## Bachanalje na Lido.

**D**EWNEGO wieczora nie myśląc weale o tem przybyłem na Lido. Mój gondoljer miał tam miłą schadzkę, musiałem więc pojechać. Był to dzień Bachanaljów. Co miesiąc weneccanie witają nów na Lido dziwaczniemi tańcami, tarantelami roztrzepanemi, szalonemi, niemożebnemi, przy dźwięku warjackiej muzyki, w której skrzypce i pikulinki wyścigają się w ostrych tonach. Pijatyka, krzyk i rejwach ogromny. Bal w operze, co mówię! taniec la Courtille nie tak fiksacki i hałaśliwy. Cały lud tam wstrząsa swe łaachmany i swą wesołość. Gdy dziewczęta bez ducha poupadają na trawę zroszoną winem, mężczyźni tańczą pomiędzy sobą dopóki również nie poupadają. Nie było jeszcze malarza, któryby uświęcił sztuką te Bachanalje. O śliczni kochankowie Giorgion'a i Arjosta! poznacież Lido w tym obrazie, który zaledwie ośmielam się naszkicować, wy, coście chodzili marzyć na brzegu fal błękitnych tej poetycznej wyspy!

Lido dziś jest tylko wenecką rogatką Mont-Parnasse, z tą różnicą, że tu niebo piękniejsze i morze szumi uroczyście.

Weneccanie nazywają to bachanaljami, jak

wschody pałacu książęcego zowią wschodami Olbrzymów. O wyborni przechwalacze! Będąc nawet na Olimpie wśród uczyt bogów nie byłiby bardziej olimpijskiemi.

Pałace ich powiększej części są skromnemi domami prowincjonalnych mieszczan. Wschodów Olbrzymów, prawdziwy olbrzym przechodząc mimo, ani by spostrzegł; ich most Westchnień jest poprostu jedną arkadą. Bachanalje na Lidó są sielską ucztą, na której nie wypija się, ani kropli wina. Gdy szukacie domu Tyejana, znajdziecie ogrodową ścianę w uliczce bez przejścia nazwanej *Ciaśniną Gallipoli!* Wszakże w tych wszystkich ruinach ludzi i rzeczy jest coś wspaniałego i wzniosłego, tłumaczącego dobrze ów napis na grobie pewnego weneckiego patrycjusza, w którym się wyraża szlachetny żal z powodu konieczności zamiany własnego tytułu na tytuł wielkiego księcia Toskanji (1).

Nawet Facchini (rodzaj faktorów) rozprawiają o swém przedpotopowem pochodzeniu i swych herkulesowych pracach.

Turyści kazali wam strzedz się Facchini'ch. Barbarzyński to przesąd, złorzeczyć Facchini'm przedstawiając ich jako ludożerców. Facchino jest wesoły koleżka, żyje słońcem dopóki może (za cnoty sadzą go niekiedy do więzienia) zdzierra wszystkich najchętniej i urozmaica podróż.

---

(1) Wiadomo, że szlachta wenecka nie chciała się obciążać tytułami, jak piękne weneckianki brylantami.

Znieście Facchin'a, a Włochy zmieniają charakter; Facchino was rozwesela, drażni, podnieca. Widziano filantropów angielskich i postępowców francuzkich łatających kijem Facchini'ch za to, iż te biedaczyska chcieli im służyć zbyt szczerze. Zresztą po co tyle gniewu za kilka bajaków! Facchino ma za ledwie okruszyny ze stołu podróżujących po Włoszech. Wyznawając filantropję w Londynie a postęp w Paryżu, należy uszanować cierpiącą ludzkość tak Wenecji jak w Rzymie. Szczególnie w państwie papieżkim spotkałem pierwotnego Facchin'a. Zbliżając się w Ferrarze do pałacu pani Lukrecyi, kiechnąłem — zapewne z zachwycenia. — Facchino wystrojony, jak elegant podbiegł na moje spotkanie i rzekł: *Błogosław Boże!* z najuprzejmiejszą miną; a gdy mu się przez wdzięczność miał uklonić, wyciągnął rękę prosząc jednego *paolo* (jedynaście su). Za jego ukłon, za odczwanie się trzeba było zapłacić. Zapłaciłem najchętniej, zapytując o jego taryfę. Państwo papieżkie zaludnione uczeiwemi, podobnież trudniącemi się ludźmi; wiele gienjuszku potrzeba będzie Piusowi IX., aby tych żebraków przerobić na ludzi.

Gondoljer mój poradził mi zabawić się nieco widokiem Bachanaljów, podczas gdy sam miał pójść na stary żydowski cmentarz, gdzie był oczekiwany. Udałem się za zwiędłym wieńcem młodych swawolnie, biegających w tańcu i przywołujących grono podpiłych kawalerów, krę-

cących się dokoła trzech czy czterech butelek łożą oplecionych, z których każdą tancerze brali po kolei i przykładali do ust nie mając prawa zatrzymać się. Opuszczone biedne kobiety darmo wołały; galanci mieli już pocałunki tylko dla butelek. Wszakże były one piękne młodością i wesołością. Weroneze i Varotari upoiliby swe oczy widokiem ich złocistych włosów spływających po marmurowych ramionach.

Co za zbytek życia i namiętności! brakowało im tylko winogronowych wieńców. Ubrane były w jakichś pretensjonalnych łachmanach; na szyjach i na palcach miały szklane ozdoby z Murano; lecz szczególnie stroiła je ich młodość i ich swawola.

Znagła zostały rozproszone prawdziwym huraganem, to jest przez grono tancerzy, którzy wpadli na nie jak na świeżą zdobycz. Byli to dżicy Rzymianie, rzucający się jak za dni wojennych, na spłoszone Sabinki.



## XVII.

### Kochanka Lorda Byrona.



**D**NIA tego na Lido, w kole chwilowo założonych szyneczków, znajdowało się od dwóch do

trzech tysięcy Wenecjan przybyłych po to, aby brać udział w Bachanaljach lub się im przypatrywać.

Była to tłuszcza nader ożywiona i wielce malownicza. Od strony Wenecji wyspa została oblężoną przez barkarolów; od strony morza cały brzeg był pokryty kąpiącymi się. Zatrzymałem się przed przekupką z ostrygami, nie opodal od fortecy San Micheli (St. Michała) wy-ciosanej niby ze skały. Chciałem po raz pierwszy przekonać się czy ostrygi z Adrjatyku mają smak ostryg Ostendzkich. Ostrygi były doskonałe. Kupcowa wystawiała na pokaz resztki piękności poważnej, wzniosłej i wyrazistej; miała jeszcze cały blask swych pięknych oczu.

Gdym zjadał ostrygi hrabia de F\*\*\*, z którym spotkałem się w pałacu Barbarigo, stanął przede mną.

— Czy ci ona opowiadała swoją historję? zapytał mię.

— Swoją historję! Przeznaczenie więc bawiło się z kupcową ostryg?

— Przez sześć tygodni była kochanką wielkiego poety.

— Kochanką Byrona!

Posłyszała to czarodziejskie imię.

— Lord Byron, rzekła ze smutnym uśmiechem i płaczącym głosem.

— Wiesz co, rzekł do niej hrabia de F\*\*\*, opowiedz nam to w dwóch słowach. Będziemy jedli ostrygi przez cały ciąg twego opowiadania.

Kazała się nieco prosić.

— Dzieciństwo, przebaknęła podnosząc oczy do nieba, jakby dla wyczytania tam tego pięknego romansu z jej dawno zapomnianego żywota.

»Działo się to tutaj, bardzo dawno; tańcowałam jak oto tam tańczące; on spacerował konno na brzegu; wjechał aż do środka Bachanaljów. Byłam najbardziej rozswawolona on mię znalazł najpiękniejszą.

— »Daj mi to piękne dziewczę, rzekł do tego, z którym tańcowałam, daj ją, a obaczysz jak z nią potańczę na koniu!

»Mój tańcerz uchwyciwszy mię, rzucił w objęcia jezdca, który mię przycisnął do serca i śpiął konia ostrogami. Ach! co za niesforny taniec! Tak się bałam, aby nie spaść, zem się nie lękała o mą cnotę. Przytuliłam się do mojego jezdca jak łania pod drzewem w czasie burzy.

»Po raz to pierwszy byłam na koniu; zdawało mi się, że jestem na fali w czasie przyływu wód. Co chwila drżałam, bojąc się wpaść do morza. Powiadam panom: istna czarno-księżka powieść!

»Nadszedł wieczor, noc zaczęła nas otaczać cieniami, wśród galopu konia, ryku fal, słyszałam wesołe bachańskie śpiewy. Zsiadłam z konia do Gondoli całej w aksamitach i jedwa-

biach. A! co za droga!!— Lecz już panowie nie jecie?”

W samej rzeczy, pożeraliśmy tylko ów romans, który nam opowiadała w narzeczu weneckim, z pompatycznymi obrazami, jak gdyby Byron mówił przez jej usta.

Tak dalej ciągnęła:

»Wysiedliśmy na brzeg przy pałacu Mocenigo. Byłam uszczęśliwiona, przestraszona, nieprzytomna. Pałac, wielki pan, służba, gdy mię tymczasem oczekiwała matka na wieczerzę w naszej ciupie koło Rialto; matka zajmująca się sprzedażą ryb! Lokaje otwierali wielkie oczy, jak arkady książęcego pałacu; nie śmiałam przejść koło nich; lecz on, który już mię kochał, wziął mnie pod rękę i zaprowadził do swego pokoju.

»Zamknawszy drzwi, dał mi zaraz szal kaszemirowy i kazał mą suknię wyrzucić przez okno; czekał mię na wieczerzę, a nie chciał, aby moja biedna suknia znajdowała się na niej.

»W przykrym znajdowałam się położeniu. Miałam podartą mantylę, którą upuściłam pod nogi. Odszpiłam pasek, oddalając się pod cień firanek. Miałam postanowienie nie posuwać się dalej; lecz zaczął się niecierpliwić, rzuciłam więc i pasek na dywan.— Spiesz się, rzekł do mnie, czekam cię na wieczerzę.

»Nazajutrz ostrzegł mię, że gondola czekała na mnie przy drzwiach pałacu, aby mię odwieźć do matki.— Nie chcę ztąd wyjść, rzekłam do niego. Błagał, rozkazywał; byłam niewzruszo-



na.— Czyż to się ja kiedykolwiek ośmielę pokazać przy słońcu na Bialto? matkaby mię zbiła; lecz się nie matki, ale słońca lękam.— To więc, rzekł całując mię, pojedziesz wieczorem po zachodzie słońca.— Nigdy! zawołałam w uniesieniu.

»Przepędziliśmy dzień wesoło i smutnie. Jakże chcieć! on się ze mną i bawił i nudził. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć, chyba, że go kochałam i chciałam umrzeć dla niego— Panowie! panowie jeszcze kilka ostryg.

»Wieczorem wziął mię czule za rękę.— Bądź zdrowa, rzekł prowadząc z sobą, słońce już zaszło! bądź zdrowa, obaczymy się wkrótce!

»Nie umiałam się już dłużej opierać, dałam się prowadzić jak dziecko. Gdy byliśmy na ganku, dał mi znak, abym wsiadła do jego gondoli; gondoljer czekał na mnie z wiosłem w ręku.— Bądź zdrów! rzekłam stanowczo. Chciał mi podać rękę, lecz jużem była rzuciła się do kanału....

»Ale doprawdy, panowie nie lubicie ostryg!

»Pojmiecie łatwo, iż nie długo byłam w wodzie. On to mię wyratował. Gdy przyszła do przytomności, znajdowałam się jeszcze w jego pokoju; przyszedł doktor, a on podtrzymywał mi głowę z prawdziwie braterską czułością. Aż do łez był rozczulony mojem pożegnaniem w wodzie.— Margaryto, mówił z uczuciem, na zawsze zostaniesz u mnie.— Na zawsze! powtórzyłam smutnie. *Zawsze* lorda Byrona trwało sześć tygodni, sześć wieków, prawda, jeżeli się

wieki mierzą godzinami szczęścia. Co za dni rozkoszne! co za uroczystość serca! jakie lubie szaleństwo!

»Jeździliśmy co dzień w tej kochanej gondoli, w której ukrywałam me szczęście, do jakiej odległej wyspy, często na Lido, gdzieśmy znajdowali konia rżącego na nasze przybycie. O! jakże kochałam morze! mówiące mi o miłości i o śmierci!

»Gdy co do mnie mówił nigdy go nie rozumiałam. A przecież słuchałam z rozkoszą. Słyszę jeszcze głos jego. Zdaje się, że zrobiłam piękny czyn, rzucając się do wody, gdyż często mi powtarzał, że w całej Anglii nie znalazłby, ani jednej kobiety, któraby to tak dobrze zrobiła.

»Zresztą nie odnawiałam już tego, i wołałabym być skazaną na sprzedawanie ostryg i ryb przez trzy czy cztery wieki, niż wypić w wodzie jeszcze jeden haust.

»Mam-że wam opowiadać koniec? Wiecznie ta sama historja, koniec nie wart początku. Po sześciu tygodniach prosił mię, abym poszła mieszkać z matką, przysięgając, że jego pałac zawsze dla mnie będzie otwarty. Oczekiwał jakiegoś ambasadora, a nie mógł go przyjąć w mojem towarzystwie. Tęm razem szłam sama do gondoli.... i nie rzucałam się do kanału....

»Widywałam go potem bardzo rzadko; kochał mię bardzo, zapomniał prędko. Pewnego dnia nie wpuszczono mię do pałacu Mocenigo; nazajutrz przysłał mi pełną kieskę złota. Byłam

blisko matki przed pałacem Grimani. Rzuciłam kieskę do kanału, pobiegłam do domu, a uwolniwszy się z jedwabnej sukni i podarłszy koronki, ubrałam się w starą matczyną suknię, tak oto jak jestem.... Sprzedawałam ryby i ostrygi.... Podałam się losowi, zamykając książkę na najpiękniejszej stronie. Cóż chcecie! nie umiałam czytać.”

Słuchaliśmy jeszcze.— Panowie zjedliście tylko pięćdziesiąt i trzy. Po pół cwancygiera za ostrygę: razem, dwadzieście siedm cwancygierów.

To były jej ostatnie słowa. Znaleźliśmy, że ostrygi nieco za drogie.— Summa była dowolnie zliczona, lecz zapłaciliśmy nie uskarżając się.

Ta kobieta sprzedająca ostrygi w swoim czasie miała także poezję. Byron, ów najwyższy gienjusz, nie miał nigdy tak pięknego natchnienia, jak Margarita, żegnająca go i rzucająca się do morza. Uczucie tworzy poetę.

Ze wzrastającą ciekawością przypatrywałam się tej kobiecie, która się okazała nieporównaną kochanką, a która nie miała w sobie już nie kobiecego, opuściwszy raz wonne wybrzeża młodości, i gdy żądza zysku pozbawiła jej usta świeżości.

Byron spisał kilka ustępów ze swej historii z Margarytą. Opowiadanie jego nie zgadza się we wszystkich punktach z opowiadaniem tej burzliwej heroiny. I tak nie powiada, iż sam

ją ocalił. Oto zresztą portret Margaryty przez samego Byrona odmalowany:

„Wzięła nade mną przewagę, której ją często chciałem pozbawić, lecz którą zawsze zachowywała. Ta przewaga co była w jej czarnem oku, w ponurej i wyrazistej twarzy; miała charakter weneckanki w mowie, w myślach, w układzie i w swjej naiwnej trzpiotowatości. Przytém nie umiała ani czytać, ani pisać, nie mogła przeto mię męczyć swemi listami. Dwa wszakże otrzymałem, które kazała napisać notarjuszowi, gdym był chory dnia pewnego. Dumna, rozkazująca, harda, robiła z nałogu co się jej podobalo, nie myśląc o czasie, o miejscu lub obecnych osobach; a gdy pałacowe kobiety chciały się jej sprzeciwić, biła je.

„Gdym się z nią poznał, byłem w *relazione* (stosunku) z panią \*\*\*, która spotkawszy ją dnia jednego, była tak niezręczną, iż zaczęła się na nią odgrażać, gdyż słyszała o naszym spacerze na koniu. Margarita zerwała jej woal i zakrzyczała:— Nie jesteś jego żoną i ja ją nie jestem! Jesteś jego kochanką i ja jestem jego kochanką! Jakie przytém masz prawo robić mi wymówki? Czy to moja wina, że mię kocha więćej niż ciebie? Jeżeli chcesz go mieć tylko dla siebie, to przyszyj do spodnicy. Lecz, że jesteś bogatszą ode mnie, nie myśl, abyś mogła zagadywać do mnie bez odpowiedzi! Po tym wymownym ustępie, oddaliła się, zostawując signorę otoczoną licznem zgromadzeniem, rozprawiającem o ich grzecznej rozmowie.

„Przychodziły jej do głowy tysiączne nedorzecznosci. Ślicznie wyglądała w swojem *faziolo*: chciała mieć kapelus z piórami; wszystkie moje dowody dla zapobieżenia temu śmiesznemu przebieraniu się były nadaremne. Potém chciała mieć ubiór wielkiej pani. Potrzebowała sukni z ogonem; wszelki opór był niepodobny, i wszędzie ciągała za sobą swój przeklęty ogon.

„Kochała mię gwałtownie. Pewnego dnia jesienną porą, gdym jechał z mymi gondoljerami do Lido, zaskoczyła nas burza i groziła niebezpieczeństwem. Gondola była pełna wody, straciliśmy wiosła, a morze się burzyło; padał deszcz ulewny, noc nadchodziła, wiatr nieustawał. Wreszcie po wielkich wysileniach wjechaliśmy na powrót do Wenecji i ujrzałem Margarytę na stopniach pałacu Mocenigo ze łzami w oczach, z rozpuszczonemi na piersiach włosami, całą zmoczoną deszczem. Przy bladej twarzy i wzroku błędzącem po morzu u jój stóp ryczącem, podobna była do Medei zeszlęj ze swojego wozu, lub do bogini burzy. Nie było ani jednego żyjącego stworzenia, dla powitania naszego przyjazdu. Ujrawszy mię nie przybiegła do mnie, jakby się tego należało oczekiwać, lecz zakrzyczyła: *Ahl cun della Madonna, na esta per andaa all' Lido*. Potem biła wszystkich, gondoljerów i służących.”

Byron nie mówi czy i sam został olity. W teatrze, nie każdy kto chce jest wygwizdany, powiadał Wolter.— W miłości nie każdy kto chce jest bitym, mówił Byron.

Powróciliśmy do Wenecji zupełnie noeną porą, przy ślicznym świetle księżycy. Nie mówcie mi o Kolozeum przy świetle księżycy. Najpiękniejszym noenym widokiem we Włoszech jest Wenecya ze swą ciszą, swą wschodnią powierzchownością, ze swymi pałacami przeglądającymi się w wodzie, z osamotnioną gondolą, srebrzystemi topolami i uroczystością świątyni. Księżyc jest słońcem ruin. Przy tém to zgaszonem słońcu trzeba dziś oglądać to gasnące miasto.



## XVIII.

## Z a l o t n i c e .

JAN Jakób Rousseau mówiąc prawdę był ambasadorem w Wenecji, gdyż pan de Montaigu, oprócz pensji wszystkie czynności zdał na sekretarza. Czemu to w *Wyznaniach* nie znajduje się ani jedna karta poświęcona dla odmalowania miasta dożów, tak jak się ono wydało filozofowi Genewskiemu? Ani słowa o Tycjanie, ani słowa o Weronezie, o pałacach i obrazach. W siedemnastym i ośmnastym wieku literatura nie zajmowała się sztuką. Winckelmann powiedział: »Autorowie nie są już w stanie mówić o obrazach i posągach, jak pielgrzymi nie są w stanie dać opisu kościoła St. Piotra w Rzymie.» Miano wiarę, nie miano oczu. Jan-Jakób umiał patrzeć tylko na góry, lasy i jeziora. Trzeba wszakże wyznać, że Rousseau farbami Padewczyka odmalował portret zalotnicy weneckiej; patrzcie:

„Widzę przybliżającą się gondolę.— Strzeż się, oto nieprzyjaciel. Gondola przybija do brzegu: czarująca dziewczyna, dwudziestoletnia brunetka, zalotna i żywa, siada przy mnie i przemawia po włosku z akcentem, który mi zawraca głowę. Przywłacza mię sobie odrazu jak człowika do niej należącego. Zulieta dała mi do trzyma-

nia swoje rękawiczki, wachlarz, swą *linda* i kfew; kazała iść tu czy tam; robić to lub owo, a ja słuchałem. Posłuchaj Zanetto, rzekła do mnie, nie chcę być kochaną po francuzku, nie bądź moim po połowie, a przy piérwszych nudach idź sobie. Wieczorem odprowadziliśmy ją do jej mieszkania. Rozmawiając, spostrzegłem dwa pistolety na toalecie; były one towarzyszymi jój uciech. Nazajutrz znalazłem ją *in vestito confidenza*. Młode zakonnice mniej od niej świeże, piękności seraju mniej żywe, huryski rajy mniej pociągające. Jej mankieciki i kołnierzyk były obzYTE jedwabnym sznurkiem oczepionym pomponami, albo raczej różami.— Wszystko to stanowiło wrota do rajy.”

Są jeszcze w Wenecji zalotnice lecz nie ma już Zuliett’y. Chcącym je poznać z punktu artystycznego, dość będzie widzieć ich ogromne włosy, wyniosłe szyje i wspaniałe gorsy. Co do reszty nie godne są zalotnic pozujących niegdyś przed Fidjaszem i Praxytelem. Dają do zrozumienia, że jeśli przepaska Wenery została zamienioną na skromną suknię, to dla tego iż ludzkość chciała ukryć swe wynędzniałe boki i wychudłe nogi. Więc i zalotnice zgadzają się na pozowanie przed miłością lubiącą tajemnicę, lecz głośno odmawiają pozować dla sztuki kochającej słońce.

## XIX.

## Pożegnanie!

**W**ENECJA jest wygnaniem na wygnaniu; jest już tamtym światem;— raczej przypomnieniem życia niż samem życiem. Takie to zdanie pani de Luchesi Palli (księżny Berry), mieszkającej w jednym z najpiękniejszych pałaców miasta marmurów i cegieł. Stała się ona Wenecjanką gdyż urodziła się w Neapolu, lecz Francuzką wspomnieniem— nadzieją może. Przyjęcie jej tak gościnne i wesołe, iż każdemu cudzoziemcowi będącemu u niej zdaje się iż jest we własnym kraju. Znajdujemy w niej nie jedną stronicę dziejów Francji: trzewik Ludwika XIV. malowany przez Rigaud, który hrabia de Chambord bardzoby chciał włożyć; książka do nabożeństwa Maryi-Antoniny; *Uboga rodzina* Prudhon'a, wymowna demokratyczna obrona, którą każdy monarcha powinienby mieć w tronowej sali; listy Henryka IV. odczytywane nieraz przez Henryka V.;— istne Muzeum, Louvre, Versailles.

Od czesu jak się znajduje we Włoszech, zdaje się, że pani de Luchesi Palli zakłęta zimę. Śnieg jeszcze nie padał na jej czoło. Są kobiety dla których czas nie ma miary. Poganie wymyślili *Godziny* (Hory) w wieńcach z róż.



Większa część sławnych pałaców jest w ręku cudzoziemców. Niektóre nie zamieszkane, lecz od czasu do czasu tronuje w nich podróżująca Europa. W każdym znajdują się arcy-dzieło do wystawienia na pokaz; lecz powoli Rossja i Anglija opustoszą Wenecję. I tak, nie wiem czy w przyszłej podróży obaczę jeszcze *Magdalene* Tyejana i *Zuzannę* Tintoretta w pałacu Barbarigo gdzie są do sprzedania te dwie świeckie kobiety, którychbym nie oddał za cztery madonny Rafaela?

Tak, powrócę do tej krainy odważającej się być piękną bez drzew i koni; w której letnią porą świeży Adrjatyk roztacza jakąś świeżość idealnego raju; w której wiatr wschodni tak łagodny w zimie, iż go przewalali Weneccjanie »płaszczem ubogich.« Przyjadę do Wenecjo! jeść twe Styryjskie woly, twe ryby z Chioggia, twe kurczęta z Rovigo, twe bekasy z nad Brenty, twego *plaszca* (rodzaj ryby morskiej) opiewanego przez Boceacio, twe ortalany z nad błękitnego morza, twe śliczne owoce z Este i Montagnan'y. Przyjadę o starożytne miasto! pić twe cypryjskie wino i twój *val Pollicella*. Przyjadę, o rozkoszne miasto! o wyspo świata olimpijskiego zapomniana na nowym świecie! o wrota rajskie otwarte przez Szatana! przyjadę patrzeć znowu na twe pozłacane kobiety, które zabiły Giorgion'a i Leopolda Roberta.

Kto ma jechać do Weneccji niech nie czyta tych kart na wiatr rzuconych. Trzeba, aby kraj,

po którym się podróżuje był dziewieczym lasem, gdzieby udający się na los szczęścia mogli z kolei robić odkrycia. Pocóż wiedzieć znaczenie zagadki przed przeczytaniem jej samej? Prawdziwy podróżnik podobny do namiętnego kochanka: gardzi drzwiami dla wszystkich otwartymi, bo wchodzi przez okno.

K O N I E C.



## S p i s R z e c z y.

---

### PODRÓŻ DO HOLLANDYI.

	<i>Stronica.</i>
I. Julijanna i dwóch Kanonijerów . . . . .	5
II. La Tour.— Paweł Potter,— Van Ostade . . . . .	10
III. Bruxella . . . . .	13
IV. Naprzeciwko Berg-op-Zoom . . . . .	17
V. Dla czego druk wynaleziony . . . . .	21
VI. Przystąpienie do rzeczy . . . . .	29
VII. Jako w Holandji nie piją wody . . . . .	36
VIII. Piękna Helena z Harlemu . . . . .	39
IX. Tulipany . . . . .	47
X. Raj utracony . . . . .	50
XI. Obrazy . . . . .	70
XII. Jak się zostaje poetą . . . . .	74
XIII. Knajpy . . . . .	87
XIV. Ferma Holenderska . . . . .	91
XV. Iljada i Odyssea . . . . .	99
XVI. Brednie . . . . .	114
XVII. Filozofja podróży . . . . .	117

### PARYŻ. PODRÓŻ W OKNIE.

I. Jakim sposobem powziąłem myśl téj podróży . . . . .	119
II. Co przez okno widzimy . . . . .	124
III. Powieść, którą trzeba opowiedzieć kobietom . . . . .	133
IV. Że młodość jest poezją życia . . . . .	149
V. Historia pięknej dziewczyny, której nie znam . . . . .	155
VI. Moja sąsiadka z profilu . . . . .	164
VII. Paryż widziany z góry . . . . .	170
VIII. Życie w zamku . . . . .	186
IX. Wolność—Równość—Braterstwo . . . . .	188
X. Życie jest romanssem . . . . .	192









